GAMASTON

LAMPARCIE

ŻYCIE



Pani Basi Wadzińskiej
Od autora
Gawalewicz

LAMPARCIE ŻYCIE.

GAMASTON.

LAMPARCIE
ŻYCIE.

OPOWIADANIE

ze wspomnień studenckich.

Wydanie drugie

Kijów i Odessa.
Nakładem księgarni Bolesława Koreywy.
1895.

Дозволено цензурою. Кiевъ, 10 мая, 1894 года.

КIЕВЪ.
Тип. С. В. Кульженко, Н.-Елисавет. ул. д. № 4.
1895.

I.

— Dzień dobry, panie Fasolewicz, dzień dobry!

Przywitanie to, przed kościołem św. Stanisława w Petersburgu, wypowiedziała głośno dama, należąca do wyższego towarzystwa.

Młodzieniec obejrzał się i, zdjąwszy pospiesznie cylinder, zbliżył się do damy.

— Przepraszam, nie spostrzegłem—rzekł;—moje uszanowanie!

— A co to pan myśli sobie?... Całe lato byłeś w Petersburgu, a do nas, *na daczę*, ani razu nie przyjechałeś?

— Byłem i ja na letniem mieszkaniu—z Burbami!

— *Nie już to prawda?* I Burbowa nie jeździła za granicę? *Zadziwiające!...* A gdzież mieszkaliście *na daczy?*

— Za Putiłowską fabryką. Widzi więc pani, że do państwa było zadaleko.

— Ale *nie powierzysz* pan, jak tam w Finlandji pięknie, jakie aromatyczne powietrze, co za widoki!

Tłum ludzi, wychodzących po skończonem nabożeństwie, zmusił rozmawiających do cofnięcia się i skręcenia na ulicę Małą Masterską.

— No, to może teraz pojedziesz pan do nas na śniadanie, a tam pogawędzimy?... No, a ten piękny Rinaldo Rinaldini, wrócił z wakacji?

— Nie wiem, o kogo pani pytasz?

— *Zrób łaskę!*... Nie wiesz?—Toż to pański przyjaciel: pan Robert. Ja wyobrażam sobie, że Rinaldini, jak był młodzieńcem, tak właśnie wyglądał... Dzień dobry, pułkowniku!—dodała głośniej.

Do rozmawiających zbliżył się staruszek wysokiego wzrostu, i zaczęła się rozmowa ogólna.

Dama rozmawiała gestykulując rękoma. Była to wysoka, trzydziestoczteroletnia jasna blondyna, o przyjemnej, bladej twarzy i bardzo inteligentnych oczach: włosy miała tak obfite, że ułożony z nich kok przedstawiał nieomal małą walizkę. Ubraną była wykwintnie i gustownie.

Spojrzenie jedno, rzucone na staruszka starczyło, by poznać w nim ex-wojskowego. Postawę miał wyprostowaną i pierś wygiętą naprzód, a chociaż co chwila głowa pochylała się ku pier-

siom i plecy się garbiły, pułkownik jednakże często się prostował i dość sztywno się trzymał. Ubrany był w czarny surdut, zapinany na dwa rzędy; w pętlicy widać było wstążeczkę nieokreślonej barwy. Na głowie miał czarną, wysoką czapkę, coś w rodzaju rogatywki z dużym daszkiem; w ręku—grubą laskę z gałką. Z twarzy wyglądał dość czerstwo, dzięki starannemu jej wygoleniu i grubym siwym wąsom, mocno do góry zakręconym. Na szyi miał wysoko zawiązaną czarną fularową chustkę, z której wyglądały białe, przestarzałej mody, a podrzynające uszy kołnierzyki, nazywane zwykle *fatermerderami*. Gdy zdjął na przywitanie czapkę, widać było, że używa tak zwanej pożyczki zewnętrznej, to jest: jako mocno łysy robi przedział tuż nad lewem uchem, i resztką długich włosów łysinę nieco zasłania.

— No, więc ostatecznie jedziesz do nas na śniadanie, panie Czesławie?—zapytała dama.

— Przepraszam najmocniej, muszę iść do kolegów, bo dziś ma ich dużo przyjechać z wakacji. Robert również powraca, to już razem z nim przyjdziemy.

— A nie *dawajcie* długo czekać!—dodała.

Podjechał powóz. Panowie pomogli jej wsiąść, za co skinieniem ręki podziękowawszy, odjechała ulicą Targową.

— I dokądże to idziesz, hultaju?—pytał stary.

— Do „Łatyszówki“, dziś przyjeżdża z wakacji cała paczka—odrzekł Fasolewicz.

— *Bon!* to pójdziemy razem kawał drogi; ja idę do Izmajłowskiego mostu.

Przeszli obaj Małą Masterską, skręcili na lewo i poszli Ekateryngowskim prospektem.

— Pewnie pułkownik znów wypatrzył jaką facetkę!... Zawsze loweias! — zagadnął Fasolewicz.

— *Dans le vieux poêle le diable chauffe*, chcesz powiedzieć hultaju! Nie, nie! gdzie tam!—odrzekł pułkownik, robiąc dwuznaczną minę.

— Ej, pułkowniczku! robisz nam straszną konkurencję.

— *Allons donc, mon ami!* Tak jak w zeszłym roku, kiedy odnalazłem prawdziwą perłę: *une véritable perle!* Dwa miesiące latałem za nią, *comme un enragé*; oprowadzałem po teatrach, cyrkach, kompromitowałem, że się tak wyrażę, moją personę, *ma foi!*... kupiłem jej wysokie buciki za 12 rubli u Celibiejewa, potem parasolkę za 7 rubli i kapelusz za 11. Nie myśl, że wymawiam —*parole d'honneur*—nie; ale wszystko *est allé aux champignons!* Robert wlazł w drogę, i w jeden wieczór zbałamucił mi dziewczynę;

zaczęła biegać do niego, jak wściekła, a on podług zwyczaju we dwa tygodnie *l'a lâché dans une trompette*! Nie mam już szczęścia: *pas de chance, mon ami, pas de chance!*—dodał z rozgoryczeniem.

— Co też pułkownik wygaduje?... Taki zuch mężczyzna, mimo swego wieku, nie jednego z nas przeskoczy!

Pułkownik wyprostował się, podkręcił wąsa i rzekł:

— To też powiem ci pod sekretem, tylko Robertowi ani mru-mru, *comprenez vous?*... Zgadłeś!... Wyobraź sobie, wypatrzyłem młodziutką, pikantną dziewczynę, brunetkę, najwyżej 18 łat; zgrabniutka, jak sarenka, *et les yeux, comme les charbons*. Nazywa się Dunia; *figurez vouz*, jakie rozkoszne imię... Dunia!... *charmant!*... Pracuje u modniarki na Wielkiej Morskiej; mieszka z matką—*c'est le noir côté de l'affaire*—przy Izmajłowskim moście. Same mieszczą się w jednej ciupce i kuchni, a dwa pokoje odnajmują. Mieszka u nich jakaś wdowa, *une vieille sorcière*, i Perłowicz. Otóż ja niby do Perłowicza zachodzę, a tymczasem—uważasz—bałamucę Dunię... Mam nadzieję, że za parę tygodni...

— Matka przywita pułkownika pogrzebaczem—przerwał Fasolewicz—albo pożegna *uchwatem!*

— Ale dajże spokój; z mamą jesteśmy w wielkiej przyjaźni... a zresztą, w awanturkach miłosnych różnie bywa: *à la guerre, mon ami, comme à la guerre*... chociaż Dziubandosio ostrożny i przezorny, ale może się zdarzyć.... Nie wiem, czy wiesz, że mam na boku wielką bliznę po ranie, którą mi zadał we Włoszech mąż zazdrośny... *una vendetta!*... Ale pamiętaj tylko! i nic nie wspominaj o tem Robertowi, ani Frankowi... Lubię ich bardzo ale to hultaje!... jeszcze który odbije mi dziewczynę... A ot jesteśmy u mostu..! Bywaj mi zdrów.

— Żegnam pułkownika... Tylko-że ostrożnie, bo jakby uchowaj Boże... to trzeba będzie płacić alimenta.

Dziubandowski uśmiechnął się, pokręcił wąsa i odrzekł z pewną dumą:

— *Pas de danger, pas de danger*... a zresztą, znalazłoby się...—dodał ciszej, z uśmiechem, podając rękę Fasolewiczowi.—A pozdrów tam tych sercozjadaczy i powiedz, że niezadługo zajdę do nich.

Fasolewicz pocałował go w ramię i szepnął:

— Może pułkownik pożyczyłby mi ze 20 franków?... jestem bez gronia.

Dziubandowski wyjął woreczek i dając trzy ruble powiedział:

— Masz dwanaście franków; więcej dziś nie mogę.

— *Merci, mon colonel*—podziękował Fasolewicz, przyłożywszy po wojskowemu dwa palce do ronda cylindra, i pomknął na lewo, brzegiem Fontanki.

Fasolewicz przyjechał był do Petersburga przed rokiem, po jakieś pieniądze należne jego matce, która przed dwoma laty umarła; pieniędzy tych jednak w ciągu roku nie odebrał i czekał dalej... Środków utrzymania nie miał żadnych; mieszkanie i jedzenie, czyli, jak on mówił, *wikt i opierunek*, dostawał od pani Burbowej, wielkiej przyjaciółki nieboszczki jego matki: po za tem jednak nic więcej nie miał, ponieważ Burbowa była dość skąpą, a wreszcie miała i swoje własne dzieci. Fasolewicz, pomiędzy uczącą się młodzieżą z Warszawy, miał bardzo wielu kolegów, częścią z b. gimnazjum realnego, częścią zaś ze Szkoły Głównej, którą, po przebyciu w niej lat dwóch, porzucił. Był przyjemnej powierzchowności, umiał się przy tem elegancko i bardzo czysto, choć skromnie, ubierać; wesoły i dowcipny, był nader pożądanym i cennym towarzyszem; grał biegle na fortepjanie i umiał mnóstwo rozmaitych figlów i kawałów muzycznych, z których śmiano się zazwyczaj do rozpuku. Koledzy lu-

bili go bardzo i przezwali „Fasolką"; a on, choć studentem nie był, ciągle w ich kółku się obracał.

Po pożegnaniu pułkownika Fasolka skręcił w pierwszą ulicę na prawo, był to w owym czasie Carskosielski prospekt, minął Instytut Technologiczny, przeszedł w poprzek „Zagorodnego" i minąwszy kilka domów wszedł w bramę. Dom był własnością Łatynina, ale wszyscy, nawet stójkowy na rogu, nazywali go domem Łatyszowa, studenci zaś i facetki „Łatyszówką". Były to istne koszary akademickie: dom bowiem był potemu zbudowany, mając trzy oficyny o czterech piętrach. Front zajmowały sklepy i mieszkania duże, dwie zaś oficyny mieszkania specjalnie urządzone do odnajmowania pokojów; trzecią oficynę zajmowały wozownie, pralnie, drwalnie i t. d.

Fasolka wszedł do środkowej oficyny, i wstąpił na kamienne schody, po których roztaczał się specyficzny zapach tak zwanych „czarnych schodów": mieszanina woni palonej cykorji, przypalonego tłuszczu i pomyj. Celem wizyty było trzecie piętro, gdzie mieszkali bliżsi jego koledzy, którzy dziś właśnie mieli powrócić z wakacij. Zaledwie dotarł do drugiego piętra, Fasolka już się upewnił, że młodzież stawiła się punktualnie na termin: wesołe głosy i śmiechy rozlegały się po schodach.

Wbiegłszy na trzecie piętro, Fasolka wszedł do kuchni, stanowiącej zarazem przedpokój, przywitał krzątającą się tu gospodynię i, wkroczywszy na korytarz, otworzył pierwsze drzwi na lewo. W pokoju nie było nikogo; uchyliwszy jednak drzwi następne, zobaczył stół na środku i kilku studentów siedzących dokoła.

— A!... Fasolka... psia twoja nędza!—przywitał jeden z obecnych, brunet małego wzrostu.

— A dla czegoś nie spotykał nas na dworcu kolejowym?

— Byłem w kościele—odrzekł skromnie Fasolka.

— W kościele?... słyszycie! Fasolka był w kościele, psia jego nędza!

— Fasolka! Fasolka!—wołali inni.

— Bywaj! Chodź-że tu, do warszawskich serdeljansów i krakowskiej kiełbasy!—wołało na raz głosów kilka.

Trzech zerwało się od stołu, a wycałowawszy Fasolkę, jęli go rozbierać. W mgnieniu oka palto było zdjęte, cylinder postawiony na komodzie, a jego właściciel usadowiony przy stole, na którym leżały przywiezione z Warszawy: serdele, kiełbasa i ser krowi, przysmaki w Petersburgu nieznane. Opodal stała cała baterja butelek z piwem.

— Witajże nam Fasolka! i poznaj się najpierw z nowoprzybyłymi—mówił najwyższy wzro-

stem.—Wrona! nalej-no Fasolce piwonji!... Panowie: Ziemiński i Ciemniewski — pan Fasolewicz *vulgo* Fasolka!...

Po rekomendacji, nanowo zajęto miejsca przy stole. Fasolka siadł między nowoprzybyłymi; dalej siedzieli: wysoki brunet, Robert Skałkowski, Józef Karpowicz, Bogumił Szyfman i Wroński.

Fasolka wypił kieliszek wódki, i wziąwszy się do serdelków, zapytał:

— A dużo was przyjechało z Warszawy?

— Oprócz nas przybył jeszcze Bąkbyx, ale pojechał de swojej gospodyni. Obiecał przyjść, bo dziś obiad w trąbę idzie; przetrącamy w domu, a później pokażemy Piter frajerom... przepraszam— nowoprzybyłym kolegom! Lokujemy się tak: ja — w moim dawnym pokoju—a pijże piwo, cóż udajesz niewinność — nowicjusze w tym tu pokoju, Bogumił z Karpowiczem obok, a Wrona w ostatnim i, jak gdyby nigdy nic, dalej nanowo zaczynamy rok szkolny.

— Przypominam panu—zwrócił się Ciemniewski do Roberta—że jeszcze w drodze obiecał pan objaśnić znaczenie przezwiska Bąkbyx, którym nazywacie Maślakiewicza.

— A, prawda!... A więc tedy uciszcie się i słuchajcie, wy młodzi, bo my starzy, albośmy byli świadkami (jak ja, Fasolka i Wrona) urodzenia

się Bąkbyxa, albo też słyszeliśmy tę historję 512 razy. *Anno* tedy *domini* 1865 zdawał egzamin do Szkoły Głównej ten drab Maślakiewicz, któregośmy jeszcze nie znali, z kieleckiego, czy też radomskiego gimnazjum. Staliśmy przy ławach, gdzie uwielbiany przez studentów książę Jerzy słuchał z zoologji, botaniki i mineralogji. Przyszła kolej na Maślakiewicza: podchodzi jucha, a choć drab wielki, ale zmętniał. Profesor pyta go:

— Jaki jest najpożyteczniejszy z owadów?

Maślakiewicz zamyślił się.

— *Bombyx* (jedwabnik) — podpowiedział ktoś po cichu.

Maślakiewicz jucha niedosłyszał:

— Bąk — odpowiada.

— Masz pan rację — odrzekł książę Jerzy — chyba dla tego, że kobyłę w szynkę gryzie!

Myśmy parsknęli śmiechem, a Maślakiewicz został Bąkbyxem.

— Za którego zdrowie wznoszę puhar! — rzekł, podnosząc szklankę z piwem, Karpowicz. — Dobry i zacny chłop, psia jego nędza, choć głupi, jak stołowe nogi!

— Moi łaskawcy — zaczął rzewnym głosem Fasolka — jestem tu przeszło pół godziny i nie dajecie mi pary z ust wypuścić!...

— Otwórz klapę bezpieczeństwa i wypuszczaj na całego, psia twoja nędza!—rzekł Karpowicz.

Fasolka odchrząknął i zaczął:

— *Primo*, co się dzieje z Frankiem?

— Jeszcze nie przyjechał.

— A Biała?

— Również nie wrócił.

— Jakto? Biała rodzaju męskiego—przerwał Zemiński.

— I nawet bardzo—odrzekł Robert.—Jest to nasz kolega Borzyński, który nie wymawia „ł", a w bilard gra zawsze z „białą" czyli *bialą*, jak on ją nazywa i jak my go też nazywamy.

— *Secundo*—mówił dalej Fasolka—mam dla ciebie, Robercie, podwójne pozdrowienie: od pani Teresy, która nas ogromnie zaprasza; i od Dziubandosia, który wynalazł nową dziewicę i wizytę nam swą zapowiada..... Patrzcie, patrzcieno, jak się szwabowi ślepia zaiskrzyły na wspomnienie *dżewycy!*—rzekł, wskazując na Szyfmana.

— Panie Fasolewicz!—krzyknął Bogumił wstając—kilka już razy prosiłem, by tych głupich żartów zaprzestać; dowiodłem panu, że nie jestem niemcem, tylko polakiem!

— Mój dobry panie, cóż ja winien jestem,—zaczął potulnie Fasolka—żeś pan pruski poddany?

i że pański dziadek pudlem przyjechał!—dokończył ostrzej.

Butelka rzucona przez Bogumiła przeleciała tuż nad głową Fasolki; Bogumił porwał drugą, lecz go ręka Karpowicza wstrzymała.

— Czyście pofiksowali, psia wasza nędza? Nic jeszcze nie pili, a już robią awantury: przestańcie, bo was obu wyrzucę!... Bogumił! umityguj się, psia twoja nędza!... Fasolka, daj pokój. Masz czasem żarty bolące i śmierdzące: jeśli cię ozór świerzbi—gryź serdela!... A teraz zgoda—podajcie sobie ręce.

Fasolka z potulną miną podszedł do Szyfmana i pocałował go w ramię, mówiąc:

— Przepraszam radcę dobrodzieja i bonifikatora mego; a względnie tych sześciu rubli—dodał cicho—to jeszcze zwrócić nie mogę.

Szyfman się roześmiał i uścisnął dłoń Fasolki; ten zaś mówił wesoło:

— A teraz dalej: *tertio*—żegnajcie piękne dni Aranjuezu, czyli twoja gwiazda, Robercie, zaćmi się; masz straszną konkurencję: przyjechał do nas Łabędzki!

— Który? — zapytali jednocześnie Robert i Karpowicz.

— Felek, ten „zdrów Łabędzki“! Nie będziesz już, Robercie, ostatnim wyrazem pod względem

tego, co i owszem; Felek pod tym względem powaga, znana w kraju i zagranicą.

— A pocóż on, psia jego nędza, przyjechał?

— Skończył Szkołę Główną i przyjechał do instytutu komunikacji; już się zapisał. Czy go dobrze znacie?

— Karpowicz był z nim w gimnazjum i na pierwszym kursie szkoły; ja starszy, ale pamiętam: ładny chłopiec, lubił sodówki i dystrybuciarki, a protegował Mańkę Dryńdziarkę na początku jej karjery.

— Ten sam, kawalarz! Jutro przyprowadzę go do was.

— A on gdzie mieszka i jada?

— Mieszka w Jakowlówce, a jada u Truciciela.

— A! to będziemy się spotykać.

— A teraz proponuję—mówił Fasolka — abyśmy jutro urządzili wspólną bibę, nota bene skromną! Przyjdzie pułkownik i Łabędzki, więc będzie obliwantes nowego roku szkolnego. Ja zaraz rozdzielę wszystko, jak należy. Panowie nowicjusze dadzą: herbatę, cukier, chleb i buły; ty, Robertku, kupisz dużego *siga* i 2 flachy wódki; szwa.... te, Bogumił z Karpowiczem: piwo; a ty, Wrona, dasz szynkę i kiełbasy; ja zaś... ja daję najuroczystsze słowo, że wszystko będę jadł i pił!!... A ma-

cie tam jeszcze sporo serdeljansów; nie spucujcież więc, żeby na jutro zostało. No cóż, zgoda?

— Zgoda—odrzekł chór studentów.

Ciemniewski i Ziemiński siedzieli, jak na niemieckiem kazaniu. Byli to młodzieńcy, którzy skończyli świeżo gimnazjum i przyjechali do Petersburga, do Instytutu Technologicznego, pod opieką Wrońskiego, który do tegoż instytutu chodził już rok trzeci. W drodze poznali kilku starszych kolegów; ale nie znali ani osób, o których była mowa, ani specjalnych, utartych między studentami wyrażeń.

— Nie wiem, jak kto, ale ja.... wychodzę— rzekł, wstając, Karpowicz.

— Wstrzymaj się od bobu,—odrzekł Robert— pójdziemy razem pokazać młodzieńcom Piter.

— W takim razie, wieczorkiem, możebyśmy dymnęli do Eldoradka—zaproponował Fasolka ze skromną miną.

— Nie! wstrzymamy się — odrzekł stanowczo Robert.—Po dwu nocach podróży, i to niespanych, bośmy rżnęli w preferansa, należy wyspać się rzetelnie. No, myjcie się i ubierajcie! Fasolka, chodź do mnie!

Młodzież rozeszła się do swoich pokojów; zaczęli się myć i przebierać. Ziemiński i Ciemniewski rozmawiali z sobą szepcąc:

— Pamiętaj Kostek — mówił Ziemiński — niczemu się nie dziwić, i nie wypytywać o znaczenie wyrazów, których nie rozumiemy, bo nas będą uważać za frajerów. Nie można mieć do nich zaufania—oprócz, rozumie się, pana Wrońskiego: zaraz nas wykpią.

Ciemniewski rozebrał się, spuścił do pasa koszulę i zdjął czarny jedwabny woreczek, wiszący na tasiemce na piersiach. W woreczku tym były pieniądze, które przywiózł z sobą na wpis i na pierwsze miesiące życia. Chłopcy prędko załatwili się z ubraniem, i wyszli na korytarz.

— Panie Wroński! a co, już pan gotów?— pytał Ziemiński pode drzwiami.

— Gotów, wejdźcie!

Wroński kończył już tualetę; tymczasem Robert z Fasolką weszli do pokoju nowoprzybyłych. Robert spostrzegł czarny woreczek, leżący na taborecie przy misce z wodą.

— Patrz!—mówił do Fasolki—jaka nieostrożność; wszak to zapewne pieniądze.

Wziął woreczek do ręki i, zajrzawszy wewnątrz, o prawdzie słów swych się upewnił.

— Trzeba młokosów nauczyć porządku; zrobię im kawał!—dodał.

Zaniósł woreczek do swego pokoju i zamknął do komody.

— Chłopcy! jazda na miasto!—wołał.

Szóstka studencka wyszła z Łatyszówki.

— A dokąd pójdziemy?—zapytał Wrona.

— Rozumie się — odparł Robert — że przez Sadową na Newski. Po drodze zobaczycie nasz instytut, a także „Putiej“; dalej największy targ: „Sienną“ i w końcu wstąpimy do „Pasażu“.

Młodzież, oglądając Petersburg, długo chodziła; gdy wracali, było już po ósmej: zasiedli więc do wspólnej herbaty.

— No, jakież wrażenie zrobił na was Piter?—zaczął Robert, trącając Fasolkę.

— Małośmy jeszcze widzieli, ale miasto wspaniałe.

— Muszę jednak dać wam radę, abyście byli ostrożni: na ulicach bowiem kręci się masa kieszonkowych złodzieij, i to bardzo sprytnych; krążą o nich nawet ciekawe legendy. Przed kilku laty—opowiadają—przyjechał tu generał, naczelnik policji, zdaje się z Berlina, i opowiadał o nieporównanej zręczności berlińskich rzezimieszków. Odpowiedziano mu, że i tu są również zręczni, a jeżeli o to idzie: to proponują zakład, że wśród białego dnia ukradną mu guziki od szynela! Zakład stanął; generał pilnował się dobrze, i jakoś nic się nie zdarzyło. W wilję wyjazdu dopiero, gdy szedł Wielką Morską, z bramy pewnego do-

mu wybiega raptem chłopiec z piernatem, zawadza nogą o kamień i przewraca się tuż pod nogami generała. Piernat widocznie był rozdarty, czy rozpruty, bo z niego wyleciała cała chmura puchu i generała doszczętnie osypała. Zatrzymał się tedy, i z niewesołą miną spojrzał na szynel cały zapierzony. Ale kłopot nie trwał długo: z magazynu bowiem, przed którym stanął, wybiegło dwu eleganckich subjektów z miotełkami, i dalejże czyścić generała. Po skończonej operacji grzecznie podziękowawszy, w jak najlepszym humorze ruszył już dalej, i... dopiero po kwadransie spostrzegł, że mu odpróto wszystkie guziki od szynela!

— E, to jeszcze nic wielkiego!—przerwał Fasolka.—A pamiętacie kawał z tym chłopem, co to miał pieniądze zaszyte w kamizeli?

Ciemniewski mimowolnie podniósł rękę do piersi, ale głaśnięcie nie wypadło widać po myśli, bo następnie rozpiął kamizelkę i włożył rękę pod koszulę, szukając woreczka. Zbladł, wargi mu zaczęły drgać, bąkał:

— Mój Boże!.. ukradli mi... czy też zgubiłem... pieniądze...

— A gdzieżeś pan je miał?—pytał Robert.

— Na piersiach... w jedwabnym woreczku.

— Nie zawracaj pan pędzla, tego ukraść nie mogli! Musiała się tasiemka oberwać i worek się obsunął: zdejm pan buty, może wpadł!

Ciemniewski, cały drżący, zaczął się pospiesznie rozbierać; dolne ubranie było wkrótce całkowicie zdjęte: woreczka jednak nigdzie nie było. Robert, widząc wielki przestrach Ciemniewskiego, nie chciał go już dłużej martwić i zapytał:

— Czyś go pan gdzie nie zostawił?

— Ale gdzież tam! pamiętam doskonale: myjąc się zdjąłem go, a po umyciu włożyłem napowrót i wyszedłem.

— To pan źle pamiętasz—rzekł Robert, podając woreczek—zostawiłeś go pan na taborecie przy misce!

Groza sytuacji minęła; Ciemniewski, odebrawszy woreczek, zaczerwienił się z radości, ale jednocześnie wszyscy koledzy wesołym parsknęli śmiechem, gdyż ubrany od góry, a zupełnie nagi od dołu, arcy komiczny przedstawiał widok. Figiel ten Ciemniewskiego obraził; bał się jednak cokolwiek po sobie okazać, by nie ściągnąć na siebie nowego jakiego kawału.

Młodzież, pijąc herbatę, opowiadała wesołe epizody z wakacij; w końcu przyszła kolej na Roberta, który, zapaliwszy papierosa, tak zaczął:

— Z całych wakacij nic ważniejszego nie

mam do zakomunikowania, cały czas bowiem prawie przepędziłem w Warszawie. Wyjeżdżaliśmy tylko na kilka dni na wieś pod Piotrków, gdyż Biała zaprosił koniecznie do swoich wujostwa na tańcujące imieniny. Mieliśmy przytem grać teatr amatorski; pojechałem więc jako froter, i jako amant do komedji. Tańczyliśmy, przy 27-mio stopniowym upale, do siódmego potu; ale teatr spełzł na niczem, zamało bowiem było czasu do przygotowania. Towarzystwo było wesołe; zabawiliśmy dni kilka i poznałem bardzo niczegowatą facetkę, kuzynkę Białej, którą z lekka podemablowywałem, i którą wyratowałem ze wzburzonych fal miejscowego stawu. Rzecz się tak miała, że pewnego dnia po obiedzie Biała woził ją czółnem, ja zaś z kilkoma osobami staliśmy nad brzegiem. Biała zaczął czółnem chybotać, panna w krzyk; ja zaczynam sobaczyć Białej, a on buja coraz to więcej; raptem: buł-dych!.... plusk!.... i panna już w wodzie. Niedalekoć to było od brzegu, i staw nie głęboki, ale zawsze rzucam się do wody i wyciągam ją na łączkę, objąwszy pod ramiona. Panna była w leniuszku, więc uczułem pod ręką... Czy wy znacie twardość agatu!?.. Byłem bohaterem!.... cóś.... tego.... zmoczyłem się wprawdzie nieźle; czuć było odemnie błoto, jak od sadzawkowego karasia, ale panna robiła do

mnie oczko, a jej mamunia zaczęła mnie emablować na gęsto. Bojąc się, aby mnie przypadkiem kołtuńja nie załapała, zwłaszcza, że wujaszek występował z dobrym węgrzynem, i nieomal ciągle podtrzymywał nas w stanie więcej niż dobrego humoru, pożegnałem pannę, przyciskając jej rączkę do serca i wznosząc oko ku firmamentowi. Mamę buchnąłem w łapę (ma jucha dwie kurzajki) mówiąc, że szczęśliwym się nazwę, jeśli pozwoli odwiedzić się w Trzykozach, ale.... obecnie muszę wracać do Warszawy. Otrzymałem 512 serdecznych zaprosin, i—dałem nura!... A teraz dobra noc!... jutro jazda zapisywać się do Instytutu!

Wkrótce potem wszyscy rozeszli się do swoich pokojów; światła, prócz u Roberta, pogasły i słychać było sapanie młodych piersi. Jedni śnili o przyszłości; trudnościach, jakie napotkają; nauce, która ich oczekuje;—inni o biedzie, z którą borykać się będą, zanim dojdą do upragnionego celu; inni o domu rodzicielskim, siostrach i braciach;—a jeszcze inni o wesołych dziewczynach i przyjemnościach studenckiego życia. Nachylony nad stolikiem, na poły rozebrany, Robert pisał list do matki, której obiecał dać znać zaraz po przyjeździe do Petersburga. Pisał długo!... kochał bowiem serdecznie, zarówno swą matkę, wdowę,

jak i dwie młodsze siostry, które były jeszcze na pensji: dzielił się więc z niemi swemi myślami, obszernie opisując podróż i przybycie. Pod wpływem tych pogodnych, jasnych myśli, twarz jego uśmiechnięta, oświecona światłem lampy, przedstawiała widok godny pędzla mistrza. Natura go hojnie uposażyła. Wysoki wzrostem, pięknie zbudowany brunet, z wijącemi się z lekka włosami, dużemi ciemnoniebieskiemi oczyma, ze zgrabnym nosem, pod którym małe czarne wąsiki, zalotnie kręcąc się do góry, lekko przykrywały mocno czerwone usta, — mimo delikatnej cery i zaledwie 23 lat wieku, miał rysy i wyraz twarzy zupełnie męskie. Ta to energia rysów, ta szlachetność twarzy były powodem, że spojrzawszy na niego nie można się było powstrzymać, aby nie pomyśleć: jaki on piękny. Oprócz powierzchownych przymiotów, Robert był nadzwyczaj zdolnym, z łatwością mu więc przyszło ogólne posiąść wykształcenie. Grał przytem wcale nieźle na fortepjanie, a w śpiewie, choć niezbyt umiejętnym, umiał jednak dźwięcznością głosu do serc słuchaczy przemówić, dość biegle wreszcie mówił po francusku, a ponieważ z natury wymawiał „r“ nieco drżąco, więc i francuzczyzna jego jeszcze na tem zyskiwała. Robert wiedział, że jest przystojnym; ubierał się, jak na studenta, wykwintnie, i w ogóle umiał się

urządzać, gdyż otrzymując z domu 35 rubli miesięcznie (matka miała jakiś proces, który się już 16 lat ciągnął), żył tak, że koledzy myśleli, iż przynajmniej 50 rubli wydaje. Ponieważ miał wielkie powodzenie między szwaczkami i modystkami, a nawet jakaś guwernantka zakochała się w nim na zabój, więc koledzy uważali go za absolutną kompetencję w sprawach lekkich studenckich miłostek. Robert skończył list, zakleił kopertę, westchnął, zgasił lampę i położył się spać. Zasnął prędko; a z uśmiechu na twarzy widać było, że wesołe marzenia snuły mu się w myśli.

II.

Nazajutrz młodzież od rana zajęła się interesami. Ciemniewski i Ziemiński zapisali się do Instytutu Technologicznego: pierwszy na wydział mechaniczny, drugi na chemiczny, i zostali młodszymi kolegami Roberta, Wrony i Bogumiła, z których dwaj pierwsi byli już na trzecim kursie mechanicznym, a ostatni na chemicznym. Co

się tyczy Karpowicza, to ten, aczkolwiek starszy wiekiem, był dopiero na drugim kursie Instytutu Komunikacji: wiele bowiem przeszedł biedy, nie mogąc dostać się do zakładów specjalnych, i dopiero przed rokiem udało mu się nareszcie do instytutu się wkręcić.

Koło drugiej kompanja zebrała się w domu, aby iść na pierwszy wspólny obiad. Karpowicz miał nie iść; stołował się bowiem u Elisawety Pietrowny, niemki, która po 20 kopiejek ohydne dawała obiady w Łatyszówce. Dzięki jej kuchni, po latach dziesięciu, wielu z jej dawnych stołowników stale zaczęło odwiedzać przeróżne Karlsbady i Marjenbady.

Studenci zaczęli wychodzić; Karpowiczowi jakoś zrobiło się ckliwo, włożył więc palto, mówiąc:

— Psia moja nędza! było, nie było—idę z wami: 30 *ko* nie zrujnuje mnie. Idziecie pewnie do Henryksona.

— Rozumie się—odparł Robert.

— Zdaje się - pytał Ciemniewski—że był projekt iść do Sikorskiego?

— To wszystko jedno!—odrzekł Robert.—Sikorski nazywa się również Henryksonem, dla tego, że.... jakby to delikatnie powiedzieć?... żyje na wiarę z czuchonką Henryksonową. Najwłaściwiej

zaś nazywa się „Truciciel“; ale jak za 25 kopijansów w abonamencie, lepszego jedzenia nie znajdziecie; a potem, Truciciel pyszny facet, i przyjaciel studentów. No, jazda panowie!

Młodzież zbiegła po schodach.

Na Wozniesienskim Prospekcie, prawie naprzeciwko cerkwi, od której prospekt bierze nazwisko, w dużym murowanym domu, na drugiem piętrze, mieściła się „*Stołowa*“ Sikorskiego. Dawano tam wyłącznie same tylko obiady i przy nich kawę; pozatem żadne jedzenia, ani trunki, nie były sprzedawane.

Sikorski z Henryksonową zajmowali duże mieszkanie; ale na usługi stołowników oddawali tylko ogromny salon, w którym stały dwa olbrzymiej długości stoły, nakryte śnieżnej białości obrusami. Należy oddać sprawiedliwość, że czystość bielizny, naczyń i ubrania usługujących dziewcząt, była wzorową; gospodarz bezustannie chodził i porządku, a czystości pilnował. Byłto średniego wzrostu brunet, lat czterdziestu kilku, mocno dziobaty i z dużą czarną brodą; rysy twarzy były bardzo pospolite, ale sympatyczne. Ubrany był zawsze elegancko, i jako prawdziwy dorobkiewicz, nosił na wskazującym palcu prawej ręki olbrzymi sygnet z brylantami, a przy złotym ze-

garku takiż przesadzonej grubości łańcuch, z ogromnym pękiem najróżnorodniejszych breloków.

W jadłodajni jego stołowało się bardzo wiele osób, przeważnie studenci, urzędnicy i oficerowie *minorum gentium*, artyści i reporterzy. Gospodarz był bardzo uprzejmy, i umiał zjednywać sobie stałych gości. Studentów szczególniej bardzo lubił: urządzał dla nich oddzielnie, u siebie, wigilijną wieczerzę i święcone, a zapłaty za nie nigdy nie brał. Obiady bardzo często dawał na kredyt, i to przez czas dłuższy, a zdarzało się, że jeśli nie było zaco wyjechać na wakacje, to i kilkanaście rubli pożyczył. Znam kilka wypadków, że dłużnicy w parę dopiero lat po skończeniu instytutu należność mu odsyłali; w ogóle jednak nie był stratnym i, jak mi mówił przed kilku laty (niedawno umarł), niezmiernie rzadko się zdarzało, żeby go kto zarwał.

W sali siedziało kilkanaście osób: jedni kończyli obiad, drudzy zaś zaczynali. Sikorski kręcił się i, podług zwyczaju, szczoteczką kształtu litery S, zmiatał sam okruszyny z obrusów, na maleńką tackę z uszkiem: gdy drzwi się otworzyły i weszła znajoma kompanja.

— A! moje uszanowanie—witał, ściskając ręce, Sikorski.—Pan Robert!... jak pięknie wygląda... Pan Wroński!... utył: mamunia odkarmiła!... nie

to, co na stole u Truciciela!.. nieprawdaż?... Cha! cha! cha!... Proszę!

Odstawił stołki, młodzież zasiadła.

— A z panami mam „do po-mówienia“ przed obiadem — szeptał Truciciel do Roberta i Wrońskiego.

Oni wiedzieli, co to znaczy; wstali i poszli za Sikorskim do sypialni. Truciciel otworzył małą szafkę, wyjął butelkę i kieliszek—nalał.

— W pańskie niezawodne ręce: kalmusówka!— rzekł do Roberta.

Robert wypił do Wrony; Wrona znów do Truciciela; i tak, po trzech kieliszkach na osobę, przeszli do obiadu.

Przy Karpowiczu tymczasem siedział wysoki blondyn, z bardzo długim nosem, który przyszedł podczas kalmusówki. Robert spostrzegł go:

— Dzyndz, psia krew!... a ty co tu robisz?

— A ot nic! na powtór przyjechałem, jak się masz?—mówił, całując Roberta w oba policzki.— Prawdę powiedziawszy dureń byłem, *porzuciwszy* instytut; tylko napróżno *jestem* rok *straciwszy*, co byłem wiatra w polu *szukawszy*: otóż *jestem powróciwszy* i już do instytutu *zapisawszy się*. No i dzięki Bogu, że was widzę!

— A gdzież mieszkasz?—zapytał Robert.

— Ot tu, bliziusieńko! *jak raz na węglu perspektywy* Wniebowstąpienia i Wielkiej Ogrodowej ulicy.

— Słuchajcie chłopcy—mówił śmiejąc się Karpowicz—jaki Dzyndz purytanin, psia jego nędza, jak ślicznie po polsku mówi: uczcie się i korzystajcie!

— Alboż co? ja zawsze mówiłem dobrze, a jak z wami byłem rok *przestawawszy*, to jeszcze lepiej mówię.

— Przychodź dziś do nas do Łatyszówki, na stare śmiecie, tylko wcześnie!

— Przybiegnę, a może będzie preferans?

— Może!

Studenci zjedli kapuśniak, ze sztuką mięsa i z pierożkami, podano kotlety z fasolą.

— Robert pewnie nie będzie jadł — mówił Wrona;—jako prawdziwy pitagorejczyk wstrzymuje się od bobu!

— Daruj, ale to nie bób, a fasola!

Na leguminę podano kisiel z mlekiem.

— Patrzaj, jaki dobry kisiel—mówił nazywany „Dzyndzem“;—a jednakowoż u nas w Słonimie robią jeszcze paradniejszy! Panie Sikorski! każ dać jeszcze *lisznią* porcję kisielu!

Sikorski zbliżył się do kompanji, szepcąc:

— Po obiedzie będę miał z panami „do pomówienia“.

Młodzież zjadła i przeszła do gabinetu Truciciela, gdzie podano czarną kawę i butelkę Benedyktyna, fałszowanego w Rydze.

Sikorski częstował swoich stołowników i, podniósłszy kieliszek, mówił:

— Życzę panom wszystkiego dobrego, żebyście zdrowo ten rok przeżyli i wszyscy przeszli na kurs następny; a w końcu—zostali inżynjerami i zarabiali tysiące.

Po tem przemówieniu szepnął na ucho Robertowi:

— A co, dobrze powiedziałem? nieprawdaż?

— Pysznie!—odrzekł Robert, i wzniósł kieliszek, mówiąc:

— Za zdrowie Truciciela,
Studentów przyjaciela,
Niewiast uwodziciela:
Jakich jest—nie wiela!...

— Cicho!—przerwał Truciciel—jeszcze Chrystyna usłyszy, a szelma rozumie po polsku!

Sikorski rozczulił się i wyjął drugą butelkę Benedyktyna; studenci, wesoło gawędząc, popijali do piątej.

— Trzeba się śpieszyć i uciekać — popędzał Robert,— boć mamy dziś gości!

Wyszli śpiesznym krokiem i, nakupiwszy po drodze różnych przekąsek, powrócili do domu, by się odpowiednio urządzić. Drzwi między oddzielnymi pokojami zostały pootwierane, po uprzedniem usunięciu szaf, komód i t. p. sprzętów, którymi były pozastawiane, i—utworzyło się ogólne mieszkanie. W pokoju Bogumiła i Karpowicza ustawiono na środku stół i przygotowano na nim herbatę i zakąski.

Koło siódmej przyszedł najpierw tak zwany „Dzyndz“. Byłto bardzo wysoki, chudy, dwudziestokilkoletni blondyn, z bardzo długim nosem. Koło lewego ucha miał on cienką i długą narośl, skutkiem której Fasolka nazwał go kiedyś „Dzyndzem“ i „Dzyndzelansem“; przezwisko to się przyjęło i ogólnie go tak nazywano. Właściwe nazwisko jego było: Hrehorowicz, a śmiertelnie obrażał go ten, co go nazwał Gregorowiczem.

Dzyndz przyniósł ze sobą skrzypce; po przywitaniu zwrócił się do Roberta:

— Patrzaj! mam nową skrzypcę; siadaj, *póki co, za pianino*, wyr-żniem, wiesz, tego kadryla: *composé par monsieur* Hrehorowicz.

— Wstrzymaj się od bobu: później—może.... masz papierosa!

Hrehorowicz zapalił papierosa, otworzył pudełko, wyjął skrzypce i zaczął grać solo. Grał mizernie, ale był zapalonym muzykiem.

— A co skrzypca?—pytał.—A jaki głos!...

— Jak twój włos: cienki, ale nie czysty!—zawołał wchodzący Fasolka.

Za Fasolką wszedł młody brunet, z wesołą twarzą, dość przystojny.

— Przedstawiam szanownej archikonfraterni pana Łabędzkiego—rekomendował Fasolka,—pysznego faceta!

— Zdrów Łabędzki!—krzyknął Karpowicz i wybiegł naprzeciwko przybyłego.

— Karpowicz! jak się masz?...

Koledzy serdecznie się ucałowali.

— Panowie: Skałkowski, Ciemniewski, Ziemiński, Hrehorowicz, Wroński, Szyfman!... członkowie archikonfraterni wzajemnej adoracji!—przedstawiał Fasolka.

— Bardzo jesteśmy radzi, prosimy!—odrzekł Robert.

— Kolegę pamiętam—mówił Łabędzki, wyciągając rękę do Roberta—ze szkoły Głównej; byliście o rok wyżej.

— I ja przypominam sobie pana, byłeś figlarz nie lada!

— A teraz wyrósł na lepszego jeszcze!—dorzucił Fasolka, i zakręciwszy się wyszedł do pokoju Roberta, gdzie usiadł przy pianinie i uderzył kilka akordów.

— O, jakże fatalnie rozstrojony!—zawołał.

— Przed godziną dopiero przynieśli, jutro przyjdzie stroiciel.

— Chyba stroipianin; boć to nie cielę, a pianino—mówił Fasolka, wygrywając jakąś mieszaninę Liszta z Offenbachem, czy Mozarta z Zuppe'm.

Ciemniewski z Hrehorowiczem przybliżyli się do pianina, i zaczęli się przysłuchiwać.

— A, to coś nowego!—zawołał ten ostatni.

— A tak! to uwertura z najnowszej opery: „Uszkodzenie indyczki w tataraku“—odrzekł Fasolka.

— No, wymyślił!... toż ja nie słyszałem o takiej operze!

— Bo u was, w Słonimie, jeszcze jej nie znają! — odparł Fasolka, i zaczął śpiewać recitatiwem:

— A prędko tam będzie herbata?...
Bo chciałbym przepłókać flaki!
Wrona! to twój wy-y-ydział!

— Samowar już syczy, zaraz podadzą.

— No, a jak ci się podobał Piter?—pytał Karpowicz Łabędzkiego.

— Piter? a no, niby piękne miasto, cóś... tego... ale jakoś takich szykownych facetek, jak u nas w Warszawie, nie widać; a potem, ja po rosyjsku kiepsko mówię, więc nie umiem jeszcze tak gładko lapisować.

Ciemniewski nie wytrzymał.

— Jakto lapisować?—zapytał, wytrzeszczając oczy.

— Ha, ha, ha!—zaśmiała się cała paczka.

— Macie frajera, albo po francuzku: „frageta“—mówił śmiejąc się Fasolka.—A wiecie, co jest zawracanie gitary, pięty, pędzla lub żołądka, i w jakich razach aplikuje, czyli stosuje się? Jak tu posiedzicie z rok, to się wiele rzeczy nauczycie.

Poklepał Ciemniewskiego po ramieniu i dodał:

— *Disce puer, ego te fatiam mości panie!*

Studenci znów się głośno zaśmieli; Ciemniewski spiekł raka, a Ziemiński szepnął mu do ucha:

— A co, nie mówiłem ci?... pocoś ciekawy!

Ciemniewski wziął na odwagę:

— Je... jednak nie wytłómaczyłeś pan znaczenia lapisować?

— Weź pan na wstrzymanie, czyli abstynuj się, i nieprzerywaj, kiedy starsi mówią; a lapi-

sować sam się nauczysz, biorąc dobry przykład, tylko przedtem trzeba, żeby panu wyrósł ząb mądrości!—recytował Fasolka.

— Języka prędko się pan nauczysz,— mówił Robert do Łabędzkiego—a najlepiej od facetek; a zresztą z niemi nie trzeba znać języka: marynarze duńscy w portach Japonji lub Celebesu na migi uwodzą niewiasty ryczałtowo!...

— Poco tak daleko szukać,—przerwał Dzyndz—i u nas, w Słonimie, zdarzało się, że nie *jadłszy* i nie *piwszy* przepędzało się dni kilka *romansowawszy* na migi.

— A, to pan, z przeproszeniem, ze Słonimia?—zapytał Łabędzki.

— A tak! alboż co takiego?

— Nic, szampańskie miasto! Toćto u was, przed piętnastu laty, gdy po raz pierwszy przywieźli kalosze gumowe na czerwonej flaneli, młodzież je na gwałt kupowała, nakładała cukierkami i nosiła pannom: myśleli, że to nowomodne bombonierki! Zwłaszcza te duże, głębokie, ogromne miały powodzenie, bo i pakowne i szykowne!

Młodzież się roześmiała, ale Hrehorowicz obrażony zapytał:

— A czy to pan wie napewno, czy to koncept z kalendarza?

Fasolka wcisnął się między studentów, mówiąc:

— To fakt! miałem rodzonego stryja w Słonimie, i sam mi to opowiadał; a był to poważny człowiek, więc nie komponował.

— Jak się macie, hultaje!—słychać było we drzwiach.

— A, pułkownik!

— *Bon jour, mon colonel!*

— Witamy!—rozległy się głosy.

Robert i Fasolka podbiegli i zaczęli się witać; zbliżyli się też: Wroński, Bogumił i Hrehorowicz.

Jak się macie? *come state*, zbereźniki!—wołał pułkownik wesoło.

— Pozwoli pułkownik przedstawić sobie: Łabędzki, Ciemniewski, Ziemiński! — rekomendował Robert.—Pułkownik Dziubandowski!

— Postrach, panowie,—dodał Fasolka—dziewczyny zmiata nam z przed nosa!

— *Farceur! C'est une vérité, comme un aveugle s'épouillait!* No, dajcie papierosa!... odpocznę... zmęczyłem się!...

— Jakże się pułkownik ma?—pytał Robert, podając papierosa.

— *Comme le pois auprès du chemin!*—odrzekł pułkownik, lubiący tłómaczyć przysłowia.—Dziś—

mówił dalej—mocno mi dokucza ręka; drze, panie dobrodzieju, fatalnie!... Ta, co to kontuzjowana pod Jeną.

— To pan pułkownik był pod Jeną?—zapytał Łabędzki.

— To dobre! czy byłem?...

— Masz djable kaftan!—szepnął Robert do Fasolki—zapisz do katalożka: pułkownik, Jena, kontuzja, 512-ty raz!...

A pułkownik tymczasem mówił dalej:

— Tak! tak, szanowny panie, byłem... byłem pod Jeną!... A trzeba wam wiedzieć, że Napoleon bardzo mnie lubił, i byłem w sztabie przy jego osobie. Jedziemy tedy!.. człek był młody, pokaźny... tego ten!... konia miałem araba, czystej krwi!... Raptem Napoleon zatrzymał konia!... my, rozumie się, wszyscy stajemy!... Z prawej strony, panie, bębny: tram-bam-bam, tram, trrrr-bam, tram-tram!... z lewej trąby: tra-tra, ta-ta-tra, tru-ti, tru-ti, tru-tru!... artylerja z dział wali: dym czarny, jak chmury, przed nami!... kawalerja pędzi, jak wściekła!—a my nic!... stojemy, jak mur!... Aż tu Napoleon, jak nie krzyknie: „*en avant!...*“ my z kopyta!... Raptem coś gwizdnęło!.... zakręciło mi się w głowie, i—łomot!.. spadłem z konia i straciłem przytomność. Ocknąłem się dopiero w ambulansie: źle, myślę

sobie, już koniec!—ale: *une fois mort à la chèvre!*—czy teraz, czy potem: trzeba—kaput!... Ale, dzięki Bogu, nic się nie stało: to wielka bomba przeleciała koło mnie i kontuzjowała lewą rękę. Cesarz, jak się dowiedział, kazał mnie położyć w swoim namiocie. Leżałem tak prawie pół dnia, podrzemując.... wtem podnosi się kotara i wchodzi Napoleon z jenerałami, na naradę wojenną. Dovoust, panie, zaczyna coś głośno rozprawiać, a Cesarz przykłada palec do ust i mówi:

— „*Silence, messieurs, silence, Dziubandosio dort!*“

— Takto mnie kochał!... i wszyscy mnie kochali bardzo!—dodał, przykładając fularową chustkę do oka.

Łabędzki uśmiechnął się niedowierzająco i zapytał:

— A ile też lat liczy sobie pułkownik?

— Siedemdziesiąt dwa... a cóż, preferans będzie?

— Pysznie pułkownik wygląda! Nigdybym nie przypuścił, że pułkownik ma siedemdziesiątkę!—dodał Łabędzki.

— Preferek będzie zaraz po herbacie, do której prosimy!—rzekł Robert.

Wszyscy przeszli do następnego pokoju i zasiedli przy stole.

— Cóżto pułkownik nic nie je?—pytał Fasolka.

— Jakoś nie mam apetytu.

— *Ne croyez pas à la bouche, jusque vous ne mettrez pas sur la dent!*—odpowiedział Fasolka, naśladując pułkownika.

Nalał kieliszek wódki, trącił się z kolegami i, powstawszy, mówił:

— Panowie! Zdrowie pułkownika, co to jeszcze dobrze... (tu się nachylił, a szepnąwszy coś na ucho Dziubandowskiemu, dodał głośno: co to jeszcze dobrze łyka!

Pułkownik uśmiechnął się mile i pogroził palcem, mówiąc:

— Figlarz!...—a na ucho dodał—dziękuję!

Przy herbacie, piwku i zakąskach, prowadzono bardzo ożywioną rozmowę; tysiące anegdot i dowcipów sypało się, jak z rogu obfitości: ale niestety! —brak mi pióra Bokacjusza, by je z równą werwą powtórzyć....

— Dalej, do pulki!—zapraszał Fasolka.—*Colonel*, Wrona, Ciemniewski i Bogumił! Stolik gotów u Wrony. Jazda!

Partnerzy przeszli do gry; pozostali dopijali herbaty.

— Dobry wieczór!—wołał wchodzący Maślakiewicz.

— *Vale*, Bąkbyx, *vale!*—odezwał się Karpowicz.—Ale: *tarde venientibus ossa!...*

— Czyli: późno przychodzących osy kąsają!—przetłómaczył Fasolka.

— E! kiepsko tłómaczysz, to znaczy: twarde wnętrzności osy!—dorzucił Maślakiewicz.

— Teraz na osy za zimno, nie zawracajcie głowy,—zakonkludował Karpowicz;—lepiejbyś nam oto powiedział, psia twoja nędza, gdzieś przepadał?

— Urządzałem się!... wypakowywałem swoje efekta!... Fiu! fiu! fiu!... jakie labium!... Czy to u was chrzciny, czy zaręczyny?... Jakie delikatesy: *sig*, serdele, ser, i do tego owczy, kiełbasa krakowska,—choroba wie nie co!...

Tu Maślakiewicz nalał kieliszek wódki i wypił; zaraz potem nalał drugi, wypił, przegryzł siga i nalał trzeci.

— A ci, co dni swoje skończyli, niech odpoczywają w pokoju wiecznym!—rzekł, i wypił.

— Słuchaj-no, Bąkbyniu! ty nie módl się tam tak bardzo za dusze zmarłych, bo się ululasz!—powiedział od niechcenia Robert.

Fasolka przysiadł się do Bąkbyxa i Karpowicza, i zaczęli wspólnie umizgać się do wódeczki i piwa. Ziemiński z Hrehorowiczem poszli na galerników do grających; Robert zaś z Łabędzkim

gawędzili na twardej kanapie. Rozmowa szła o różnych rzeczach, nareszcie przeszli do obecnego położenia.

— Myślę w trzy lata machnąć instytut—mówił Łabędzki; — przyjechałem bowiem po skończeniu matematycznego wydziału: widoki były bardzo kiepskie!

— Ja do tego rezultatu przyszedłem wcześniej—odrzekł Robert,—i dla tego dwa lata już temu, jakem do Technologicznego przyjechał; za jakie jeszcze lat dwa, mając specjalny fach, poradzę sobie: chociaż właściwie, w naszym zawodzie, trzebaby potem pojechać za granicę!.. Może to i zrobię, mam bowiem nadzieję, że matka do tego czasu wygra proces i będziemy mieli tyle floty, że wystarczy... Ale, co tam dziś o tem mówić?... zawcześnie!...

Trójka przy stoliku nieźle sobie podchmieliła.

— A ci, co dni swoje skończyli,—bąkał Maślakiewicz—niech odpoczywają w pokoju...

— Wiecznym! —dodał Robert, i odebrał butelkę z wódką, którą Bąkbyx trzymał.

Fasolka pocałował Roberta w ramię, i wymknął się do jego pokoju. Zasiadł do pianina i zaczął śpiewać, udając głos kobiecy. Studenci obstąpili go do koła, śmiejąc się z różnych kawałów, które wygrywał i wyśpiewywał. Hrehorowicz,

usłyszawszy muzykę, przybiegł; a Fasolka, spostrzegłszy go wchodzącego, zaczął śpiewać:

— Oj! zbliża się, zbliża zima,
A Dzyndzelans palta nie ma;
Rzućcie dziewki po złotemu,
Kupcie palto Hrehoremu.

— To niby, widzicie, dla rymu!—dodał falsetem.

— Ah! żeby się znalazły takie, coby mi *zafondowały* paletot—odpowiedział Hrehorowicz; — a to burka już strasznie *podszarzawszy!*—dodał wzdychając.

— Wiesz co, Dzyndzelans?—mówił Fasolka— dajmy koncert; zbierzemy sobie: ty... na palto, a ja... na kamienicę, bo jestem bardzo *potrzebowawszy!* Ale, ale!... Zaprodukuję wam nowy utwór, który dedykuję Bogumiłowi: „Zabicie pchły!„ — walc.

Zaczął grać walca i, co kilka taktów, przesuwał paznokciem wielkiego palca prawej ręki po klawiszach, udając zabicie pchły.

— A czemuż dedykujesz Bogumiłowi?—zapytał Hrehorowicz.

— Bo to walc, a on szwab!

— Daj spokój, co ty ubrdałeś sobie do niego!.. Znamy go dobrze, nie ma w nim nic niemieckiego: nawet pisze się przez *sz*.

— Może się pisać nawet przez duże *D*, to mi wszystko jedno; ale jest szwab! psubrat!... i jeżeli na zewnątrz udaje, to dusza jego szwabska!

— Stul ty buziuchnę, psia twoja nędza; nie zawracaj pędzla, i nie zaczynaj awantury! Bogumił, jak usłyszy: będzie źle; wybije ci ząbek, albo rączkę wywichnie!

Fasolka przestał dogadywać i dalej śpiewał kujawiaki; Robert poszedł do grających w karty.

— Jakże szczęście pułkownikowi dopisuje?— zapytał.

— Jak zwykle!—odrzekł pytany, zbierając karty.

Bogumił, rozdający karty, podejrzał ostatnią i śmiejąc się mówił:

— Znać *scholarum piarum*: zawsze na asa pułkownik zbiera!

— A mimo to przegrywam!

— Wiadoma rzecz: kto ma takie powodzenie u niewiast, nie może wygrywać!—wołał wchodzący Fasolka.

— Do piku!

— Trefle!

— Pas!

— Co? pułkownik pasuje z taką kartą?—zapytał Robert;—mało śmiałości!

— Pułkownik ma tylko śmiałość do ataków wojskowych i białogłowskich! —mówił prędko Fasolka.

— A wynoścież się do miljona fur kartaczy i nie przeszkadzajcie, bo już późno! Spać się chce, trzeba kończyć!

— To rozbierzcie pulę! — proponował Karpowicz.

— Ależ to nieprzyzwoicie: wszak pula rodzaju żeńskiego! — dodał Robert.

— Wynoście się, galerniki, — wołał Bogumił — bo was lichtarzem poczęstuję!

Nareszcie galerja wyniosła się do sąsiedniego pokoju. Bąkbyx podszedł do stołu, wziął butelkę od wódki, podniósł do lampy i przechylił.

— Pusta! — przecedził przez zęby.

Zrewidował drugą: było trochę na dnie; nalał pół kieliszka i podniósł do góry, szepcąc:

— A ci, co dni swoje skończyli, niech...

— A ty jucho! — przerwał Fasolka — sam modlisz się za nieboszczyków! Pokaż-no tu, co to tam jest jeszcze?

— Niema nic! — odrzekł Bąkbyx. i wypił resztę.

Partja skończyła się; Dziubandowski wszedł z wesołą miną:

— *Comme toujours!* — mówił — ograli mnie: przegrałem siedem franków!

— Gdzieindziej odegra się pułkownik w dwójnasób: wiemy o tem! — żartował Fasolka.

— No, bądźcie zdrowi, hultaje!—żegnał pułkownik.—A może kto idzie w moją stronę?

— A gdzie pułkownik mieszka?

— A przy „Sinim moście!“

— To idziemy razem!—odrzekli Dzyndzi Bąkbyx.

Pożegnali się; Hrehorowicz wziął skrzypce i wyszli.

— Paradny blagier, ten wasz Dziubandowski!... ananas! wprawdzie sparciały, ale zuch! — mówił Łabędzki do Roberta.—Żeby tak u nas, w Warszawie, tobym go kazał wypchać i po dychaczubym pokazywał! Łże, jak z nut: był pod Jeną!... Mamy 1868 rok, czyli przed 62 laty był w sztabie Napoleona; dziś ma, jak powiada, 72 lata, a więc miał wtedy 10. Zdaje się, że ździebełko przecholował!... A któż to jest, ten kawalarz?

— Dobre człeczysko! były oficer wojsk polskich — opowiadał Robert.—Trochę zdziecinniał; łże... bo łże, ale nikogo to nie krzywdzi. Od pięciu lat mieszka przy wnuczce, która tu jest za mężem; bardzo go kocha i utrzymuje. Stary nie ma nikogo z familji — wymarli — a środków do życia prawie żadnych, emeryturka bowiem wynosi kilkadziesiąt rubli rocznie. Nie wiem, w jakim stopniu był w wojsku, ale wszyscy nazywają go pułkownikiem; bardzo nas polubił, i od dwóch lat często do nas przychodzi.

— Czasem pożyczy nam kilka rubli – dodał Wrona,—opowie jakie facecje: dobry starowina!... i nie szkodliwy.

— Zwłaszcza dla dziewcząt!—dodał Fasolka;— a ma szczęście... do wyszukiwania ładnych facetek, które my mu potem zabieramy. Właśnie wczoraj mi mówił o nowej dziewczynie, córce gospodyni, u której mieszka Perłowicz; ale boi się Roberta, żeby mu nie zrobił, jak w przeszłym roku.

— A gdzież mieszka Perłowicz?—spytał obojętnie Robert.

— Przy Izmajłowskim moście, gdzie cukiernia Michla.

— Trzeba będzie zbadać, co wart ten nowy brylant Dziubandosia: może jaki koczkodon!

— Koczko*dan*, jeśli panu wszystko jedno — poprawił Łabędzki.—Ale widzę, że ze starego pyszny facet: niech go flanela ogarnie!... jak mówi Zawiski.

— A!... ten Zawiski, cośmy go w Szkole nazywali Spinozą!

— Ten sam.

— A cóż się z nim dzieje?

— Ożenił się, i niedawno miał syna!

— Jakto? — pytał Fasolka — on miał, a nie żona?

— E! wy tu, jak widzę, łapiecie za słówka!

— A za cóż mamy łapać?

— Fasolka, nie przerywaj!—rzekł Robert.— A jak mu się powodzi?... Pyszny chłop!...

— Tak sobie!... Niedawno otrzymał spadek; myśli gazeciarstwo puścić w trąbę i uczyć się cukrownictwa.

— On! przyrodnik?

— Cóż wielkiego? chemję zna, a zresztą: nie święci garnki lepią! No, ale dobranoc! zasiedzieliśmy się! Fasolka, jazda do domu!

— Bądźcie zdrowi!—żegnał Robert—a prosimy zachodzić do nas!

— Do widzenia!... Mieszkam w Jakowlówce pod 54.

Po ogólnem uściśnieniu rąk, Łabędzki z Fasolką wyszli; a miejscowi rozeszli się do swoich pokojów.

— A co? widzisz!—szeptał Ziemiński do Ciemniewskiego—załapali cię i wystrychnęli na dudka! A mówiłem: pilnuj się i bądź ostrożny!

— Ale, jeśli to tak będzie co dzień—rzekł wymijająco Ciemniewski,—to nasze fundusze prędko się wyczerpią i nawet na kwartał nie wystarczy; a i uczyć się nie będzie można: jak się opatrzymy, trzeba się będzie wynieść!

— E! to tylko pierwsze dni, z początku; później nie będzie: ani gości, ani bibek!

— Daj Boże!—odrzekł wzdychając Ciemniewski, i zdjął kamizelkę.

III.

W Instytucie Technologicznym są oddzielne, specjalne pokoje do palenia, w których, między godzinami lekcij, studenci się zbierają.

W tydzień po bibce, w poprzednim rozdziale opisanej, widzimy w „*fiumuarze*“ kilka grup studentów. Jedną z nich stanowili nasi znajomi: Robert, Wrona, niski pucołowaty blondyn, zwany „Biala“, i średniego wzrostu przystojny szatyn, z wąsikami i małą bródką: Broniewski Frańciszek, o którym już słyszeliśmy.

— Nie wiesz, Wrona, — pytał Robert — czy czwarty arkusz teorji ciepła już wyszedł?

— Nie!... Wyszniegradzki życzył sobie przeglądać wydawnictwo, i jeszcze nie zwrócił; ale podobno pojutrze już będzie odlitografowany.

— Robercie!... czybyśmy nie poszli dziś do pani Teresy?—zapytał Frańciszek.

— Dziś?... wstrzymajmy się!... Pójdziemy w sobotę, w dzień przyjęć, to lepiej czas przepędzimy.

— Ostatni raz odkładam i, jeśli w sobotę nie pójdziesz, — pójdę sam.

— A może to i lepiej: będziesz mógł gęściej emablować panią Teresę.

— Oddaję ci ją zupełnie.

— Ździebełko chyba za stara — dodał Biała.

— Za stara?... jak do czego!... Troszkę *przechodzowana*, ale jeszcze *güt!* — zawyrokował Wrona. — Zresztą, przecież ty, Biała, lubisz takie masyw kobietki!

— Lubiłem, jak byłem młodszy; teraz wolę trochę mniejsze!

Dzwonek wezwał na lekcje; młodzież rzuciła niedopałki na asfaltową podłogę, i wyszła do audytorjów.

— Franek! — mówił Robert na schodach, — jeśli się spóźnię na obiad, poczekajcie na mnie u Truciciela: muszę wstąpić do warsztatów, rozmówić się z Damem względem dużej tokarni.

— Dobrze! a po obiedzie pójdziemy trochę poflanować?

— Ależ dziś środa! zajęcia praktyczne będą do szóstej w warsztatach.

— A prawda!... do widzenia!

Franciszek wszedł do audytorjum. Był on wielkim przyjacielem, a zarazem wielbicielem Roberta. Co ich pociągnęło wzajemnie ku sobie, obaj nie wiedzieli. Charaktery ich były zupełnie odrębne: Robert—wesoły, żywy, prędki, namiętny, bystrego umysłu, spostrzegający w jednej chwili otoczenie i szczegóły: Franek — powolny, nawet ślamazarny, nigdy nie zapalający się, mówiący wolno, zapominający. Franciszek wstąpił do instytutu przed rokiem, i, zaraz po przyjeździe, poznał się z Robertem przy stole u Truciciela. Wkrótce zaprzyjaźnili się z sobą, i to tak serdecznie, że w miesiąc nazywano ich Kastorem i Polluksem. Franciszek nie tylko kochał, ale i szanował Roberta: był on dla niego ostatnim wyrazem kompetencji, i uważał się za bardzo szczęśliwego, że taka powaga między studentami zaszczyca go swoją wyjątkową przyjaźnią. Robert, jak każdy student trzeciego kursu wydziału mechanicznego, pracował w warsztatach od 3 do 6 po południu. Wspólnie z Wrońskim, od roku, robili heblarkę do metalów; a więc w roku zeszłym wykonali modele, następnie odformowali w odlewni nogi, stół, ramę, koła pasowe i zębate, wreszcie suport,—a po odlaniu zaczęli obrabiać. W obecnym czasie Wroński był zajęty obróbką ramy, a Robert obtaczał duże koło pasowe. Ro-

bota szła bardzo dobrze: obaj bowiem mieli zdolności do robót mechanicznych, i — posiadali niezbędną do tego cierpliwość. Przez dwa lata prawie do ukończenia instytutu pozostałe, mieli zamiar heblarkę w zupełności wykończyć i, jeśli odpowie ich własnym wymaganiom, przedstawić ją na Petersburskiej wystawie, którą na lato 1870 roku zapowiadano. Inspektor robót, oraz starszy mechanik, przy oglądaniu obrobionych już części robotę bardzo chwalili, i przepowiadali, że przedmiot będzie się na wystawę kwalifikował. Studentów to wielce cieszyło, zwłaszcza Roberta, który zniszczeniem rąk swoich mocno był zmartwiony. I było się czego martwić, bo piękne, zgrabne i białe ręce, przez używanie hebla, grzebanie w piasku giserskim, i przez robotę pilnikiem i młotkiem, chociaż zaledwie po kilkanaście godzin tygodniowo, mocno jednak ucierpiały. Przy robocie niepodobieństwem prawie było uchronić się od lekkich uszkodzeń ręki, od zgrubienia lub zdarcia naskórka, od złamania paznokcia, i t. p.; często się też zdarzało, że nosił na rękach plasterki, lub nawet całe palce od rękawiczek. Nie lubił on tych dodatków; ale nadzieja, że praca rąk jego będzie jedną z najlepszych, kompensowała plasterki i palce rękawiczek. Robert z Wrońskim po skończonych robo-

tach wyszli razem; Wrona poszedł do szewca, Robert zaś prosto do domu. Przyszedłszy zapalił lampę, umył się, obejrzał ręce: śladów pracy jeszcze na nich nie było, roboty bowiem zaczęły się dopiero przed kilku dniami, a przez wakacje ręce dobrze wypoczęły. Wyszedł na korytarz, kazał nastawić samowar, a potem wyciągnął się na łóżku i odpoczywał. W obocznym pokoju Ciemniewski z Ziemińskim uczyli się przy stole. Robert przymknął oczy i nawpół drzemał, gdy wtem— zapukał ktoś do drzwi...

— Proszę!—rzekł Robert.

Drzwi się otworzyły i na progu ukazała się postać kobieca.

— Kożuchowska!—zawołał Robert, i z łóżka się zerwał.

— Jak się masz, Skałkowski?—mówiła przybyła, wyciągając na przywitanie rękę w czarnej wytartej rękawiczce. Dowiedziałam się, żeś przyjechał, i przyszłam cię zobaczyć. Każ dać herbaty, bo zziębłam; jesień wcześnie się zaczęła!—dodała, zdejmując z głowy coś w rodzaju okrągłej czapki.

Robert pomógł jej zdjąć syberynowe okrycie i chustkę, na szyi zawiązaną.

— Widzisz, jaka ja dobra? przyszłam dowiedzieć się o ciebie; a ty, nie bój się, przez całe wakacje pewnieś o mnie i nie pomy-

ślał! — mówiła siadając przy stole i zapalając papierosa.

— Przeciwnie!—odrzekł śmiejąc się Robert— raz właśnie przypomniałem sobie. Poznałem młodą pannę, taką jak ty, i w niebieskich okularach: i tyś mi stanęła na myśli; tylko, że tamta nosi okulary z potrzeby, a ty—z głupoty!—dodał, machnąwszy ręką.

— Przestań!—zawołała — zawsze jesteś niegrzeczny; noszę okulary, bo mi się podoba, a tobie nic do tego!

— A noś sobie nawet chomąta, jak ci się podoba; nie rozumiem tylko, jaki cel nosić okulary— w dodatku ciemne—bez potrzeby, i zasłaniać oczy, w których odbija się dusza człowieka. Nie cierpię w ogóle mówić z ludźmi, nie widząc ich oczu; zdaje mi się, że rozmawiam z posągiem lub istotą wypchaną.

— Moje oczy cię nie obchodzą!

— To pewna; ale żeby nawet Wrona lub Fasolka włożyli ciemne okulary...

— Robiłoby to na ciebie wrażenie,—przerwała —mój ty nerwowy!...

Zdjeła okulary, położyła na stole, i lewą ręką podgarnęła krótko ostrzyżone jasno blond włosy. Niedopałek papierosa rzuciła na ziemię; ze stojącego na stole pudełka wzięła papieros

świeży i—zapaliła go. Robert to spostrzegł—nie lubił nieporządku!—schylił się więc, podniósł rzucony niedopałek i położył na stojącej na stole popielniczce.

— Przepraszam, nie zauważyłam; już nie rzucę na podłogę!

Podano samowar.

— Słyszysz!—szeptał Ciemniewski do Ziemińskiego—u Skałkowskiego jakaś facetka!

Zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył twarz Kożuchowskiej oświeconą światłem lampy.

— Wcale przystojna, dalibóg!—mówił ciszej. Blondyneczka z obciętemi włosami, młoda zupełnie, a jakie ma duże oczy!... Rączka zgrabna.... ależ mizerna!

Ziemiński lekko odsunął Ciemniewskiego, i sam przyłożył oko do dziurki.

— I jakoś ponura—wyszeptał.

Obaj przestali się uczyć i zaczęli się przysłuchiwać, a właściwie--podsłuchiwali rozmowę.

Robert z Kożuchowską pili herbatę, zajadając bułki, zwane: *sajkami*.

— Wyjeżdżałaś w lecie z Pitra?

— Nie, byłam przez lato za nauczycielkę.

— A któż się zgodził wziąć takie czupiradło za kierowniczkę swoich dzieci?

— Protasjewa dała mnie jako zastępczynię na dwa miesiące.

— Powiedz mi, jak mogłaś podjąć się uczyć, kiedy masz w głowie chaos i...

— Zapomniałeś, że z chaosu powstał wszechświat przerwała.—Jesteś zawsze impertynent: ale ci to z góry przebaczyłam i przebaczam, boś niedorostek, ślepy i niedowarzony!

— Przepraszam, ale impertynentem nie byłem i nie jestem; przeciwnie...

— Sam mówisz,—przerwała znów—że nie szanujesz kobiet.

— Jak jakie?... Szanuję staruszki; młodych zaś nie, bo te nie lubią mężczyzn, którzy je szanują.

— Jesteś cynik niepoprawny!

— Czy dla tego przyszłaś, żeby mi wymyślać? Dziwny cel odwiedzin! Mówię ci prawdę; od przeszłego roku uważam cię za młodszego kolegę, mam nawet dla ciebie pewną sympatję...

— Dziękuję!—przerwała.

— Niema za co!... ale widząc, że złą drogą idziesz, zwracałem i zwracam twoją uwagę...

— Złą drogą idę!... Czyż w postępowaniu mojem widzisz co, przynoszącego ujmę kobiecie?

— Po pierwsze: nie widzę w tobie kobiety...

— O! bo wy rozumiecie kobietę z książką do nabożeństwa, ze spuszczonemi oczyma, umiejącą

tylko czytać, pisać, i przeliczyć bieliznę do prania!...

— Daj pokój!.. kwestję tę wyczerpaliśmy już w roku zeszłym; nie mamy potrzeby wracać do niej!

— Wiadomo, że wy chcielibyście, abyśmy były zawsze biblijnemi niewiastami: niewolnicami swoich mężów! Dla was emancypacja kobiet jest wstrętną, bo prowadzi do ich równouprawnienia, którego wy nie przyznajecie!

— Czcza gadanina!... Emancypacja! równouprawnienie!.... Pleciesz, nic gruntownie nie rozumiejąc!... Źle zrobiłaś, opuszczając dom rodzicielski!

— Więc cóż? miałam siedzieć w Dynaburgu u ojca *czynownika* i czekać, aż mnie jaki *pisczyk* pojmie za małżonkę, i uczęstuje pół tuzinem dzieci, których musiałabym być mamką, niańką i sługą; albo nareszcie oczekiwała mnie druga alternatywa: zostać starą panną i klepać pod piecem pacierze!.. o suchym chlebie: boć mój stary nic mi nie zostawi!

— A tu, co cię czeka?

— Tu—mówiła z zapałem—zdobędę naukę, wiedzę, wykształcę swój umysł, stanę się samodzielną: będę miała w przyszłości byt zapewniony!

— Wszystko to byłoby cudowne, gdyby nie było przesadzone! Jesteś już rok; do tego czasu

zdołałaś: ostrzydz włosy, kupić szafirowe okulary, nauczyłaś się palić papierosy, i przeczytałaś kilkanaście książek, które, zamiast dopełnić wiadomości, jakie dało ci ukończenie gimnazjum, zrobiły ci tylko zamęt w głowie. Pochłaniałaś dzieła naukowe bez najmniejszego porządku, ładu i systematu; bez wstępnych nareszcie, a niezbędnych wiadomości. Słuchałaś rad anomalicznego mózgu niedorostków!... nie słuchasz i nie chcesz słuchać dobrej rady—rób, co ci się żywnie podoba: przyjdzie czas, że pożałujesz!...

— Nigdy, niczego żałować nie będę! Dziś, po roku, wiem to, czego dawniej nie wiedziałam!..

— Że naprzykład: — przerwał Robert — mężczyzni robią konkurencję bocianom...

— Głupiś; nie przerywaj!... Jak na rok—dość już umiem, a za lat kilka będę lekarzem.

— Albo metresą!... bo, choć ja tego nie przyznaję, mówią, żeś nieszpetna!

Kożuchowska wstała.

— Przechodzisz za granice przyzwoitości i— obrażasz mnie!

— Mylisz się!... przedstawiam ci tylko nagą prawdę: nie wystarczy ci sił, energji, ani środków!... A zresztą—źle zaczęłaś. Jeśliś się chciała uczyć, mogłaś to robić i w domu; a dopiero przygotowawszy się przyjechać, zdać egzamin i wstą-

pić na kursa. Dziś, zanim do tego dojdziesz, albo upadniesz, albo cię djabli wezmą; bo żyjąc tak, jak ty żyjesz, nie tylko że nie podtrzymujesz organizmu, ale przeciwnie—wyniszczasz go!

— Teraz jest mi lepiej; oprócz dziesięciu rubli miesięcznie, które mi ojciec przysyła, mam trzydzieści, które zarobiłam przez wakacje: będę więc sobie dokładała po pięć co miesiąc, a później—jakoś tam pójdzie.

— Oj, pójdzie!... szpital, lub prosty. .

— Milcz!—przerwała ze złością.— Złą drogę wybrałeś do przekonywania mnie; zresztą... nie przekonasz: widzę tylko, że, mimo twej inteligencji, jesteś w kierunku emancypacji kobiet zacofany i że, barwiąc wszystko na czarno, dochodzisz do kretynizmu! ..

— Obskurantyzmu, reumatyzmu, artrytyzmu, spazmatyzmu, spirytyzmu, somnambulizmu i tym podobnych: *yzmów!* — wołał wesoło stojący na progu Fasolka, i zaśpiewał na nutę z „Fausta“ recitatiwem:

— O witaj mi! przyszła gwiazdo chirurgji...

Podał rękę Kożuchowskiej i dodał:

— Ale gwiazda coś mizerna, kiepsko wygląda?

— Kto jada raz na tydzień koninę, a sześć razy żyje chlebem i herbatą: ten za pół roku

wcale nie będzie wyglądał!—przerwał ze złością Robert.

Kożuchowska spojrzała na niego z uśmiechem, poczem odwróciła się i podając rękę Fasolce rzekła:

— Jak się masz, Fasolka?

— Wcale się nie mam; mnie mają w posiadaniu.... wierzy—ciele: *croit-veau*, jakby powiedział Dziubandowski! Ale, moja gwiazdo, nalej-no herbaty i powiedz, czem obecnie zajęta twoja główka?

— W tej chwili?... tem, że mi Skałkowski naurągał!

— A ty bezwstydniku jakiś!—a gdzie respekt dla niewiast?

To mówiąc otworzył pianino, usiadł i, zaakompanjowawszy, śpiewał:

— Chałupeczka niska!
Ojciec matkę ściska;
I my tak będziemy,
Jak się pobierzemy!...

Tu zagrał raźną przegrywką, i śpiewał dalej:

— La chaumière est basse,
Papa maman embrasse;
Et nous nous embrasserons,
Quand nous nous marierons!...

— Pysznie! brawo! — zaśmiała się Kożuchowska, klaszcząc w dłonie; a zapaliwszy papierosa, dodała, zwracając się do Roberta: — Nieporównany humor!

— Kto ma tak czyste sumienie, ma i wesołość: bierzcie ze mnie przykład!—odrzekł Fasolka; i śpiewał dalej:

— Bo gdy życie chcesz panienki
W słodki zmie—e—nić raj:
Nie majątku, nie sukienki,
Męża ty-y-y-y-ylko daj!...

— Ogromny specjał: mąż!—zawołała Kożuchowska, wypuszczając kłąb dymu.

— Ty jesteś zapewne zwolenniczką wolnej miłości: prawda?—pytał Robert.

— Właściwie żadnej miłości nie znam jeszcze; prócz matki, ojca, starej ciotki i brata, nie kochałam nikogo. Lubię kilka osób, między niemi ciebie i Fasolkę, ale w zasadzie: jestem za wolną miłością!

— I ja *tysz!*—mówił śmiejąc się Robert.—Ze strony mężczyzn, to dobre; ale kobietom, właściwie, wara! Albo się jest uczciwą kobietą, albo...

— Tak?... Więc wam wszystko wolno, a nam nic!... Dla czego?

— Dla bardzo prostej przyczyny: my nie zostajemy matkami!

— Widocznie nie rozumiemy się: ty masz na myśli mężatki! Rzeczywiście: one, jeśli mają godnych mężów, nie powinny się bałamucić i kark mężowski cudzemi dziećmi obarczać; ale niezamężnym przysługuje prawo iść za popędem serca! Niejedna może nieślubna żona jest uczciwszą od ślubnej.

— Nie przeczę, że to być może i że nawet bywa; ale to jednak nie zgadza się z ogólnym ustrojem społeczeństwa, z zasadami ucywilizowanych narodów, z współczesnemi wreszcie pojęciami o uczciwości.

— To też ten głupi ustrój społeczny, i idjotyczne zasady, nazywane przez was cywilizacją, należy przerobić i zmienić!

— I ty tę pracę na siebie przyjęłaś?... Ha! ha! ha!...

Robert zbliżył się do Fasolki, wsunął mu coś w rękę i szepnął coś na ucho; Fasolka wyszedł.

— Jeszcze nie,—mówiła spokojnie Kożuchowska — dopiero zaczynam się do tego przygotowywać.

— Winszuję ci! Przepowiednia moja ziści się bardzo prędko, jeżeli się już nie ziściła: sprobujesz „wolnej miłości“, a później... wpadniesz w błoto i gorzko pożałujesz!

— Dziwna rzecz, że ty wygłaszasz takie teorje, ty, który nie jedną już popchnąłeś w błoto: wiemy to dobrze!

— Źle jesteś poinformowaną! Rozumiem, co nazywasz popchnięciem w błoto; ale mylisz się... A jeżeli było tak kiedy, to z winy kobiety: ja żadnej nie kochałem i nie brałem na obietnice żeniaczki, a która oddała mi się—sama sobie winna!

Kożuchowska spojrzała w piękne oczy Roberta.

— I ty możesz to mówić tak na zimno?

— A cóż? chciałaś może, żebym przy opowiadaniu wylał samowar ukropu!

Fasolka wrócił; postawił na stole puszkę sardynek, kawałek salami i kawałek sera szwajcarskiego. Służąca podała talerze i zabrała samowar. Robert wyjął z szafki flaszkę z wódką i butelkę, w której było trochę portwajnu.

— Fasolka! idź do kuchni, otwórz sardynki, boś specjalista!

Fasolka wybiegł i niebawem powrócił; ale w otwartej puszce wierzchnie sardynki były na maść poszarpane.

— Zgrabnieś otworzył, ty niedołęgo! — łajał Robert.

— A, a, a?...—zdziwił się Fasolka i szepnął coś do ucha Kożuchowskiej.

— Cynik jesteś!—odrzekła.

— To dla mnie—odpowiedział z potulną miną,— a cóż dla biednych dziatek?

Robert przygotował zakąskę; służąca przyniosła samowar.

— Kożuchowska! zaparz-no herbatę — zawołał Robert.

Zasiedli do stołu; Robert wypił wódki, po nim Fasolka.

— A może i ty się napijesz,—zapytał Robert Kożuchowskiej—może już nauczyłaś się i tego?

— Nie piję wódki.

Zajadali smacznie, popijając herbatą; Robert nalał trzy kieliszki wina.

— Za twoje zdrowie!—mówił, trącając kieliszek—żebyś zmądrzała, rzuciła głupie chimery i wzięła się do rozsądnej pracy.

Kożuchowska nie dotknęła kieliszka.

— Nie będę pić—mówiła—twoje życzenia zacofane i idjotyczne!

— Moje życzenia uczciwe i sumienne! Za wychowanie twoje matka ciężki zda rachunek: bo nie umiała wpoić w ciebie takich zasad, któreby się nie dały zachwiać przez byle jakiego niedorostka!... Ale, co tam o tem... skończone!... A szkoda cię, dalibóg szkoda!... No, wypij kieliszek wina, i nie bądź taka nachmurzona!

Kożuchowska podniosła oczy na Roberta; wzięła w rękę kieliszek i widocznie chciała coś przemówić, ale po namyśle zaniechała: wypiła więc tylko wino i kieliszek postawiła. Fasolka nalał jej drugi.

— A która godzina? —spytała.

Robert spojrzał na zegarek.

— Dziesiąta dochodzi.

— No, to trzeba do domu. Fasolka! może mnie kawałek odprowadzisz.

— Niema głupich!... Piękny mi interes dymać na Wyborską; a zresztą możesz iść sama—nic ci się nie stanie!

— Ja już nie mieszkam na Wyborskiej, przeprowadziłam się na Litiejną—drugi dom przed sądem Okręgowym. Skałkowski, może mnie kiedy odwiedzisz?

— Wątpię.

— Dla czego?

— A co ja będę u ciebie robić?... sprzeczać się, albo słuchać twoich andronów?... Wolę przyjemniej, lub korzystniej czas przepędzić!

— Jesteś bardzo otwarty.

— Uważam to za przymiot; no, wypij na drogę!

Kożuchowska wypiła, ubrała się i podała rękę na pożegnanie.

— Bądź zdrowa!—mówił Robert—a jak zasadę wolnej miłości wcielisz w życie, nie zapomnij zaprosić na chrzciny, rozumie się, jeśli uznajesz ten sakrament.

— Bądź zdrów, przedpotopowy okazie!—rzuciła.—Fasolka, idziesz?

— I owszem... zostaję.

— No, to żegnaj!—odrzekła i wyszła.

— Szkoda dziewczyny,—mówił po jej wyjściu Robert, zaciągając się papierosem — przepadnie niezadługo!

— Da sobie radę: cięta!... A zresztą: jak sobie pościele, tak się wyśpi—odrzekł Fasolka z pełną gębą sera.

— Nie możesz jej, widzę, darować, że nie przyjęła twych afektów, i że dostałeś nosa!

— Dużo sobie z niej robię!... Ale mi się widzi, że ona przyszła do ciebie nie bez ale!... Ty bo dziwne masz szczęście!...

— Dziękuję!...—przerwał Robert.—Kożuchowska robi na mnie wrażenie studenta; obcując z nią, wcale nie widzę przed sobą kobiety!..

— Zdaje ci się!... jak ci gitarę zacznie zawracać—polecisz!...

— Alboż mało innych?

— Jedno drugiemu nie przeszkadza!

— I to racja!... A jest tam co wina w butelce?

— Ani kropelki!

— No, to idź spać!... ja mam listy pisać. Ale! ale!... w sobotę idziemy z Frankiem do pani Teresy: może i ty pójdziesz?

— Z przyjemnością, do kwadratu!...

— Dobranoc!

— Dobranoc!

IV.

Na Grochowej ulicy, prawie na rogu placu Admiralicji, stała wspaniała trzypiętrowa kamienica o wielkiej, misternej, żelaznej bramie; z obu stron bramy występowały na chodnik podjazdy, z daszkami na żelaznych filarkach. Podwójne drzwi mahoniowe oszklone, z błyszczącemi się mosiężnemi antabami i ukośnymi drutami, chroniącymi od wybicia szyby, prowadziły do sieni, gdzie wygalonowani szwajcarowie bezustannie dyżurowali. Według wymagań ówczesnej mody, *taki* szwajcar musiał być ekswojskowym, mieć wzrost wysoki, być pokaźnym a poważnym, i posiadać *minimum*: jeden order żołnierski ś-go Jerzego i dwa medale. W domu, o którym mowa,

obaj szwajcarowie byli bez zarzutu: każdy z nich miał po dwa krzyże ś-go Jerzego i po cztery medale, z których jeden srebrny na szyi. W sieni stał piec, stół z kałamarzem, piórem i papierem, oraz wisiało lustro i wieszadła. Przeszedłszy kilka kroków wchodziło się na szerokie kamienne schody, przykryte szarem suknem z ponsowemi obwódkami. Na suknie leżał wązki dywan, ale ozdoba ta szła tylko do pierwszego piętra; dalej już dywan znikał, a zostawało samo sukno; po drugiem piętrze zaś i to istnieć przestawało, a na trzecie wchodziło się po nagich schodach.

Na pierwszem piętrze opisanego domu, w eleganckim apartamencie, mieszkała pani Teresa Drzewicka, którą widzieliśmy rozmawiającą z Fasolką i z Dziubandowskim przed kościołem ś-go Stanisława. Mąż pani Teresy, pan Piotr Drzewicki, był inżynjerem i zajmował wysokie stanowisko w Głównem Towarzystwie dróg żelaznych. Pochodził on z Warszawy; ale po skończeniu korpusu inżynjerów komunikacji, jako inżynjer wybitnych zdolności, był przez ministerjum do różnych robót wyznaczanym: zaczem mieszkał stale w Petersburgu. Byłto człowiek czterdziestoszescioletni, poważny bardzo i cieszący się wielkiem uznaniem, zarówno między inżynjerami, jak i

w ministerjum. Oprócz bardzo przyzwoitego wynagrodzenia, które otrzymywał, posiadał już dość znaczny majątek. Przed piętnastu laty ożenił się z panną Teresą Bottowt-Dołęgą, urodzoną i wychowaną w Petersburgu. Prócz miłej bardzo powierzchowności i nader starannego wychowania, wniosła ona mężowi znaczny posag i otworzyła szerokie koło stosunków, gdyż dziadek jej przyjechał do Petersburga jeszcze z królem Stanisławem Poniatowskim, a ojciec wysokie zajmował stanowisko. Wszystko to, rozumie się, powymierało, i został tylko jedyny brat pani, który stale przebywał zagranicą, odwiedzając Petersburg raz na lat kilka.

Państwo Drzewiccy trzymali piękne co się nazywa konie, w ogóle jednak żyli dość skromnie; mieli wprawdzie mnóstwo znajomości, ale ceremonjalnych, stosunki z któremi ograniczały się do dziennych wizyt i do jednego lub dwóch paradnych przyjęć na rok;—zresztą wystarczało im małe kółko bliższych znajomych, członkowie którego bywali w ich domu na obiadach, lub na sobotnich herbatach. Pan Drzewicki miał bardzo wiele zajęcia; często wieczorami bywały sesje i obrady, zwłaszcza w owym czasie, kiedy zaczęła się gorączka kolejowa; wieczory wolne od zajęć przepędzał w klubie lub u znajomych, co soboty

zaś zawsze bywał w domu, oczekując i bawiąc gości. Pani domu była nader uprzejmą; lubiła też grywać w karty, i szczególniej gra zwana „muszką“ była przez nią namiętnie uprawianą, tak, że miała zawsze partję u siebie lub znajomych,—czasem nawet grywała w klubie, ale rzadko, ponieważ w salach do kart wiele było dymu, co jej na oczy szkodziło. Państwo Drzewiccy mieli dwóch synów, obu w gimnazjum, trzy córki: dziesięcioletnią Manię, sześcioletnią Lucię i trzyletnią Felunię. Do rodziny należała jeszcze ciotka gospodarza, pani Kuczorowska, osiemdziesięcioletnia staruszka, jedyna krewna pana Drzewickiego, siostra jego matki.

Ponieważ pan Piotr został sierotą, będąc jeszcze małym bardzo chłopcem, przeto pani Kuczorowska, nie mająca wcale dzieci, wychowała go, jak własnego syna, i tak go pokochała, że po śmierci męża przyjechała do Piotrusia, do Petersburga, i przy nim od lat dwudziestu mieszkała. Staruszka, mimo sędziwego wieku, była jeszcze silną i dość ruchliwą; pamięć dopisywała jej doskonale, i w ogóle wszystko ją obchodziło. Była warszawianką z krwi i kości, i „Kurjerka“, którego dla niej specjalnie prenumerowano, odczytywała codziennie: od kalendarza, aż do ostatniego ogłoszenia. Babusia, tak ją powszechnie nazywano,

miała swój ulubiony wielki fotel w jadalnym pokoju, pod oknem; w fotelu tym przepędzała większą część dnia, czytając „Kurjera“, drzemiąc, lub szepcąc koronkę.

Rodzina Drzewickich kończyła obiad: lokaj obnosił sery. Babusia ukroiła ogromny kawał „Roquefort'a“, i położyła na talerzyk. Pani Teresa spostrzegła to i rzekła:

— Babusiu! ależ to ciężki ser, jak można!... niech Babusia nie je!...

— Tak? — zawołała Babusia — żałujesz mi!... Za to, żem Piotrusia wyniańczyła... oni mi żałują kawałeczka marnego sera!... Niech wam Bóg nie pamięta mojej krzywdy!.

To mówiąc rzuciła nożyk, który trzymała, wstała i poszła na swój fotel. Pani Teresa podbiegła i zaczęła całować ją w rękę.

— Babusiu!—mówiła—nie gniewaj się!... Toż nam twoje zdrowie drogie: taki ser zaszkodziłby ci niezawodnie!

— Ja nie małe dziecko, nie potrzebuję strofowań!... Mój Boże, czego doczekałam!... Pawle! a kawę podaj mi tu do okna!

Obiad się skończył; pan Piotr zapalił cygaro i popijał likier, czytając gazetę, — pani Teresa przerzucała jakiś dziennik, a Babusi podano Kurjera. Zaczęła go czytać od nekrologów.

— Patrzcie państwo! — zawołała, poprawiając zsuwające się okulary — Bolewski umarł!... Piotrusiu, słyszysz? pan Michał Bolewski umarł!... Mój Boże! taki młody—prawie smarkacz!

— Ależ Babusiu! jaki tam smarkacz? przecież on o szesnaście lat starszy ode mnie—odrzekł pan Piotr.

— No, to cóż z tego? a ty nie smarkacz!— Rzadkiej poczciwości był nieboszczyk pan Michał— Panie, świeć nad jego duszą!... jak on zawsze o biednych pamiętał, jak im dopomagał?... ale był szelma nie lada!... pamiętam ja, w sprawie Wysockiej, wziął pięćset złotych honorarjum i jeszcze za dorożki policzył! — Wieczny odpoczynek...

— Pietruniu, Pietruniu! — zawołała pani Teresa — patrzaj też! u Feluni nosek nieczysty, utrzyjże prędzej!

Pan Piotr wyjął flegmatycznie chustkę, podszedł i obtarł nosek najmłodszej latorośli swego rodu.

— A wiecie, że to wyborne!.... Słyszeliście państwo—mówiła Babusia — a toż dopiero!... Oto w Kurjerku stoi, że do szpitala przywieźli ze wsi żydówkę, co ją wąż ssie!... Piotrusiu! jak myślisz: czy taka kobieta, co ją wąż ssie, długo może pożyć?

— Ależ, Babusiu! -- szepnęła pani Teresa— jakże można przy dzieciach o takich rzeczach...

Pietruniu! dodała głośno--Pietruniu! czy nie widzisz? u Luci pończoszka opadła! popraw, a to dziecko chodzi, jak żydziątko!

Pan Piotr wstał, podciągnął opadłą pończoszkę, poprawił podwiązkę, pocałował Lucię w głowę i wyszedł na palcach do swego gabinetu.

— Tereniu! — zawołała Babusia, przerywając czytanie—toć to dziś sobota! zapomniałam, będą goście... A co dasz na kolację?

— Będzie ryba w majonezie, jarząbki z sałatą i kompotem, i *soufflée* z czekolady.

— Ja nie lubię z czekulady... każ lepiej zrobić budyń, taki, jak wiesz, z sułtańskimi rozynkami!

— Ależ, Babusiu, to nie dla ciebie, to takie ciężkie!...

— Ciężkie?... Mój Boże! już mi nawet, na stare lata, kawałka ciasta żałują!... taka to wdzięczność ludzka!... Czas wynosić się na lepszy świat, a nie być zawalidrogą!...

— Co też Babuńcia mówi; tylko przykrość sprawia!

— Tobie przykro, co?... a mnie, której żałujecie kawałka ciasta, nie przykro?

Widocznie podobne rozmowy były zwyczajne, ponieważ pani Teresa nic już więcej nie odpowiedziała i wyszła z pokoju. Babusia poprawiła

lampę, stojącą obok na stoliku, nasunęła okulary i dalej czytała Kurjera. Dzieci podeszły po kolei, pocałowały ją w rękę, ona zaś każde pocałowała w czoło, robiąc znak krzyża świętego i dalej czytała; nie doszła jednak do połowy i już zadrzemała: głowa opadła na oparcie fotela, ręce obwisły i Kurjer upadł na podłogę.

Pan Piotr również zasnął, na wielkiej otomanie w swoim gabinecie. Pani Teresa spodziewała się już niezadługo gości, ponieważ obiad skończył się po siódmej. Zapalono światła; pani usiadła w salonie i, czytając książkę, oczekiwała.

Wkrótce wbiegła do sali mała, przystojna blondynka, nadzwyczaj ruchliwa i bezustannie nerwowo mrugająca oczyma.

— A, Polinka: jak się masz?—witała gospodyni wstając.

Panie ucałowały się serdecznie.

— Dobry wieczór!—mówiła prędko, nazwana Polinką—jak się masz?... a dzieciaki, pan Piotr, Babusia—zdrowi?... *Nie powierzysz*, jak mam zajętą głowę; ot, pół godziny temu *nazad* dopiero wspomniałam, że to dziś s*u*bota, zerwałam się i pobiegłam do ciebie: Ale wyobraź sobie, na Wielkiej Morskiej, patrzę, Dziubandowski spaceruje przed wrotami; co on tu robi? myślę... On mnie nie poznał, bo ciemno: zatrzymałam się... Aż tu z wrót wy-

chodzi jakaś modystka, pułkownik ją wita i asystuje, i poszli razem w stronę Wozniesienskiego.

— Polinko, ty *musi być* omyliłaś się!... Stary Dziubandowski, toż to niemożebne!...

— Słowo ci daję! widziałam go, jak ciebie widzę; ktoby to pomyślał, taki staruszek!

— Bałamut! jak go zobaczę—nie daruję: będę prześladować. Ale widzę, jakąś śliczną bluzkę masz nową!

— A tak! teraz najmodniejsze takie bluzki: kołnierz i mankiety batystowe męzkie, i mała krawatka, stanowią nierozłączną całość; *Favard*'owa właśnie przywiozła nowiusieńkie modele na sezon... ale, ale! i pasek z krokodylej skóry!... At zapomniałam! wiesz: mąż pojechał w *komenderówkę dni na pięć* do Moskwy.

Pani Teresa zaczęła oglądać jedwabną bluzkę, wyszytą plecionkami. Korzystając z tego czasu poznajmy bliżej przybyłą Paulinę Miazgową, która była koleżanką pani Teresy ze «Smolnego Instytutu». Panny żyły w wielkiej przyjaźni, a przyjaźń ta łączyła je i po ukończeniu instytutu; pani Teresa, o dwa lata starsza, wcześniej wyszła za mąż, Polinka zaś cokolwiek później, a będąc za wysokim urzędnikiem z ministerjum wojny, żyła bardzo wystawnie i czuła się szczęśliwą, ale dzieci nie miała.

— Radzę tobie, Tereniu, pospieszyć i iść do *Favard*'owej zobaczyć modele i nowości, — naprzykład: jesienne okrycie z wyciskanego pluszu, na puchu, ciemno wiśniowe, oblamowane sobolem z wiszącymi ogonami, podszewka atłasowa *vieil-or.* A jakie leciutkie i ciepłe!... Albo suknia aksamitna, koloru *prune*, fason *princesse*, z trenem; wyobraź sobie gładziusienieczka, z jednej strony trochę podpięta i uchwycona klamrą *oxydée*, a mimo to imponująca — pieścidełko! Właśnie podług tego modelu *zakazałam* dla siebie. Może się założymy, żeś nic więcej *noble* nie widziała!

Mówiąc to Polinka wyciągnęła rękę do zakładu; ponieważ jednak ręka jej, względnie całej figury, była trochę przydużą, więc jednocześnie drugą wyciągnęła z pośpiechem ów batystowy mankiet męzkiego fasonu, i nim więcej niż trzecią część ręki zakryła. Ruch ten, przy wyciąganiu ręki do zakładu systematycznie powtarzany, był dość często i przy lada sposobności w użyciu, i należał do jej przyzwyczajeń: nie można się jednak dziwić, że chciała mieć mniejszą rączkę!...

— A z kapeluszy, *takoż* przywiozła dużo nowości?—zapytała pani Teresa.

— Ach, Boże! całą furę, aż *nadojadło* oglądać... ale wszystko więcej w kolorach ciemnych. Mnie się wielce podobał jeden ciemno-zielony... wiesz, takiego

zgniłego koloru, ubrany kwiatami *nature morte* i z takim dżetowym donderlansem na sprężynie, co się rusza: osobliwość, co takiego! Może chcesz, zajadę jutro rano *za tobą* i pojedziemy razem.

— Z przyjemnością; zjemy razem śniadanie, a potem *odprawimy się za pokupkami!*

Weszła Babusia.

Polinka wstała i, podszedłszy do staruszki, pocałowała ją w rękę: Babusia, witając się, serdecznie Polinkę ucałowała: poczem panie zasiadły przy stole.

— A cóż tam słychać u kochanej pani?.. mężulek?... a dla czego nie przyszedł?

— Nie ma go, jest w *komenderówce.*

— A dalekoż to ta *Homendrówka?*

— On pojechał do Moskwy, w interesie skarbowym—objaśniła pani Teresa.

— A! to rozumiem... A cóż u was słychać?—pytała Babusia.

— Wczoraj byłam w Michajłowskim teatrze, *szedł „le roman d'un jeune homme pauvre"*, spodziewałam się was spotkać!... Dla czego nie byliście?

— U Pietrunia wczoraj *było zasiadanie*; bardzo żałowałam: sztuki nie widziałam, ale romans czytałem.

— *Jeszczeby* romansu nie czytała! Ale nie *powierzysz*, Delaporte grała cudownie, a Worms

„przeszedł samego siebie“. Ta scena w ruinach, kiedy ich pastuszek zamknął, była tak świetnie odegraną, że płakałam... a jaką cudowną amazonkę miała Delaporte: kolor ciemny, *capucin*, i z malutkim ogonkiem. Widziałam też w teatrze tego pięknego studenta — Skałkowskiego; w antrakcie poszedł do loży, i stara Wyrwiczowa pożerała go oczyma: aż nieprzyzwoicie!

— Jaka ona stara—przerwała pani Teresa,— toż ona *na* dwa lata tylko starsza od nas.

— Ot tobie masz!... Ależ, Tereniu, żartujesz, toż jej Julcia ma szesnastkę skończoną!

— A mój Adaś?... skończył czternaście.

— Może się założymy, że ona więcej jak *na* cztery lata starsza od nas?—odrzekła Polinka, wystawiając swoim zwyczajem rękę w mankiecie ukrytą.

Rozmowę przerwało wejście dwóch mężczyzn. Pierwszy wszedł brunet, łysy, niskiego wzrostu; zbliżył się do pani domu i z pewną galanterją pocałował ją w rękę.

— Witam radcę!—rzekła pani.

— Służka paniuleczki—odrzekł radca i witał Babunię i Miazgową.

Do pani Teresy tymczasem zbliżył się gość drugi. Był to jegomość wysoki i siwy; włosy na głowie i brodzie miał bardzo proste i rzadkie, a

długie jak włókna lnu lub konopi. Twarz ponura, cera ceglasta i oczy uzbrojone w okulary z tak mocno wypukłemi szkłami, iż zdawało się, że to soczewki latarni magicznej są w nich oprawione. Do tego gość był tak chudy, iż można było sądzić, że to szkielet powleczony skórą; czarne ubranie wisiało na nim, jak na kołku,— szczególnie zaś wrażenie robiło ubranie dolne: zdawało się bowiem, że w niem są ukryte dwa pogrzebacze.

Jegomość zrobił przyjemną minę, przyczem pokazał kilka zębów koloru „hawanna“, i witał gospodynię.

— Polinko! czy znasz profesora?

— Ależ znam, znam!—i mówiąc to, podała mu rękę.

Gospodarz, obudzony przez lokaja, wszedł do sali i przywitał gości.

Profesor z radcą usiedli w kąciku na kozetce i zaczęli pogawędkę; pan domu stojący rozmawiał z Polinką.

W sąsiednim pokoju coś stuknęło, i rozległ się głośny płacz.

— Pietruniu, biegnij!—zawołała pani Teresa.— Słyszysz? pewnie Lucia upadła i nabiła guza. Ach, ta panna Berta! nic *za dziećmi* nie patrzy; a powiadają, że niemki akuratne!

— Ja bo mam predylekcję do francuzek— odrzekła Polinka.

Pan Piotr wyszedł i wkrótce przyniósł na rękach płaczącą Lucię, którą, jak mógł, utulał.

— A co?—pytała gospodyni—*nie bój się*, nabiła guza.

— Nic, nic! tylko zbiła kolanko.

— No, to przyłóż jej zimnej wody! Ach, ty Pietruniu! jaki ty nie sprytny: zamiast zaraz obłożyć zimną wodą, on ją tu przynosi!

Pan Piotr wyniósł Lucię i zawiązał jej kolanko chustką, zmoczoną w zimnej wodzie. Przybiegła bona, panna Berta, która w kuchni załatwiała jakiś interes; pan Piotr dał Luci parę cukierków, utulił ją i oddał bonie, poczem wrócił do gości.

Do salonu wchodzili właśnie: Robert, Fasolka i Franek. Pani Polina poprawiła krawacik i nasunęła mankiety na rączki.

Młodzież przywitała się z paniami, i gospodarz podprowadził ich do kozetki, mówiąc:

— Pozwolą panowie przedstawić sobie: panowie — Skałkowski, Broniewski, Fasolewicz — profesor Duński—radca Prokopowicz!

Panowie podali sobie wzajemnie ręce, i Duński prowadził dalej zaczętą rozmowę:

— To jeszcze wielka kwestja, szanowny radco, czy i która Semiramis właściwie egzystowała!... Jeśli przyjmiemy za podstawę podanie staroperskie, to jakoby egzystencja jej określa się rokiem 1900 lub 2000 przed Chrystusem,—i była ona żoną Menonesa, wodza króla Ninusa, a później została żoną tegoż Ninusa, a matką Niniasa,—i założyła Babylon. Jeśli zaś przyjąć za podstawę Herodota, to na 800 lat przed Chrystusem egzystowała Semiramis. I w samej rzeczy, potwierdza to pismo klinowe z owej epoki, które wskazuje jako żonę króla Belochusa IV-go Samuramat, ale szczegółów nie daje. Trzeba szanownemu radcy wiedzieć, że pismo klinowe assyryjskie było urzędowem w Babylonie i Niniwie, i Hinck, Rawlinson, a szczególniej Ménant i Oppert odczytali wszystko tak jak my z panem odczytalibyśmy dzisiejszą gazetę!

Fasołka słuchał i uśmiechał się.

— Przepraszam profesora, — zapytał z poważną miną—czy to prawda, że nazwa Babilonu pochodzi z polskiego od „babie łono?„

Ależ, cóż znowu!... W tę porę, kiedy egzystował Babylon, o słowiańskich językach nie było nawet mowy! Babylon, albo Wawylon, zależnie od tego, jak przyjmować wymowę początkowej głoski, czy podług Erazma Roterdamczyka jako

beta, czy też podług Reuchlina jako *wita*, pochodzi od staro-hebrajskiego Babel i założenie miasta przypisują bożkowi Baalowi...

Robert i Franek odeszli od ciekawej rozmowy, i zbliżyli się do dam.

Robert zwrócił się do Babusi:

— Przywiozłem dla pani ukłony z Warszawy, od pana Zdzitowieckiego.

— Dziękuję, bardzo dziękuję!... A wielki to nasz przyjaciel, pan Bogusław!... a jaki to mądry człowiek, prawi, panie, jak z katedry. A jakie to on rozumne artykuły ekonomiczne pisywał, mądry człowiek, mądry... ale głupi!... bo proszę państwa, jak to można, nie znając dobrze człowieka, oddać jakiemuś obieżyświatowi cały swój fundusz, do spółki niby na jakieś dostawy!... Rozumie się, że stracił co do grosza!

— Możebyśmy zaczęli „muszkę“? Jak kto nadejdzie, to przyłączy się; a panowie do wista— proponowała pani Teresa.

Towarzystwo przeszło do dużego pokoju, w którym stały stoliki do kart. Gospodarz, Profesor, Radca i Fasolka siedli do wista z atutem.

— Ale,—mówił Profesor do Fasolki—ja mam honor pierwszy raz grać z panem; może pan nie zechcesz, bo my gramy bardzo tanio, po kopiejeczce bez zera.

— I owszem, i owszem!—odpowiedział Fasolka—ja drożej nie grywam.

Panie, z Robertem i Franciszkiem, usiadły „do muszki“. Przy stołach do kart postawiono, na dwu przekątnich rogach, po małym okrągłym stoliczku, i lokaj porozstawiał na nich herbatę.

Przy wiście gra szła bardzo cicho i poważnie, przy „muszce“ zaś gwarno i wesoło. Robert i Miazgowa ciągle przegrywali; z gości nikt więcej nie przyszedł. Koło jedenastej pani domu zaproponowała:

— Panie Robercie! ciągle przegrywasz, odegraj się na fortepjanie! Partja skończona.

Obliczono marki; Robert zapłacił przeszło pięć rubli.

— Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości!—żartowała Miazgowa.

— Nie probowałem—odrzekł Robert.

— Wierzę!—odpowiedziała Polinka, i uśmiechnęła się.

— A ja nie!—odezwał się od drugiego stolika Fasolka.—Franusiu! zastąp mnie z łaski swojej, bo mnie ząb fatalnie boli!—i skrzywił się niemiłosiernie.

Franek podszedł do stolika i usiadł na miejsce Fasolki, który przeszedłszy do sali przyłączył się do pań i Roberta.

— Poczciwy Franuś zastąpił mnie: niech mu to niebo wynadgrodzi!... Ależ to prawdziwy *satisfactions walzer* — grać w takiej partji; zdawało mi się, że gram z jakimś bożkiem staro-perskim, i że skamienieję w towarzystwie tego profesora!... Roberto!—zagrajmy co na cztery ręce.

— Dobrze, ale co?

— Rżnijmy: „Srokę złodzieja!“

— Rozumiem.

Siedli do fortepjanu i zagrali bardzo poprawnie uwerturę z „Djamentów korony“, jedyną rzecz poważną, którą na cztery ręce umieli.

— Brawo!... *bravissimo!* — wołały panie. — A teraz zaśpiewajcie.

Fasolka wstał, a Robert zaczął śpiewać jakąś piosenkę. Z drugiego pokoju weszła zaspana Babusia.

— A, to pan tak pięknie śpiewa! Bardzo przyjemny głos; przypomina nawet Żylińskiego, tylko tamten śpiewał tenorem: śliczny miał głos!... Tereniu! kolacja gotowa!

— Musimy poczekać chwilkę, aż panowie skończą robra—odrzekła gospodyni.

— Może się założymy — mówiła z właściwym sobie ruchem Miazgowa do Roberta, — żem widziała pana wczoraj w teatrze; zawzięcie pan emablowałeś Wyrwiczową!

— Jeśli pani chce: zawzięcie; ale krótko, bo ze trzy minuty.

— Nie zależy na ilości, ale na jakości! A jak panu podobała się sztuka?

— Mdła i przesadzona!

— Ależ pan jesteś realista: takie piękne, poetyckie, porywające!... taka wielka miłość!.. Czy pan nie uznajesz takiej wzniosłej, wielkiej miłości?...

— Ja?... wolę mniejszą miłość!

— Nie rozumiem.

— To i lepiej!... Służę pani!—podał jej ramię i przeszli do pokoju jadalnego.

Panie usiadły; panowie podeszli do stolika z wódkami i przekąskami. Gospodyni częstowała jakąś damską wódeczką, a lokaj podawał tymczasem paniom kawior, sardynki i minogi. Babusia chciała wziąć na talerzyk minogę; Pani Teresa przytrzymała ją za rękę.

— Babusiu!... lepiej trochę świeżego kawioru w ostateczności.

— W ostateczności?... to zjedz sama wszystko, kiedy żałujesz!... dobra noc: nic nie chcę! —tu wstała i, nie żegnając nikogo, wyszła do swego pokoju.

— Cóż, Babusia zawsze taka łakoma?—pytała Miazgowa.

— To już choroba starości: trzeba bezustannie pilnować, bo może być nieszczęście. Profesorze! proszę tu obok mnie.

— Dziękuję! — odrzekł profesor siadając.

Panowie zasiedli do stołu; obnoszono rybę, towarzystwo wesoło rozmawiało. Robert opowiadał parodjując wczorajsze przedstawienie w teatrze; Miazgowa ciągle sprzeczała się z nim, nazywając go ludożercą. Lokaj wniósł półmisek z jarząbkami; a tuż za nim wsunęła się do pokoju Babusia, i jakby nigdy nic, zasiadła na swoje dawne miejsce. Lokaj nadszedł, wzięła z półmiska pół jarząbka i zaczęła go w milczeniu konsumować.

Kolacja przeciągnęła się po za północ; zaczęto wychodzić.

— Panie Skałkowski! może *przeprowadzisz* mnie do domu? — prosiła Miazgowa. — Panu po drodze: mieszkamy teraz przy Krasnym moście, bliziutko!

— Z przyjemnością!... Będzie pani miała aż trzech odprowadzaczy, bo my wszyscy idziemy w tamtą stronę.

Po wzajemnych pożegnaniach, towarzystwo wyszło na ulicę.

— Panie Skałkowski! ja pieszo nie pójdę: weź *„zwozczyka!“*

— Dobrze! — odpowiedział Robert,- i dodał do towarzyszy:

— Chłopcy! idźcie szparko, a ja na was zaczekam na Krasnym moście.

Pani pożegnała Fasolkę i Franka, i wsiadła do dorożki; Robert usiadł obok niej i objął ją w pół stosownie do przyjętego zwyczaju, a raczej koniecznej potrzeby: inaczej bowiem można było wypaść z ówczesnych wehikułów. „Izwoszczyk“ ruszył—pojechali.

— Dla czego pan nigdy do nas nie przychodzi?—zapytała.

— Po pierwsze, że nikt mnie nigdy nie zapraszał; a po wtóre...

— Przepraszam! — przerwała — ja sama prosiłam, nawet kilka razy...

— A po wtóre, że nie mam czasu: muszę się uczyć!..

— Czego?

— Różnych rzeczy.

— Ale na teatr, i odwiedziny innych osób, masz pan czas!... Dla czego pan bywa u Wyrwiczowej, u Teresy, u Burbowej, u Puchalskich?

— Zdaje się, że pani raczy kontrolować moje odwiedziny? — to zbyteczne!... Chodzę tam, gdzie chcę i gdzie mam przyjemność!... Ale dojeżdżamy do mostu: na prawo, czy na lewo?

— Na prawo, drugi podjazd.

Wysiedli; Robert zadzwonił.

— Więc pan nie przyjdziesz do nas?—pytała, podając rękę.

— Nie pani,—nie mam czasu!

Szwajcar drzwi otworzył; ale Polinka, trzymając ciągle rękę Roberta, mówiła dalej:

— Do widzenia!... Nie chcesz pan przyjść?... A będziesz pan na pierwszej maskaradzie w „błagorodce?“

— Czy to schadzka?

— Może!...—i uśmiechnęła się.

— W takim razie nie będę; ale przyjdę na drugą, bom to pewnej damie obiecał!—Dobra noc!

Uścisnął rączkę i odszedł.

Przeszedłszy kilkanaście kroków zatrzymał się na moście; w parę minut Fasolka z Frankiem nadeszli.

— A która to godzina? zapytał Fasolka.

— Trzy na pierwszą.

— To możebyśmy tak wstąpili do Eldoradka?

— E, za późno!... wstrzymajmy się. Jazda do domu!

Przez drogę Robert myślał o ostatnich słowach Miazgowej:

— Czyżby ona na prawdę naznaczała schadzkę na maskaradzie?—zobaczymy!... Na pierwszą, rozumie się, że nie pójdę; ale na drugą... ciekawy jestem, czy przyjdzie?... Jeśli przyjdzie—to rzecz jasna, że można będzie umizgać się... A może pani lubi żartować?... No, to i ja jej potrafię zrobić kawał!-

V.

W „Łatyszówce“ zapanował tryb normalny. Studenci codziennie rano wychodzili do instytutu: młodsi wracali do domu koło trzeciej, chodzili czasem na przechadzkę, a potem zasiadali do nauki; starsi, zajęci w warsztatach lub laboratorjach, powracali zwykle po szóstej. Wzajemne odwiedziny ograniczały się do wymiany kilku słów, lub wypicia razem herbaty; ogólne zebrania były nader rzadkie, chyba w święta lub niedziele; zresztą: nowoprzybyli odznaczali się skąpstwem, a główny łącznik i inicjator rzadko jakoś bywał z wieczora w domu. Karpowicz był bardzo niezadowolony:

— Psia wasza nędza! — mówił — cóż? mieszkamy razem, a żyjemy oddzielnie! Robert znowu coś nowego zwietrzył, i przepada, psia jego nędza, ani go w domu poświeć! Przybiegnie na chwilę, przebierze się i szust na miasto, psia jego nędza!

Fasolka przychodził kilka razy; wypił herbatę z Wroną lub Karpowiczem, i odszedł: wszyscy

byli zajęci—nie było co robić. Przeniosł się więc do Łabędzkiego i z nim czas przepędzał.

— Jucha Robert!—mówił—biega za jakąś facetką; no!... ale niezadługo wróci na łono Łatyszówki!

Robert rzeczywiście zajęty był ową Dunią, co to ją Dziubandowski zwietrzył. Pułkownika z dziewczyną spotkał ot—przypadkiem, obejrzał i od razu okiem znawcy ocenił. Była rzeczywiście i młoda, i wielce przystojna. Robert bardzo prędko rozłączył się z pułkownikiem i jego towarzyszką; ale na drugi dzień, już o siódmej rano, czekał przed domem na drugiej stronie ulicy, aż Dunia wyjdzie do magazynu: spotkał się z nią niby przypadkiem i poszli razem. Odprowadził ją do drzwi samych, a w parę dni znów się to powtórzyło. Później oczekiwał ją wieczorem przy wyjściu z roboty; żeby zaś uniknąć spotkania wyczekującego nieraz Dziubandowskiego, urządzali się w ten sposób, że Dunia nie bramą lecz przez sklepik wychodziła. Stary czekał nieraz z godzinę a potem niespokojny pędził do Perłowicza i zastawał już Dunię w domu. Nic wprawdzie nie mówił, wstydząc się, że ją między wychodzącemi koleżankami przegapił: ale zawsze przykro mu było.

Robert uśmiechał się, spotykając pułkownika; a raz nawet zapytał:

— A jak tam względem tej piękności?... zapomniałem, jak jej na imię!

— Dunia?

— Aha!

— No, jesteśmy na dobrej drodze!

— To bardzo pochlebne!... Radzę pułkownikowi, jako prawemu rycerzowi, nie schodzić na złą drogę!

— Widzisz go, jaki mi moralista!... Eh, ty hultaju!—mówił pułkownik grożąc, a pokręcając wąsa.

Robert umiał specjalnie zawracać dziewczętom głowę; Dunia ani się spostrzegła, jak się do niego na serjo przywiązała. Stosunek ich jednak ograniczał się na codziennem odprowadzaniu z roboty a niekiedy i na robotę. Pewnego dnia Robert namówił Dunię, aby w niedzielę poszła z nim do cyrku. Zgodziła się; matce miała powiedzieć, że idzie z koleżankami, aby jej na pewno zezwoliła.

Robert wrócił do domu w pysznym humorze, pogwizdując jakąś aryjkę; zaledwie wszedł do swego pokoju, ukazał się na progu Wrona.

— Dobry wieczór!—mówił—zasiedziałeś się... a ja z fizyką czekam, jak głupi!

— Wcale nie późno, dopiero po ósmej...

— Tak, po ósmej—przerwał Wrona—pięćdziesiąt sześć minut!

— No, to rozkładaj robotę i jazda!

Wrona rozłożył notaty „technicznej fizyki“ i zaczęli się wspólnie uczyć, rysując i przerabiając wzory na dużej tablicy szyfrowej. Po pewnym czasie Robert przemówił:

— Wiesz, że w zasadzie nie podoba mi się system ogrzewania Perkinsa: gdzie wchodzi wysokie ciśnienie, uważam to za niebezpieczne; a ogrzewanie domów tym sposobem, zda mi się, że jest ryzykownem... Ale, powtórz-no! jaką to grubość należy dawać ściankom rur żelaznych?

Wroński odwrócił stronicę notatek i szukał wzoru; ktoś zastukał...

— Proszę! -- rzekł Robert.

Do pokoju wszedł człowiek młody, niskiego wzrostu, o zupełnie rudych włosach, najeżonych, jak szczecina. Twarz jego blada była tak upstrzona piegami, że wyglądała, jak indycze jaje; oczy zaś małe, zielonkawe, objęte były powiekami zaczerwienionemi po brzegach, co chronicznego zapalenia dowodziło. Oblicze przytem oniemal w zupełności pozbawione było zarostu, wierzchnią wargę bowiem pokrywał zaledwie dostrzegalny rudy puszek; ale warga owa była widocznie za małą bo podczas mowy, lub przy uśmiechu, nie tylko, że nie zakrywała górnych zębów, ale nawet całe dziąsła obnażała. Przybyły ubrany był

w palto z materjału, z jakiego wyrabiają burki; a buty z cholewami, włożone na spodnie, dopełniały całości. Obuwie to, czy też jego właściciel, mieli widocznie szuwaksowstręt, od czasu bowiem wyjścia z warsztatu szewckiego pewnie go więcej nie widzieli.

Gość zatrzymał się wszedłszy, trzymając wyrudziałą baranią czapkę w ręku.

— Bardzo proszę, panie Perłowicz! — mówił gospodarz.

Perłowicz zdjął palto, i wtedy pokazało się, że był ubrany w jakąś wypłowiałą kurtę, szarego koloru, i w niekrochmaloną zupełnie koszulę, której widoczny kołnierzyk mocno był zabrukanym. Wyciągnął rękę również, jak twarz, piegowatą; Robert i Wrona przywitali go.

— Proszę siadać—rzekł Robert, podając krzesło.

Perłowicz usiadł i westchnął głęboko, a jednocześnie z tem westchnieniem rozszedł się po pokoju silny zapach spirytusu. Robert i Wrona kolegowali z nim w instytucie technologicznym, tylko że Perłowicz był już na czwartym kursie; znali się dobrze. ale u siebie nie bywali. Perłowicz był stypendystą rządowym i dostawał dwadzieścia rubli miesięcznie; a innych środków utrzymania, zdaje się, że nie miał.

Służąca wniosła samowar, Robert zajął się przygotowaniem herbaty.

— A! fizykę panowie *kujecie*—odezwał się Perłowicz;—lubię ją, ale na lekcje nie chodzę: Lentz tak mdło wykłada, że można zasnąć!—i roześmiał się głośno.

— Proszę papierosa!—częstował Robert; a jednocześnie myślał:—Po co ta pstra małpa przyszła? Perłowicz miał jakąś dziwną minę, zdradzającą zakłopotanie: widocznie przyszedł w jakimś interesie, ale nie wiedział od czego zacząć.

— Zapewne pana dziwi moja wizyta?—zapytał, kładąc akcent na *i*.

— Dla czego?... Cóż dziwnego, że jako kolega odwiedziłeś pan nas?... a może życzysz sobie bliżej poznać?

— Właściwie ja przyszedłem w interesie — mówił z lekkiem drżeniem w głosie;—to jest: mnie trzeba rozmówić się z panem.

— Służę zatem—odrzekł Robert.—Jeżeli to jest jednak tajemnica, to: Wroński, wychodź!

— Nie, nie potrzeba! Pan Wroński jest uczciwym człowiekiem i zacnym *kolegiem:* on mi nie przeszkadza. Rzecz jest w tem, panie Skałkowski, że pan umizgasz się do córki mojej gospodyni. Otóż: daj jej pan spokój, zostaw ją Czego pan od niej chcesz?

Robert roześmiał się.

— Jesteś pan szampański! i bardzo domyślny! Czego ja od niej chcę?... może tego, czego i pan!

— Ja?... ależ ja niczego nie chcę! Przyszedłem tylko powiedzieć panu, że to jest uczciwa dziewczyna, a pan jesteś znany bałamut... i, że szkoda dziewczyny.

— Pij-no pan herbatę, i nie rozwódź żalów nad tem, co fajki popiołu nie warte.

Perłowicz łyknął haust herbaty, zaciągnął się papierosem i mówił dalej:

— Jeśli dla pana nie warte to fajki popiołu, to pluń i rzuć! Wszak, mimo twej donżuanerji, jesteś uczciwym człowiekiem: nie bałamuć tej biednej dziewczyny, wszak masz wiele innych. Zgubisz dziewczynę — przepadnie!

— Ani jej nie zgubię, ani nie przepadnie!

— Słowo?

— Panie Perłowicz! nasza rozmowa nie ma najmniejszego sensu: mówimy o czemś, ale właściwie nie wiemy dobrze, o co nam idzie, czyli, jak mówi Fasolka, nie wiemy po czemu gramy.

— Jeśli o to idzie, to ja panu kwestję przedstawię jasno. Od tygodnia przeszło włóczysz się pan za córką mojej gospodyni: odprowadzasz ją i przyprowadzasz z magazynu. Dotąd nie ma nic złego, wiem, bo was śledzę; ale ponieważ to złe

może nastąpić, więc przyszedłem zwrócić pańską uwagę, żebyś zaprzestał tych konkurów.

— Mój szanowny kolego! ponieważ nie jesteś ani bratem, ani, spodziewam się, narzeczonym Duni, więc nie do ciebie należy strzeżenie jej cnoty. Bardzo to naturalne, że pan wolisz być przedemną; ale ja znów—wolę być przed panem.

— Panie Skałkowski, ja nie mam żadnych zamiarów, tylko—żałuję dziewczyny.

— Zkądże pan wnioskujesz o moich zamiarach.

— Nie jesteśmy dziećmi.

— Nie wiem, jak kto, ale ja już nie jestem.

Perłowicz wstał.

— Zostaje mi jeszcze jeden argument. Panie Skałkowski, masz zapewne siostrę: pamiętaj o tem!

— Racz pan być oględniejszym: do obecnej rozmowy sióstr moich nie wtrącać, i nie stawiać ich na równi z jakąś facetką!

— Która jest biedną, ale uczciwą i cnotliwą.

— Czy pan jesteś jakim biegłym i przysięgłym taksatorem niewinności?... Mój dobry panie, uwagi pańskie wcale są nie na miejscu! .. Ja panu nie przeszkadzam, i nie mam do pana pretensji. Mam już jednego konkurenta—Dziubando-

wskiego; bądź pan drugim: zobaczymy, komu szczęście posłuży!

— W takim razie ostrzegam pana, że się to źle może skończyć!

— Jeśli pan masz matrymonjalne zamiary, ja w tej chwili odstępuję: proszę mi tylko powiedzieć.

— Matrymonjalnych zamiarów nie mam, ja zaledwie sam jeden mogę wyżyć; ale żal mi bardzo dziewczyny, bo ją pan zgubisz.

— Ani jej nie znajdę, ani nie zgubię; nie ja—to inny, a raz przecie zacznie: nie dziś—to jutro, nie jutro—to za rok. Próbuj pan, życzę powodzenia!

— Żegnam!—odrzekł Perłowicz.

Wziął palto, przerzucił przez lewe ramię i, nie podając ręki, wyszedł.

— Asekurator cnoty, nowy urząd!—zaśmiał się Robert.

— Widzę, żeś coś nowego wyszperał—odezwał się Wrona.

— Gdzie tam! to Dziubandowski wystawił, a ja zastrzelę... Ale ta pstra małpa sporo nam czasu zabrała, no—jazda dalej! cnota i facetki swoją drogą, a lekcje swoją!...

Przyjaciele, popijając herbatę i zaciągając się papierosami, studjowali w dalszym ciągu te-

chniczną fizykę; poczem przeszli do „teorji ciepła“.

Było dobrze po północy, gdy się rozeszli. Robert otulił się paltotem i otworzył lufcik, żeby dym wyszedł; a chodząc wolno po pokoju myślał o Duni i o Perłowiczu.

— A może on ma i rację?... Co się z nią stanie potem?... E, głupstwo! Nie ja—to on, nie on—to inny... co sobie kontramarę zawracać! Idźmy lepiej spać, bo jutro raniutko trzeba dymać do instytutu.

Nazajutrz rano, przed ósmą, do pokoju Roberta ktoś nieśmiało zapukał; drzwi się z lekka uchyliły, i mężczyzna w długim surducie ukazał się na progu.

A, pan Kogut dobrodziej! powitać! jak się masz?—wołał Robert, kończąc ubieranie.—Dobrześ zrobił, żeś przyszedł... Panowie!—krzyknął, stukając do drzwi sąsiadów—proszę do mnie...

— *Dżeń* dobry panu!—odrzekł przybyły.—*Dżękuję* paniczowi, mam *sze* dobrze!... Ja *psiszedłem*...

Weszli: Ciemniewski i Ziemiński.

— Panowie!—mówił poważnie Robert,—przedstawiam wam pana Koguta, nadwornego naszego krawca: reperuje ubranie *arte*, tylko nowego robić nie dawajcie, bo fuszer!

— Wielmożny panicz *żawżdy* żartuje z biednego krawca; ja przecie szyję nie tylko *cywylne*

ubranie, ale i wojenne, i *graždańskie* fraki mundurowe,—a jak byłem w czugujewskim pułku, to *szam kamandyr* zawsze mnie kazał sobie szyć mundur.

— No, jak ja będę *kamandyrem*, to będę u ciebie stalował nowe mundury, a tymczasem dostaniesz tylko reparacje! A jakże się miewa pani Kogutowa, i twoje kurczęta—to jest: kogucięta?... Czy może znów się spodziewacie....

— *Dzieńki* Bogu, wszystko dobrze; *dzękuje* wielmożnemu paniczowi.

— Weź no, panie Kogut, te spodnie: obszyć u dołu i dać nowe kieszenie; a tę żakietkę wyczyścić, oblamować nową tasiemką i przyszyć guziki z perłowej masy w miejsce złamanych—tylko prędko!

Kogut obejrzał garderobę.

— Proszę pana, te *gużyky* przy te *żakiete*, to nie jest *perłowe maczyca*, to jest *takie mytacje*; ja nie *dobiere podchodjaszcze*, trzeba zmienić wszystkie.

— Mniejsza z tem! A panowie, nie macie nic do reparacji?—odezwał się Robert do Ciemniewskiego i Ziemińskiego.

— Nie jeszcze; ale skorzystamy z rekomendacji. Zachodź pan czasami, panie Kogut, dowiedzieć się.

Po tych słowach, Ciemniewski wraz z Ziemińskim wyszli.

— *Psiepraszam*, ja *psiszedłem* do wielmożnego panicza w *mały interes.*

— Cóż takiego, panie Kogut?

Tu krawiec, przysunąwszy się bliżej do Roberta, jednym tchem szeptać począł:

— U mnie, proszę wielmożnego panicza, najmuje *ugoł* jeden *sztudent* od pańskiego *insztytuta*; to *un psijechał* z Konina, bardzo niedawno, *un* jest, z *psieproszeniem* wielmożnego panicza, syn takiego *reźnika koszernego*, i skończył szkoły, a *psijechał* tu—to *oprzedzielił sze* na pański *insztytut*; jego *familja*, z *psieproszeniem* wielmożnego panicza, Suseł, a jego matka jest z domu Perkalik, z Kowna, i *psichodzi sze krewne moi żone.* To *un psijechał* i z bardzo *małe pieniądze*, i mieszka *pszi* nas; ale *un* zachorował *dżyś* w nocy, *mi sze wistraszyli*, i ja *zara* z rana *psiszedł* do wielmożnego panicza, bo *mi* bardzo *biedne*, a ja nie wiem, jak to *zrobycz*, bo w pański *insztytut* to jest *doktór*, to żeby *un* obaczył Suseł, żeby, broń Boże, *jakie ciężkie chorobe sze* nie *wdało!*

— Dobrze, dobrze! ja sam przyszlę doktora; a gdzie mieszkacie?

— Tam, *gdże dawni*: na Podjaczeskiej.

Robert ubrał się i wyszedł razem z Kogutem. Przed instytutem spotkał Maślakiewicza, któremu opowiedział o Kogucie i Susle.

— Cóż myślisz robić?

— Pójdę do Wolfa, żeby zajechał do chorego.

— To idź!—a ja pójdę zobaczyć tego Susła.

Robert zatrzymał się...

— Poczekaj—mówił,—zajdę do ambulatorjum i powiem felczerowi, żeby doktora przysłał, a sam pójdę z tobą.

Bąkbyx poczekał przed instytutem; po chwili wrócił Robert i poszli razem.

— No. cóż?

— Felczer obiecał, że Wolf będzie koło jedenastej.

Studenci poszli na Podjaczeską. W oficynie dużego domu, na trzeciem piętrze, mieszkał Kogut, zajmując dwa pokoje i maleńką kuchnię. W pierwszym pokoju stał stół krawiecki, przy którym, oprócz Koguta, pracował czeladnik i chłopiec, w drugim—stały trzy łóżka, w których mieścili się państwo Kogutowie z czworgiem koguciaków; w kącie tegoż samego pokoju stał także i tapczan, na którym sypiał młody człowiek. Robert z Bąkbyxem weszli do mieszkania krawca: zapach czosnku i gęsiego tłuszczu, połączony z zapachem nagrzanych żelaz do prasowania, uderzył ich, jak obuchem.

— No, panie Kogut, a gdzie nasz kolega?— zapytał Robert.

Kogut wprowadził ich do drugiego pokoju, gdzie leżał Suseł. Zbliżyli się do niego i zobaczyli młodego osiemnastoletniego chłopca, z czarną kędzierzawą głową i mocno odstającemi uszami. Oczy miał przymknięte i silne na policzkach wypieki; niespokojnie przytem przewracał się na tapczanie. Robert przemówił do niego.

— Panie Suseł!

Chory otworzył oczy, spojrzał niemi błędnie, ale je znów niebawem przymknął.

— A wiesz?—mówił Bąkbyx,—ja go widywałem w instytucie; ale, co mu jest?

— Widocznie ma gorączkę: możeście go, panie Kogut, okarmili czem niezdrowem?

— *Mi?... Co un* miał *jeszcz* niezdrowego?.. *Un* pije tylko *arbate*, co sobie ugotuje w czajniku; je chleb, a czasem śledź: co to jest niezdrowego?..

Robert ze współczuciem patrzał na wynędzniałego Susła, twarz chorego wyrażała cierpienie, przewracał się i postękiwał ciągle.

— Silna gorączka—szepnął Robert do Maślakiewicza.—Biedny chłopiec! w takiej nędzy i w takich warunkach musi zdobywać naukę!... a ja, czasem, narzekam na swoje środki... toć my jesteśmy książętami, w porównaniu z tym nędzarzem!

Robert wyszedł; pojechał do instytutu; poczekał na doktora i towarzyszył mu, aby wskazać drogę.

Wolf, obejrzawszy chorego, zalecił go bezwłocznie odwieźć do szpitala Obuchowskiego, i dał na to odpowiednią kartkę. Zapewnił, że niema niebezpieczeństwa, gdyż chory ma gorączkę gastryczną, z której prędko wyjdzie; ale że niepodobna go leczyć wśród warunków i otoczenia, w jakich się znajduje.

Wolf odjechał; studenci kolegę ubrali. Bąkbyx pobiegł po karetę i, w kwadrans potem, znieśli z Robertem Susła i odwieźli go do szpitala.

Po trzech dniach garączka zaczęła się zmniejszać; Robert i Bąkbyx codziennie chorego odwiedzali, przynosili mu wino, sucharki i pomarańcze. We trzy tygodnie Suseł wyszedł ze szpitala, a korzystając z niedzieli, poszedł zaraz przed wieczorem do Roberta, by mu za opiekę i okazane współczucie podziękować.

— Powiedz mi pan, jak dalej będzie? – pytał Robert; —wszak podobny *casus* może się powtórzyć: jakie pan masz szanse na utrzymanie się?

— Mam nadzieję od wakacyj dostać stypendjum, a do końca roku przebieduję. Może dostanę od gminy izraelskiej wsparcie, —pan Kogut stara się; —a może zdołam trafić do jakiego bogatego

bankiera, to mi da z kilkadziesiąt rubli; może, nakoniec, zdarzy się co zapracować.... byle do końca roku: zdam dobrze egzamin i na pewno dostanę stypendjum.

— Bardzo to pochlebne z pańskiej strony; ale jeśli, żyjąc w uciążliwych warunkach, nie będziesz w stanie pracować do tyla, by zdać egzamin tak, jak potrzeba na stypendjum?

— Mam mocną wiarę i silne postanowienie; gdyby się jednak nie udało—nie zginę, będę w temże położeniu, co i dziś: znów więc rok przebiedują, a stypendjum dostanę może na trzecim kursie.

Suseł poszedł również podziękować i Maślakiewiczowi; zastał u niego Perłowicza: siedzieli przy wódce i zakąsce.

— Witam rekonwalescenta! — mówił gospodarz.—Pan Perłowicz—pan Suseł, młodszy kolega. A może wódeczki?

Suseł nalał pół kieliszka i wypił; Perłowicz się uśmiechnął:

— Cóżto, pan pijesz, jak ptaszyna?... a może masz i rację!... Mówią, że wódka zgubiła wielu ludzi!... co to zgubiła?... jak zgubiła? czemu zgubiła?—i co jest właściwie zgubą?... Definicja arcy względna, bo co podług jednych jest zgubą, podług drugich jest ratunkiem. A kto ma rację?...

Bóg Święty wie!... Ja tam lubię sobie zrobić przyjemność; wódka mi ją sprawia, więc piję... Tak, tak! — ona zmienia koloryt świata: ten ciemny, szary świat, i ci plugawi na nim ludzie, wydają się jaśniejszymi, ba! nawet różowymi!... Za wasze zdrowie, szanowni koledzy! — trącił kieliszek Bąkbyxa i wypił. — Słyszałem o pańskiej niedoli, panie Suseł; jak ci w żydowskich brudach i śmieciach śmierdzi, i nie zdrowo, przychodź do mnie, możesz spać na kanapie.

— Do żydowskich brudów i śmieci, jak pan nazywasz, jestem od urodzenia przyzwyczajony: wychowywałem się w biednej żydowskiej rodzinie, nie widzę zatem koniecznej potrzeby, by od nich stronić. Mam przytem bardzo tani przytułek u powinowatych. A zresztą, pański wygląd każe mi powątpiewać o czystości i hygjeniczności pańskiego mieszkania — dodał, przyglądając się brudnemu Perłowiczowi.

— Patrzysz, że nie jestem taki naprzykład frant, jak pan Skałkowski? Ha, ha, ha!... Nie suknia człowieka zdobi, panie Suseł: ciało czarne, ale dusza może być biała.

— Ależ, panie, nie idzie o odzienie, ale o ochędóstwo.

— Filozofja, czy przesąd?... Za twoje zdrowie, szczęśliwy panie Suseł!

— A ci, co dni swoje skończyli, niech odpoczywają w pokoju wiecznym—wygłosił pompatycznie Maślakiewicz i łyknął spory kieliszek.

Suseł zauważył, że przeszkodził w jakimś interesie: pożegnał więc kolegów.

— A jednak, jak panu będzie potrzeba kąta—przychodź do mnie; nie bój się, o mnie się nie zabrukasz!—wołał za odchodzącym Perłowicz.

Po wyjściu zaś Susła, zaczął kończyć, zaczętą widać uprzednio, rozmowę:

— Warszawiacy przeważnie wszyscy tacy letkiewicze, jak ten wasz okrzyczany Skałkowski. Niech go tam zresztą!... ale ty, jako przyjaciel, wpłyńże na niego... proszę cię, niech on Duńkę zostawi w spokoju, i swoje afekta gdzieindziej obróci...

— Przyznaj się—przerwał Bąkbyx,—że ty lecisz na nią?

— Nie rozumiem waszej głupiej terminologji. Co to jest: lecisz na nią?

— A może serjo się w niej kochasz?

Perłowicz, który z przyczyny wypitej wódki był już nieco czerwony, zrobił się nagle wiśniowym.

— Ani trochę!—odparł,—ale mi szkoda młodej, sympatycznej i biednej dziewczyny. Skałkowski ją zbałamuci: to fakt!... Potem, jak wy mó-

wicie, puści w trąbę... i dziewczyna pójdzie już po pochyłej drodze... Nie mogę na to pozwolić!

— To nie pozwalaj!

— A i nie pozwolę! Tyle będzie miał Skałkowski, a nie Dunię!—mówiąc to, pokazał figę.

—Proszę cię jednak, wpłyń na niego... bo jak ja się wezmę na serjo, będzie źle... psia krew!—dodał, uderzając pięścią w stół.

Pod siłą tego uderzenia zawibrował stół i zadźwięczał stojący na nim kieliszek; przypomniało to widać Perłowiczowi jego system zaróżowiania świata, gdyż nalał wódki i, golnąwszy jednym haustem, zagryzł serem. Bąkbyx dzielnie dotrzymywał mu placu; wkrótce więc zaczęli się ściskać i całować, a gdy Maślakiewicz obiecał zainterwenjować w sprawie Duni—Perłowicz się aż rozpłakał.

— Wiesz—mówił,—dużo *myślilem*, jak przeszkodzić; ale przyszedłem do wniosku, że ani jej ostrzegać, ani jemu robić skandalu nie można— do niczego nie doprowadzi. Trzeba z nim po przyjacielsku pomówić, wpłynąć cośkolwiek... Mnie on wykpi, ale ty może co i zrobisz!... Uśmiechasz się?... może w duszy szydzisz z mojej głupoty, że dbam o cnotę biednej, prostej magazynierki? Ja, pijaczyna, jak mnie nazywacie, i—cnota!... Ha, ha, ha!... Cnota?—w którą przestaliśmy wie-

rzyć, której nie przyznajemy!... Wszak prawda?—nie przyznajemy!... a dla czego?... Bo nauka robi nas sceptykami, bo światło cień rzuca i ciemności wyradza... Przysuń no butelkę... lej pełno, nie żałuj, psia mać!... Tfu! co ja mówiłem?... Tak, bo my nie wierzymy!... Alboż to prawda?... Tam, w głębi serca, zostaje zawsze iskierka tego płomienia, który ci matka rozniecila: dopóki ona tli—ty wierzysz!... Wierzysz!... Wierzysz, mimo tego, że się maskujesz, że się wiary wypierasz, że z niej szydzisz! W dniach radości i wesela wstydzisz się swej dziecinnej, jak mówisz, słabości, i iskierki wiary z pod popiołów nie wygrzebiesz; ale w ciężkiej i smutnej chwili, gdy cię zwątpienie ogarnie, wzniesiesz myśl tam wysoko—do Boga!... i wierzysz, jak dawniej, jak w dziecinnych swych latach!... Co! już nie ma nic w butelce?

Wyjął rubla i posłał po wódkę.

W tymże samym właśnie czasie Robert z Dunią byli w cyrku. Widowisko ją zachwyciło, Robert dał jej pudełko cukierków, więc też całą rozpromienioną zaprowadził po skończonem przedstawieniu na herbatę i zakąskę...

Wróciła Dunia do domu koło pierwszej w nocy; matka ją wygderała, że zadługo się zabawiła, ale Perłowicz nic o tem nie wiedział, bo spał pijany u Maślakiewicza.

W kilka dni potem Robert otrzymał telegram od matki:

— „Proces wygrany—sprawa zupełnie załatwiona“.

Na trzeci dzień przyszedł obszerny list i przekaz na 100 rubli. Robert był w siódmem niebie; lubił on szyk, ale musiał się hamować, dawno więc ukończenie procesu było jego marzeniem, a obecnie wiedział, że fundusze w trójnasób mu się powiększą. Radośną nowiną podzielił się tylko z Frankiem, i zaczął szukać innego mieszkania. Franek proponował najęcie wspólnie dwu szykownych pokojów, ale Robert odmówił:

— Jeśli tobie odmawiam—dodał,—to możesz być pewnym, że nigdy z nikim mieszkać nie będę, bo—nie lubię tego.

W kilka dni potem przeprowadził się; wynajął pokój na Izmajłowskim prospekcie, niedaleko mostu, w wielkim i wspaniałym domu, gdzie doń, na pierwsze piętro, eleganckie prowadziło wejście. Pokój był duży, od ulicy, miał dwa okna i balkon; na prawo od drzwi wchodowych, kotara tapicerskiej roboty oddzielała część pokoju na sypialnię, gdzie stało obszerne łóżko i umywalka; w drugiej części pokoju, zasłanej olbrzymim dywanem, stała kanapa, stół, dwa fotele i sześć krzeseł. Nad kanapą wisiało ogromne lustro,

pod oknem zaś było biurko z małym fotelikiem; szafa i dwie komody dopełniały umeblowania. Pianino, ze starego mieszkania przeniesione, nadało pokojowi artystyczny cokolwiek wygląd, i wpłynęło na ożywienie i urozmaicenie całości: zwłaszcza, że i meble wogóle dość były porządne i świeże. Robert zgodził pokój za 18 rubli miesięcznie, co na studenta, w owe czasy, było sumą nieomal bajońską; ale też nikt z kolegów tak eleganckiego pokoju nie miał, i wszyscy mu go zazdrościli. Żegnając „Łatyszówkę", Robert prosił kolegów, żeby o nim nie zapominali i w odwiedzinach nie byli skąpi.

— Wyprowadzasz się, psia twoja nędza—mówił Karpowicz,—na pana chorujesz: lepiejbyś te kilkanaście rubli, co więcej będziesz płacić, pożyczył Susłowi, dla niego byłoby to wielką sumą!

Robertowi zrobiło się jakoś przykro; pożegnał więc kolegów, ale przed wieczorem poszedł do Susła.

— Przychodzę do pana w interesie—mówił. Zechciej pan wziąć odemnie 25 rubli, tytułem pożyczki, zanim zdołasz wyrobić sobie wsparcie. Niech się pan nic nie krępuje, są to leżące pieniądze i na terminie nic mi nie zależy.

Suseł pieniądze przyjął, mówiąc:

— Bardzo dziękuję; spodziewam się, że za miesiąc będę mógł zwrócić.

— Proszę się nie kłopotać: zwrócisz pan, jak będziesz miał; ale zechciej mnie pan odwiedzić: mieszkam obecnie na Izmajłowskim prospekcie, drugi dom od mostu, gdzie apteka.

Robert pożegnał Susła i wrócił do domu, gdzie w dalszym ciągu uczyli się niektórych przedmiotów razem z Wroną, który do Roberta przychodził.

Odprowadzania Duni ustały: stosunek zmienił się zupełnie. Od dwóch tygodni przeszło, prawie codziennie, wieczorem, przychodziła ona do Roberta; pili razem herbatę, a około dziewiątej powracała do domu. Z kolegów jeden Franek znał ją tylko, reszta nic nie wiedziała. Wrona przychodził zwykle o dziewiątej; ale zdarzało się, że nieraz wracał jak niepyszny, bo go Robert do pokoju nie wpuścił.

Pewnego wieczora pili herbatę we troje: Robert, Dunia i Franek. Robert przerzucał gazetę, Franek opowiadał Duni o nowo wystawionym balecie: „Córce Faraona“.

Robert spojrzał na zegarek: było po dziewiątej.

— Franek! — rzekł — odprowadzisz po drodze Dunię, pójdziesz do domu i wyfraczysz się! Zajdę po ciebie koło jedenastej.

— A dokądże się wybierasz?

— Pójdziemy do „Błahorodki“ na maskaradę.

— Zkądże u djabła tak nagle powstał projekt?

— Przeczytałem w „Głosie“, że dziś druga maskarada.

Franek z Dunią wyszli; Robert zaczął się ubierać.

VI.

Na rogu Newskiego prospektu i Wielkiej Morskiej, stoi dom olbrzymi, wychodzący również na rzeczkę Mojkę: jest to klub „Błagorodnoje Sobrańje“, nazywany w żargonie „Błahorodką“. Podjazd od Mojki zakryty drelichową oponą, a przez szyby jasne i obfite bije światło: dowód to, że dziś w klubie większa zabawa. Od dziesiątej wieczorem sanie i karety zajeżdżały raźno, a wysiadający goście, spiesząc się, wchodzili do wielkiej ogrzewanej sieni, gdzie w kilku kontramarkarniach zostawiano futra, płaszcze i ciepłe kalosze.

W wielkiej balowej sali, na pierwszem piętrze, spacerowało zaledwie kilkanaście par; więk-

szość chodziła w pojedynkę, a panowie, w małych grupach stojąc pod ścianami, zbierali wzorki. Dużo masek, chodziło po dwie lub po trzy, szukając znajomych... a może—i nieznajomych. Między maskami nie było ani kostjumowanych, ani charakterystycznych domin; wszystkie prawie były w sukniach czarnych lub ciemnych, i w samych jedynie maskach,—niektóre tylko miały koronkowe zarzutki na głowie, lub półdomina bez kapturów.

Koło jedenastej zebrało się już więcej gości, i weszła wtedy na salę kobieta w turkusowej sukni i w takiejże masce. Suknia owa, półdekoltowana, przybraną była białemi koronkami; a główkę zdobiła biała również peruczka, w drobne loczki. Wysoka, strojna, elegancka i nadzwyczajnie zgrabna — turkusowa maska powszechną na siebie zwracała uwagę. Przeszedłszy przez salę, skierowała się na prawo, do małych saloników i buduarów; a tam, minąwszy pierwszy pokój, usiadła w drugim na małej kanapce, i poczęła się wachlować dużym wachlarzem z białych piór strusich.

Przechodzący przyglądali się jej dość natarczywie; po kilku więc minutach wstała, i przeszedłszy przez salę do jadalnych pokojów, wypiła w bufecie szklankę oranżady, poczem znów do

sali powróciła. Wkrótce też spotkała jakiegoś nizkiego, starego, łysego i wygolonego jegomościa, który w złotych okularach i z wystającym brzuszkiem, nader poważną miał minę. Wzięła go pod rękę, mówiąc:

— *Et vous Excellence ici? Oh! là là!...*

Te słów kilka tak były wypowiedzane, iż odrazu można było poznać, że turkusowa maska jest francuzką, a nawet paryżanką. Oboje z jegomością przeszli do buduarów, prowadząc ożywioną rozmowę.

Sale szczelnie już zapełniły się publicznością; szczególniej w buduarach i przejściach zrobiło się bardzo ciasno. Zaczęto nawet przechodzić do jadalni, i dało się słyszeć kilka wystrzałów wdowy Clicot i Roederera, co oznaczało bliskość północy. Do sali weszli Robert z Frankiem, obaj wesoło uśmiechnięci; spotkali znajomego sobie oficera, przywitali się i przystanęli. Robert zaczął właśnie robić złośliwe, choć dowcipne uwagi o maskach, siedzących naprzeciwko, gdy wtem—maska jakaś oficera od nich porwała. W tej chwili przeszła przed przyjaciółmi owa turkusowa maska z jegomością; spostrzegła Roberta i, na jedno mgnienie oka, zatrzymała się nawet. Oczy się ich spotkały, jakiś dziwny prąd przebiegł między nimi; maska przeszła wprawdzie, ale obejrzała się kilkakrotnie.

— Jakaś szykowna facetka—rzekł Robert,— chodźmy za nią!

Poszli; ale zaledwie zdołali przejść kilka kroków, zbliżyły się do nich dwie maski, idące pod rękę. Jedna z nich wzięła Roberta pod ramię i zapytała:

— A!... ty, nicponiu, i tu także bywasz?

Robert spojrzał na maski: obie były w kamlotowych sukniach, nieco podszarzanych, a na głowie miały małe koronkowe zarzutki. Nachylił się do trzymającej go pod rękę i szepnął:

— A ty, Kożuchowska, po djabłaś tu przyszła?

— Studjuję życie ze wszystkich stron i we wszelkich fazach! Ale — po czemże mnie poznałeś?

— Bagatela!... po twojej koszlawej figurze!

Robert kłamał: aczkolwiek bowiem suknia była fatalnie zrobioną, a gorset był marny i stary, jednakże Kożuchowska miała, mimo tego, wcale zgrabną figurkę.

— Studjujesz życie? powiadasz; a może szukasz owej wolnej miłości?... Franuś! weź-no kopciuchów i postaw im herbaty—ja muszę na momencik zostać sam, przyjdę później do was.

Robertowi chciało się koniecznie wyszukać turkusową facetkę, wysunął więc lekko ramię i

stanął. Franek, wziąwszy Kożuchowską pod rękę, skierował się z maskami ku jadalni.

— Ale—pytał przez drogę,—twoja towarzyszka zapewne głuchoniema, żadnego głosu nie wydaje? Kolacji nie dostaniecie, tylko herbatę z buterszny tami i—*nawyży czastky!*

— Dziękuję ci, mój ty cukrowy cherubinku, obejdziemy się bez twojej herbaty.

— No! bądźże rozsądną i nie gniewaj się: wszak to tylko żarty!... Chodźcie, sikoreczki!

Robert tymczasem chodził i szukał wzrokiem, odwracając głowę w różne strony; — turkusowa maska gdzieś jednak znikła.

— *Qui cherchez-vous?*—zagadnęła go, uderzając lekko w ramię wachlarzem elegancka i drobna maseczka.

— *Une charmante masque, même plus charmante, que vous!*

— *Merci, monsieur Robert!*

— *Ah! tu me connais?*

— *Certainement, mauvais sujet, que tu es!*

— *Mille grâces pour le compliment!*

Maska wziąwszy Roberta pod rękę, zaczęła go wesoło intrygować; rozmowa szła ciągle po francuzku, Robert jednak, choć poznał Polinkę od razu, ale ani jednem słóweczkiem się nie zdradził: udawał doskonale, że nie domyśla

się nawet, kto ona. Postanowił wziąć ją na kawał.

— Powiedz mi, z jakiemi to kucharkami, czy pokojówkami chodziłeś, i oddałeś im na pastwę biednego Franusia?

— Bardzo przepraszam: to wielce uczone osoby, przyszłe gwiazdy medycyny! — odrzekł, śmiejąc się.

— *Bon!*... jakieś obdarte gryzetki.

— *Ça n'empêche pas les sentiments*; kobieta, czy w atłasie, czy w samodziale,—zawsze jest kobietą.

— A ty w czem wolisz?

— Bez niczego!

— Brutal!

— To popłaca.

— Jak u kogo?... ja—tego nie lubię.

— Czego?

— No, tego... co ordynarne.

— Wolisz to, co oryginalne?

— Rozumie się.

— No, to do widzenia!

— Dla czego?

— Szukaj sobie oryginalnego — ja nim nie jestem!

— Przeciwnie: znajduję, że jesteś wcale oryginalny!

— Tak?... No, to jedźmy na kolację!

— Chyba chodźmy.

— Nie! tu ja z maską jeść nie umiem: pojedziemy gdzieindziej!

— Naprzykład: dokąd?

— To już moja rzecz!

— Ja nie pojadę.

— Nie jedź!—do widzenia.

Polinka chwilkę pomyślała.

— Dobrze—rzekła,—pojadę... ale pod dwoma warunkami.

— Żadnych warunków!

— Nie uciążliwe! po pierwsze, powiedz, dokąd pojedziemy?

— Do „Małego Jarosławca“.

— A powtóre: ja maski nie zdejmę, i ty mi dasz słowo, że mi jej nie zdejmiesz.

— Bez twego pozwolenia—nie: wszak nie jestem wandalem!

— Słowo?

— Najuroczystsze!

— A więc—jedźmy!

Zwrócili się ku wyjściu: ale na pół drogi turkusowa maska dogoniła ich, i chwyciła Roberta pod rękę.

— *Partons!*—wyszeptała.

— *Où?*

— *Où tu veux!*—odrzekła, uwiesiwszy się u jego ramienia.

Polinka doskonale słyszała rozmowę.

— *Aujourd'hui? impossible!*—odpowiedział.

— *Pourquoi?*

— *Je soupe avec cette dame!*—i wskazał ruchem głowy Polinkę.

— *Charmante masque!*—zwróciła się turkusówka do Polinki,—*voules-vous me prêter Robert pour aujourd'hui?*

Polinka zawahała się...

— *Non, mademoiselle!*—odrzekła stanowczo i dobitnie.

— *Eh ben, à revoir: demain, à sept heures, chez Berrin!*—rzekła cichutko i, wysunąwszy rękę, odeszła.

Robert się za nią obejrzał; i ona obejrzała się również, i przesłała mu pocałunek rączką od buzi.

— Kto to?—pytała Polinka.

— Zanadtoś ciekawa!

— Jak nasza pramatka Ewa.

Robert był zły: postanowił zemścić się na Polince, która mu była przeszkodą w zabraniu znajomości z turkusówką. Zeszli na dół; ubrał Polinkę i wyszli.

— Jechać nie ma co, przejdziemy te dziesięć kroków—rzekł Robert.

Przeszli w poprzek Newski, i podążyli dalej brzegiem Mojki.

Hotel i restauracja „Mały Jarosławiec“ frontem wychodzi na Wielką Morską; ma jednak skromne, bez szyldów, wejście od Mojki: tamtędy weszła nasza para.

Lokaj wprowadził ich do dużego gabinetu i, rozebrawszy, w wyczekującej stał pozie. Polinka usiadła na kanapie, za stołem, nakrytym śnieżnej białości serwetą. Robert podał jej jedną kartę ze spisem potraw, — a sam, stojąc, dysponował z drugiej:

— Kawior, ostrygi, majonez z jesiotra...

— Wolę z łososia — mówiła Polinka — i karczochy.

— A więc: majonez z łososia i karczochy — przetłómaczył na rosyjski Robert; — dalej: kuropatwy z sałatą, i—lody!

— Pistacjowe!—dodała Polinka.

— Lafitte, Ykem, Potem Roederer dobrze zamrożony, kawa, ser, owoce i likiery! Zgoda?—zapytał maski.

— Zgoda!.. ale dla mnie herbata: kawy nie chcę.

Lokaj wyszedł; Robert, któremu szło o to, aby dobrze udawać, wziął Polinkę za rękę, ściągnął jej rękawiczkę, pocałował w zgięcie pod łokciem i szepnął, patrząc jej w oczy:

— A teraz, może zdejmiesz maskę?

— Za nic.

— Jak chcesz.

— Czy zawsze jesteś taki galant z kobietami?

— Nigdy!... ale dziś dałem słowo, a moje słowo—to opoka! Zresztą, widzę twoje rączki, część szyjki i uszko; jestem znawcą: wiem, żeś nie stara, a figlarne oczki mówią mi nawet, żeś i przystojna. Założyłbym się, że masz mały ostry nosek.

— Zakład nie możebny: trudnoby się było przekonać, boś dał słowo; a zresztą, mógłbyś się zakochać, a to niebezpieczne z dwu powodów: raz — ta turkusowa blondynka, a powtóre — mój mąż!...

— To ty masz męża? — zapytał niedowierzająco, przymrużywszy lewe oko, a prawem zezując.

— A to co? — odpowiedziała, pokazując obrączkę.

— To?... no! obrączka za jakieś dwanaście rubli, którą u każdego jubilera można kupić.

Polinka była bardzo zadowoloną: widocznie Robert ani przypuszczał nawet, kim ona jest.

Lokaj zaczął przynosić zakąski i wina; ponieważ rozmowa toczyła się ciągle po francuzku, więc jej nie przerywano.

— A więc, maseczko, boisz się, żebym się nie zakochał?

— A nuż!...

— Nie ma najmniejszej obawy: dla mnie miłość—to rzecz nadzwyczaj nudna!

— Co?... ty nie uznajesz miłości?

— Uznaję i lubię nawet, ale na bardzo krótko... Bo widzisz, miłość — to jak szparag: z początku smaczna, słodka... dalej łykowata... a jeszcze dalej sucha, twarda i—gorzka!

— Hum!... takiś młody i już taki zepsuty — odrzekła z westchnieniem.

— No, bierzmy się lepiej do ostryg!... — Ale zapomniałem: przynieś no Chablis! — rzekł do lokaja.

Kolacja była bardzo ożywioną: Robert ciągle żartował i ustawicznie dolewał wina. Gorąco było i zresztą czuła Polinka pragnienie, więc też nie wzdragała się wiele i piła dość dużo. Przy kuropatwach podano szampana; wino było zamrożone „w igiełkę“, więc pijąc ze smakiem nie czuła jego mocy. Robert kazał podać drugą butelkę; Polince zaczęło się jakoś kręcić w głowie, a on tymczasem ciągle rączki obcałowywał i wina dolewał. Powoli zaczęła nawet tracić świadomość tego, gdzie jest i co robi: o jednem tylko nie zapominała—o masce. Wprawdzie trudno w niej było jeść i pić, ale ją ciągle poprawiała, żeby się nie zsunęła.

Robert wstał i zamknął drzwi na zasuwkę.

— Co ty robisz?—pytała Polinka.

— Zamykam drzwi, żeby cugu nie było, bo się boję fluksji....

Powróciwszy usiadł obok niej na kanapie, nachylił się i pocałował w szyjkę, szepcąc:

— A może teraz zdejmiesz maskę?...

Za nic w świecie! — odrzekła, pochylając się ku niemu i mimowolnie maskę ręką przytrzymując.

— Jak chcesz!... mnie maska nic a nic nie przeszkadza!...

. . . .

— Ach! jak już późno — rzekła Polinka, patrząc na zegarek—już blisko trzecia!

Zwolna i niedbale powstała z kanapy i o stół się oparła.—Robert powstał również, i—jedną ręką objąwszy kibić, a drugą główkę cokolwiek odchyliwszy—za ucho ją pocałował. Zadzwonił później na lokaja, zapłacił rachunek, ubrał Polinkę w salopę i, wziąwszy ją pod rękę, na dół sprowadził.

— Sanki!—zawołał.

Sankarz podjechał, Robert Polinkę usadowił.

— Jeśliś uczciwy człowiek, nie będziesz mnie szpiegować.... na przyszłą maskaradę przyjadę do „Kupieckiego“, a teraz—adieu!

— Przeciwnie — odrzekł już po polsku Robert — ja cię odwiozę! — Do „Krasnego mostu“! — krzyknął na sankarza; wskoczył i, usiadłszy koło maski, objął ją wpół.

— Ach, ty szelmo jakiś! — zawołała zawstydzona Polinka — to niegodnie!... kiedyż mnie poznałeś?

— Od razu, jakeś tylko do mnie w klubie podeszła!

— Ależ to niegodziwie tak zwieść kobietę!

— Ja ciebie zwodziłem?... prędzej tyś mnie uwiodła!...

Podjechali do mieszkania Polinki; wysiadła i pobiegła na górę. Kręciło jej się w głowie, wypiła więc z chciwością szklankę selcerskiej wody i syfon postawiła koło łóżka. Służąca ją rozebrała, poczem kazała jej się oddalić, a sama, w bluzie tylko i pantofelkach na bosych nóżkach, chodzić zaczęła po miękkim dywanie, którym wybita była podłoga w sypialni. Męża nie było w Petersburgu...

Chodząc tak po pokoju, dwa razy podchodziła do syfonu i piła wodę; zwolna zaczęła przychodzić do siebie: działanie pieniącego się szampana ustawało, złuda przechodziła, coraz wyraźniej rysowała się rzeczywistość. Zebrała nakoniec myśli, stanęła nagle i, załamawszy ręce, zawołała:

— Co ja zrobiłam?

Usiadła na łóżku i przycisnęła rękę do palącego czoła. Przed oczyma jej migały obrazy, jak z latarni czarnoksiezkiej; maskarada—zamęt—Robert uśmiechnięty—kolacja sam na sam w gabinecie—szampan—palące pocałunki Roberta...

Zerwała się przestraszona i zaczęła niespokojnie biegać po pokoju.

Rzeczywiście z Polinką stało się coś fatalnego: pierwszy raz w życiu zdarzyło jej się być sam na sam z mężczyzną w gabinecie na kolacji... pozwolić całować się... przepędzić wieczór, jak kurtyzana! Polinka wprawdzie była kokietką; lubiła, żeby się za nią włóczono, żeby się do niej umizgano,—ale, pomimo tego, szanowała siebie i swego męża: dziś, nagle, wszystko to rozbiło się, jak szkło! Pojechała na maskaradę, żeby durzyć Roberta i zażartować z niego; a tymczasem stało się to, czego nie tylko nie przewidywała, ale nawet nie przypuszczała...

— A co on o mnie pomyśli?—zapytała sama siebie.—Co robić?

Długo chodziła i myślała...

— Niema co—szepnęła;—co się stało, już się nie odstanie... Nie rozumiem jednak, co mnie opętało?...—jechać z młodym chłopcem na kolację do gabinetu... kompromitować się... zapomnieć, aż do

tego stopnia!... Ale jak podobny postępek wymazać z karty swego życia?... Muszę go zobaczyć, i—rozmówić się z nim.

Jak widzimy, Polinka była głęboką filozofką, i prędko znalazła sposób rehabilitacji. Położyła się więc do łóżka i zgasiła świecę; zasnąć jednak bardzo długo nie mogła, a gdy nareszcie sen skleił jej powieki, śniła o namiętnych uściskach pięknego Roberta, i czuła ciągle palące jego usta na swojej szyi...

A on tymczasem, jadąc po rozstaniu się do domu, myślał:

— A to pyszny kawał; nawet mi do głowy nie przychodziło, że się tak skończy! Dobry numer z pani Polinki: puszcza się na kolacje w „Małym Jarosławcu"; pije szampitra, jak smok, całuje, jak strażak;—ciekawym, co to dalej będzie?... Niezła *ekstrawagancja:* dama ze studentem w gabinecie!.. Ale kolacyjka trzydzieści kilka rubeljansów—przesadzone!... Polinka nie warta tyle!... a jednak?..

Przyjechał do domu i w kilna minut spał już, jak zarżnięty.

Nazajutrz spotkał się w instytucie na papierosie z Frankiem, który go powitał temi słowy:

— Dobry sobie jesteś: oddałeś mi dwa czupiradła i puściłeś mnie w trąbę!... No cóż: byłeś z maską na kolacji?... udało ci się?...

— Aż zanadto!

— A któż to taki?—piękna?

— Nie wiem.

— Łżesz!... Jakto, nie wiesz, czy przystojna?

— Nie wiem: przez cały czas nie zdejmowała maski!

— I twarzy nie widziałeś?

— Nie!

— Kpisz!.. Słowo?

— Słowo!

— Więc jak?...

— No, tak—w masce...

— E, bierzesz mnie na kawał! No, mówże!...

— Nic nie mogę powiedzieć; może kiedyś dowiemy się obaj!

— Więc to jakaś straszna tajemnica?

— Żadna; ale co gorzej, że mi przez nią wymknęła się turkusówka!

— Jakto?... toś ty nie z nią był?

— A nie!

— Znów jakiś kawał!

— Jakby kto powykrawał.

— Słuchajno, Robercie, nie zawracaj pędzla i mów prawdę!

— Daję ci słowo, że mówię prawdę: byłem w „Małym Jarosławcu“ na kolacji, z kobietą, która ani na jednę chwilę maski nie zdjęła!

— I nie domyślasz się nawet, kto to był?

— Może, ale—muszę sprawdzić.

Woźny wszedł do *„fiumuaru“* i poprosił Roberta do szwajcara: oczekiwał tam posłaniec. Podał on maleńki, pachnący bilecik, a Robert, rozerwawszy kopertę zobaczył pismo drobne i niewyrazne, zawierające następujące słowa:

„Jeśliś Pan *uczciwy* i *honorowy* człowiek—to będziesz dziś, koniecznie *dziś*, u mnie o 7-ej wieczorem!

„Wczorajsza maska“.

— Kto cię przysłał?—zapytał Robert posłańca.

— Jakaś dama dała mi list przy „Kamiennym moście“; odpowiedzi nie kazała przynosić.

Robert dał mu na piwo, jeszcze raz przeczytał kartkę i poszedł na górę.

— Masz djable kaftan!—myślał, kładąc liścik do kieszeni.—Uczciwy i honorowy człowiek, i o 7-ej dziś koniecznie!... Słyszała, psia krew, jak turkusówka naznaczyła mi dziś na 7-mą schadzkę u Berrin!... Pani Polinka także kawalarka!... A może to zazdrość?... Ciekawy jestem, co ona mi powie?... A jak się baba przyczepi?...

Pomyślał i widocznie coś postanowił....

O pierwszej wrócił do domu, przebrał się i wystrojony pojechał do Miazgowej. Posłał bilet przez

lokaja; ale lokaj wrócił niebawem i oświadczył, że pani nie ubrana i przyjąć nie może, lecz bardzo prosi pofatygować się koniecznie o 7-ej wieczorem.

— Masz, babo, redutę! – pomyślał Robert.— Dobrze—odrzekł,—będę o 7-ej!

Schodząc ze schodów myślał:

— Łatwo to powiedzieć: będę o 7-ej;—a przecież turkusówki w trąbę nie puszczę: musi to być coś *ekstra fajn!...*

Poszedł na obiad do Truciciela, który go temi słowy przywitał:

— A cóż tam wczoraj na maskaradzie, jakież było powodzenie? Nie czekałeś pan końca: złapał maskę i fiu-fiu!... A po obiedzie będę miał z panem „do po-mówienia“!

— Skąd pan masz takie wiadomości?

— To mój sekret!

– Pewnie która z pańskich dziewcząt była na maskaradzie.

— A dalibóg, jaki pan domyślny! Była — Liza—i widziała; chciała nawet podejść, ale się bała

Przyszedł Dzyndzelans, Franek i Wrona, zjedli obiad i wyszli razem.

— Ja dziś przyjdę przed ósmą—mówił Wrona do Roberta; — przyniosę, oprócz fizyki, budowę

maszyn. Tylko zmiłuj się, żebym ode drzwi nie potrzebował znów odchodzić!

— Dziś nie mogę—odrzekł Robert,—odłóżmy na jutro..

— Mnie się zdaje, że trzeba zupełnie odłożyć; ja nie mogę nie uczyć się dla tego, że ty się bawisz w miłość: od dziś *pas*—uczmy się oddzielnie!

Wrona i Dzyndzelans pożegnali się i poszli na „Ekaterynhofski"; Robert z Frankiem podążyli ku „Izmajłowskiemu" i niezadługo doszli do domu, gdzie mieszkał Franek.

— Więc tedy—mówił na rozstanie Franek—przychodź do mnie na herbatę, a później: jazda do teatru!

— Do jakiego teatru?

— No, przecież wczoraj umówiliśmy się iść do francuzkiego na „Piękną Helenę"; bilety już mam!

— A prawda, zapomniałem!... Daj mi więc bilet, przyjdę wprost na przedstawienie: muszę przedtem załatwić interes... odszukać turkusówkę!

— Ale do teatru przyjdziesz?... Masz oto bilet!—dodał podając mu go Franek.

— Przyjdę; może się spóźnię trochę, ale będę na *pe!* Do widzenia!

Robert powrócił do domu, i zastał rozłożony na biurku arkusz papieru z następującym napisem:

Nigdy Cię nie ma w domu! Dziś wieczorem będziemy z Dziubandosiem: przyniesiemy Ci tort na nowe mieszkanie!

„*Tutawu*,
„*Fasolunio*“.

— Dobrze się wszystko składa: niech ich *donder* świśnie! Ale trzeba dać nura, bo gotowi jeszcze przyjść wcześniej; a i Dunia może nadejdzie...

— Przebrał się z pośpiechem, zapalił lampę i, pod zawiadomieniem Fasolki, na tymsamym arkuszu, napisał dużemi literami:

„Dziś jesteśmy z Frankiem na Pięknej Helenie!“

Wyszedł z domu o szóstej: miał jeszcze dość czasu, więc przechodząc przez most zatrzymał się i oglądał ostateczne wyszykowywanie ślizgawki, którą miano jutro od rana otworzyć. Idąc następnie wolnym krokiem, gapił się na wystawy sklepowe, żeby czas zabić; i tak doszedł przez Sadową do Newskiego. Na „Dumie“ było po w pół do siódmej; poszedł więc wprost na Małą Morską, gdzie była cukiernia *Berrin*, sławna z czekolady i lodów.

Wszedł, rozejrzał się i przeszedł do następnego pokoju; zaledwie jednak próg przestąpił, gdy siedząca przy stoliku szykowna kobieta wstała i podeszła do niego, wyciągając rękę.

— *Bonjour!* — mówiła. — *partons: je suis pressée!*...

Wyszli razem; podjechały duże sanie, Robert podsadził kobietę i sam usiadł. Sanie pomknęły.

— Bardzo dobrze, żeś się pan nie spóźnił; wczoraj zapomniałam, że dziś gram, i naznaczyłam widzenie się na siódmą. Proszę czekać na mnie po teatrze!

Robert nie mógł dobrze zobaczyć całej twarzy turkusówki; miała na sobie rotondę z dużym kołnierzem z niebieskich lisów i takąż czapkę. W parę minut zajechali do teatru „Michel"; wysiedli przy świetle kilku latarni gazowych, i wtedy to dopiero poznał Robert w swej towarzyszce pannę *Blanche Mabelle*, artystkę teatru francuzkiego występującą w drugorzędnych rolach. Znał on ją ze sceny i z ulicy: była to przystojna blondyna, o wielkich, wyrazistych oczach, a choć artyzmu w niej było nie wiele, stanowisko swe zawdzięczała wyjątkowo pięknej budowie ciała i silnej protekcji jakiegoś wpływowego bardzo dygnitarza.

— Sytuacja zaczyna się poprawiać!—pomyślał Robert i zobaczył godzinę: było parę minut po siódmej.

Przeszedł przez „Pasaż" na Newski i wziął doskonałego sankarza, tak zwanego „*lichacza*". W trzy minuty później wchodził do pani Poliny.

Przyjęła go w bardzo eleganckim buduarze, w którym nagromadzone było całe nieomal muzeum chińszczyzny i japońszczyzny: brat bowiem Polinki był marynarzem, a robiąc kilkakrotne wycieczki do Chin i Japonji, przywiózł jej ztamtąd nie tylko całe umeblowanie, ale przeróżne parawaniki, stoliki, wachlarze, wazony, figurki i t. d.

Robert wszedł z wesołym uśmiechem; Polinka zaś, przeciwnie, miała minę bardzo uroczystą i poważną, a nawet, widząc go wchodzącego, lekko się zarumieniła.

— Bardzo panu dziękuję, żeś przyszedł!... Panie Robercie! musisz mi pan dać słowo honoru, że o wczorajszem zdarzeniu nigdy nikomu nie wspomnisz,—że sam nawet zapomnisz—nie tylko o dniu wczorajszym, jakby on wcale nie istniał, ale—i o mnie!...

— Przyrzekam,—rzekł Robert, podnosząc uroczyście rękę, ale jednocześnie uśmiechając się trochę z szyderska — przysięgam i daję słowo honoru!—Czy jesteś pani zadowoloną?...

— Pan nie wiesz, *wiele* wycierpiałam od wczoraj, to jest, właściwie, od *dziś rana*.

— Nie mówmy o tem—przerwał,—wczoraj—nie istnieje!... Czy pani nie idzie czasem dziś do teatru?

— Nie mam zamiaru... Dla czego pan pyta?

— Tak... bo ja idę na „Piękną Helenę“. Czy pani zna tę operetkę?

— Jeszcze nie widziałam; ma być, podobno, bardzo nieprzyzwoitą!

— Widziałem ją niedawno, jak dawano po raz pierwszy: ale nic nieprzyzwoitego nie widziałem!— i spojrzał na zegarek.

Pani zerknęła na niego z ukosa.

— Jeszcze czas—mówiła,—proszę na filiżankę herbaty!

Zadzwoniła; wszedł lokaj.

— Przynieś nam herbaty!... Więc pan idziesz na „Piękną Helenę“?—pytała.

— Tak! Broniewski już poszedł: spotkamy się w teatrze.

— Muszę i ja wybrać się; ale poczekam, jak mąż wróci.

Lokaj przyniosł herbatę w dwóch dziwacznej formy chińskich filiżankach; Robert dość prędko wypił swoją i powstał.

— Moje uszanowanie—rzekł,—już blisko ósma trzeba jechać!

— Żegnam pana!... *Verbum nobile?...*

— *Debet esse stabile!*—dopowiedział Robert i, pocałowawszy Polinkę najpoważniej w rękę, dodał:

— Wszystko i wszyscy... w zapomnienie, czyli najzupełniejsza trąba!—i, śmiejąc się wesoło, wyszedł.

Polinka pomyślała.

— Jak on się urządził? miał być o siódmej u *Berrin!*

Po wyjściu Robert natychmiast pojechał do teatru, spóźnił się jednak parę minut. Franek dopytywał go się w antrakcie, gdzie był; ale zbył go niczem. Opowiedział mu tylko o turkusówce *Blanche*, a po skończonem przedstawieniu rozstali się i Robert poszedł oczekiwać przed podjazdem artystów. *Blanche* wkrótce wyszła: wsiedli w jej wielkie sanie i konie poniosły ich, jak wicher.

— Zapraszam pana do siebie na herbatę—rzekła, przytulając się do Roberta.

— Bardzo jestem szczęśliwy—odrzekł.

Blanche mieszkała na Litiejnej, zajmowała niewielki, ale z przepychem urządzony apartament. Gdy weszli do przedpokoju, fertyczna służąca szepnęła coś swej pani, a ta odrzekła głośno:

— Nie przyjmuję nikogo!

Przeszli do małego saloniku, obitego jasno turkusową materją, z meblami tegoż koloru.

— To mój ulubiony kolor—rzekła *Blanche* i wyszła.

Po chwili powróciła i poprosiła do stołowego pokoju, gdzie stał kipiący samowar, a na stole zastawa składająca się z zimnych przekąsek, owoców, ciasta i wina.

Gospodyni była bardzo wesoła i bez najmniejszej ceremonji, czas więc przy kolacji prędko i mile przechodził. Robert w dobrym humorze dotrzymywał jej również placu, przy stole zatem bezustanny prawie śmiech panował, zwłaszcza, że wzajemnie dolewali sobie wina, które ich jeszcze więcej do wesołości pobudzało...

Robert wrócił do domu koło trzeciej z rana, mocno w dodatku podchmielony. Zostawiona lampa paliła się jeszcze, a pod nią leżał ów wiadomy arkusz papieru. Robert rzucił nań okiem i spostrzegł, iż pod zawiadomieniem o tem, że poszli na «Piękną Helenę», Fasolka, który znów napróżno przychodził,—dopisał:

«Teatra im we łbach, a kraj w nędzy!!!...»

VII.

Przeszło kilka tygodni; Robert był ciągle jakby w upojeniu: *Blanche* porwała go i zawładnęła nim całkowicie. Nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, co się z nim dzieje: fala namiętności i rozkoszy porywała go, i—coraz dalej od brzegu unosiła... Zaniedbał naukę i kolegów! nie bywał w domu po dwa i po trzy dni, a jeśli wracał do siebie, to bardzo późno, znużony, często pijany... Wstawał zazwyczaj także nie wcześnie, i opuszczał przez to lekcje.

Blanche—była dzieckiem Paryża a właściwie—ulicy tego miasta. Młoda, ale przesiąknięta rozpustą do szpiku kości, była ona istotną kapłanką Wenery i wyrafinowaną ladacznicą. W sercu jej wszelkie uczucia wzniosłe i czyste wygasły w samym zarodku, dzieckiem bowiem jeszcze będąc—straciła duszę; zostało jej ciało, wprawdzie piękne, kształtne, i młode, ale tylko—ciało.

Robert zrobił na niej wrażenie; jego uroda, piękność—pociągnęły ją: pożądała go, i—popychała w otchłań. Mistrzyni kultu ohydnej rozpusty nowego Babilonu, gdzie go wystudjowała,

z zapałem i najwyższą finezją prowadziła wykłady, by kult ten przelać w Roberta...

Mimo trzech tygodni znajomości, *Blanche* nie nasyciła się jeszcze Robertem; podtrzymywała go więc ciągle w gorączce i odurzeniu: po za nią— nic dla niego nie istniało...

Dunia kilkanaście razy zachodziła, ale nie zastawała go w domu; zdecydowała się w końcu przyjść zrana: zastała go wprawdzie, ale Robert był mocno rozdrażniony i przyczepił się do niej, że go napastuje i robi mu sceny, kiedy tymczasem dziewczyna zachowywała się jak najspokojniej i jak najciszej; a gdy, skutkiem ostrych wymówek Roberta, zaczęła płakać, wypchnął ją najformalniej za drzwi i pokazywać się zabronił.

Koledzy zaczęli się o Roberta niepokoić; Franek domyślał się, że to *Blanche* go tak absorbuje, ale ani przypuszczał, żeby do tego stopnia zaniedbał nauki. Chcąc raz zwrócić z lekka jego uwagę, zaczął go wypytywać, ale Robert zbył go niczem; wtedy Franek udał się do Fasolki, jako starego przyjaciela Roberta, opowiedział mu wszystko, co wiedział i czego się po trochu domyślał, i prosił o pomoc, żeby Roberta pohamować i od zguby powstrzymać.

Na drugi dzień rano, przed dziewiątą, Fasolka pukał do drzwi Roberta, który spał jeszcze

snem bohaterskim. Stuk ten obudził go, więc zerwał się i przetarłszy oczy:

— Kto tam?—zapytał.

— To ja, Fasolka!

— A cóż się stało?—pytał Robert otwierając drzwi. — Czyś sfiksował, żeby o świcie przychodzić!—dodał, podając rękę.

— Jeśli o zmierzchu nie można cię zastać, musiałem przyjść o świcie, żeby cię nakoniec zobaczyć. Dwa tygodnie już przeszło, jak na ciebie poluję—ale nigdy cię nie ma; co się z tobą dzieje?... Ależ jak ty, psia krew, wyglądasz?.. Niechże cię kołem tłuką!... Jakbyś się przez dwa tygodnie łajdaczył bez wyjątku: *sans exception!*

Robert ziewnął szeroko i począł się ubierać. mówiąc:

— Owóż tedy, barania głowo z pieprzem i imbierem (jak mówił Wilkoński) mości dobrodzieju! trzeba ci wiedzieć, że poznałem *Blanche Mabelle*, i od trzech tygodni jesteśmy w przyjaźni.

— Winszuję ci, zazdroszczę i podziwiam!... ale nie widzę przyczyny, żeby—całować *Blanche* po dwadzieścia cztery godzin na dobę, puściwszy instytut, naukę i kolegów w trąbę!... a głównie, żeby być niekonsekwentnym: albo się bowiem ma zasady, albo się ich nie ma! Mówiłeś 512 razy:

facetki swoją drogą—a nauka swoją ścieżką; tymczasem facetka wlazła i na drogę i na ścieżkę, a nauka—w trąbę!...

Robert trochę się zmieszał.

— Widzisz, bo...—zaczął.

Ale Fasolka nie dał mu przyjść do słowa.

— Ładny kawał — mówił — zrobił ci Wrona: do roboty heblarki bierze Kuszla; powiada, że ty już na psy zeszedłeś i że robić nie będziesz, a heblarkę tymczasem trzeba wykończyć na wystawę!

Robert się zaczerwienił.

Fasolka kłamał wprawdzie, ale kłamał umyślnie, bo znał słabe strony Roberta i wiedział, jaką strunę poruszyć, by celu swego dopiąć.

— Masz rację—rzekł głośno Robert,—można pogodzić jedno z drugiem: nie trzeba zaniedbywać nauki. Dziękuję ci, żeś mi to przypomniał!—dodał, ściskając rękę Fasolki.

Podano samowar; przyjaciele zasiedli do herbaty.

— Wiesz co, Roberto: przyjdę z Łabędzkim dziś wieczór do ciebie. Miałem ci nawet przynieść tort z dukatem na nowe mieszkanie, ale tak się już przewlekło, ze zamiast tortu przyniesiemy ci rogal od Petermana.

Ktoś zapukał.

— Proszę!—rzekł Robert.

Wszedł posłaniec i podał list. Robert rozerwał kopertę i przeczytał w myśli co następuje:

„Postępujesz ze mną, jak z kokotką; czy to godnie zerwać kwiatek dla tego, żeby go rzucić i podeptać? Nie czujesz się nawet w obowiązku zobaczyć tę, z którą postąpiłeś tak nieszlachetnie! Prawie miesiąc oczekuję Cię, a Ty nie dałeś nawet znaku życia i *zostawujesz* mię w ciągłym niepokoju. Czekam Cię jutro w Kupieckiem klubie: kocham i *tęschnię!*...

„Opuszczona maska“.

— A niechże cię morska choroba napadnie!— zaklął głośno Robert i schował list do kieszeni.

— Co się stało?—zapytał Fasolka.

— Nic wielkiego, ani ważnego.

Robert był rycerzem w całem tego słowa znaczeniu: nigdyby więc nie zdradził tajemnicy Polinki i awanturki jej nie opowiedział. List struł go jednak.

Fasolka po herbacie wyszedł, jeszcze raz przypominając, że wieczorem przyjdzie z Łabędzkim.

Po wyjściu przyjaciela Robert długą sam ze sobą miał rozmowę. Postanowił od jutra wziąć się do nauki i do roboty, a *Blanche* widywać o tyle, o ile mu to w zajęciach nie przeszkodzi. Ubrał się; a przekładając pugilares z kurtki do

żakiety, wyjął z kieszeni list Polinki, i zatrzymawszy go przez chwilę w ręku, uśmiechnął się i myślał:

— Prawdziwa kobieta!... zwyczajna, szablonowa!... Wymaga uroczystego zapewnienia, że wybryk jej zostanie zapomniany, że wszystko pójdzie w absolutną niepamięć... a potem: sama *napatacza* się... robi wymówki za to, że dotrzymuje się danego przyrzeczenia!... komedja! — mało powiedzieć komedja—farsa!... Ale gdzież na świecie nie ma komedji?... Wszak my wszyscy, ludzie— komedjanci i pajace, a kula ziemska—to wielka heca do komedyj i fars!... albo też i dramatu czasem.

Lekkie westchnienie i łkanie przerwały monolog Roberta; obejrzał się—to Dunia stała we drzwiach. Robert brwi zmarszczył.

— Cóż znów za komedje wyprawiasz?... Czego płaczesz?

— Ja nie płaczę — odpowiedziała ze łzami w oczach, starając zdobyć się na uśmiech.

Zbliżyła się z wolna do Roberta, który obojętnie rękę do niej wyciągnął; ale ona ujęła tę rękę i w swojej zatrzymała, a później—przytuliwszy głowę do jego piersi i łkając głośno—mówiła:

— Robert! wy mnie już nie kochacie... wy zapomnieliście o mnie... wypędzili...

— Uspokój się!—przerwał Robert łagodniej.—Co się z tobą dzieje? czego płaczesz?... Uspokój się: proszę!...

Pocałował ją w czoło i z lekka pogłaskał po skroni; Dunia podniosła nań duże, piękne, załzawione swe oczy, i uspokoiła się cokolwiek. Zaczął ją grubo obełgiwać, i wkrótce—wyszli razem w doskonałej zgodzie.

Na obiedzie u Truciciela, Robert zaprosił Franka i Hrehorowicza na herbatę. Przed wieczorem wrócił do domu, a chodząc po pokoju myślał:

— Wszystko to jest arcy piękne, ale *Blanche*, Dunia, a w dodatku Polinka—to trochę przesadzone!... Polinkę łatwo puścić w trąbę, a raczej utrzymać ją w niej, boć już przecie dawno puszczona; ale jak się Duńki pozbyć?... Głupia bestja, aż pfe!... i nudna do tego: trzech słów nie można z nią zamienić!... Nie rozumiem doprawdy, co mi się w niej tak podobało?

Ale tu się Robert uśmiechnął; przypomniał więc sobie widocznie, co mu się podobało.

Nadszedł Franek; wypytywał się najpierw o *Blanche*, a potem o Dunię.

— Wiesz co, Franeczku?... Ustąpię ci Dunię *cum lasis, boris, graniciebus et omnibus rebus*,—bez najmniejszej pretensji!

— Dziękuję ci—nie wezmę; ale, chcąc ci się również wywzajemnić, mogę ci darować moje szare spodnie, co ci się tak podobają!

— Nie noszę po nikim starzyzny' Ale nie masz się czego obrażać, mój Franeczku, i facjendować Dunię na stare portki!

Witajcie, Ajaksowie! — wołał wchodzący Fasolka, za którym ukazał się Łabędzki.

— *Salve!*

Młodzież uścisnęła sobie wzajemnie ręce.

— Cóż, kolega już zaaklimatyzował się w Pitrze?—pytał Robert Łabędzkiego.

— Ależ to szampańskie miasto! Facetki, ci panie, pyszne... nie skąpe... można sobie dać radę; tylko zimno, psia mać, a ja mam *palito* wiatrem podszyte!

— Wstyd, żeby taki młody chłop na mróz narzekał!—przerwał Fasolka.—Bierz ze mnie przykład: ja tam wcale futra nie znam, tylko palto *jeszonowe*, i nie marznę—krew grzeje!

— Zresztą—wtrącił Robert—ma specjalny szalik, którym podwiązuje uszy.. ale tylko w nocy, bo ów szalik: jest-to stara płócienna nogawica—taniość i elegancja!

— Mój Robercie! nie kompromitowałbyś mnie tak fatalnie; patrz, jak się zaczerwieniłem...

— To ty się jeszcze rumienisz?—pytał Franek.

— A ty—jeszcze nie?

Służąca wniosła kosz piwa; Robert z Fasolką pootwierali butelki, a młodzież zasiadła do stołu i popijała.

— Wczoraj—zaczął Łabędzki—byłem u górników na „Bazylówce“ [1]); poznałem tam waszego kolegę Perłowicza: ho, ho! umie pić i wymyślać!... Ale kolegę Roberta ma, widać, na wątróbce: przyczyna zapewne...

-- *Cherchez la femme!*—przerwał Fasolka.

— Cóż to. nie *czekawszy* na mnie zaczęliście piwonję! — zawołał wchodzący Hrehorowicz, i wyjął z pod burki pudełko ze skrzypcami.

— *Vale! Dzyndzus vulgaris!*—witał Fasolka. Zmarzłeś?... golnij piwonji, to się rozgrzejesz!

Hrehorowicz przywitał się ze studentami i usiadł przy stole; Robert nalał mu piwa Wypił i zaczął:

— Byłem na ślizgawce...

— A ty tam po co, skoro na łyżwach jeździć nie umiesz?

— Ot! właśnie nauczyłem się!... i już bardzo dobrze ślizgam się...

— Ze zręcznością siedmioletniego słonia!—przerwał Fasolka.

---

[1]) Część miasta, nazywająca się właściwie „Wasilewskij Ostrow“, gdzie znajduje się „Instytut Górniczy“.

— Ręczę, że Dzyndzelans wypatrzył tam jakąś facetkę!—mówił śmiejąc się Franek.

— I zdążył już skomponować na jej cześć sonatę, którą zaraz *wyrżnie* na skrzypcach!—dodał Robert.

— Pod tytułem: „*Hommage à ma belle inconnue!" Sonate pour violon, composée par M-r Hrehorowitsch*,—dorzucił Fasolka:—bo on ma pasję do francuzkich tytułów!

— Ależ dajcie i mnie *takoż* słowo powiedzieć!—przerwał niecierpliwie Hrehorowicz.—Otóż poznałem nie żadną facetkę, a panienkę, młodą i taką śliczną, że aż zakochałem się...

— Nie gadaj?—przerwał Fasolka.

— Dalibóg!... przychodzi co dzień z guwernantką na ślizgawkę, ale dziś nie była...

— A ty, nieboraczku, czekałeś, aż ci kluka na lak zmarzła!—żartował Robert, — Ty zawsze jesteś frajer: lecisz na jakieś podlotki... co ci tam z panienki z guwernantką!...

— A kiedy taka śliczna i przyjemna!... A z jaką gracją jeździ na łyżwach!... Już cztery razy widzieliśmy się, i zdaje się, że jesteśmy wzajemnie *pokochawszy* się!...

Wybuch homerycznego śmiechu czterech studentów przerwał Hrehorowiczowi.

— Cóż tak nadzwyczajnego i pociesznego, że tak śmiejecie się, jak warjaci? — pytał obrażony.

— Jesteś fujara, fujareczka, kochany Dzyndzelutku! — Za twoje zdrowie! — odrzekł Fasolka, wznosząc szklankę z piwem.

— Wiwat Dzyndzelans! .. Niech nam żyje!... odezwali się inni.

Ktoś z lekka zapukał do drzwi.

Proszę! — rzekł wstając Robert.

Wszedł Suseł; rzucił okiem i zatrzymał się, Robert podszedł do niego i przywitał.

— Przepraszam — mówił półgłosem przybyły, — ale przyszedłem zwrócić panu pożyczone dwadzieścia pięć rubli!...

— Proszę się nie spieszyć — przerwał Robert.

— Dostałem wsparcie od gminy izraelickiej. Przepraszam — przeszkodziłem...

— Ależ gdzie tam, proszę do kompanji! Pan Suseł: młodszy kolega! — rekomendował Robert, podprowadzając przybyłego do stołu.

— Ależ znamy się przecież — odrzekł Fasolka.

Łabędzki wstał i, podawszy rękę, zarekomendował się.

— Prosimy siadać! — rzekł zwracając się do Susła Robert. — Fasolka, przysuń-no piwo!... Właśnie Dzy...— przepraszam — kolega Hrehorowicz opowiadał, że zakochał się na ślizgawce...

— I skomponował marsza, pod tytułem: „Miłość i lód, czyli *les extrémités se touchent!*“ — przerwał Fasolka.

— Mylisz się—mówił Łabędzki,—nazwał przecie: „Miłość na mrozie, czyli kapka u zziębniętego nosa!“

— Kiedy bo wy, jak rozpuścicie ozory, to człowiek tak mętnieje, że nie wie, co odpowiedzieć—bronił się smutnym głosem Hrehorowicz; — a w dodatku, tak prędko mówicie, że nie dacie czasu człowiekowi na odpowiedź...

— Ależ mów, mów Dzyndzelku! tylko najprzód powiedz, czy twój ideał rzeczywiście wart zachodu? — pytał Franek,—to poszlibyśmy z Robertem na ślizgawkę.

— Nie dla psa kiełbasa, nie dla niemca niebo: obliż się, rybeńko, tożto panienka z porządnego domu...

— Jakiego? murowanego, czy drewnianego?— przerwał Fasolka.

— Nie przerywaj!... a potem, mnie się zdaje, że ja już dla niej nie jestem obcy, i sam...

— Jestem *zakochawszy!*—przerwał znów Fasolka.—Przysuń no swoją szklankę i pana Susła; opowiadanie o swoich sukcesach zatrzymaj dla frajerów!... A może ty, hyclu, udajesz tylko Inocentego: panience zawracasz gitarę, a lecisz na

guwernantkę?... No, panowie, nasze kawalerskie zdrowie!

— I wszystkich szykownych facetek!—dodał Łabędzki.

Młodzież wypiła.

— No, Hebe, nalewaj!—wołał Robert na Fasolkę.

Fasolka wziął butelkę i zaczął od szklanki Susła.

— Jak może być Hebe rodzaju męzkiego?—zapytał tenże.

— No, to *hebes!*—rzucił Hrehorowicz.

— Patrzcie *no go*, to i pan Gregorowicz się puszcza!—zawołał Łabędzki.

— Ja nie jestem żaden Gregorowicz, tylko: Hre-ho-ro-wicz!—odpowiedział wolno i dobitnie; poczem powstał i podniósłszy szklankę wygłosił:—Panowie, za zdrowie miłości!

— Czyś zmaniony?... Jakie zdrowie, i jakiej miłości?—zapytał Franek.

— Dzyndz zdekoncertował się.

— Jakto: jakie zdrowie? No! takie... takie...

— Zwyczajne!—podpowiedział Łabędzki.

— Zwyczajne!—powtórzył Hrehorowicz.

— No, a jakiej miłości?—zagadnął Robert.

— Miłości—mówił z patosem Hrehorowicz—wzniosłej!... czystej!..

— Alembikowej!—przerwał Fasolka.

— Abo ty wiesz, co to jest miłość? ty niedołęgo!—zagabnął Franek...

— Miłość—jest to...

— To jest: była córką świętej Zofji!—przerwał Fasolka.

— Miłość — to kawał, na który się bierze dziewczyny!—mówił prędko Łabędzki.

— Pyszna definicja!—zawołał Franek.

— Choć nie zupełnie moralna — odezwał się Robert.—Jabym powiedział, że miłość jest to szósty zmysł, znajdujący się między dotykiem...

— A powonieniem!—przerwał Fasolka.

— Głupiś!—a smakiem!

— A to dla czego, ciekawym?—pytał Hrehorowicz.

— Alboż pan nie wiesz, że miłość bywa smaczną i dotykaną—odrzekł Łabędzki.

Suseł nic nie mówił, uśmiechał się tylko.

— Cóżto pan taki milczący?—zapytał go Robert.—A jakie pańskie zdanie?

— O panach?—żeście weseli chłopcy: gadacie głupstwa nie zgodne z tem, co czujecie. Ale to w porządku rzeczy: teraz czas odpowiedni do brawury; inaczej będziecie mówić, jak się pożenicie.

Robert wybuchnął śmiechem.

— Po-że-ni-cie!—zawołał.—Czy pan z Honolulu?

— Nie panie, z Konina!—odrzekł śmiało Suseł.—Jak się pan ożenisz i będziesz miał dom swój własny, inaczej o miłości będziesz się wyrażał.

— Wiecie co, to paradne!—mówił Robert.—Szanowny kolega jesteś młody—to prawda, niedawno dopiero zrzuciłeś skórę scyzoryka, ale jak przebędziesz z nami lat kilka i życie lepiej poznasz: nie będziesz się dziwił, że my tak, a nie inaczej, miłość uważamy.

— Eh! blaga, panie,—nic więcej! Wszyscy udajecie przeżytych, rozczarowanych, pesymistów i zepsutych w dodatku: a w gruncie rzeczy jesteście dobrzy chłopcy, tak, jak pan naprzykład; a niechno się pan jeszcze ożeni—będziesz sto kroć lepszy!

— Panie Suseł! wierz mi pan, szczerze i poważnie powiem, że ja się stanowczo nigdy nie ożenię! Na djabła mi ten kłopot i koszt niepotrzebny!... Żeby mieć żonę?... Toć, pókim młody, mam dość różnych żon; a życie rodzinne wcale mnie nie zachwyca: bo to sadzawka stojącej, zapleśniałej wody, bez najmniejszego ruchu. Romanse, awanturki—to rozumiem: bo to morze, z falami i uraganami... tak, kolego! Oprócz tego, trza

wiedzieć, że mam wrodzony wstręt do kołysek, pieluszek, troistego proszku, pietruszeczki, mydełka et cætera!..—A jak się zestarzeję—tem bardziej nie ożenię się: nie chciałbym bowiem być parawanem!...

— I rogaczem!—dodał Łabędzki.—Choć, swoją drogą, pan Suseł ma także rację: niema jak młoda, piękna, rozumna i kochająca żona... ale cudza!

— Choćby nawet przyjaciela—wtrącił Franek.

— Boć przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciołmi: a któż lepszy przyjaciel, jak nie żona?... nie prawdaż, panie Suseł? — spytał Fasolka.

— Ot! barłożycie nie wiedzieć co — odezwał się Hrehorowicz,—lepiej zagrajmy: chodź, Fasolka, do pianina!

— Masz pan rację—zwrócił się do mówiącego Suseł;—mówią, aby gadać; a wszystko to pożeni się i będzie...

— Zdaje się, że tu pańska religja przez pana przemawia—przerwał Fasolka.

— Jakto religja?.

— A bo u was cały grunt na ożenku, do czego przystępujecie, mając po lat czternaście.

— Niestety! bywa tak, ale to u ciemnych ortodoksów... do których, spodziewam się, że mię pan nie zaliczasz.

— To pan przyjąłeś chrześcijaństwo?

— Tego nie powiedziałem.

— Więc masz pan zamiar?

— Obecnie nie,—i zdaje mi się, że i w przyszłości mieć go nie będę.

— Dla czego?

— Łaskawy panie! czy nazywasz Stwórcę — Bogiem, czy — Jehową; czy modlisz się do Niego po polsku, czy po hebrajsku:—bylebyś był uczciwym człowiekiem i zacnym kraju swego obywatelem,—to wszystko jedno, jakie ci tam wyznanie w książeczce legitymacyjnej, lub paszporcie, napiszą.

— Masz pan najzupełniejszą słuszność; ale swoją drogą, skoro pan z nami lat parę przepędzisz i niejedno zobaczysz: to ci i ochota do żeniaczki odejdzie.

Fasolka usiadł przy pianinie i uderzył kilka akordów; Hrehorowicz wyjął skrzypce.

— Uderz no *a!* Ot, *skrzypca* rozstroiła się—mówił przykręcając kołki.

— A co zagramy?—zapytał Fasolka.

— A no, rozumie się, że te kontredanse *composés par M-r Hrehorovitsch.*

— Jazda!

— Zaczęli pierwszą figurę. Kontredanse owe—była to kompilacja z rozmaitych operetek: ale

grali wesoło i z życiem. Suseł zbliżył się do pianina; a Robert, z Łabędzkim i Frankiem, siedząc na kanapie, popijali piwo.

— Masz pan już znajomych?—zapytał Franek Łabędzkiego.

— Mam kilkunastu studentów, z naszego i z waszego instytutu; oprócz tego znam kilku górników, a niedawno poznałem się z medykami, — nawet byłem już raz u nich, ale piekielnie daleko na „Wyborską...

— A nie poznałeś kolega czasami — zapytał Robert — studentek, naprzykład naszej rodaczki Kożuchowskiej?

— Nie, słyszałem tylko o niej: ma być bardzo inteligentna, postępowa i niebrzydka.

Robert się roześmiał.

— Postępowa! — jak w jakim kierunku; nie brzydka? — podobno, choć ja tego nie widzę; ale musicie ją poznać: ciekawy okaz!

Tylko zbałamucić się nie da — dodał Franek: mądra ryba!... A z familijnych domów nie masz pan żadnego znajomego?

— Nie.

— To musimy pana zapoznać, mamy tu bowiem znajomych Drzewickich: nadzwyczaj mili ludzie i oboje lubią studentów. Zbiera się u nich bardzo przyjemne towarzystwo: grywamy tam

w wista, w muszkę i zresztą — emablujemy damy!

—Z przyjemnością, będę wam wdzięczny: proszę tylko nie zapomnieć o obietnicy.

Łabędzki wstał, zapalił papierosa i zbliżył się do pianina; Franek półgłosem zwrócił się do Roberta:

— Więc Dunia w zupełną trąbę?... Wstydź się! szkoda dziewczyny: taka sympatyczna i nie zepsuta...

— Proponowałem ci ją w spuściźnie: pocieszaj ją, jeśli ci się podoba; ale raz już nareszcie przestań być cielęciną!

Ostatni akord szóstej figury, był akompanjamentem do tego epitetu. Fasolka wstał, przeciągnął się i zawołał:

— Chłopy! jazda do Eldorado na kolację!

Projekt przyjęto; młodzież zaczęła się ubierać.

— Ja pożegnam panów—mówił Suseł.

— Chodź pan z nami, zobaczysz Eldoradko!

— Nie, dziękuję, nie mam na to pieniędzy.

— Fracha! jak pan z nami idziesz, to płacisz tylko dziesięć *ko* za przechowanie palta; my za wejście nie płacimy, jako filary instytucji—mówił Fasolka.—A zresztą, między nami mówiąc, żeby tak trzeba było płacić *entrée*: to i my nie chodzilibyśmy. No, jazda!

Studenci wyszli i. miernym idąc krokiem, w pięć minut wchodzili do oświeconej sieni.

Na rogu prospektów: „Wozniesieńskiego“ i „Ekaterynhofskiego“, w olbrzymiej kamienicy, zajmował całe pierwsze piętro przytułek zabawy: „Eldorado“. Elegancko urządzony wielki salon, z estradą dla muzyki, rzęsiście zawsze oświecony, przeznaczonym był specjalnie do tańca, a w poście na koncerty lub panoramę; dalej znajdowało się kilka sal ze stołami do jedzenia, a następnie wielki bufet i sale bilardowe. Za wejście do „krainy złota“ mężczyzni płacili po rublu, ale „stali goście“ mieli bilety gratisowe. Płeć piękna za wejście nie płaciła nic zgoła, ale była zato filtrowaną przez specjalnego, a kompetentnego „kontrolera“, który bez najmniejszej apelacji decydował, czy daną osobę wpuścić można. Publiczność rodzaju męzkiego przeważnie stanowiła młodzież, chociaż za każdą razą spotkać można było i poważnych staruszków, do grona „stałych gości“ należących. Niektórzy z nich nawet stanowili niejako żywy inwentarz zakładu: nie opuszczali bowiem ani jednego wieczoru w ciągu roku. Lwią część gości stanowili: kantorzyści, subjekci, studenci i wojskowi; resztę zaś—„porządnie ubrani“, co było niezbędną kwalifikacją do wejścia. Co do gości płci nadobnej, to były to przeważnie we-

sołe córy... a dalej szły magazynierki i szwaczki, które na pochyłą wstąpiwszy drogę, coraz to chyżej spadały w błoto prostytucji... Większość ich nie „zadawała się“ wprawdzie z „wesołemi córami“, ale w gruncie rzeczy odróżniały się tylko skromnością.... sukien i mniejszą interesownością.

Zabrzmiały wesoło dźwięki „*ritournell'a*“, do rozpoczynającego się kadryla z „Pięknej Heleny“; kilkadziesiąt par stanęło wzdłuż sali. Na środek wyszedł wysoki, pięćdziesięcioletni może mężczyzna, o poważnej postawie i wygolonej twarzy; nos jego, niemiłosiernie długi, oraz cała fizjognomja—przypominały jakiegoś ptaka; ubrany był w czarny surdut i śnieżnej białości krawat. To zarządzający zakładem: pan Andreas Schilling,—postrach „zawianych“, „awanturników“, i „kankaniarzy“ (nota bene—niezgrabnych). Na jedno skinienie tego Jowisza, kilku pachołków wyprowadzało, a nawet wynosiło gościa, który się zachowywał nieprzyzwoicie; on również poddawał ostracyzmowi nieodpowiednio znajdujące się niewiasty i pozbawiał je praw... wejścia do zakładu: na tydzień, dwa, miesiąc, lub nawet pół roku—stosownie do stopnia przewinienia. Schilling był na wysokości swego zadania: srogi, ale sprawiedliwy; nie dawał się powodować, ani też brać na wdzię-

ki... był też powszechnie szanowany i—częstowany.

— Kontredans szedł wesoło i ochoczo: Andreas, w roli Argusa, bacznie strzelał oczyma, aby przyzwoitość była zachowaną. Kankanowanie nie było dozwolonem... Tolerowano wprawdzie pewne wyjątki, ale to tylko dla niektórych osób, a właściwie mistrzów, którzy mieli rezerwowane odpowiednie miejsce przy orkiestrze, otaczane zwykle masą widzów; w zasadzie jednak za kankana, po dwu ostrzeżeniach, winowajca lub winowajczyni zostawali „usuwani“ z towarzystwa...

Piąta figura kończyła się właściwie, a Schilling podniósł rękę, grożąc palcem jakiejś tancerce, która nie zupełnie prawidłowo wykonywała *balancé*; gdy wtem — grożąca ręka została nagle schwyconą i na dół ściągniętą: to Robert ściskał poczciwą prawicę Andreasa. Obcesowo napadnięty zwrócił raptownie głowę, ale w tejże chwili poważna jego fizjognomja ożywiła się i, uśmiechnąwszy się przyjemnie, serdecznie przywitał po niemiecku:

— Dawno już pana nie miałem przyjemności widzieć; zapominasz pan o nas!... A! pan *von* Fasolewicz!... moje uszanowanie!...

Dźwięki szóstej figury przerwały rozmowę, trzeba było bowiem usunąć się ze środka; stu-

denci przeszli i stanęli we drzwiach przy orkiestrze.

Łabędzki i Suseł byli tu po raz pierwszy; na ostatniego nawet wielkie uczyniły wrażenie: duża sala, dekoracje, światła, oraz ta masa kobiet młodych i mocno dekoltowanych.

Łabędzki żartował:

— Panie Suseł! trzymaj pan oczy, bo ci wyskoczą; ale nie rumień się tak bardzo, bo się tu na tem nie poznają. Uważajcie no! —dodał dalej, trącając go łokciem—jak ta pierwsza para z lewej szykownie tańczy, jaki ten facet zręczny...

— Ot, poproście Roberta i Fasolki—przerwał szeptem Hrehorowicz — to zobaczycie, jak się tańczy!

— Tylko nie teraz—szepnął Franek,—lecz po kolacji!—i trąciwszy Roberta, dodał: — Patrz no! ta czwarta para od orkiestry, pod oknem! widzisz *Rozę*, jaką jedwabną suknię *zawaliła!*

— Co za *Roza?* — spytał od niechcenia Robert.

— A ta czuchonka z „Kirpicznego zaułka"!... Panie Łabędzki! jako znawca, zobacz no pan, jaka ładna facetka. W przeszłym roku była jeszcze skromną szwaczką, i Robert ją w świat wprowadził: prędko poszła. Robertku! masz ją na sumieniu!

— Alboż jej źle?... zrobiła przecież karjerę: ma jedwabną suknię i bransolety, a niezadługo będzie miała powóz i konie! — odparł Robert i, wziąwszy Łabędzkiego pod rękę, odszedł.

— A wy, psia wasza nędza, co tu robicie! — zapytał ich z tyłu, idący z Wrońskim, Karpowicz.

— Witajcie, stare łobuzy!... a wy tu po co? — przywitał Robert.

— Ja — rzekł Wrona — właściwie ciebie szukam; nie mogę cię znaleźć ani w instytucie, ani w domu; przychodzę zapytać, kogo mam wziąć do dokończenia heblarki, skoroś ją puścił w trąbę?

— Powiedz no, czyś ty znalazł, czy ukradł ozór, że go drzesz napróżno? Chodźcie lepiej co przetrącić! — odrzekł wesoło Robert, witając się ciągle na prawo i na lewo.

— Dobrze! — odrzekł Wrona, — pójdziemy na „*schnell klopsy*“, tylko trzeba poszukać Bogumiła, bo się gdzieś zawieruszył.

Młodzież przeszła do jadalni, gdzie przy stoliku siedzieli już: Franek, Hrehorowicz, Suseł i Fasolka.

— A chodźcież tu bliżej — wołał ostatni, — Franuś *fonduje!*

— Przybyli usiedli przy obocznym stoliku; nadszedł też i Szyfman, a po wypiciu wódki zaczęli wspólnie spożywać kolację, popijając ją piwem.

— Ale, ale... wiesz—mówił Wrona do Roberta,—przekonałem się nareszcie o mocy siły molekularnej: dziś, powiadam ci, w szufladzie, ni z tego ni z owego pękł buks stalowy, coś go przed trzema tygodniami zahartował!

— Czyś sfiksował! jakto pękł?

— No tak, najzwyczajniej pękł sobie wzdłuż, po tworzącej cylindra, i zrobiła się z jednej strony szpara z jakie dwa milimetry szerokości. Wyobraź sobie—zwrócił się do Łabędzkiego,—buks stalowy, o średnicy sześćdziesięciu milimetrów i grubości ścianek dwunastu, pękł, jakby go kto nożem przekrajał; wczoraj jeszcze był caluteńki, a dziś—kaput! Najwidoczniej, że skutkiem jakiegoś wstrząśnienia naruszone było szczepienie cząsteczek i, w silnie skurczonym skutkiem hartowania metalu nastąpiła deformacja...

— Czyś ty postrzelony? czyś się już „zawiał“, Wrona? — przerwał Robert. — Znalazł też dobre miejsce do wykładów o sile molekularnej i naprężeniach wewnętrznych! Zawołaj przynajmniej parę anielic, niechby skorzystały... *Gut Abend, Caroline!*—dodał, witając wysoką blondynkę.

— Uważam — mówił Łabędzki, — że między płcią nadobną przeważnie znajdują się niemki...

— To kolega nie wiedziałeś tego? — spytał Robert,—a wszakże to ogólnie wiadome: corocznie

przybywa do Pitra przeszło tysiąc dziewcząt z Libawy, Mitawy i Rygi; przyjeżdżają one na lat kilka, aby zebrać sobie posag, a następnie wrócić na łono rodziny i wyjść za mąż za jakiego piszczyka z *Rathauzu*, albo za *beamtera*... Wprawdzie, wiele z pomiędzy nich nie wraca i nie zostaje wzorowemi gospodyniami, bo matkami rzadko zostają, ale przecież: „wiele jest wezwanych, a mało wybranych!...“ Taki „numer“ wyjeżdża do „kondycji“ jako bona, lub sklepowa, i tak się to w domu nazywa; większość pozostawia nawet narzeczonego, który z utęsknieniem oczekuje powrotu ubóstwianej: musi on być jednak cierpliwym, póki najdroższa niezbędnego posagu ciężko nie zapracuje... Wszystko to nie jest blagą, ale najszczerszą prawdą: ciekawe to są okazy!... W ogóle są one stosunkowo skromniejsze; odznaczają się bajeczną oszczędnością — skąpstwem formalnem; nie oddają się w antrepryzę, ale prowadzą interes na własny koszt i ryzyko; — i mają zawsze szalony apetyt, jeśli, rozumie się, jedzą za cudze pieniądze. Skoro kiedy, za jakie lat dziesięć lub piętnaście, będziemy w Rydze lub Mitawie, spotkamy tam na pewno nie jednę z naszych znajomych, na stanowisku powszechnie znanej i ogólnie szanowanej matrony!...

— Ależ przesadzacie! — zaprzeczył Łabędzki.

— To fakt!—zapewniał Szyfman.—Czyś pan taki pewny niemieckiej cnoty?... Wszystko, panie, co niemieckie, schludne i czyste na zewnątrz... a w duszy—zabrukane!

Podczas rozmowy zbliżyła się do stolika wysoka, przystojna blondynka.

— *Fräulein! Sie sind aus Riga, nicht wahr?*—zapytał Robert.

— *Nein, ich bin aus Mitau!*—odrzekła; zatrzymała się i, robiąc słodkie oczy do Roberta, rzekła:—Daruj mi pan rubla na pamiątkę!

Robert wyjął dwadzieścia kopiejek, i podając je, mówił:

— Masz na dorożkę i wynoś się!

Anielica wzięła czterdziestkę i poszła dalej.

— Przyszła hofratowa! — rzucił za nią Robert.—Ale kończcie, facety! przejdziemy jeszcze salę i kropnę się czemprędzej do domu, bo mi się spać chce: Fasolka, jucha, obudził mię o świcie!

— Podług rzymskiego południka! — odpowiedział Czesław.

— A możebyś zatańczył z jednego kadryla?—proponował Franek—tak z Fasolką *vis-à-vis!*

— Nie wiem, jak kto—ale ja się wstrzymam.

Młodzież wstała od stolików i po dwu przeszła do salonu; Hrehorowicz szedł z Susłem.

— Patrzaj pan! ta wysoka, co siedzi z oficerem marynarki, jaka piękna i efektowna! — rzekł Hrehorowicz.

— Ależ, to jakaś podtatusiała.... — odparł Suseł.

— Chyba podtatusiały! — przerwał idący z tyłu Łabędzki, — boć „kafar“ jest rodzaju męzkiego.

Hrehorowicz usiadł obok „kafara“; marynarz wkrótce odszedł i Dzyndz zaczął zabierać znajomość, a skromny Suseł przysłuchiwał się specjalnemu „flirtowi“. W chwili, kiedy Hrehorowicz z błyszczącemi oczyma przysuwał się coraz to bliżej kafara, przechodzący podówczas Fasolka pokiwał głową i rzucił zapytanie!

— A owa niewinność z lodu?... Oj, Dzyndzelans zmiennym jest! — i przeszedł dalej, pośpiewując:

„Il Dzyndzo e mobile!...“

VIII.

Robert postanowienia dotrzymał: wziął się szczerze zarówno do nauki, jak i do pracy; lekcyj nie opuszczał, a w warsztatach mechanicznych

pracował z gorliwością; — wkrótce też dogonił współkolegów i czas stracony wynagrodził. Swoją drogą — miłe chwile często u *Blanche* przepędzał, a na przedstawieniach, w których ona brała udział, zawsze prawie bywał. Pewnego takiego wieczoru, gdy podczas antraktu robił przegląd publiczności, spostrzegł w jednej z lóż Polinkę z panią Teresą; zauważył, że i panie również go dostrzegły, — nie było więc rady: należało złożyć im wizytę.

Na schodach spotkał się z ich mężami; przywitali się jak najprzyjaźniej.

— A może na papieroska z nami? - zapytał Drzewicki.

— Dziękuję! idę właśnie złożyć paniom uszanowanie.

Wszedł do loży; Polinka spuściła oczy.

— Cóżto pan tak przepadł? ani go widać! — witała pani Teresa.

— Uczę się, mam bardzo wiele roboty: projekty, zajęcia praktyczne...

— Te zapewne najwięcej zabierają czasu — przerwała Polinka, ozięble podając rękę.

— Bezwątpienia — odparł, — bo po nich trzeba jeszcze odpoczywać, na co znów czas się traci.

— Nie należy się przeto tak bardzo męczyć, żeby trzeba było zbyt długo odpoczywać — dodała Polinka.

— W samej rzeczy—mówiła pani Teresa — pan pomizerniałeś, musisz naprawdę dużo pracować.

— Tylko w jakim kierunku?—pytała Polinka.— No, cóż u pana dobrego?

— Wygraliśmy nakoniec proces!— odpowiedział, zwróciwszy się do pani Teresy.

— Winszuję z całego serca; wyobrażam sobie, jak mama musi być rada!

— Wszyscy jesteśmy bardzo kontenci, wygranie procesu zapewnia nam znaczny dochód.

— A może dla tego pan zhardziałeś, i starych znajomych zapominasz?

— Dziękuję za wymówkę.

— No, to przychodź pan w sobotę na muszkę, ale koniecznie--czekamy!

— Z całą przyjemnością; postaram się być.

— Nie postaram się, a będę napewno—mówiła z uśmiechem pani Teresa.

— A więc: będę napewno. Moje uszanowanie!

Pożegnał panie i wyszedł.

— Jaki on interesujący; trochę zmizerniał, ale z tem mu do twarzy: zawsze piękny!...—szeptała Polinka.

— Nie zakochaj się tylko, Polinko, bo jakoś pan Robert bardzo cię obchodzi!... A może masz do niego jaki interes?

— Właściwie... mam — mówiła trochę zmieszana Polinka,—ale później ci powiem.

Trzy uderzenia obcasa reżysera dały znak podniesienia kortyny.

Polinka, jak wiemy, pisała przed niedawnym czasem do Roberta, wzywając go do kupieckiego klubu. List ten był wynikiem długiej wewnętrznej walki. Po owej maskaradzie i widzeniu się z Robertem, Polinka solennie postanowiła wszystko zapomnieć: wyrwać tę fatalną kartę z księgi życia. Postanowiła i—zapomniała... ale po dwu dniach przypomniała znów sobie. Robert z początku był, w jej przekonaniu, szlachetnym rycerzem, który, dawszy raz słowo, uroczyście je dotrzymywał; później jednakże zaczęła jakoś oczekiwać... myśleć, że się Robert ukaże...

— Właściwie — mówiła do siebie — powinien niedotrzymać słowa: starać się mnie zobaczyć... prześladować... błagać... a gdy mu zrobię wymówkę, że złamał przysięgę, powinien powiedzieć: nie mogę... nie jestem w stanie... *mon amour est plus fort, que moi!*

Polinka zatem czekała... ale upłynął tak prawie miesiąc, i nie doczekała się niczego.

— A może on boi się—myślała,—nie śmie?... Trzeba go trochę ośmielić.. napiszę do niego parę słów.

Napisała, naznaczyła miejsce widzenia się, i—Robert nie przyszedł.

— Co to znaczy?...—myślała znów.—Czy nie mógł przyjść?... może listu nie otrzymał?... Napiszę jeszcze raz!... albo nie—gotów pomyśleć jeszcze, że mu się narzucam!... A jednak, muszę go zobaczyć i pomówić... Pójdę do Teresy, może go spotkam.

Była u Drzewickich przez trzy soboty z rzędu, ale Roberta nie spotkała. Dziś go dopiero zoczyła w krzesłach teatru, a zacząwszy o nim rozmowę z Teresą, dowiedziała się, że Robert u Drzewickich nie był już ze dwa miesiące.

— Zaproś go na sobotę--szepnęła pani Teresie.

Prożba jej została spełnioną.

Oczekiwana sobota nadeszła; Polinka, uczesawszy się u fryzjera i wystroiwszy w nową suknię, zaraz po ósmej była już u przyjaciółki. Nikogo jeszcze nie było, a pan Piotr znajdował się w objęciach poobiedniego Morfeusza. Panie zajęły się przeglądaniem żurnali i rozmową o modach, gdy w tem do sali weszła młoda para. Gospodyni wstała i, serdecznie przywitawszy przybyłych, zarekomendowała:

— *Madame et monsieur Epiphanidi—madame* Miazga!

Wyszedł pan Piotr; wkrótce przyszło jeszcze dwóch panów i zasiedli do wista.

— Dziś muszki nie będzie—mówiła pani Teresa, jest nas trzy tylko.

— A może nadejdzie pan Robert, wszak obiecał—mówiła Polinka, oglądając panią Epiphanidi. Była to młoda, ciemna szatynka, o klasycznym owalu twarzy; dziwnie piękne, żywe, wielkie, ciemno — szafirowe oczy — okolone miała kształtnemi, czarnemi brwiami i przykryte długą, wygiętą rzęsą. Młoda dama miała na sobie czarną, jedwabną, zupełnie gładką suknię z małem wycięciem w *carré*, odkrywającem śliczne, matowe, nieco śniade, ale nadzwyczaj delikatne ciało.

Polinka badawczo obejrzała przybyłą i—pomyślała:

— Niczego sobie, tylko trochę za niska i usta ma niełądne!

To, co Polinka nazwała „niełądnem", miało właśnie dziwny urok. Te silnie karminowe i mięsiste wargi, choć anatomicznie zbyt może grube—szczególniej górna,—stanowiły jednak razem tak powabną, apetyczną i świeżą całość, a przytem układały się w tak figlarny uśmieszek, odsłaniając conieco bialutkie ząbki, że dla znawcy przedstawiały rzadki okaz kobiecego wdzięku.

Pani Teresa z całą uprzejmością zabawiała gości.

— Bardzo niedawno poznaliśmy się—mówiła do Polinki,—ale jestem nad wyraz uszczęśliwioną z tak miłej znajomości.

— A my z mężem ciągle powtarzamy sobie, że nas spotkało wielkie szczęście, żeśmy zbliżyli się z państwem.

Panie pocałowały się i uścisnęły sobie ręce. Rozmowa toczyła się w języku francuzkim, pani Epiphanidi bowiem po polsku nie mówiła; i ona i mąż jej—byli to grecy, ale urodzeni w Petersburgu.

— Mary! (wymówił: Meri)—słychać było z drugiego pokoju głos pana Epiphanidi—boję się, że mnie przestaniesz kochać, bo ciągle wygrywam, co mi się nigdy nie zdarza.

— Może!—odrzekła z uśmiechem Mary—już przecie trzeci rok jestem zamężem—mówiła śmiejąc się do Polinki,—to kawał czasu...

Wszedł Robert; Polinka nasunęła rękawki i zrobiła minkę szesnastoletniej panienki. Przybyły przywitał się z gospodynią i rzucił okiem na siedzące damy; wyciągnął rękę do Polinki, a jednocześnie, patrząc na greczynkę, myślał:

— Co za usteczka!... cukierek—tylko do całowania...

— *Permettez, madame, de vous présenter monsieur* Skałkowski!—*madame* Epiphanidi!—zaznajamiała gospodyni.

Pani lekko skłoniła głowę; Robert złożył głęboki ukłon i spojrzał na Polinkę.

Jakże fatalnie wyglądała przy młodej dwudziestodwuletniej sąsiadce. Wszystkie stroje, uczesanie fryzjera, nowa suknia, nowy puder—wszystko to wzięło w łeb!... Ta przystojna, ożywiona, świeża niby Polinka — zniknęła, jak cień przed słońcem.

Robert spoglądał jednocześnie na obie damy i myśl, jak błyskawica, przebiegła mu przez głowę:

— Ależ Polinka - to już babsztyl!... i jak ja mogłem?...

— No, teraz już możemy zacząć muszkę!— proponowała Polinka.

— Przepraszam, ale ja nie gram — odrzekła Mary.

— Ma pani najzupełniejszą rację — mówił z uśmiechem Robert — do grania w karty dość jeszcze czasu przed panią.

— Teraz nawet młode panienki grają—rzekła pani Teresa.

— Choć mają tyle innych przyjemności!... — mówiła z westchnieniem Polinka.—O, jakżebym ja chciała być panienką!...

— Szkoda, że niema dziś profesora—odrzekł ironicznie Robert; — dowiedzielibyśmy się, gdzie się znajduje zdrój Canathos: mogłaby pani tam pojechać w lecie.

— A cóż to za zdrój?

— To ten, w którym się corocznie kąpała Junona, by wdzięki panieńskie odzyskiwać — odrzekł z uśmiechem Robert.

Polinka gniewnie spojrzała na Roberta; poczem wyjęła maleńką szyldkretową papierośnicę i podała ją pani Epiphanidi.

— Dziękuję, nie palę!—odrzekła ta ostatnia.

Polinka zapaliła papierosa i mocno się zaciągnęła.

— A może pan Robert zrobi nam przyjemność i zaśpiewa?—prosiła gospodyni.

— Boję się, żeby panowie przy wiście nie mieli pretensji, że przeszkadzam.

— Oni tak zaabsorbowani wistem, że nie wiedzą, czy żyją—odrzekła pani Teresa.

Robert usiadł do fortepjanu i śpiewać zaczął; uczuł, że ktoś uporczywie się w niego wpatruje,—zwrócił oczy: to Polinka pożerała go wzrokiem. Za chwilę powiódł spojrzenie na lewo i spotkał się z czarującemi oczyma greczynki; nie wytrzymała jego palącego wzroku: opuściła powieki.

Robert był jakoś przy głosie; śpiewał z czuciem i zrobił dość silne wrażenie.

— Brawo! brawo!—wołała gospodyni i Polinka, gdy zabrzmiał ostatni akord akompanjamentu.

— Brawo! — dodała klaszcząc w ręce pani Epiphanidi. — Czy to pańska specjalność?

— Nie, pani! jestem biedny student, a śpiewam dla rozrywki i własnej przyjemności.

— To może pan zechce i nam jeszcze zrobić przyjemność?—prosiła, słodko się uśmiechnąwszy.

— Jestem zawsze na rozkazy pani! — odrzekł i zasiadł do śpiewu powtórnie.

— Jakażto śliczna muzyka?—szepnęła Mary.

— To polska opera: „Halka“ — objaśniła Polinka;—pani jej nie zna?—dodała.

— Nie, pani.

Po skończonym śpiewie pani Epiphanidi zagrała bardzo poprawnie mazurka Chopina i zaczęła się rozmowa o muzyce, operze i oczekiwanej wkrótce Patti. Polinka starała się prowadzić rej w rozmowie i była bardzo ożywioną, szczególniej przy kolacji, przy której Robert zaznajomił się z mężem Mary, trzydziestokilkoletnim brunetem, urzędnikiem z jakiegoś ministerjum.

— Sympatyczny to człeczyna—myślał o nim Robert;—tylko jakiś głupowaty.

Rzeczywiście, pan Epiphanidi był trochę głupowaty: dzieckiem bowiem spadł z pierwszego piętra, chorował na zapalenie mózgu i, widocznie skutkiem wstrząśnienia, rozwijał się umysłowo nienormalnie; ale był zato bardzo bogatym i do-

stał jeszcze znaczny posag za żoną, więc też mamona kompensowała rozum. Zresztą, pan Epiphanidi grał doskonale, choć nieszczęśliwie w karty, nie cierpiał teatru, zwłaszcza opery, i wieczory spędzał najczęściej w klubie; w szczególnych tylko wypadkach, w wyjątkowych okolicznościach towarzyszył żonie do domów znajomych: dziś naprzykład, po raz pierwszy znajdowali się wieczorem u Drzewickich.

— Będę dziś korzystać z pańskiej galanterji — mówiła pod koniec kolacji Polinka do Roberta,— odprowadzi mię pan do domu?

— Z całą przyjemnością!

— Może pani pozwoli odwieźć się? —proponowała pani Epiphanidi—konie nasze czekają przed domem...

— O, stokrotnie dziękuję! chciałabym bowiem przejść się—odrzekła wstając.

Wyszła z Robertem; zaledwie jednak uszli kilka kroków—zawołała o sanki. Robert zadziwił się, nic jednak nie mówił; podsadził tylko Polinkę i otulił ją rotondą. Pojechali.

Noc była jasna, księżycowa; miljony gwiazd mrugały na niebios sklepieniu; mróz tęgi, ale bez wiatru, nie dawał się tak uczuwać,—tylko skrzyp śniegu pod saniami i tysiące błyszczących kryształów, w których odbijały się i migotały światła latarni, o sile jego przypominały.

Sanie szybko mknęły przez Grochową, jadący milczeli; po dwu minutach zbliżyli się do „Krasnego mostu“.

— Na prawo!—zawołał Robert.

— Nie!—krzyknęła Polinka—jedź prosto, do „Zagorodnego“, później wracaj przez Izmajłowski i Wozniesieński! — Zwróciła się do Roberta: — Cudowny wieczór, przejedźmy się trochę!

— I owszem! tylko, czy nie za zimno dla pani? — o ósmej było dwadzieścia dwa stopnie mrozu.

— Nie czuję chłodu.—Jedź ostro! —dodała.

Sankarz zaciął konia.

— Otrzymałeś pan mój list?

— Odebrałem.

— A dla czego pan nie przyszedł do kupieckiego klubu, gdzie ja, jak jaka głupia, czekałam?

— Nie przyszedłem, bom na pani żądanie dał słowo, że wszystko między nami skończone i zapomniane.

— A jeśli ja oswobodziłam pana od tego słowa?

— Tem nie mniej ja go złamać nie mogłem i nie powinienem.

— Więc mnie nie...

Chciała powiedzieć: „kochasz“, ale wyraz uwiązł jej w gardle.

Robert udał, że nie słyszy.

— Powiedz mi pan, jak nazwać pańskie postępowanie?

— Jakie?

— No, nie grajmy w „ślepą babkę"!

— Słusznie!.. Postępowanie moje jak nazwać?.. No, oczywiście — nieskazitelnem! Według umowy zapomniałem o wszystkiem, nikomu nie wspominałem ani słowa: ów dzień, jakby nie istniał— dotrzymałem przyrzeczenia!

— Łatwo powiedzieć!... a ja?... ja?.. com przeżyła?... com wycierpiała?...

Jechali przez „Zagorodny"; ruch był nie wielki; spotykali pustych „izwoszczyków", jadących wolno i zawodzących pieśni. Polinka obróciła twarz wprost ku Robertowi, podniosła głowę i pocałowała go w same usta przeciągle i namiętnie...

— Kocham cię!...—szepnęła słodko.

Robert w tejże chwili zgrabnym ruchem zdjął czapkę, jak gdyby kłaniał się komuś przejeżdżającemu.

— Komuś się pan ukłonił?—zapytała zmieszana Polinka.

— Ćwikłowi.

— Kłamiesz!... a może nas widział?

— Że mnie widział, to fakt, bo pierwszy się ukłonił; ale pani zapewne nie poznał: koł-

nierz od futra zasłonił, zresztą — odemnie cień pada...

Kłamał, jak z nut! przejeżdżał bowiem jakiś pijany kupczyk, który --kiwając się na sankach— drzemał.

— Jesteś nicpoń!—szeptała Polinka, przytulając się do Roberta—rzuciłeś jakiś czar, czy co; prześladujesz mię na jawie i we śnie!... No, powiedz, że mię choć lubisz!...

Podczas tego wyznania, Robert myślał o pięknych oczach greczynki.

— Zauważyłem—myślał dalej,—że u Polinki robią się już na skroniach gęsie łapki... ale, jak tu się od niej odczepić?... tak poprostu—nie!... lepiej trochę zawrócić kontramary.

— Niech mię pani nie kusi! — zaczął.—Rozumiem: chcesz mię pani doświadczyć, czy rzeczywiście jestem człowiekiem uczciwym, i czy danego słowa honoru dotrzymać potrafię!...

— Ależ już raz mówiłam, że zwalniam cię ze słowa!... Mówię to zupełnie na serjo, i aby dać dowód: jedźmy do tegoż gabinetu... wypić szampańskiego!... Jakie to smaczne...—dodała, opierając głowę na ramieniu Roberta.

-- A to dobry kawał! — pomyślał; — ale nie weźmiesz mię już na szampańskie... Nie!—dodał głośno — bez maski tam pani jechać w żaden

sposób nie możesz: wypijemy szampitra kiedyindziej, a teraz—teraz trzeba iść spać!

Polinka przygryzła wargi, ale już nie oponowała, i pojechali do jej mieszkania. Robert musiał tylko obiecać, że przyjdzie do niej nazajutrz. Powrócił do domu w jak najgorszym humorze.

— Djabli nadali!—pomyślał — przyczepiła się do mnie, jak rzep'!... Trzeba się od niej „odkaraskać“, póki jeszcze czas!...

Nazajutrz w instytucie mówił do Franka:

— Trzeba częściej bywać u pani Teresy: zaczynają się tam pojawiać szampańskie niewiasty!

W kilka dni później, wracając z obiadu do domu, Robert z Izmajłowskiego mostu spostrzegł na ślizgawce panią Epiphanidi. Miała na sobie kostjum z ciemno wiśniowego aksamitu, oblamowany futerkiem z szenszylli, i takąż czapeczkę na główce. Wdzięczne ruchy jej zgrabnej kibici przykuwały zachwyconego widza, gdyż z wielką zręcznością i dystynkcją zataczała koła i ósemki na lśniącej się powierzchni, a promienie zachodzącego słońca z pewnym urokiem łamały się i odbijały pod jej nóżkami w lodowem źwierciadle. Roberta nie spostrzegła; szybko więc pobiegł do domu, znajdującego się o kilkanaście kroków, z pośpiechem wydostał z kufra łyżwy, których już od roku nie używał, włożył kurtę węgierkę z sza-

merowaniem i w kilka minut był już w domku na ślizgawce. Przypiął łyżwy i puścił się po lodowej szybie. Ślizgał się Robert bardzo zręcznie, umiał nawet kilka „sztuk popisowych“, ale tej zimy jeszcze sportu łyżwowego nie używał.

Zręcznym ruchem skierował się na spotkanie pani Epiphanidi i, zwolniwszy biegu, uchylił czapki. Ona podniosła nań piękne swe oczy i miły uśmiech błysnął na purpurowych usteczkach. Pochyliła lekko głowę i szepnęła:

— *Bon jour, monsieur!*

Robert zbliżył się, przywitał damę, podał jej rękę i razem odtąd szybowali po lodzie.

— Czy pani często używa tego przyjemnego sportu?

— Jeśli pogoda sprzyja i niezbyt zimno: codziennie. Doktór mi to zalecił; zresztą, mieszkamy tak niedaleko—i wskazała dom, stojący przy moście.

— A! to jesteśmy bardzo bliskimi sąsiadami: ja mieszkam w obocznym domu.

— Uważam, że pan nie tylko śpiewasz zachwycająco, ale i jeździsz na łyżwach po mistrzowsku.

— Dziękuję za komplement, ale muszę zrobić małe zastrzeżenie, bo i w jednem i w drugiem jestem tylko dyletantem.

— Nie zasypia gruszek w popiele! — rzekł prędko Szyfman, przesuwający się obok, i kiwnął głową.

— Jak Figaro, psia jego nędza, i tu—i tam!— dodał podążający za nim Karpowicz, ale musiał się zatrzymać i poprawić pasek od łyżwy.

Wkrótce pani Epiphanidi usiadła.

— Już czas na obiad; proszę zawołać chłopca, żeby mi odpiął łyżwy.

— Już zawołałem! —odrzekł przyklęknąwszy na jedno kolano Robert, i zwrócił ku niej twarz uśmiechniętą.

Pani mimowolnie uśmiechnęła się także, i nóżkę bez wahania podała. Robert nie tylko ze zręcznością odpiął łyżwy, ale obtarł nawet okruszyny lodu z bucików. Pani podziękowała uprzejmie; a Robert szybko odjął i swoje łyżwy. Wyszli razem: ujął więc Mary za rękę, prowadząc po kamiennych schodach, wiodących na bulwar Fontanki.

Towarzyszył jej zaledwie kilka minut, gdyż niebawem stanęli przy podjeździe.

— Dziękuję panu, i—do widzenia!...

Nazajutrz, rozumie się, Robert nieomieszkał stawić się na ślizgawce; woził piękną panią w fotelu, a potem jeździli we dwójkę przy dźwiękach Strausowskiego walca.

— Czy pan lubi tańczyć?

— A pani?

— Ja?... namiętnie, szczególniej walca, rozumie się, z dobrym kawalerem!... O, pan musisz znakomicie tańczyć!

— Poddaję się ezgaminowi.

— A więc: na pierwszym wieczorze w kupieckim klubie... zdaje się, że od tej niedzieli za tydzień.

— Sprawdzę to i nie omieszkam się stawić; ale, ale—dodał, robiąc skromną minę—zaczynam się obawiać, czy nie za pospiesznie zaproponowałem egzamin. Może egzaminatorka będzie bardzo srogą?

— Nadzwyczaj!—odrzekła, przybierając poważną minę.

Robert znów ją odprowadził; poczem, nie ochłonąwszy jeszcze z wrażenia, wszedł wesoło uśmiechnięty na zajęcia praktyczne do warsztatów: spóźnił się jednak o półtorej godziny.

— Znów zaczynasz?—szydził z niego Wrona. —Pewnie ci jaka facetka zawróciła gitarę i heblarkę djabli wezmą!... Pilnuj się, bo cię puszczę w trąbę!...

— I groszy pięć!—przerwał Robert, naciągając bluzę.

Stanął przy wielkiej heblarni i puścił ją w ruch: obrabiał bowiem kierownicę do swojej heblarki.

Robota wykonywała się automatycznie; należało tylko, po przejściu suportu z nożem przez szerokość kierownicy, przerzucić pieska, żeby suport wracał, i pokręcić korbkę, żeby nóż opuścić na dół.

Robert, oparty łokciem o filar, podtrzymujący wał transmisyjny, patrząc na posuwającą się kierownicę, myślał:

— Zachwycająca bestyjka!... nadzwyczaj miła—taka przylepeczka!... ale cóż z tego?... nie ma co zawracać sobie pięty: to nie modystka, ani *Blanche*... dama z wyższego towarzystwa, bogata, wykształcona, ma zresztą młodego męża i — ze stanowiskiem... No, a Polinka?... przecież także dama. No, ale daleko starsza... coś.... tego.... zresztą—oniemal przypadkiem... E, dajmy pokój!... trzeba kończyć instytut, dostać medal za heblarkę i—jazda za granicę!... bo jak nią sobie zacznę głowę mącić, to mogę się jeszcze załapać—nie ma gadania!... Ale, jednakże, co mi to szkodzi: pójdę, przetańczę walca i—koniec!... Mam przecież *Blanche*: wszakże to szampańska faceta!.. i bezpieczniejsza!... A jednak?...

— Robert!.. — zawołał Wrona — a przerzućże pieska, bo już suport przeszło o pół mili za kierownicę się przesunął!... Cóż się zamyślasz?.. Nie róbże tego: indyk zamyślił się i zdechł!... Ale, ale!... *à propos* zdechłego indyka... do bibljoteki

nadeszła nowa książka Mora: „Historja ziemi“— geologja, na nowych zupełnie zasadach, rzecz to nadzwyczaj ciekawa! Wprawdzie niewiele jeszcze przeczytałem, a właściwie przerzuciłem, bo Perłowicz, rozumie się, złapał ją, jak tylko weszła do bibljoteki: ale weź-no się także do niej!... Dowiedziałem się zaraz na początku, że to, co uważamy za pewnik, iż jądro ziemi jest roztopioną płynną materją, wysokiej bardzo temperatury, jest poprostu błędnem urojeniem, i że środek ziemi jest takiemże ciałem stałem, jak i jej powierzchnia.

— Tak? a zkądże wulkany czerpią lawę?

— Z gniazdowych źródeł, naprzykład: na wyspach Sandwichskich są dwa wulkany, zdaje się, że Mauna-Loa i Kilauea, odległe od siebie o 27 kilometrów,—a różnica w wysokości ich kraterów jest tak wielką, że na wyrzucenie lawy z jednego, potrzebne jest ciśnienie o siedemset atmosfer większe, niż z drugiego,—i nie bacząc na tak nieznaczną odległość między wulkanami, wybuchają one zupełnie od siebie niezależnie, a prócz tego, i skład chemiczny ich lawy znacznie się różni;—co razem wzięte dowodzi, że czerpią one lawę nie z jądra ziemi!

— A wiesz, że to ciekawe!.. Ale, jeśli Mor odrzuca, a właściwie zbija hipotezę roztopionego

środka kuli ziemskiej, to w jakiż sposób objaśnia wzmaganie się temperatury, w miarę zagłębienia się w grunt, ku środkowi ziemi?

— On to objaśnia składem chemicznym pokładów; ale jak ci już powiedziałem, książkę tylko zdążyłem przerzucić: mocno ona zaciekawia, weź więc się do niej, albo — może razem przeczytamy.

— Z całą przyjemnością; dopilnuj tylko, kiedy ją ta pstra małpa wypuści!

— O! widzę, że Perłowicza masz jakoś wciąż na wątrobie... nie lubisz go?

— Wstrętne i cuchnące pijaczysko!

— Przesadzone!... Że czasem trochę wypije, to nie dowodzi, żeby miał być pijakiem; że ubiera się nędznie—nic dziwnego, bo biedny; ale zato uczy się doskonale!... Wiesz, że jego projekt walcowni żelaza jest bez zaprzeczenia najlepszym, i że bez wątpienia medal zań dostanie?

— Niechaj dostanie nawet dwa, wszystko mi jedno,—ale jest brudas!

— Może z czasem z tego wyrośnie; Maślakiewicz nie może go się nachwalić!

— Bo doi z nim gorzałę!... A zresztą, Bąkbyx—dobry to chłop, ale jucha głupia!... a ta pstra małpa rzeczywiście dużo czyta, więc jakci kropnie parę zdań filozoficznych, lub zacytuje kil-

ka nazwisk,—to i zaimponuje Maślakiewiczowi! Słyszałem niedawno, jak Perłowicz opowiadał o cząsteczkach żelaza, spadających ze śniegiem, i dowodził, że te atomy pochodzą z innych planet! Trzeba ci było widzieć, jak Bąkbyx słuchał i rozdziawiał gębę—niczem pelikan, karmiący pisklęta! Ale—jechał go sześć!—zapomniałem ci powiedzieć, że jednę z połówek panewki trza będzie od lewej kroksztyny na nowo odlać, bo przy odróbce pokazały się dziurki i zalany piasek.

Rozmowa przyjęła całkiem specjalny kierunek, a po skończonych robotach Robert poszedł do Wrony na herbatę. Bardzo mile był widzianym w „Łatyszówce“; Szyfman tylko i Karpowicz prześladowali go szykowną facunią ze ślizgawki, ale umiał on im się dzielnie odgryzać. Ciemniewski i Ziemiński przyszli także posłuchać rozmowy starszych kolegów; wieczór przeszedł w ogóle bardzo przyjemnie, i Robert w najweselszem usposobieniu powrócił do domu.

Od tej chwili, życie Roberta wróciło do stanu normalnego: uczył się, pracował, o ślizgawce i pięknej greczynce nie myślał, Duni zgoła nie wpuszczał, choć i ona widocznie pogodziła się z losem i nachodzić go przestała. Została tylko jedna *Blanche*: tę—to ciągle odwiedzał i często razem spacerowali. W niedzielę, koło trzeciej, je-

chali właśnie w pysznych jej saniach, gdy w tem, przejeżdżając przez Newski, ujrzał Robert cały podjazd kupieckiego klubu przybrany w opony, i przeczytał na sążnistym afiszu: „Dziś wieczór tańcujący“!.. Przypomniał sobie egzamin z walca..

Po obiedzie, u *Blanche*, napisał kartkę do Broniewskiego:

„Bądź gotów dziś na dziewiątą: idziemy do „Kupieckiego“—na tańcujący wieczór. Zajdę po ciebie!

„Robert“.

Posłał kartkę przez posłańca. Po kawie i likierku zdrzemnął się, a o ósmej wrócił do domu, przebrał się i poszedł po Franka. Po drodze wstąpili razem do fryzjera, uczesali się i podążyli do klubu.

— Powiedz-no mi, mój drogi — pytał przez drogę Franek—zkąd ci przyszła fantazja iść dziś do klubu?

— No, bo dziś wieczór tańcujący!

— E!... nie zawracałbyś kontramary: musi to być coś innego!

Robert uśmiechnął się.

— Zobaczysz—dodał.

Weszli do sali, tańce jeszcze się nie zaczęły; Robert rozejrzał się dookoła, szukając Mary, ale jej nie było.

— A to wy, hultaje, i tu jesteście?—zabrzmiał z tyłu głos Dziubandowskiego.

— A, pułkownik!... dawno niewidziany!.. Co pan tu robisz?

— Musiałem przyjechać, jako *garde-vertu* wnuczki, bo mąż jej wyjechał i nie miała z kim przyjść; dobrze, że jesteście, będzie miała dwóch tancerzy więcej. No, chodźcie chłopcy, zaprowadzę was do niej.

Wziął Roberta pod ramię i zaczął szeptać:

— Jesteś huncfot z pod najciemniejszej gwiazdy!... zbałamuciłeś znów Dunię... wstydź się!... *Je sais tout:* zmarnuje się dziewczyna!.. *Que ce qu'elle fera*, biedaczka?... Matka nic jeszcze nie wie... ale już znać, a tyś ją puścił w trąbę!... Dziewczyna była w rozpaczy, chciała się nawet topić, tylko poczciwy Perłowicz wpłynął na nią i jakoś wytłómaczył... Zobaczymy, co zrobisz, jak ci za kilka miesięcy przyniesie *un petit Robert?..*

— Co pułkownik zawracasz głowę i bierzesz na kawały!

— *Je ne prends pas sur nuls morceaux*, tylko mówię najrzetelniejszą prawdę!.. *Parole d'honneur!*—jest tego ten...

Robertowi zrobiło się trochę przykro, tem więcej, że Perłowicz wmieszany był do tej sprawy: zagryzł więc tylko na razie usta; chciał się nawet o coś jeszcze zapytać, ale nie starczyło czasu: podeszli bowiem właśnie do wnuczki pułkownika, siedzącej z Miazgową.

— Masz djable kaftan! pomyślał Robert, zobaczywszy Polinkę, i zaczął witać damy.

Franek podziwiał toaletę wnuczki, co ją niezmiernie ucieszyło.

Polinka przywitała Roberta nader ozięble: była na niego obrażoną za to, że mimo obietnicy nie przyszedł do niej; chciała mu nawet zrobić wymówkę, ale się powstrzymała.

— Muszę być chłodniejszą dla niego—myślała,—a to gotów pomyśleć, że narzucam się i zupełnie *„zazna się“*.

Orkiestra zaczęła grać walca; Franek ujął „wnuczkę“ i w tan się z nią puścił, Robert zaś rozglądał się ciągle po sali. Zobaczył w końcu panią Epiphanidi, otoczoną kółkiem młodzieży; w pierwszej chwili chciał biedz do niej, ale się powstrzymał.

— Nie trzeba zbytnio okazywać zainteresowania się, lepiej nawet trochę draźnić—pomyślał, i poprosił do tańca Polinkę.

Wirując w bliskości Mary, ściskał Polince rączkę i robił do niej słodkie oczy... Polinka to-

pniała z radości; rękę jego ściskała nerwowo, patrzyła mu w oczy, jak w tęczę, i, uśmiechnięta namiętnie, omdlewająco wisiała na jego ramieniu. Mary spostrzegła walcującą parę i wzrokiem ich śledziła. Młody jakiś oficer poprosił ją do tańca—odmówiła.

Robert z Polinką przesunęli się koło niej po raz drugi.

— Miazgowa w ekstazie! — pomyślała, sama nie wiedząc, dla czego.

Robert posadził Polinkę, i wziąwszy Franka pod rękę podszedł z nim do Mary i, po przywitaniu, przedstawił. Rozmowa szła dość ciężko, Franek bowiem mówił po francuzku nędznie: opuścił też wkrótce towarzystwo.

— Franeczku!—szeptał do odchodzącego Robert—baw, emabluj, obtańcowywuj i rozkochaj w sobie Miazgową, a będę ci wdzięczny, jak ów lew Androklesowi, za wyjęcie ciernia z za pazura.

Zwrócił się z uśmiechem do pięknej pani.

— Stawiłem się do egzaminu.

— Już część pan zdałeś, widziałam bowiem, jak walcowałeś pan z panią Miazgową... ale, dla czego pan tak dawno nie byłeś na ślizgawce? Przyznam się panu, że byłam nawet niespokojną, czyś pan nie chory...

— A! była niespokojną—myślał Robert—to dobrze... nieźle idzie ku-lasowi!... Nie, pani!—dodał głośno—byłem i jestem zdrów, ale mam bardzo wiele zajęcia: muszę się uczyć i, mimo najszczerszych pragnień i niepohamowanej chęci, muszę pogodzić się z losem i odmówić sobie tej roskosznej przyjemności; zresztą...

Dźwięki walca ustały.

— Zagadaliśmy się i walc skończony—mówiła Mary;—trzeba poczekać na następny.

Spojrzała na karnecik.

— Kadryl, polka, a potem walc; ani kadryla, ani polki tańczyć nie będę: porozmawiamy tymczasem. Przejdźmy zobaczyć męża, on gra tam w sali.

Wzięła Roberta pod ramię i poszli w stronę wprost przeciwną salonowi gry; przeszli do pięknego buduaru i usiedli na atłasowej kozecie.

— Więc nauki przeszkadzają panu używać ślizgawki?—pytała, uśmiechając się ironicznie—ale, ale... widziałam pana dziś na Newskim, czy to pańskie takie pyszne konie?

— Nie, pani! jak pani wiadomo, jestem ubogi student: zkądże więc mogę mieć takie konie?

— A czyjeż to?—rzadkiej piękności i ognia.

— To tej pani, z którą jechałem.

— Zdaje się, że to aktorka Mabelle, z francuzkiej trupy.

— Tak jest.

— A pan z nią jeździ w charakterze?...

— Znajomego.

— Dobrego znajomego?

— Jeśli pani chce—dobrego znajomego.

— I pan się nie wstydzi w biały dzień jeździć po Newskim z aktorką?

— Wstydzę się, rumienię — odrzekł wesoło, — moja cnota się zżyma, ale —mimo to jeżdżę!

— I to panu w naukach nie przeszkadza? — pytała, patrząc mu w oczy.

— Aha!—pomyślał—to do tego zmierzałaś?... Widzi pani—mówił,—jakby to powiedzieć?.. jeden kieliszek, lub dwa, szampana — nie zaszkodzą, nawet orzeźwią; ale podwojona, lub potrojona ilość—może... zaćmić w głowie... a nawet—upoić!..

— Tak?... jesteś pan zatem zwolennikiem powściągliwości!...

— I wyznawcą zasady: „wszystko można, ale —z ostrożna“!

— Pod tym względem usposobienia nasze rozmijają się, bo ja... wszystkiemu oddawać się lubię z zapałem—bez pamięci!...

Wstała i razem z Robertem skierowali się ku sali; we drzwiach zatrzymali się chwilkę, przyglądając się tańczącym kontredansa. Franek tań-

czył z Miazgową i emablował ją zawzięcie: chodziło mu widocznie o pozyskanie wdzięczności Roberta, a on tymczasem przeszedł z Mary do grających, i stanęli przy stoliku, gdzie pan Epiphanidi odsłonił właśnie czwartego bezika.

— Witam pana! — rzekł wyciągając rękę, — jeśli pan jesteś dobrym tancerzem, to angażuję pana na cały wieczór dla mojej żony; ale ostrzegam: nie puszczaj się, jeśli kiepsko tańczysz, bo gotowa rzucić pana na środku sali, jak mnie to zrobiła!

Zaśmiał się głośno; zdjął kartę z kupki, i dołożył dziesiątkę do sekwensu.

— Drugi sekwens: pięćdziesiąt! Zapisz pan! — mówił do partnera.

Żona z tancerzem postała parę minut, ale mąż nie zwracał na nich najmniejszej uwagi: był wyłącznie zajęty kartami.

— Napiję się limonady—szepnęła Mary.

Przeszli do bufetu.

Rozległy się czarujące dzwięki „Leitartikel—walca“.

— A teraz do egzaminu!—rzekł wstając.

Przeszli do sali; Robert objął zgrabną jej kibić i zaczęli wirować. W tańcu przyglądał się swojej tancerce z blizka—z bardzo blizka!... Ubraną była w suknię czarną; wycięcie odsłaniało ramiona

i część gorsu, a trzy świeże róże *„Maréchal Niel“* przypięte były na środku stanika w ten sposób, że kilka listków dotykało delikatnego ciała; bukiecik ten, skutkiem wstrząśnień w tańcu, pochylił się i odsłonił jak gdyby z marmuru wykute wdzięki, a tempo walca przyspieszało falowanie ponętnego łona... Robert nie był ślepcem: wszystka krew uderzyła mu do głowy!.. i tętna na skroniach zaczęły bić, jak w gorączce!... I nic dziwnego: wszakże miał lat dwadzieścia trzy, i w objęciach swych trzymał kobietę, która i przedtem już zrobiła na nim wrażenie. Przycisnął ją więc do siebie, wpił w nią oczy!... Uczuła wtedy, że jakby prąd elektryczny od niego do niej przechodzi i po sieci jej nerwów przebiega; mimowolnie podniosła oczy—spotkała ognisty wzrok tancerza: zapłonęła i—zadrżała...

Robert był tancerzem znakomitym; silnem ramieniem otoczył Mary i unosili się, wśród wiru tańca, jak dwa nieważkie ciała. Słyszeli z początku obijające im się o uszy zdania: „jaka zachwycająca para!“... „jak cudownie tańczą!“...—później jednak nic nie słyszeli: oboje zapomnieli, gdzie są i co robią; zdawało im się, że lecą na skrzydłach w jakieś zaklęte, fantastyczne przestworza!... Nareszcie Mary zaczęła uczuwać zmęczenie, i to jej wróciło świadomość...

— *Assez!*—szepnęła, pospiesznie oddychając.—*Assez!...*

Robert nic nie odpowiedział; nie słyszał, czy też nie chciał słyszeć: unosił tancerkę dalej i dalej!

— *Assez!*—prawie krzyknęła Mary, ściskając gwałtownie rękę Roberta.

Zatrzymał się i usiedli; oboje tak byli zmęczeni, że słowa jednego przemówić nie byli zdolni. Mary rozłożyła wielki z piór strusich wachlarz, i chłodzić się nim poczęła; Robert zwrócił ku niej oczy z wejrzeniem tak błagalnem, iż zrozumiała to spojrzenie natychmiast, i wachlować się zaczęła w ten sposób, by wietrzyk i Roberta orzeźwiał.

Odpoczywali tak z dziesięć minut, poczem wstał i prosił do walca powtórnie.

— Dosyć!... zdałeś pan egzamin *cum eximia laude!*—mówiła z uśmiechem.

— *Encore une fois!*—prosił pieszczotliwym głosem—*une seule fois!... et après...*

Wstała, podniosła nań błyszczące swe oczy i zawisła na jego ramieniu.

— *Et après?...*—pytała—*mourir!...*

— *Oh, non!.. et après... encore une fois!.. et comme ça à l'infini!..*—odrzekł z figlarnym uśmiechem.

I wirowali tak bez pamięci, tonąc oko w oku... Robert był w odurzeniu: zdało się, że z oczu jego ogień wytryśnie; Mary nie mogła znieść dłużej tego palącego wzroku: przymknęła oczy i odrzuciła głowę, a przy tym ruchu musnęła lokami usta Roberta. — Zadrżał!...

— *Je vous adore!* — szepnął, ścisnąwszy małą rączkę.

Uczuł, że rączka ta zadrżała.

— *Je vous adore!* — powtórzył cichym, ale namiętnym szeptem.

IX.

W turkusowym buduarze *Blanche*, na w pół leżąc na szeslongu, czytał Robert „*Journal de Saint-Pétersbourg*“...

Przeszło godzinę oczekiwał już na gospodynię... Nowiny widocznie nie bardzo go zajmowały, bo, ziewnąwszy szeroko, rzucił gazetę, powstał i, zapaliwszy papierosa, chodzić zaczął po pokoju. Wiadomość, jaką mu Dziubandowski o Duni zakomunikował, tak dalece utkwiła mu w mózgu, że myślał o niej i w tej właśnie chwili:

— Djabli nadali!... ale dziewczyna rzeczywiście biedna... będzie miała niezły kłopot i koszt... Nie ma co! napiszę do matki, żeby przysłała więcej pieniędzy: trzeba będzie dać dziewczynie ze sto rubli... Ale, jak to urządzić?... może przez pułkownika?... albo—może lepiej poprosić Kożuchowską?... boć sam nie chcę jej widzieć... już mi kością w gardle stoją sceny i płacze!... Zresztą—sama sobie winna: żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała!

Energiczny dzwonek zwiastował powrót gospodyni; jakoż po chwili weszła do buduaru, ściągając z pasją rękawiczki.

— *A la bonne heure, mon ami!*—witała, wyciągając rękę.—*Eh ben!... on m'a f... du théâtre!.. C'est ce vieux singe qui a ordonné, de me flanquer à la porte!...*

— *Quel vieux singe?*—pytał zdziwiony Robert.

— *Sapristi! mon général!... oh, il est jaloux, comme une autruche!*

— *Est-ce que les autruches sont jaloux?*

— *Mais oui!... c'est connu, mon ami.*

— *Et ton contrat?*

— *On se fiche de mon contrat, si le vieux singe désire... On me donne la démission, parce que j'ai un amant!*

— *Tu as un amant?*—zapytał gniewnie.

— *V'là un drôle de pistolet!... et toi qui es-tu, mon petit chien?*—pytała złożywszy usta w „ryjek“.

Zaśmiała się głośno, nerwowo.

— *Je m'en fiche pas mal de toute la boutique,*—mówiła ze złością—*je lui arrange une bonne carrote!... j'ai vu déjà mon avocat. Voulez-vous venir demain à midi, pour m'aider un peu?...*

— *Bon!*

Blanche w złym bardzo była humorze; wymyślała ciągle na swego protektora i odgrażała się, że go własnoręcznie za drzwi wyrzuci. Całe to zachowanie się *Blanche* nie przypadło Robertowi do smaku: z pod batystu, jedwabiu i drogich koronek, wyłaziło brutalnie uliczne błoto Paryża...

Pożegnał się też niebawem; a wróciwszy do domu, napisał list do matki, prosząc o przysłanie trzystu rubli.

Nazajutrz, o dwunastej, dzwonił do mieszkania *Blanche.*

Zastał tam już nizkiego, łysego, z biegającemi oczyma, średnich lat jegomościa we fraku. Twarz jego, wygolona zupełnie, kolorem swym przypominała pełne i delikatne wymię rasowej krowy, a nie schodzący nigdy z wąskich warg uśmiech domyślać się kazał, że jegomość ten albo głupi, albo filut...

— *Monsieur Cébé, mon avocat!*—rekomendowała *Blanche*,—*monsieur Qualquosky, mon ami!*

Panowie podali sobie ręce i usiedli przy stole. Pan *Cébé*, właściwie nie adwokat, tylko pokątny doradca wysokiego polotu, jakich podówczas mnóstwo było w Petersburgu, nastroiwszy uroczystą nader minę, wyjął z portfelu jakieś papiery, odchrząknął zlekka, poprawił złote okulary i mówić począł wolno, nie głośno, ale wyraźnie:

— Szanowny pan, jako przyjaciel mojej zachwycającej klijentki, wie bezwątpienia, że jest ona wierzycielką jego ekscelencji... hrabiego Traum.

— Przeciwnie, nic o tem nie wiem!

— A! *pardon*, łaskawy pan nie wie?.. Więc mam honor poinformować go, że moja czarująca klijentka jest w posiadaniu dwu weksli jego ekscelencji, na dwadzieścia tysięcy rubli każdy,—oto właśnie są w naturze...

To mówiąc, wyjął i położył na stole dwa czyściuteńkie blankiety, z podpisami u dołu.

— Weksle te, jak szanowny pan raczył zapewne zauważyć, są *in blanco*, przeto..

Robert wziął do ręki oba blankiety i, przypatrzywszy się podpisom, rzekł:

— Zkądże wiadomo, że każdy weksel jest na dwadzieścia tysięcy, kiedy żadna cyfra nie wypisana?

— Sam papier to mówi—odrzekł przyjemnie uśmiechnięty pan *Cébé*,—stempel, szanowny panie, stempel!... Otóż, jako przyjaciel zachwycającej mojej klijentki, raczy szanowny pan wpisać tekst na tych blankietach... bruljon już przygotowałem... następnie panna *Blanche* zceduje weksle na łaskawego pana, a ja, w pięć dni potem odbiorę od jego ekscelencji czterdzieści tysięcy rubelków gotóweczką!... Widzę, że szanowny pan posiada nieograniczone zaufanie czarującej klijentki—dodał ze słodkim uśmiechem,—skoro czterdzieści tysięcy rubelków oddaje w jego ręce, bez najmniejszej gwarancji!...

Robert się skrzywił.

— Przepraszam,—przerwał,—ale nie rozumiem doprawdy, dlaczego właściwie ja mam wpisać tekst weksli, i dlaczego na mnie mają być zcedowane?

— Zechce szanowny pan wybaczyć... ale.. nie wypada przecież, aby artystka teatrów przedstawiała weksle hrabiego Traum. Łaskawy pan zrozumie konwenanse!

— Rozumiem, panie, to tylko—odrzekł Robert tonem ostrym,—że mię ciągniecie w jakąś kabałę!

— W kabałę!?... —przerwał nagle adwokat, robiąc zdziwioną minę.—Łaskawy panie,—mówił

dalej łagodnym tonem — nie przyznaję tego za obrazę, ponieważ jeszcze nie mam honoru być znanym szanownemu panu; ale powszechnie jest wiadomem, że ja prowadzę takie tylko sprawy, i załatwiam takie interesa, które są czyste, jak kryształ! W danym razie, weksle, aczkolwiek są *in blanco*, są nieskazitelne i tak dobre, jak banknoty banku państwa; — ponieważ zaś moja czarująca klijentka jest tu obcą, i ma jedynego tylko przyjaciela w osobie szanownego pana, przeto —wybaczy pan śmiałości mojej ekspresji—dopomódz jej jest niejako jego obowiązkiem!

Robert zaczął się już niecierpliwić.

— Współudziału mego w tej niewyraźnej sprawie odmawiam stanowczo! — odrzekł poważnie, wstając od stołu.

— Pan *Cébé* zrobił minę rozciągniętej gutaperkowej maski. Zwrócił się do *Blanche:*

— *Monsieur Gałkowski refuse!*

Blanche na te słowa zerwała się z miejsca; zaczęła robić wymówki, że Robert jest dzieckiem, że jej nie wierzy i nie chce dopomódz, nie bacząc, iż przez niego traci całą karjerę artystyczną i t. d.—ale Robert był stanowczym. Wtedy *Blanche* zaczęła się rzucać, spazmować, i w końcu zemdlała. Wyprowadziło go to ostatecznie z cier-

pliwości, ubrał się więc i wyszedł bez pożegnania. Dążył wolno ku Newskiemu.

— Co to za kawał—myślał—z temi wekslami?.. Aczkolwiek nie wątpię, że podpis jest własnoręczny.... pewnie generalisko w jakiej cielęcej ekstazie... albo poderżnięty szampitrem... podpisał blankiety...—ale w każdym razie ciągnąć mię w tę sprawę, to trochę za śmiało!.. *Blanche* kapeczkę przeholowała!... A może ją naprowadził adwokat?... to jakiś *lapiarz* patentowany!.:. Piękny interes... nie ma co mówić... mógłbym się wplątać w nielada awanturę!...

— Jak się miewasz, Skałkowski?...—usłyszał z lewej strony.

To Kożuchowska, idąc pospiesznym krokiem, zrównała się z nim.

— A, dzień dobry!—odrzekł, podając rękę.—Dokąd idziesz?

— Na obiad, do Rodziewiczowej.

— A mieszkasz?

— Tamże, przy sądzie okręgowym.

— I chodzisz o pięć wiorst na obiad?—Widocznie, że czas znajdujesz na ulicy!...

— To tylko w święto, bo u Rodziewiczowej smacznie, tanio, i wesoło!

— Brudno, przyswędzono i wysuszono!

— A ty, elegancie, zkąd wiesz?

— Byłem raz, ale jeść nie mogłem, tak tam brudno.

— Patrzaj, jaki *czyścieńki!*

Szli tak razem, na rogu Newskiego dopiero Robert się zatrzymał.

— Siadaj ze mną, podwiozę cię—rzekł.

— A dokąd jedziesz?

— Do siebie.

Wsiedli do dorożki; Robert chciał prosić Kożuchowską o wręczenie pieniędzy Duni, ale namyślił się jakoś i dał pokój.

— No, a jak twoje nauki?—zapytał.

— Tak sobie!... A ty, niedługo zaczynasz egzamin?

— Ja? nie: to na czwartym kursie; u nas dopiero za dobre dwa miesiące!

— A uważam, że coś jesteś kwaśny: może cię francuzica przepędziła?—bo jużcić od niej wracasz!

— A ty, zkąd wiesz o francuzicy?

— To dobre! a toć wszyscy wiedzą: szwendasz się z nią, jeździsz; toć sekretu nie robisz. Może chcesz zadziwiać?

— Kogo?

— Czy ja wiem?.. ale dziwnie, że ty z taką kobietą jeździsz!

— Z jaką?

— Z ladacznicą!

— Co też ty wygadujesz: przecież to artystka!

— Fiu!... jedno przy drugiem: taż sama gorzałka, tylko w białej, ozdobnej butelce! Powiesz, co mnie do tego?... Prawda—mniejsza o to!.. Ale, czemu do mnie nigdy nie zachodzisz?

— A cóż ja będę u ciebie robić?... słuchać twoich andronów?.. Wolę inną *frajdę!*

— Przyjdź, pokażę ci moje preparaty!

— Nie ciekawym!.. poczekaj, przyślę ci Fasolkę!

— Nie fatyguj się: był on u mnie niedawno!

— Taaak?

— Cóż tak dziwnego, że aż wyciągasz, jak organista?

— Nic, tylko Fasolka figlarz!

— To i lepiej—weselej!

— A to może i on będzie u Rodziewiczowej, kiedy powiadasz, że tam tak wesoło?

— Nie! tam bywa Perłowicz.

— No, ten to musi być bardzo wesoły i zachwycający, bo jucha brudny i cuchnie, jak piński prosiak!

— Ale nie blagier: uczciwy i rozumny!

— No, dojeżdżamy do Bronnickiej; do widzenia! smacznego apetytu!... a na deser: ucałuj Perłowicza!

Zatrzymał woźnicę; Kożuchowska wysiadła.

— Dziękuję ci za odwiezienie.

— Ale jakoś trochę lepiej wyglądasz—dodał; —no, jakże tam twoje zdrowie?

— Tak!.. niby dobrze, tylko piersi trochę bolą.

— Obie razem?... E, to znowu nic tak strasznego!.. Jazda!—zawołał na dorożkarza.

— Niepoprawny z ciebie!... Ale, nie bądźże uparty, *zajdzij* kiedy do mnie: ja zawsze w domu!

Woźnica już był ruszył; Robert więc, odwróciwszy się do odchodzącej, krzyknął:

— Wyjąwszy wtedy, kiedy cię nie ma! *A-dju!..*

Kożuchowska przeszła na Bronnicką, a po kilku minutach wchodziła już do bramy wielkiej kamienicy, na pierwsze piętro. Stanęła przy drzwiach, obitych ceratą, w wielu miejscach poprzerywaną, z wyglądającym z pod niej filcem; koło klamki szczególniej, wisiały z tego materjału kompletne strzępy.

Chciała zadzwonić, ale spostrzegła, że drzwi otwarte: weszła do przedpokoju, zdjęła salopę i przeszła do dużego pokoju na prawo, gdzie już siedziało kilku z młodzieży, spożywając obiad.

— A, panna Kożuchowska, powitać!—mówiła niska, chuda, o ostrych rysach i cytrynowej cerze, średnich lat brunetka: pani Rodziewiczowa.

— Dzień dobry pani!—odrzekła Kożuchowska, zdejmując i przecierając konserwy, które przy wejściu do ciepłego pokoju zapotniały.

— Kapuśniak, czy *bulon?* A wiesz, dziś są kołduny, może życzysz?

— Dobrze, proszę o buljon.

— *Agryppina!* jeden *bulon!*—wołała Rodziewiczowa do usługującej. — A zamknij, duszko, *furteczkę*, bo ciągnie; jeszcze *paralusz* może skręcić.

Do gospodyni podszedł wychodzący wysokiego wzrostu student, i podał jej pieniądze.

— Za mnie i za Puzynę; do widzenia!

Pani Rodziewiczowa obejrzała dwie czterdziestówki i schowała je do skórzanej torebki, przywieszonej u paska.

Kożuchowska podeszła do dużego stołu, przy którym siedzieli: Perłowicz i Karpowicz, kończąc właśnie obiad. Przywitała się i miała zamiar usiąść na kanapie.

— A ostrożnie, uważaj!—mówił Karpowicz— bo tam sprężyna wyłazi: rozerwiesz suknię! Pani Rodziewiczowa od przeszłego już roku obiecuje zreparować, ale jakoś wciąż zapomina!

— Nie, dalibóg nie! tylko *nijak* nie mogę zebrać się—odpowiedziała gospodyni, wydając resztę gościowi.

Kożuchowska rzuciła okiem na długą kanapę: rzeczywiście. w opłakanym była ona stanie. Pod jedną nogę podłożone było pół cegły, a brokatela niewiadomej barwy, którą była pokryta, w wielu się miejscach poprzecierała. Szczególniej w tak zwanym „federkancie“, brokateli nie było już i śladu, a tylko samo szare płótno oczom się przedstawiało. Na domiar wszystkiego sam środek siedzenia był mocno wkląśnięty i nawet szarego płótna pozbawiony, a z olbrzymiego kłaka wyłażących pakuł, ciekawie na swe otoczenie spozierał spory kawał wyłaniającej się sprężyny.

Kożuchowska, zbadawszy teren, ostrożnie usiadła, ale po chwili wstała, mówiąc:

— Za nisko, trzeba się przesiąść.

— Siadaj tu obok—zaproponował Perłowicz, wskazując na „wiedeńskie“ krzesło, z mocno wgniecionem wypleceniem.

— Cóżeś tak późno przyszła?—mówił Karpowicz.—My już obiad kończymy, wszyscy się porozchodzili,—już blisko trzecia!

— Nie mogłam wyjść z domu, póki Protasjewa nie wróciła, bo mamy jednę salopę; byłabym nawet przyszła jeszcze później, tylko że spotkałam Skałkowskiego, więc mię podwiózł.

Perłowicz uśmiechnął się złośliwie.

A bardzo cię na *zwoszczyku* przyciskał?—pytał Karpowicz.

— Wcale nie: mylisz się!

Służąca przyniosła i postawiła rosół, w małej fajansowej wazce o jednem uchu, i dwa wyszczerbione talerze: jeden głęboki, z karbowanemi brzegami, cały w drobne kwiatki; a drugi płytki, zupełnie gładki i biały, z żółtym tylko szlaczkiem i niebieską obwódką.

Kożuchowska przesunęła trochę nakrycie, wybierając cokolwiek czyściejsze miejsce na dobrze poplamionym i brudnym obrusie, i zabrała się do jedzenia.

— Może panowie życzą, jest świeża kawa?—proponowała gospodyni.

— Pijesz pan?—pytał Perłowicz Karpowicza.

— Chyba, przy święcie, zrobię sobie *labium!*

— To prosimy o dwie szklanki!

— Poczekajcie, jak skończę obiad, to i ja napiję się z wami razem—prosiła Kożuchowska.

— *Agryppina!* przygotuj trzy kawy, ale nie podawaj zaraz, a *poczekawszy*, jak panna Kożuchowska skończy obiad!... A dla pana Perłowicza dobrze mleczną!—dysponowała Rodziewiczowa i, usiadłszy przy stole, mówiła dalej:—No! zdaje się, że już dzisiaj nikt więcej nie przyjdzie!...—Ot! *nijak* nie potrafisz: mam niby dwadzieścia czterech

nachlebników, a tu jak przyjdzie święto lub niedziela, jak naprzykład dzisiaj, nie wiadomo, ilu przyjdzie?... Och! jak ciężko, jak ciężko!—i obtarła fartuchem skroń.—Ot! panno Kożuchowska! czy to człowiek spodziewał się, na co to mu przyjdzie?... bywało *myślił*, że majątek mieć będzie, a *między tem przyszło się* karmić studentów!..

— A cóżto, studenci co złego?—zapytał Perłowicz, wypuszczając kłąb dymu.

— Boże zachowaj!... ale czy to przyjemnie cały dzień pitrasić?

— Może i nie przyjemnie, choć kobiety to lubią! —odrzekł Perłowicz;—ale pożytecznie, bo można i samemu wyżywić się!

— Śmiejcie się, śmiejcie!... a, żeby mój Pawlunio żył, nigdyby mi nie przyszło na taki koniec!—dodała z westchnieniem, skierowawszy oczy na przeciwległą ścianę.

Na ścianie tej, nad olchową, ale na ciemny palisander bejcowaną komodą, wisiał olejny portret mężczyzny; była to podobizna ś. p. męża gospodyni. Przedstawionym on był w mundurowym fraku i z ręką za kamizelkę założoną; ale twarzy znać dobrze nie było, ponieważ okarmiane zbytnio resztkami potraw muchy, lubiły pasjami zostawiać ślady swojej bytności zarówno na fizjognomji nieboszczyka, jak i na bukiecie z papiero-

wych kwiatów, który w szafirowym szklanym wazoniku pod portretem był umieszczony.

Pani Rodziewiczowa, patrząc na portret, jeszcze raz westchnęła i rzekła:

— Święty to był człowiek, mój nieboszczyk Pawlunio!...

— Czy święty — podchwycił Karpowicz — to nie wiemy, bośmy nie widzieli patentu na kanonizację; ale że był męczennik—to pewna!... Ale, mogłabyś też pani kazać wymyć ten portret mydłem, albo surową cebulą bo go muchy, psia ich nędza, tak zapstrzyły, że nic a nic nie widać!

Kożuchowska skończyła obiad, a służąca postawiła trzy szklanki kawy.

— Ta, w kanciastej szklance, to dla Kożuchowskiej — mówił rozstawiając Karpowicz — bo elegancka; ta, z białym spodkiem, dla pana; a ta z niebieskim, nadtłuczonym, to będzie dla mnie— bo największa!

— Ot, wiecie co, — mówiła gospodyni — i ja z wami napiję się!... *Agryppina!* daj i mnie kawy, tylko cukru nie *kładnij!*

Karpowicz zaczął pić: zamieszał, dołożył kawałek cukru, znów zamieszał, a w końcu się skrzywił.

— Wiecie co,—mówił wesoło—ta kawa, psia jej nędza, jak każda rzecz na świecie, ma dwie

strony: dobrą i złą! Dobrą stroną jest w niej to, że ma bardzo mało cykorji; a złą, że nie ma wcale kawy!

— Patrzaj! jaki zmrowiony—odgryzła się Rodziewiczowa; — za piątaka chciałby, *nie bój się*, mokki z kremową śmietanką!

— Nie wybredzaj pan! — przerwał Perłowicz.—Ot, kawa, jak kawa: nie czepiaj się pani Rodziewiczowej! Chcesz palić?—pytał Kożuchowską, i podał jej woreczek z czerwonej gumy.

Kożuchowska otworzyła woreczek, wyjęła zeń bibułkę, skręciła papierosa i zapaliła.

— Cóż, skończyłeś pan swój projekt walcowni żelaza?—pytał Karpowicz.

— Rysunek już; obliczenia zaś i opis skończę i przedstawię jutro.

— Dużo pracy i czasu poświęciłeś?—zapytała Kożuchowska.

— Przeszło rok; ale z tego trzy prawie miesiące na nic poszły: początkowo bowiem studjowałem aluminium, ale rzuciłem!...

— Jest czysto polska nazwa: glin!—przerwał Karpowicz.

— A dla czego rzuciłeś?—spytała Kożuchowska.

— Za mało jest jeszcze opracowany, aby go można traktować technicznie i fabrycznie.

— Alboż aluminium przydaje się na co, oprócz spinek i broszek? — Wszak z niego robią tylko błyskotki?

— Bezwątpienia: ale ma on wielką przyszłość, boć nie ulega wątpliwości, że w niedalekiej właśnie przyszłości zrobi on bajeczny przewrót w technice i wyprze żelazo, byleby tylko udało się otrzymywać ten metal z rudy, t. j. z gliny, która jest najwięcej rozpowszechnioną na kuli ziemskiej.

— Utrzymujesz, że aluminium może być konkurentem żelaza?—mówiła Kożuchowska—a przecież to taki drogi metal?

— Drogi: bo jeszcze nie znają taniego sposobu otrzymywania go; ale aluminium nie okwasza się na powietrzu...

— Nie utlenia się!—poprawił Karpowicz.

— ... i, na równi ze szlachetnymi kruszcami, wytrzymuje bez porównania lepiej od żelaza działanie kwasorodu...

— Tlenu!—poprawił Karpowicz.

— ... wody i kwasów mineralnych: co, razem wzięte z jego lekkością i wytrzymałością, czyni go bardzo poważnym materjałem dla techniki. Jeden funt aluminium, naprzykład, jest pięć razy większy objętością od funta srebra! Dziś cena jego jest jeszcze wysoką, około czterdziestu rubli

za funt, ale przyjdzie czas, że się ona stanie bardzo dostępną; i nie tylko czysty metal wejdzie w użycie, ale i aljaże, szczególniej z miedzią, znajdą szerokie zastosowanie. Jestem pewny, że jeśli kiedy wynajdą sposób kierowania balonami, to maszyny do tego celu będą budowane z aluminium!...

— Jednem słowem: po obecnym wieku żelaza, nastąpi wiek glinu, psia jego nędza!

— Może jeszcze tego doczekamy?... — rzekła Kożuchowska.

— Dlaczegóżby nie?... nauka idzie szybko naprzód, a i wynalazki posuwają się — choćby elektryczność, jak postąpiła od lat dwudziestu?... A zobaczycie, że jeszcze za lat jakie dwadzieścia powiedzą, iż my byliśmy idjoci!... Nie ma się czemu dziwić: wszak my nazywamy ludzi wieków średnich ciemnymi, a jakimiż my będziemy wobec przyszłych pokoleń, choćby za lat sto? Co będzie wtedy? Może będą podróżować na księżyc? może zbadają ostatecznie i będą wiedzieć istotny skład słońca?...

— No, przecież i dziś o słońcu mamy bardzo dużo wiadomości!—odparł Karpowicz.

— Hypotetycznych!

— Przepraszam cię: wiadomo przecież niezaprzeczenie, że słońce jest olbrzymią kulą, ufor-

mowaną z wielu ciał, które pod wpływem wysokiej bardzo temperatury przemieniły się częścią w gazy, częścią w parę, i że otoczone jest fotosferą oślepiającego blasku, w której bezustannie zgęszczają się wydzielane przez jądro słońca gazowe materje...

— Dodaj, że spektralna analiza promieni wykazała obecność wodorodu...

— Wodoru!—poprawił Karpowicz.

— Natru....

— Sodu!—poprawił znów Karpowicz.

— Kadmu, strontu, niklu, tytanu, oraz ciał zupełnie nam nieznanych, — i że protuberancje składają się z wodorodu, zabarwionego na różowo obecnością kalcium.

— Wapnia!—poprawił Karpowicz.

— Wszystko to niby wiadome, a to wszystko— jest nic! Jestem najmocniej przekonany, że słońce jest olbrzymiem elektrycznem ogniskiem; tylko nie wiem: jakie chemiczne czynniki *sprawują* nieustanne nagromadzenie elektrycznej energji, niezbędnej do wydzielania światła i ciepła? — i nigdzie tego dowiedzieć się nie mogę!

— Przepraszam, — zapytała pilnie słuchająca Kożuchowska—co to są protuberancje?

— Są to olbrzymie wytryski światła, charakterystycznej formy, wyrzucane przez słońce na

wysokość dwadzieścia tysięcy razy większą od średnicy kuli ziemskiej—odpowiedział Perłowicz.

— Jakaż straszna siła!

— Z czasem może odkryją jeszcze większe siły!... Co wtedy stanie się z naszą obecną nauką? z naszą teorją ciepła?... Mayer, Joule—mogą wziąć w łeb!... Powstaną nowe teorje, hipotezy, aksjomaty... a nasza nauka zaginie, jak zaginęła nauka Fenicjan lub Egipcjan!... A co będzie jeszcze później?...

— Nic nie będzie, — przerwała poważnie Kożuchowska—znów nastanie chaos i eter!

— Ten ostatni do cucenia histerycznych niewiast!—odrzekł Karpowicz. — Dlaczego nie pijesz kawy, już zupełnie ostygła?

— Słucham wykładu Perłowicza — odrzekła, sięgając po torebkę z tytuniem.

— Powiedziałaś, że nic nie będzie i nastanie chaos i eter: palnęłaś porządne głupstwo!... Nic— i jednocześnie chaos i eter!... Czy ty choć rozumiesz, co to znaczy? — zapytał Perłowicz. — Nie wolno jest rzucać słów takich nie rozumiejąc: to bluźnierstwo!... a ty połapałaś kilkanaście terminów i chcesz udawać uczoną... imponować... komu?... głupota, nieposzanowanie nauki, blaga — pośledniejszego gatunku!...

— Przepraszam! — podniosła głos obrażona Kożuchowska—ja rozumiem, co mówię: chaos jest

to *to*, z czego wszechświat powstał; a eter — to niewidzialna materja, która jest wszędzie i wszędzie przenika!

Perłowicz zaśmiał się złośliwie:

— Tere-fere kuku, strzela baba z łuku!... Ty jeszcze, w swojej umysłowej formacji, jesteś w stanie chaotycznej mgławicy, atomy której otacza eter!... Jeśli kiedy te wszystkie dynamidy przyjmą określone kształty, i utworzy się z nich ciało stałe: przychodź, a będziemy rozmawiać o nauce!... a teraz: do widzenia!... I tak zasiedziałem się, a mam interes do załatwienia!...

Wstał i położył dwadzieścia kopiejek.

A za kawę?—pytała Rodziewiczowa.

— A!... przepraszam: tak rzadko piję, że zapomniałem!—i dołożył jeszcze pięć kopiejek.

Wyszli we trójkę.

— Chodźcie do Łatyszówki!—proponował Karpowicz.

— Dziękuję, nie mogę!—odrzekł Perłowicz.

— A ja mogę i pójdę; weź mię pod rękę i prowadź, kiedyś grzeczny kawaler!—mówiła Kożuchowska, wsuwając rękę pod ramię Karpowicza.

Perłowicz pożegnał się z nimi, i poszedł ku Zagorodnemu prospektowi.

Wróciwszy do domu, zastał Dunię, siedzącą przy oknie, była podpartą i zamyśloną: matki nie

było. Perłowicz usiadł przy niej i zaczął rozmawiać. Rozmowa ta trwała bardzo długo: było już bowiem zupełnie ciemno, gdy Perłowicz przeszedł do swego pokoju; Dunia jednakże nie pomyślała nawet o zapaleniu światła... siedziała pociemku, łkając z cicha...

Perłowicz wyszedł na ulicę; chodził przeszło godzinę, myśląc o czemś bardzo ważnem; wrócił znów i myślał dalej, chodząc po pokoju; nareszcie wyszedł powtórnie...

Poszedł prosto do Maślakiewicza, ale nie zastał go w domu; zdjął przeto kurtkę i położył się na łóżku, wszelako, mimo zamrużenia oczu. zasnąć nie mógł. W pół godziny może wrócił Bąkbyx, a za nim wszedł Suseł.

Perłowicz wstał:

— Jak się macie?

— Witaj!... A my, z panem Susłem, ze dwie godziny spacerowaliśmy!... Ale cóż masz taką zafrasowaną minę?

— Ja?... zdaje ci się!

Maślakiewicz wyjął z szafki butelkę wódki, postawił na stole i nalał trzy kieliszki.

— Zanim podadzą herbatę—wypijmy: myśmy z Susłem zziębli nieźle!—Nasze kawalerskie zdrowie!... A ci, co dni swoje skończyli, niech odpoczywają w pokoju wiecznym!

Wypili.

— A czem zakąsić?—spytał Suseł.

— Ozorem!—odparł Maślakiewicz.

— A gdzież on?

— A u każdego w gębie!

— Ostatni w życiu!...—krzyknął Perłowicz i, ścisnąwszy kieliszek nerwowo, rzucił go z brzękiem o ziemię.

— Co to znaczy?—zapytał zdziwiony Maślakiewicz.

— Co znaczy?—że więcej w życiu pić wódki nie będę!

— Dobrze, że ja tego nie słyszę!... Zawiało mnie w tunelu pod Landwerowem, gdym jechał z wakacji, i od tego czasu ogłuchłem!...—odrzekł śmiejąc się Bąkbyx.—Co to?... krew?...

Perłowicz spojrzał na rękę: krew z niej płynęła. Kieliszek był z cienkiego szkła, więc też pękł przy ściśnięciu i rękę mu skaleczył.

— Chodź pan do miski!—wołał Suseł, wziąwszy dzbanek z wodą.

Perłowicz rękę nadstawił, a Suseł z wolna wodą ją oblewał; poczem wziąwszy kawałek bibuły usiłował nią ranę zakleić, ale krew sączyła się ciągle: wskazujący palec przecięty był głęboko i na znacznej przestrzeni.

— Szczęście, że to lewa ręka: nie mógłbym długo pisać; ależ nieźle rozwaliłem!

— E, zgoi się do wesela i ani znaku nie będzie!—żartował Suseł.

— Wątpię!... — odrzekł Perłowicz, gorzko się uśmiechając.—Ale—do rzeczy!... Przyszedłem do ciebie w ważnej sprawie: proszę cię bądź mi drużbą i świadkiem!

— Co? żenisz się?...

— Tak.

— No, to ci winszuję!... a z kim?

— Z córką mojej gospodyni.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!—zawołał wystraszony Maślakiewicz.—Bój się Boga! co ty wygadujesz?.. Chyba żartujesz, bierzesz na kawał!.. No, wypij kieliszeczek i nie zawracaj pięty!

— Pić nie będę: wypiłem ostatni kieliszek wódki w życiu: a żenię się bez żadnych żartów, i spodziewam się, że mi nie odmówisz, i będziesz drużbą i świadkiem.

Bąkbyx wytrzeszczył oczy i głupią zrobił minę.

— Cóż wyraczyłeś oczy i milczysz? zgadzasz się, czy nie?—do krocset djabłów!

— No, zga... zgadzam się!... ale, bój się Boga, Perłowicz, co ty robisz?... jak możesz żenić się z dziewczyną, która—pochodzeniem, urodzeniem,

i umysłowem wykształceniem—tak jest daleką od ciebie?

— Dlaczego?... Pochodzimy oboje: albo od Ewy, albo od goryla; urodzona jest, również jak i ja: przez kobietę; a że nie ma wykształcenia, toć *go* jej dać mogę; — ale... jest dobra i nieszczęśliwa!...

— Właściwie, w tem także ważna kwestja!— rzekł ponuro Maślakiewicz i spojrzał z ukosa na Susła.

— Której nie chcesz poruszać w obecności pana Susła. Jesteś szlachetny i delikatny; ale nie krępuj się!... Suseł uczciwy i biedny, w jego sercu nieszczęście znajdzie odgłos... a sekretu nie ma co robić!.. jeśli dziś nie wie, za tydzień będzie wiedzieć wszystko, a nawet więcej jak wszystko, bo złość ludzka i języki przeistoczą fakta, i prawdę ubiorą w krzyczące barwy!... Chcesz zapytać, jak mogę zaślubiać uwiedzioną dziewczynę?... Tak, wszak prawda?

— No, jużcić przyznasz, że to awantura, dowodząca jakiegoś... chyba zboczenia umysłowego!..

Suseł spojrzał na zegarek i wstał, mówiąc:

— Muszę już iść: mam zajść jeszcze w jedno miejsce;—do widzenia!

— Jeśli pan myślisz, że mię krępujesz,—mówił Perłowicz—to mylisz się: zostań!

— Nie, muszę iść!

Pożegnał się i wyszedł.

— Głupia delikatność!—mruknął Perłowicz.— Mówiłeś, że chyba skutkiem zboczenia umysłowego żenię się?

— Jużcić jest w tem coś anormalnego?

— A może?.. *wszystko równo!*... Dziewczyna zgubiona i ja *w tem* jestem winien.

— Ty?

— Ja!... Widzisz, jak wprowadziłem się do Perviajnenowej, zacząłem obserwować jej córkę: dziewczyna młoda, sympatyczna, skromna, pracowita, nadzwyczaj łagodna, kochająca matkę... tylko: nie śmiej się!.. podobała mi się.... i nieraz, wypiwszy trochę, fantazjowałem... *myślitem*: ot, niedługo skończę instytut, dostanę niezłe miejsce przy fabryce, wezmę Perviajnenową za gospodynię, a Dunia będzie przy niej... wyjdzie za mąż za jakiego porządnego, zdolnego rzemieślnika... a ja będę ich protektorem, opiekunem, wypromuję jej męża na werkmajstra, i będę miał moralną satysfakcję!... Ciągle to powtarzałem, i ta moja dziecinna fantazja przeszła w ideę i postanowienie!... Głupio, prawda?... biedny, obdarty student protektorem, mecenasem!... ale te mrzonki, ta głupia chimera — to tania zabawa!... — Wtem, jak zły duch, zjawia się Skałkowski!...—Spostrzegłem to,

pilnowałem, i przysiągłem ustrzedz od złego... ale przysięgi nie dotrzymałem... piłem, i nie ustrzegłem... przyczyniłem się więc do zguby!

— Zmiłuj się, człowieku! co ty wygadujesz?— jeśli kto winien, to najwięcej ona: nie ma przecież piętnastu lat!...

— Ona? — przerwał Perłowicz — najmniej!... Biedna, niewykształcona dziewczyna — olśniona, obełgana — pokochała i, nie znając grozy następstw, zapomniała się i oddała złoczyńcy... który okradł, zhańbił i, jak psa, za drzwi wyrzucił!..

— Mój kochany! wiesz dobrze, że to zdarza się codzień, i w każdej warstwie społeczeństwa; a gdybyś chciał poślubiać, choćby jednę z każdych stu uwiedzionych dziewcząt, musiałbyś przyjąć islam i znaleźć poczwórne przynajmniej skarby Monte-christa!

— Jeśli do ciebie przyszedłem i odkrywam ci zranione serce, to dlatego, że uważam cię za przyjaciela, ale nie dlatego, żebyś z mego bólu i jej nieszczęścia robił *krotofilę!...*

— Przepraszam cię, mój drogi, ale ta sprawa tak dla mnie dziwna i niepojęta, że w żaden sposób nie mogę pogodzić się z myślą, byś to mówił na serjo...

— Cóż więc?.. ja jestem błazen, poliszynel?..— pytał ze złością Perłowicz.—Jeśli różni magnaci,

idjoci, mają swoje fantazje: i ja chcę je mieć!... Ja, pan Perłowicz, żenię się z prostą czuchonką, szwaczką bez wykształcenia, z uwiedzioną przez łotra dziewczyną: i nikt mi tego nie zabroni, ani nie wyperswaduje!

— Dobrze, ale pozwólże przedtem powiedzieć kilka słów.

— Owszem, słucham!

— Więc, zadaniem twojem jest ratować nieszczęśliwą dziewczynę?

— Tak! postawić tamę, którąby ją raz na zawsze zatrzymała i nie pozwoliła upadać dalej!... Dziś, podług mnie, tylko zbłądziła, oniemal bezwiednie, upojona, odurzona przez tego blagiera... i obecnie można ją uratować... później — może przepaść!...

— Pomyślmy więc i poszukajmy, czy nie ma innego środka ratunku?...

— Jest, nawet najwłaściwszy: żeby Skałkowski się z nią ożenił; ale o tem nie może być i mowy. Ten człowiek czyhał na jej zgubę; pod słodkim uśmiechem i pod miodowemi słówkami fermentowała jedyna żądza: zhańbić ją!... Dziwne nasze społeczeństwo: gdyby od niej nieprawnie wyłudził kilkadziesiąt rubli, mógłby być sądzonym i skazanym, jako oszust i złodziej; a że odebrał jej...

— Perłowicz! — przerwał mu Maślakiewicz — nie bredź; wszystko to zdarza się przynajmniej co godzina! Na obu półkulach uwodzą dziewczęta, porzucają je, i tak dalej: trzeba się z tem pogodzić, bo to uzyskało niejako prawo obywatelstwa!

— Chyba bezprawie podłości!.. a wy takiego Skałkowskiego, który nigdy myślą nie wzniósł się na wyżyny, który kala się w błocie i innych w nie strąca—dzięki swej urodzie, modnej i zgrabnej żakiecie, i głupiej blagierji—stawiacie na piedestał: zuchem, donżuanem nazywacie... niecny rodzie pigmejczyków!—Niech was, razem z nim, jasny piorun zapali!

— Perłowicz: wypijno kieliszeczek, to cię doprowadzi do równowagi!

Bąkbyx nalał dwa kieliszki; wziął jeden z nich w rękę i trącił nim w stojący, mówiąc dalej:

— No, jazda!.. A ci, co dni swoje skończyli, niech odpoczywają w spokoju wiecznym!

Perłowicz wziął machinalnie kieliszek i do ust poniósł; ale przypomniawszy sobie, rzucił go z pasją o ziemię. Kieliszek rozprysnął się w drobniutkie kawałki.

— Powiedziałem, że już nigdy pić nie będę!

— Ale pocóż drogocenny płyn rozlewać, i tłuc kieliszek?

— To nie kuś, psia krew!

— Już nie będę!..

Tu Maślakiewicz wstał i wódkę, wraz z ostatnim kieliszkiem, schował do szafki; a powróciwszy, zagadnął:

— Ale powiedz-no, czy ty uznajesz jakie zasady i zwyczaje, przyjęte przez społeczeństwo?

— Jakie społeczeństwo: małp, szakali, czy sępów?

— Nie bądź taki drażliwy: dyskutujmy spokojnie!...

— Społeczeństwo?.. ma za zasadę urągać maluczkim: biedną, uwiedzioną, ograbioną z honoru dziewczynę, która przez łotra upadła, nogami kopać i wtrącać w błoto potrafi; a prostytutkę, wielkosalonową damę, która zacnego męża oszukuje i zmienia gachów, jak brudne pończochy—szanuje, i całuje kraj jej szaty, bo... jeździ karetą i jest opiekunką ochrony, lub przytuliska!

— Jesteś tak rozdrażniony, że gadasz nonsensa... Więc ty chcesz, żeby społeczeństwo uwiedzione dziewczyny stroiło w wieńce i palmy męczeńskie, obnosiło je po ulicach z pochodniami i chorągwiami, a później obdarzało kamienicą, lub wypłacało dożywotnią rentę!

— Jesteś dureń i błazen, a nie przyjaciel! Ty nie rozumiesz, co się tu dzieje!...—i Perłowicz uderzył się pięścią w piersi.

— No, nie gniewaj się; ale i nie wyrzucaj głupich i bez sensu zdań!

— Głupich!.. bezsensownych!.. masz słuszność! — Świata i społeczeństwa nie przerobi: krzywda bliźniego—to hasło ludzkości; pomiatanie słabszym, a korzenie się przed mocniejszym—to zasada; pieniądz—to cel; a pięść—to prawo!... więcej słowa nie powiem!.. Dziękuję ci za obietnicę, o dniu ślubu dam znać.

Perłowicz zamilkł; zapalił papierosa i obaj siedli i patrzyli na siebie, nic nie mówiąc. Nareszcie Maślakiewicz zaczął, jak gdyby do siebie:

— Nie rozumiem jednak, jak ona, taka niby uczciwa, zgodziła się...

— Ona?—przerwał Perłowicz—a spytaj się, ile czasu, słów i łez moich kosztowało, by ją przekonać, uprosić, żeby została moją żoną?... Ona także głupia, jak i ty; w jej głowie pomieścić się to nie może, aby uwiedzioną dziewczynę poślubić!

— No, dobrze; skończyliśmy ze stroną moralną, ale jak będzie z materjalną: wszak nic nie masz, a jeść i pić trzeba!

— Bezwątpienia. Póki nie dostanę miejsca, będziemy żyć, jak dziś żyjemy: na to nie potrzeba

nic więcej nad to, co mamy. Potem przeniesiemy się do jakiej fabryki, gdzie mam nadzieję dostać miejsce, i będziemy żyć spokojnie. W chwilach wolnych od zajęć, będę uczyć Dunię; a z czasem... będę miał nagrodę we własnem zadowoleniu, żem ją wyratował i wykierował na człowieka. Bękarta oddam do podrzutków, a na tym łotrze zemszczę się i krzywdy nie daruję!

— Po co rozmazywać i robić chryje!

— Ja też nie myślę rozmazywać... a zresztą: niech Bóg będzie jego sędzią!... Może kiedy jaki brat, lub mąż, żebra mu połamie... niech go tam jasny piorun zapali!

— A gdzież odbędzie się ślub?

— Zapewne u Ś-go Stanisława, a potem do kirchy na Wielkiej Morskiej, bo Dunia, zdaje się, reformowana. No, bądź zdrów!—a nie śmiej się z tego, co boli...

Perłowicz uścisnął rękę Bąkbyxa i wyszedł.

Maślakiewicz, po jego wyjściu, zaczął chodzić po pokoju i, drapiąc się w głowę, rozmyślał... w żaden jednak sposób nie mógł pogodzić się z myślą, by Perłowicz z Dunią się ożenił. Spojrzał na zegarek, była już prawie północ; ubrał się jednak i wyszedł pospiesznie, biegnąc oniemal ku Izmajłowskiemu mostowi. Przeszedłszy

most, stanął na trotuarze i spojrzał na dom naprzeciwko:

— Światło w oknie: jest w domu!—pomyślał, i za chwilę wchodził już do Skałkowskiego.

Zastał go siedzącego przy stole i przerabiającego formuły matematyczne.

— Co się stało?—zapytał zdziwiony Robert, widząc o tak późnej godzinie wchodzącego Bąkbyxa.

— Trzeba ratować Perłowicza! — odrzekł zadyszany Maślakiewicz.

— Co, schlał się?—zrobił awanturę i wzięli go do „części“?

— Ale gdzież tam...

— Więc pijany upadł i złamał rękę, czy nogę?

— Dajże spokój: Perłowicz zdrów i najtrzeźwiejszy; żeni się tylko z córką swojej gospodyni, z Dunią!... Rozumiesz?...

— A to mu winszuję!—odpowiedział Robert z ironicznym uśmiechem.

— Ależ na to nie można pozwolić: trzeba go ratować!

— To go ratuj!

— Ale jak?

— Każ go związać i odwieźć na „dziewiątą wiorstę!“ [1]).

[1]) Szpital obłąkanych.

— Ty to serjo radzisz?

— Serjo.

— Perłowicz był u mnie przeszło dwie godziny; żebyś ty wiedział, co on mi nagadał?...

— Nie ciekawym!... Przepraszam cię zresztą: co mnie obchodzą sprawy pana Perłowicza? Chce się żenić, niech się żeni z kim mu się żywnie podoba: jak sobie kto pościele, tak się wyśpi!... Ale zapalno papierosa, i nie zawracaj więcej głowy: ani sobie, ani mnie!

— Więc, ostatecznie, cóż radzisz? – spytał Bąkbyx, zapaliwszy papierosa.

— Iść spać, bo już późno!

Maślakiewicz obraził się; spojrzał gniewnie na Roberta i, wyciągając rękę, rzekł krótko:

— W takim razie—dobranoc!

— Przyjemnych marzeń!

Maślakiewicz wyszedł i, schodząc ze schodów, myślał:

— Po co ja właściwie chodziłem?... i teraz odchodzę, jak dureń!

Robert tymczasem przechadzał się po pokoju i medytował:

— Po co ten głupi Bąkbyx przychodził?... A Perłowicz?... nigdybym nie przypuszczał, że ta pstra małpa taki dowcipny... chce mnie niby brać na kawał!... W każdym razie, jak tylko pienią-

dze nadejdą, trzeba będzie Duni posłać... Dziubandosio mi to załatwi!... Ale Perłowicz kawalarz!... tylko, co on chce dopiąć przez to?... nasłał mi Bąkbynia, jak wtenczas, kiedy przychodził, żebym Duni nie bałamucił!... A może na serjo myśli o sakramencie?... no, w takim razie— powodzenia!...

Spojrzał w wiszące lustro i, uśmiechnąwszy się mimowolnie, szepnął:

— E! cóż znowu: Duńka nie poszłaby za takiego szympansa!

X.

Rozległ się strzał armatni...

Oniemal wszyscy, posiadający zegarki, wyjęli je machinalnie z kieszeni i sprawdzili, czy idą dobrze: było to bowiem astronomiczne południe, które codziennie obwieszcza armata z Petropawłowskiej cytadeli...

W obszernej jadalni państwa Epiphanidi krząta się lokaj i służąca; rozsunęli właśnie wielki z czarnego dębu stół, powstawiali dodatkowe blaty i rozściełają olbrzymi biały obrus. Drugi

lokaj, przy wielkim rzeźbionym kredensie, szykuje srebra i porcelanę; a powstały skutkiem przekładania brzęk i stukot, rozdrażnia do najwyższego stopnia dużą białą papugę — kakadu, siedzącą przy oknie na szczebelkach specjalnej drabinki. Papuga ta, widocznie, nie odznaczała się łagodnością charakteru, była bowiem do szczebla długim łańcuszkiem za łapkę przykutą, a i szczebelki same blachą były obite. Kakadu najeżyła pióra, podniosła wspaniały różowy czub, a bujając się, przestępując z nogi na nogę i przechylając ustawicznie głowę, to w tę, to w ową stronę— przeraźliwie wrzeszczała.

Służąca podchodziła kilkakrotnie i machała ręcznikiem, chcąc ją uspokoić, ale to bynajmniej nie skutkowało i doprowadzało ptaka do większej jeszcze złości.

Przy drugiem, a właściwie przy trzeciem oknie, na takiejże samej drabince, siedziała inna papuga: zielona, z czerwonym ogonem. Ta, widocznie, spokojniejszego była usposobienia: nie nosiła bowiem na sobie żadnych emblematów galernika i siedziała cichutko, zawzięcie wyszukując dziobem z pod skrzydła nieproszonego jakiegoś gościa. Po chwili, pomyślnie oczywiście załatwiła się z intruzem, bo przeciągnęła z widocznem zadowoleniem i skrzydło i łapę.

Do jadalni weszła wysoka i młoda jeszcze kobieta, w czarnej kamlotowej sukni i w białym, eleganckim fartuszku z napierśnikiem. To gospodyni i zarządzająca domem państwa Epiphanidi. Zielona papuga ją spostrzegła, zaskrzeczała radośnie i głośno zawołała:

— Luba! daj popkie chleba!

Kobieta się uśmiechnęła, wzięła z kredensu kawałek bułki i do okna podeszła.

— Luba, chleba!—krzyczała niecierpliwie papuga.

Luba podała jej bułkę, którą „popka“ wzięła delikatnie w łapkę i nadstawiła głowę;—kobieta podrapała ją kilka razy, pogroziła wrzeszczącej ciągle kakadu, i zaczęła wydawać dyspozycje służbie.

Główny stół był już gotów; ustawiono na nim dwa wazony z olbrzymimi bukietami z żywych kwiatów, oraz dwie srebrne patery z misternie ułożonymi owocami: winogronami, granatami, wielkiemi gruszkami i mandarynkami. Lokaj przystawił do stołu ośmnaście wysokich z czarnego dębu krzeseł, wybitych ciemno bronzową skórą z wyciskanemi deseniami, i przeszedł pomagać koledze w ustawianiu na mniejszym stole przeróżnych wódek i zakąsek.

Wkrótce weszła do jadalni pani domu, — w ślicznej, jedwabnej, „*vieil or*“ sukni, pokrytej i

ozdobionej czarnemi, hiszpańskiemi koronkami,— i rzuciła okiem po pokoju.

— Luba!—zwróciła się do gospodyni—trzeba rozsunąć dobrze *witraże*, bo dzień pochmurny i w pokoju ciemno.

Ktoś zadzwonił; jeden z lokajów co prędzej wybiegł, ściągając po drodze kurtkę i odpasując fartuch, a złapawszy frak i naciągając takowy, biegł z powrotem do przedpokoju. Po chwili wrócił, anonsując:

— Pan Skałkowski!—prosiłem do buduaru.

Pani poszła natychmiast do gościa; przechodząc jednakże przez salę zatrzymała się i obejrzała we wszystkich trzech lustrach, stojących między oknami.

Buduar pani Epiphanidi był cały w stylu Marji-Antoniny: obicie z jasno-bzowego atłasu w drobne kwiatki; meble białe, na kość słoniową ze złotem, tymże atłasem kryte; w jednym kącie stało biurko, z masą cennych drobiazgów, w drugim mały szpinecik; na środkowej ścianie wisiało wielkie lustro, a pod niem stał stolik, na którym, w wazonie, pomieszczony był ogromny bukiet z róż, kamelji i narcyzów. Zamiast dywanów—dwie skóry białych niedźwiedzi.

Robert, wszedłszy do buduaru, podszedł do lustra, poprawił podnoszący się biały krawat i

obciągnął frak, a następnie,—usiadłszy na malutkiej kanapce kształtu litery S,—oczekiwał...

Weszła uśmiechnięta Mary i wyciągnęła doń rękę; Robert, ucałowawszy tę rączkę kilkakrotnie, w dłoni ją swojej zatrzymał. Usiedli na esowej kanapce, patrząc sobie w oczy.

— Dziękuję za pamięć, ale to—wskazała poruszeniem głowy bukiet stojący pod lustrem — wcale nie potrzebne: jeszcze nie czas na takie kwiaty! A te róże we włosach — to z tego bukietu! — dodała, uśmiechając się i nadstawiając usta, na których Robert przeciągły złożył pocałunek.

— Przy moich urodzinach — mówiła dalej — jakiś pochmurny dzień, a przecieżto niby wiosna!

— A tak, dziś Newa puszcza.

— Na śniadanie prosiłam tylko najbliższych; będą także Drzewiccy, a i mama obiecała przyjechać... Przejdźmy do sali, zaczną się zaraz schodzić.

W tej chwili, jak na rozkaz, zadzwoniono do przedpokoju.

Mary wstała, nachyliła się, ujęła obiema rękami twarz Roberta i pospiesznie go pocałowała,— poczem przeszli do sali, gdzie po chwili weszło kilka osób. Przyjechała też wkrótce i matka Mary, pani Papanikolos, czterdziestotrzyletnia dama, nadzwyczajnie wykwintnie ubrana i z prze-

sadzonej wielkości brylantowymi kolczykami. Aczkolwiek protegowała ona malarstwo, i to na własnem obliczu, ale — mimo tego przedstawiała się jeszcze bardzo efektownie. Miała zadziwiająco maleńkie ręce, zgrabniutkie, białe, z różowawymi paznokciami, wypieszczone i ozdobione kilkoma modnymi pierścionkami „*marquise*“. Rozmawiała zawsze z wielkiem ożywieniem i gestykulując rękoma: był to specjalny manewr, w celu zaprodukowania swych zgrabnych rączek i ogni z brylantów. Mama, przywitawszy gości, zaczęła rozmowę z Robertem, którego chciała wyłącznie do swej dyspozycji zachować.

Nareszcie wszyscy oczekiwani goście zebrali się, i tylko pana domu widać nie było. Mary zaczęła się niecierpliwić; przepraszała gości:

— Agizelaj wyszedł za ważnym interesem, lada chwila jednak powinien wrócić.

Ale chwil takich przeszło sporo, a męża wciąż nie było, i nie było. Mary zaniepokoiła się; kilka razy spozierała w stronę matki i Roberta, ale ci, zajęci rozmową, spojrzeń jej nie widzieli. Robert opowiadał zawzięcie jakieś pikantne historyjki, które pani Papanikolos słuchać bardzo lubiła...

Gospodyni zaczęła w końcu formalnie tracić cierpliwość; i nie mogąc na miejscu usiedzieć dwa

razy już wychodziła do jadalni, a kilka razy podchodziła do okna...

Ukazał się nareszcie we drzwiach uśmiechnięty gospodarz.

— Wybaczcie, szanowni państwo — mówił; — ależ, Mary, pocóżeście czekali, trzeba było zacząć śniadanie bezemnie!

Spojrzał na zegarek i dodał:

— Ale ktoby to powiedział, że już tak późno: prawie pół do trzeciej!

— Wyobraźcie sobie, jaki będzie dobry pieróg, skoro wystał się z godzinę! — mówiła nadąsana pani.

— Wybacz, najdroższa, ale spotkałem Presbiano, i pojechaliśmy na Mikołajewski most, patrzeć, jak Newa rusza. Powiadam państwu: cudowny widok!... Zapatrzyliśmy się i ani spostrzegli, że czas tak szybko minął.

— Prosimy do stołu! — mówiła ze słodkim uśmiechem Mary. — Agizelaju, podaj ramię mamie!

Pani Epiphanidi zbliżyła się do matki, której gospodarz rękę podał. Mamunia szykowała się już wprawdzie iść pod rękę z Robertem, ale na takie *dictum* nie wypadało, i zamiar musiał spełznąć na niczem: poszła więc z zięciem. Ruszyli się też i inni goście. Mary, która z Robertem

ostatnią stanowiła parę, zwalniała ciągle kroku i, pozostawszy dość daleko po za innymi, szeptała:

— Pięknie się spisał Agizelaj; a ja skompromitowałam się, mówiąc, że miał ważny interes... zirytował mnie!... I ciebie proszę, ty choć mię nie irytuj... bądź łaskaw z mamą nie żartować i nie umizgać się do niej!—bo nie wytrzymam i zrobię skandal!—dodała, spojrzawszy na zdziwionego Roberta zaiskrzonemi od gniewu oczyma.

Weszli do jadalni; Robert podszedł do grona panów, stojących przy stole z wódkami i zakąskami, a następnie usiadł obok Mary, na wskazanem przez nią miejscu. Wniesiono olbrzymi pieróg: arcydzieło kunsztu kucharza Epiphanidich.

Pod wrażeniem ostatnich słów Mary, siedział Robert zamyślony:

— Co jej się stało?... Cośjej do łba strzeliło!... Czy żartowała? czy na serjo?... Zazdrość?... o matkę?... a może!... E! chyba to żarty... ale—jak spojrzała?... ten dziki wzrok!.. Ale jaka ona piękna?... a te oczy—oczy piekielne!...

— Cherry, Portwein, Madeira?—pytał za uchem lokaj.

— Cherry!—odrzekł Robert.

— *Oui: chéri!...* usłyszał słodki szept Mary, a jednocześnie uczuł dotknięcie stopki i ujrzał czarujący jej uśmiech.

Prawie od miesiąca Robert był szczęśliwym:—Mary obdarzała go swoją miłością!

Jak się to stało?...

Młoda, piękna, żywego usposobienia i wysoce wykształcona panna, przez przyjaźń ojców wydana za człowieka do pewnego stopnia upośledzonego na umyśle, żyła z nim dwa lata w jakiejś nieświadomości. Mąż ją kochał po swojemu: była dlań niby pięknem cackiem, niby siostrą—nie wiadomo czem wreszcie; nie znalazła w nim bowiem ani męża, ani przyjaciela, ani opiekuna, na którego ramieniu wsparta, mogłaby do wspólnych podążać z nim celów,—ale półgłupawego łobuza i amatora gry w karty, dla której wszystko poświęcał..

Rozumie się, że wkrótce po ślubie wielu z młodzieży kręcić się zaczęło koło Mary, nadskakiwać jej i umizgać się—co jej się nawet zaczęło podobać i wyrobiło do pewnego stopnia kokieterję—ale żaden z młodzieży nie wywarł na nią silniejszego wrażenia, i Robert, pierwszy dopiero, rozdmuchać zdołał utajoną gdzieś w głębi serduszka iskierkę. Podobał on się od pierwszego zaraz widzenia; po ślizgawce myślała już o nim ciągle; a po owym walcu czuła, że bez niego żyćby nie mogła.

Nazajutrz po balu Robert złożył im wizytę, a wkrótce zaprzyjaźnił się tak z panem Epipha-

nidi, iż w domu jego częstym bywał gościem. Agizelaj polubił bardzo wesołego i przyjemnego w obejściu kompanjona; czuł się nawet bardzo szczęśliwym, że żona znalazła w nim tak miłego do gry na cztery ręce towarzysza muzyki,—gdy on tymczasem, w klubie, mógł sobie najswobodniej grywać w bezika. Oprócz tego Robert, w zastępstwie nie lubiącego teatru Agizelaja, towarzyszył pani kilkakrotnie na włoską operę; ale zorjentował się wkrótce:

— Nie możemy tak we dwoje jeździć po teatrach—mówił,—to cię kompromituje; zabardzośmy nieoględni!

Mary pomyślała chwilkę.

— Tak?... To się rozwiodę z Agizelajem i pójdę za ciebie; wtedy—nic i nikt nam nie przeszkodzi!

— Masz babo placek!—pomyślał, i dodał poważnie:

— Wiesz przecie, że rozwód niemożebny.

— Masz rację!... ale jest jeszcze inny środek: porzucę Agizelaja (nie śmiała wyrzec męża), i będziemy żyć szczęśliwi!... pojedziemy do Włoch, pod to cudowne, pogodne niebo, a tam—kochać się będziemy do śmierci... a newet i po śmierci!...

— A moje nauki, egzamina?

— Rzuć je!—jak mię kochasz—rzuć i jedźmy!—mówiła, oplatając rękoma szyję Roberta.

— Mary! mówisz, jak podlotek; przecież ja muszę zostać człowiekiem, skończyć instytut.

— A później mię porzucić... ożenić się z młodą dziewczyną...—mówiła ze smutkiem.

— Tego nie będzie: nie ożenię się nigdy!

— Mówisz tak, żeby mię uspokoić.

— Nie!—nie zgadza się to zupełnie z mojemi zasadami. Żenić się—dla czego? żeby mnie oszukiwano!... a to na co?

— Wolisz sam oszukiwać innych!... razem ze mną...—dodała z westchnieniem. — Ale rzuć ten głupi instytut: pojedziemy do Neapolu!... Florencji!... na weneckie laguny!... i tam żyć będziem wśród upojenia i roskoszy!...

— Muszę kończyć nauki; a zresztą—nie mam odpowiednich środków, któreby mi pozwoliły żyć z takim wykwintem za granicą.

— Ależ moje środki aż nadto wystarczą!

— Mary! zastanów się, co mówisz?.. Czyżbyś mi płacić chciała za moją miłość?—zapytał gniewnie.

— Dzieciaku!—przerwała, usta mu dłonią zatykając,—a wspólność majątkowa?

— Nie jestem twoim mężem: proszę cię, nie bądź pensjonarką i w ekzaltacji nie przebieraj miary. Wiesz przecie, że postanowiłem skończyć nauki, — a to postanowienie jest niezmienne!

— Więc mię nie kochasz?

— Uwielbiam, ubóstwiam nawet i gotów jestem na wszelkie poświęcenia, ale — rozsądne i nie ubliżające mojej godności!

— To nie miłość! — zawołała. — „*All or nothing*“ to hasło prawdziwej miłości, bez ograniczeń, bez warunków, bez namysłu: od słodkiego, niewinnego pocałunku, aż do zbrodni i *eszafotu!*.. Taką jedynie miłość rozumiem!.. i ja ciebie—tak właśnie kocham!... A ty?—pozwalasz się tylko kochać—i nic więcej!...

Robert uśmiechnął się:

— Niezły z niej zapaleniec!—pomyślał, i porwawszy w objęcia. całował bez liku jej oczy i usta, czując, jak przytulała się do niego—cała drżąca.

— Jestem dziecko, masz rację, nie powinnam tak mówić, a miłość moja nie powinna być ci przeszkodą!... Ucz się więc, kończ instytut, zdobądź stanowisko, i idąc ciągle naprzód zostań człowiekiem sławnym,—a ja będę dumną, żem takiego pokochała pierwszą niezmierzoną miłością! . Ale pamiętaj: nie przestań mię kochać, bo wtedy... nie przeżyłabym tego...—i, spojrzawszy nań dzikim wzrokiem, dodała:—i tobie nie dałabym przeżyć!... Ale ty mię nigdy nie przestaniesz kochać?... wszak prawda: nigdy?—pytała, przytulając i łasząc się do niego.

A Robert tymczasem całował po kolei wszystkie jej paluszki, szepcąc:

— Nigdy, moja najukochańsza, nigdy!

— A więc kochać się będziem: „na życie i śmierć!—zawołała, i energicznym ruchem przycisnęła lewą rękę do piersi.—Aj!... ukłułam się broszką. Rubinowa kropla krwi zawisła na końcu paluszka; przyłożyła go do ust Roberta, a on krew tę wyssał...

— Należałoby, abym ja teraz twojej krwi wypiła, a przysięga „na życie i śmierć“ byłaby wykonaną podług wszelkich prawideł dzikich plemion Afryki!—dodała śmiejąc się wesoło.

Robert nie zaniedbywał nauki, pracował szczerze. Mary wypytywała go o każdy szczegół życia, i nieraz nawet o naukach przypominała. W marzeniach swych postanowiła, że Robert po skończeniu nauk zostanie koniecznie w Petersburgu. Zapytała go raz nawet:

— A co robić będziesz dalej, po skończeniu instytutu?

— Pojadę za granicę na jaki rok, by tam nauk praktycznie dokończyć.

— A potem?

— Potem?... mam nadzieję dostać jakie odpowiednie miejsce przy fabrykach, albo zakładach mechanicznych.

— Gdzie?

— Alboż ja wiem gdzie?— Czyż można wiedzieć, co się z nami stanie za dwa lata, za trzy prawie!

— Dzieciak jesteś!... Ale dobrze, po skończeniu instytutu pojedziemy za granicę...

— Jakto pojedziemy?—przerwał.

— Najzwyczajniej, koleją... boć i ja z tobą pojadę!... No! tylko nie zaczynaj morałów o reputacji, bo ja to wszystko tak urządzę, że reputacja będzie biała, jak *Crème Simon*. Wrócimy później, a ty zostaniesz tu w Petersburgu, i z czasem będziesz uczonym, dygnitarzem... ale mnie zawsze musisz kochać—„na życie i śmierć!“—dodała, muskając wargi jego ustami swemi.

Robert uśmiechał się, żartował; oboje śmieli się, jak dzieci, i budowali zamki na lodzie... bo oboje byli szczęśliwi!...

Pan Epiphanidi coraz to więcej do Roberta się przyzwyczajał, i tak go polubił, że na obiady szczególniej ciągle go zapraszał: ale Robert z rzadka tylko zaproszenia te przyjmował, wolał bowiem na godzinkę, lub dwie, przychodzić wieczorem, by z Mary pograć swobodnie na fortepjanie.

Przed kilkoma właśnie dniami, gdy pan Agizelaj wyszedł był, jak zwykle, po wieczorowej herbatce do klubu na karty, Mary wyjęła z kieszeni malutkie pudełeczko i wydostała z niego

dwa pierścionki, złote, misternej bardzo roboty. Przyniosła potem małe nożyczki, ucięła trochę włosów Roberta i, otworzywszy jeden z pierścionków, takowe w nim umieściła; obcięła potem koniuszek swego warkocza i włożyła w drugi pierścionek. Następnie wzięła Roberta za rękę i poprowadziła do sypialni. W pokoju było zupełnie ciemno; tylko przed wielkim, zdobnym w złoto i drogie kamienie obrazem Chrystusa, błogosławiącego chleb, płonęła mała wisząca lampka. Szli po miękkim kobiercu; przed obrazem Mary się zatrzymała..

— Uklęknij!—rzekła.

— Co to ma znaczyć?.. co to za komedja?

— To nie komedja: to nasze zaręczyny!..

Robert uśmiechnął się ironicznie, ale ukląkł; Mary włożyła jeden pierścionek na jego palec—drugi na swój, mówiąc:

— Przysięgam, przed tym oto Zbawicielem, kochać ciebie tylko jednego—zawsze—„na życie i śmierć!..“ A teraz, ty przysięgaj!

— Ależ to bluźnierstwo! poniewieranie sakramentu!... Mary, upamiętaj się!—rzekł wstając.—Kocham cię, kochać będę zawsze!... ale nie róbmy komedji i nie dochodźmy do śmieszności!

— Kochasz?... i zawsze kochać będziesz?... „Na życie i śmierć?“—pytała, wpijając weń zaiskrzone oczy.

— „Na życie i śmierć“!—powtórzył i uśmiechnął się; ale, pod wpływem jej wzroku, dreszcz go jakiś przeszedł.

Wrócili do oświeconej sali; prosiła go, żeby zaśpiewał: zaczął, ale nie był jakoś przy głosie; porozmawiał więc tylko cokolwiek, pożegnał się i odszedł do domu.

Komedja, w której wziął udział, zrobiła jednak na nim pewne wrażenie, i niesmak nawet jakiś po sobie zostawiła. Przyszedłszy do domu, przypomniał sobie o pierścionku; zdjął go więc i zaczął starannie oglądać. Spostrzegł wewnątrz jakiś napis i trupią główkę.

— Co to ma znaczyć?—mówił do siebie,— trzeba dobrze zobaczyć.

Wyjął z szufladki lupę, przysunął lampę i zaczął się przypatrywać.

— Ależ to nie trupia głowa,—szepnął uśmiechając się,—tylko stempel próby: także jestem facet!... A to co?... po grecku—aha!...

Wewnątrz pierścionka było wyrżnięte:

„Περί τῆς ψυχῆς“.

Robert znał głoski i czytać umiał, ale języka nie rozumiał dobrze, coś niecoś zaledwie pamiętając; czytał więc:

— *Peri tes psyches*... co to znaczy?.. A! prawda... *psyche*—dusza, a dalej?... Aha! domyślam się, to będzie pewno odpowiadało: „Na życie i śmierć!“ A to jej dopiero w głowę wlazło?... chyba spotkała w jakim francuskim romansie!... Kazałaby lepiej, jak to zdaje się zrobił jubiler w Iłży, wyrżnąć: „Serce moje i twoje złącz Boże na kupę dwa!...“ Ale — mimo tego — dziwna doprawdy kobieta... entuzjastka!... dynamit!... O! od tej nie możnaby się tak łatwo odkaraskać—ona na wszystko gotowa!... Ale, co tam o tem myśleć?... taka piękna, tak mi z nią dobrze!... a te oczy—oczy czarowne!..

Wkrótce nadeszły urodziny Mary; Robert posłał był przepyszny bukiet, za który (jak słyszeliśmy) maleńką dostał burę...

Śniadanie kończyło się właśnie; jednocześnie wystrzeliło kilka butelek, i lokaje napełniać zaczęli kieliszki pieniącym się szampanem.

— Zdrowie solenizantki! — wniósł pan Drzewicki, trzymając w górze kieliszek.

Zaczęło się wstawanie, odsuwanie krzeseł, podchodzenie do gospodyni, trącanie się kieliszkami i wygłaszanie życzeń.

Robert trącił się na ostatku; schylił głowę i, składając życzenia, pocałował Mary z całym szacunkiem w rękę;—usłyszał w odpowiedzi cichy szept:

— Zawsze tylko twoja... „na życie i śmierć!...“

Było dobrze po szóstej, gdy towarzystwo wstało od stołu; niektórzy rozjeżdżać się zaczęli, a w tej liczbie i pani Papanikolos; część zaś towarzystwa siadła do kart. Uformował się jeden stolik bezika, drugi muszki, w której pani Teresa, rozumie się, udział przyjęła. Robert grać nie chciał—odmówił.

— Dlaczego pan nie chcesz? — pytała pani Teresa.

— Muszę już wyjść—za interesem.

— A może i dobrze robisz, że nie chcesz grać?... na pewnobyś przegrywał!...—dodała, uśmiechając się i grożąc palcem.

— A to dla czego?...—zapytał zmieszany.

— Szczęśliwi w miłości—nie wygrywają!... A Polinka, bałamucie,—szepnęła—wiem, *nie bój się*, że jej zawróciłeś głowę!...

— Dziękuję!... pani Miazgowa mogłaby być moją matką.

— Jeśli w ogóle kobiety, mając pięć lat, zostają matkami?

— *Pardon!* ale ja nie mam trzydziestu pięciu lat—mówił wesoło.

— Dziękuję za komplement w Polinki i w mojem imieniu, bo my rówieśniczki; ale, wszak wiadomo, z panem nigdy nie *można się* dogadać!

Kończąc te słowa pani Teresa zasiadła do stolika.

— Dlaczego pan odchodzi? – pytała Mary.

— Mam ważny interes i muszę być w domu koniecznie; już się nawet trochę spóźniłem.

— A może pan załatwi interes — dodała ciszej—i wróci?... Mnie tak smutno będzie...—wszyscy grają w karty—wracaj, mój drogi!

—Postaram się załatwić, i wrócę.

Mary spojrzała jakoś niedowierzająco.

— To wyjdź nie żegnając się—i wracaj!... Czekam—za godzinę—nieprawdaż?—i podała mu rękę.

Uścisnął ją—i wyszedł.

Robert miał interes rzeczywiście: był bowiem rano u Dziubandowskiego, i dał mu sto pięćdziesiąt rubli, z proźbą, by stary, korzystając ze święta, poszedł i wręczył je Duni. Pułkownik wyrżnął wprawdzie Robertowi moralną naukę, ale podjął się załatwienia sprawy i, między szóstą a siódmą, obiecał zajść do niego, by zdać sprawę z misji.

W dziesięć minut po wyjściu od Epiphanidich, Robert wchodził do swego pokoju; zastał tam już Dziubandowskiego i Franka, siedzących przy stole i popijających herbatę.

— W oczekiwaniu gospodarza — przemówił Franek — kazałem podać samowar i pijemy herbatę!

— Pysznie robicie!... Jak się macie?... No, cóż, pułkowniku?

— A no, nic!... Masz tu oto swoje sto pięćdziesiąt rubli napowrót...—odrzekł pułkownik, podając pieniądze.

— Cóż się stało?... Nie zastałeś jej pan w domu?

— Przeciwnie: zastałem!... Wziąłem się do interesu, *comme vous savez*, z całą znajomością rzeczy, i byłem na bardzo dobrej drodze; a ponieważ *maman a été absente*, więc tego... rozmawialiśmy po przyjacielsku. Wyjąłem tedy pieniądze i chciałem jej dać, ale odskoczyła, jak oparzona—*comme une échaudée*; — zaczęła płakać i narzekać, że nigdy nie spodziewała się od ciebie tej ostatniej zniewagi. Na domiar złego *le diable a apporté* Perłowicza; zobaczył łzy w oczach Duni, zaczął się dopytywać, a ona, rozumie się, opowiedziała. Zaczerwienił się, powiadam ci, jak burak; zaczął mi robić wymówki, a w rezultacie poprosił grzecznie, ale stanowczo, żebym się wynosił od jego na-rze-czo-nej!?.... Skamieniałem—*je restai pétrifié*; Dunia—narzeczona Perłowicza: *c'est fort ça!*... Postałem tedy kilka minut i—wy-

niosłem się. Przyszedłem tu przed pół godziną, i czekam, nadszedł Franek i, popijając chińskie ziółka, gawędzimy. Ale, ale... przed chwilą przyniósł tu *commissionnaire* list do ciebie; leży ot tam... na biurku.—Wiecie, że to pyszne: Perłowicz żeni się z Dunią—*c'est magnifique! superbe!*.. *v'là un—gavron*!...

Robert wziął list z biurka i, rozrywając kopertę, mówił:

— Franku, nalejno mi herbaty z cytryną!

Rozłożył arkusik i przeczytał w myśli, co następuje:

„Uważam za niezbędne zawiadomić Pana, że Panna Pierviajnen jest moją narzeczoną. Zechce więc Pan mieć to na względzie, i uwolnić Ją i mnie od swoich interesów i posłańców,—a siebie od mogących wyniknąć następstw.

Petersburg $^{23}/_{4}$ 69 r.

Jan Perłowicz“.

Robert, po przeczytaniu, podarł list ze złością na drobne kawałeczki.

— Cóż tam? jaka nowa faceta naznacza ci *rendez-vous*, albo może donosi o wyjeździe męża?—żartował Franek.

— Prawie!—odrzekł Robert i, zdjąwszy frak, zasiadł do herbaty.

Zastukano do drzwi i wszedł Łabędzki z jakimś panem, trzymającym w ręku cylinder.

Robert, zobaczywszy nieznajomego, zerwał się co prędzej z miejsca i złapawszy leżący na stołku frak jął go z pośpiechem naciągać.

— Dobry wieczór! — witał Łabędzki.— Przedstawiam panom pana Tacowicza,—gospodarz Skałkowski,—pułkownik Dziubandowski,—Broniewski!

Tacowicz podał rękę po koleji i zwrócił się do Roberta:

— Przyjechałem, *uwa pą*, dopiero wczoraj do Petersburga, i już dziś przychodzę do prezesa studentów, tak mi pilno było, *uwa pą*, poznać pana!

To „*uwa pą*"— było skróceniem: uważa pan.

— A któż mnie do tej godności prezesa wyniósł?

— Ależ pan Łabędzki, *uwa pą*, tyle mi o panu naopowiadał, że postanowiłem koniecznie poznać dziś pana i złożyć mu moje uszanowanie, *uwa pą!*

— Bardzo mi przyjemnie.—Franku, zawołaj o szklanki!—proszę na herbatę!

— Ale pan we fraku? zapewne wychodzi; proszę wybaczyć, nie będziemy, *uwa pą*, zatrzymywać!

— Nie, nie!... mam jeszcze czas: proszę, siadajcie!... Pan zapewne przyjechał do Pitra za interesami?

— Tak, w celach naukowych!... Przed dwoma laty prawie, *uwa pą*, skończyłem Szkołę Główną, i zostałem wysłany kosztem skarbu, *uwa pą*, zagranicę. Byłem rok prawie u Bunsena w Heidelbergu, a ostatecznie w Paryżu, zkąd tu wprost przyjechałem, dla nauczenia się języka i, *uwa pą*, doktoryzacji; poczem mam dostać miejsce profesora przy uniwersytecie, *uwa pą*. Prawie rok przebędę tu w Piterku i mam nadzieję, że nie jedną przyjemną chwilę spędzimy razem: bo chociaż ja dawno przestałem być, *uwa pą*, studentem *de jure*, ale *de facto* nim jestem,—szczególnie zaś pod względem tego, co i owszem!—dodał poważnie, i poprawił zsuwające się złote okulary.

Pan Tacowicz—był to sobie człowiek prawie trzydziestoletni,—trochę dziobaty, jasny blondyn, z malutkimi i rzadkimi wąsikami; reszta zarostu jakoś nie kultywowała się na jego obliczu, na całej bowiem twarzy kilka zaledwie miał włosków. Już to w ogóle Boże poszycie miał on nie tęgie, bo i włosy na głowie były proste, włókniste, a również rzadkie. Złote okulary, które nosił, stanowiły same niemal o całym jego powierzchownym wyglądzie, były dlań niejako marką, tak, że gdyby zdjąwszy je pokazać komuś samą tylko głowę, niktby nawet nie uwierzył, iż ma przed sobą człowieka uczonego: na twarzy bowiem i

w maleńkich oczach nie widać było ani krzty nauki, lub rozumu, i bez śmiertelnego grzechu mógłby każdy pomyśleć, że ma przed sobą prostego Wojtka, lub Grzelę, od fornalskich koni.

Służąca podała szklanki; Franek nalewał herbatę, a Robert tymczasem podał papierosy.

— Zapewnie kolega Łabędzki znajomi pana z Pitrem, i jego przyjemnościami!

— Mam właśnie zamiar; ale ponieważ pan Tacowicz wczoraj dopiero przyjechał, więc nie było jeszcze czasu: dziś tedy pójdziemy do Marcinkiewicza, lub do Eldorado!

— Rżnijcie lepiej do Marcinkiewicza — odezwał się Franek,—dziś święto, to będzie masa magazyniereczek; a poproście pułkownika, żeby z wami poszedł: to was dopiero pozna z facetkami!

Pułkownik pokręcił wąsa.

A może pułkownik pójdzie? — proponował Łabędzki.

— *Bon!*... tylko, że to za wcześnie; będzie czas—dopiero o jakiej dziesiątej!...

— To też pójdziemy poflankować na Newski, i wstąpimy do Pasażu na piwko!

— *Bon!*

— Któż jest ten, *uwa pą*, Marcinkiewicz?

— Firma tancbudy, ale będziesz pan studjował, może znajdziesz co do rozprawy!...

— Ja, *uwa pą*, na rozprawę studjuję: kroton; to jest, właściwie, *uwa pą:* olejki krotonowe, — a jeszcze właściwiej: kroton przeczyszczający — *Croton tiglium!* Mam już dużo danych,—a tu będę dalej studjować,—bo ja, *uwa pą*, pracuję nad chemją farmaceutyczną!

— No, dalej hultaje, chodźmy i nie przeszkadzajmy Robertowi, bo on musi iść! — Franuś, idziesz?—pytał powstając pułkownik.

— Nie! muszę wpierw zajść do domu; ale przyjdę do Pasażu.

Pułkownik, Łabędzki i Tacowicz pożegnali się i wyszli.

— No,—zaczął Franek po ich odejściu—ładnie urządziłeś Dunię, nie ma co mówić! Piękną i biedną dziewczynę zgubiłeś ze szczętem... ale Perłowicz—też facet — żeni się... coś nie w porządku! — i pokręcił wskazującym palcem koło czoła.

— Ja zgubiłem Dunię?—zaśmiał się Robert.— Ty także jesteś naiwny!... Żeby nie ja, to alboby została starą panną, alboby wyszła za jakiego czeladnika szewskiego; a teraz idzie za mąż za inżynjera, będzie z czasem panią dyrektorową i będzie jeździć karetą, a w dodatku z herbami na drzwiczkach, boć przecie Perłowicz szlachcic!... Powinna tedy o tem pamiętać, że to ja jej taki

los zgotowałem; i Bogu dziękować, przy każdym pacierzu, za to, że mnie poznała!

— Ejże, Robertku, ty dziś jesteś jakiś nie tego!—tobie coś jest!...

— Zdaje ci się! może przy śniadaniu wypiłem za dużo wina.

— A gdzie byłeś na śniadaniu?

— U Epiphanidich, dziś bowiem jej urodziny; idę tam nawet zaraz.

— No, to wychodźmy! — A cóż się dzieje z *Blanche?*

— Zupełna trąba, od miesiąca prawie.

— Tak!... a któż jest jej zastępczynią?

— Nie ma...

— Rozumiem; strzeż się tylko, żeby mąż tej niemej nie nadwerężył ci żeberek!... No, ubieraj się!

Wyszli razem; Franek poszedł do domu, a Robert szedł wolniutko do Epiphanidich!

W tydzień potem zaczęły się egzamina; trwały one do końca maja starego stylu, poczem studenci trzeciego kursu zostawali jeszcze na cały czerwiec, wyłącznie na zajęcia praktyczne; kurs zaś czwarty wyjeżdżał na praktykę do różnych fabryk i zakładów przemysłowych. Rozrywki i zabawy przerwano; każdy myślał tylko o tem, żeby zdać egzamin i jak najprędzej wyjechać na wakacje; podczas obiadów nawet nie było już żadnych gawęd

i opowiadań; każdy zjadał spieszno i powracał co prędzej do nauki.

Robert zdał już był dwa egzamina; i po tym ostatnim właśnie przyszedł do Truciciela na obiad. Zastał tam Łabędzkiego, Hrehorowicza, Franka i Tacowicza, kończących naleśniki z serem.

— Witamy!... Cóż,—pięć?

— Pięć, ale... dawajcie jeść!

— Dzień dobry panu!—witał Sikorski. — Egzamina, rozumie się, pysznie!... A po obiedzie będę miał z panem „do po—mówienia!“

— Właśnie Dzyndz—zaczął Franek—opowiadał nam *ewenement:* wczoraj odbył się ślub Perłowicza!

— Czy aby miał na tę uroczystość wyczyszczone buty? — zapytał Robert, przegryzając zupę gorącym pierożkiem.

— Nie gadałbyś; zdaje się, że były wyczyszczone! — odparł Hrehorowicz. — Ale, patrzajcie, Perłowicz jest *ożeniwszy się!*... Panna młoda, powiadam wam, bardzo niczego; ale była drużka, taka czarna jak heban, śliczniuteńka!...

— Nie wiem, czy murzynka może być śliczną?— pytał Łabędzki.

— Ależ ona bialutka, tylko taka mocna brunetka; oczy, powiadam wam, jak węgiel, i *wąsacieńka!*

— A to co znów znaczy?—pytał Tacowicz.

— To po słonimsku znaczy, że ma maleńkie wąsiki, jak to się u mocnych brunetek zdarza!— objaśnił Robert.

— A!... takie, *uwa pą*, to najlepsze; to ogień nie kobiety, *uwa pą!*

— *Uwam pa!*—odrzekł Robert; ale Tacowicz na tę odpowiedź nie zwrócił jakoś uwagi.

— Maślakiewicz,—mówił dalej Hrehorowicz— jako drużba z bukietem, uwijał się, jak mucha w śmietanie...

— A ty grałeś na weselu „chmiela!“—żartował Robert.

— Ja na weselu nie byłem, tylko na ślubie. Ale co to nie widać Bąkbyxa?

— A prawda, on przecież do jedzenia na minutę się nawet nie spóźnia; musi w tem coś być!... Panie Sikorski!—pytał Robert—czy Maślakiewicz już był?

— Zdaje się, że jeszcze nie! Zaraz... — Liza! czy pan Maślakiewicz był już?

— Nie, nie był.

— Chyba umarł; albo go jakie nimfy porwały... i na dno rzeki uniosły! — żartował Łabędzki. — Trzebaby dać znać do policji, może odnajdą zgubę.

Skończyli obiad.

— Chodźcie na kawę do pokoju Sikorskiego— proponował Robert; — dziś, po egzaminie, można trochę odpocząć.

Przeszli do gabinetu Truciciela, gdzie przyniesiono kawę i benedyktyna z Rygi.

— Likierek, *uwa pą*, marny: fałszować go nie umieją, a nic łatwiejszego: trochę tynktury waniljowej, trochę dzięgielowej, syrup i spirytus— i benedyktyn, jak bąk, *uwa pą!*

— *Uwam pa!* — odrzekł Robert. — Ale zkąd profesor posiada taką wódczaną erudycję?

— My, z Bunsenem, nie takie, *uwa pą*, robiliśmy mieszaniny!... Z czasem, nauczę was różnych kawałów chemicznych, *uwa pą!*

— *Uwam pa!*

Tacowicz spojrzał na Roberta.

— Profesor - mówił Łabędzki—zna różne kawały; to człek doświadczony, wysokiej próby!

— Ciekawy jestem, jak probowany, i czy ma gdzie stempel?—zapytał Robert.

— Probowany jestem, *uwa pą*, przez kobiety!

— To nie wielka próba!

— Przeciwnie, — zabrał głos Łabędzki — to najcięższa i najwyższa próba! Złoto probuje się ogniem; kobieta—złotem; a mężczyzna — kobietą: widzicie więc, jaka gradacja!

Do gabinetu wpadł Maślakiewicz; na twarzy jego malowało się zmęczenie i przerażenie.

— Kożuchowska otruła się!—zawołał.

— Co ty mówisz? — wykrzyknął Robert, wstając.

— No, przecież mówię najwyraźniej, że Kożuchowska otruła się!... Ale, dzięki Bogu, zdaje się, że uratowana!

— Któż to jest: Kożuchowska?—spytał Tacowicz.

— Kiedyż to się stało?... Dla czego?...—pytali ze zdziwieniem i jednocześnie prawie Robert i Franek.

— Kożuchowska—to studentka, nasza znajoma,—odrzekł Łabędzki.

— Jak się otruła?—odpowiadał Maślakiewicz, siadając na kanapce.—Wczoraj, po ślubie Perłowicza, poszedłem na Wyborską—do Spery; przyszło tam jeszcze kilku medyków i goliliśmy piwońję, gdy wtem—około pierwszej w nocy, wpada Protasjewa. „Ratujcie! — woła—Kożuchowska zachorowała!—umiera“!... Zerwaliśmy się i pobiegli; zastajemy Kożuchowską w strasznych boleściach i konwulsjach. Pytamy, co jej jest—nic nie odpowiada. Spera zaczął badać i poczuł jakoś zapach fosforu; zgasił więc świecę, aż tu w ustach pokazuje się lekki, obłoczkowaty blask.

Znaleźliśmy potem w kącie sporo zapałek, z pobcinanymi łepkami, którymi się otruła. Zaczęliśmy ją ratować; było dwóch doktorów i dopiero przed półgodziną powiedzieli, że niebezpieczeństwo minęło.

— Jakaż przyczyna?—pytał Robert.

— Nikt nic nie wie, ona nic nie mówi; nawymyślała tylko, żeśmy ją ratowali, kiedy o to nie prosiła. Taka to wdzięczność!... Ale—idę jeść!

— Miałeś rację—mówił Robert do Franka,—prawdziwy *ewenement*: ślub Perłowicza i otrucie się Kożuchowskiej!

Zamyślił się chwilkę—i poszedł za Maślakiewiczem do jadalnej sali; wypytywał go jeszcze, ale nic się już więcej nie dowiedział.

— Może bieda i głód doprowadziły ją do takiego rozpaczliwego kroku,—dodał w końcu.—Pojadę do niej... Czy mieszka wciąż w temże samem mieszkaniu, przy sądzie okręgowym, razem z Protasjewą?

— Tak.

— No, to do widzenia!

Robert pojechał na Litiejną i zadzwonił w bramie na stróża, który mu wskazał mieszkanie na trzeciem piętrze, w oficynie. Szybko pobiegł po schodach i wszedł do maleńkiego o jednem oknie

pokoiku; przy wejściu zaraz uderzył go silny zapach eteru i różnych lekarstw. Protasjewa, spostrzegłszy go, powstała i podeszła; przywitali się.

— No, jakże się ma Kożuchowska? — pytał szeptem.

— Niebezpieczeństwo minęło, ale bardzo osłabiona.

Robert zbliżył się do żelaznego łóżka, na którem leżała. Była bardzo bladą; twarz jej wynędzniała, miała miejscami lekkie sine plamy, a pod oczami duże, ciemne, prawie czarne siniaki; oczy były zamknięte i oddech nie równy, a muskuły na twarzy od czasu do czasu drgały nerwowo. Biały perkalowy kaftanik, jaki miała na sobie, poszewki, oraz bielizna na łóżku—były czyściuteńkie i starannie wyprasowane, ale w wielu miejscach połatane i pocerowane.

Robert usiadł na stołku przy łóżku i spojrzał na drugie, stojące przy przeciwległej ścianie. Nie było na niem poduszki, Protasjewa bowiem oddała ją Kożuchowskiej, żeby miała wyżej pod głowę.

Po chwili chora otworzyła oczy; zobaczyła Roberta, ściągnęła kurczowo usta, poprawiła rozsunięty trochę na piersiach kaftanik, i wyszeptała:

— Skałkowski—poczciwy!...

I znów zamknęła oczy.

Robert wstał, podszedł do okna i zaczął rozmawiać po cichu z Protasjewą.

— Powiedz mi pani, jaka przyczyna, że targnęła się na życie; może bieda i głód?

— Wątpię; wprawdzie jest nam bardzo ciężko, ale Kożuchowska zawsze mówiła, że to lepiej. Przebojem wezmę naukę i niezależność—powtarzała,—będzie to daleko przyjemniej, a sił mi wystarczy: nie boję się!

— Więc jaka może być przyczyna?

— Nie wiem, sama łamałam nad tem głowę... jak się poprawi—dowiemy się.

Podeszła do stolika; zdjęła z ludzkiej czaszki spiłowaną kość ciemieniową i, wyjąwszy z tego fantastycznego pudełka szczyptę tytuniu i bibułkę, kręcić poczęła papierosa.

— Nie pal pani; tu i tak niedobre powietrze.

— Rozumie się!—wychodzę zawsze na korytarz.

Wyszli razem; Robert zapalił także papierosa i wyjął pugilares.

— Proszę pani wziąć te kilkanaście rubli na wydatki i wino dla Kożuchowskiej; tylko niech pani nigdy jej nawet nie wspomina, że to ja coś dałem: ona taka dziwna, miałaby i do pani i do mnie pretensję, i toby ją truło.

Protasjewa wzięła trzydzieści rubli, mówiąc:

— Wczoraj Spera, Maślakiewicz i Krzeczot— dali prawie sześć rubli; ale to, jak lód, topnieje...

— Ja dam więcej jeszcze, ile będzie potrzeba; proszę ją tylko dobrze odżywiać, niech jej na niczem nie zbywa... ale—sekret!

— Bądź pan pewny...

Robert pożegnał Protasjewą i odszedł.

— Dziwna rzecz - myślał—co za przyczyna?... a szkoda dziewczyny!

Powrócił do domu i zabrał się do nauki. Nazajutrz pojechał znów na chwilkę, dowiedzieć się, co słychać. Kożuchowskiej było znacznie lepiej, a po trzech dniach zaczęła się zupełnie poprawiać; leżała wprawdzie jeszcze w łóżku, ale gdy Robert wszedł uśmiechnęła się i wyciągnęła doń rękę na powitanie.

— Dziękuję ci, jesteś poczciwy; i ty nawet masz serce!

Robert żartował z początku, ale później spytał na serjo:

— Czy przynajmniej żałujesz tego, coś zrobiła?

— Żałuję tego tylko, że mnie uratowano.

— Czyż życie dla ciebie nic już nie jest warte?... A owa walka i borykanie się z przeciwnościami, żeby dojść do zamierzonego celu—o których tak dużo rezonowałaś—czy już straciły urok?.. A nauka? a wiedza?.,

Kożuchowska gorzko się uśmiechnęła, a Robert mówił dalej:

— Przyznałaś przecie, że mam serce; może mnie więc zaszczycisz zaufaniem...

— Co za salonowe, naperfumowane frazesy! — przerwała.

— No, mniejsza z tem!... Może mi jednak powiesz, co za przyczyna doprowadziła cię do takiej ostateczności; możebym ci mógł co poradzić, dopomódz...

Kożuchowska westchnęła.

— Nic mi nie pomożesz, i nic mi nie potrzeba: dziękuję ci!

Robert nie nalegał więcej i zmienił temat rozmowy.

— Na wakacje pojedziesz do Dynaburga?

— Ciekawam po co?—zostanę w Pitrze; a ty, kiedy wyjeżdżasz?

— W ostatnich dniach czerwca.

— A Broniewski?

— Za małe trzy tygodnie. Ale, ale!.. czy też ty wiesz, że Perłowicz się ożenił; a co główniejsza, że na ślubie miał wyczyszczone buty!

Kożuchowska strasznie zbladła.

— Wiem—wyszeptała i zemdlała.

Robert przestraszył się; wybiegł na korytarz po Protasjewą i zaczęli chorą wspólnie cucić.

— Dziwnie jeszcze osłabiona — mówiła Protasjewa, poprawiając poduszki; — ni z tego ni z owego zemdlała.

— Czy się to często zdradza?

— Nie, po raz pierwszy!

— Aha! mamy więc wreszcie przyczynę! — szepnął do ucha Protasjewej. — Mnie to już nawet przychodziło do głowy.

— Co?

— Ona kocha Perłowicza; miała nadzieję, ale jak się ten szympans ożenił — wpadła w rozpacz!

Protasjewa pomyślała chwilkę.

— Wiesz pan, — szeptała — *przyjmując na uwagę* niektóre okoliczności i własne jej słowa, dochodzę do przekonania, że może masz pan i rację.

— Tylko ostrożnie; nie dawać jej poznać, że się cośkolwiek domyślamy: mogłoby ją to rozdrażnić, taka jeszcze osłabiona.

Kożuchowska powoli przyszła do siebie. Robert został dłużej; nadszedł Fasolka i wspólnie wypili herbatę. Do domu wracali razem.

— Nigdybym nie przypuszczał, żeby była taka głupia, — mówił po drodze Robert. — Truć się z miłości dla Perłowicza! — nie tylko, że przesadzone, ale — co najmniej — przeholowane!

— Mój kochany! — odrzekł Fasolka — taki dobry Perłowicz, jak i inni; a zresztą, wiesz, mi-

łość nie kartofel: zjeść jej, a tembardziej strawić— nie można!.. Ale wartoby jej prawdziwie dopomódz, wyrobić jaką posadę, coś.... tego!... Pomyślno, w chwilach wolnych od greckiego!...

— Od jakiego greckiego?

— No, przecież ta Kyrjeelejsonowa uczyć cię musi po grecku: dla czegóżbyś bowiem tak często do niej chodził?

— Kto taki?

— No, jakże się nazywa?.. Wszakże tak coś z nabożeństwa.. Epifańja, czy jak tam?.. No, nie *zawrócz* pan *głowie!* ale, swoją drogą, szampańska to kobietka! a masz tam i wyżerkę, stary łobuzie!

Robert nie był jakoś zadowolony z rozmowy Fasolki, pożegnał go więc wkrótce i pojechał do Mary...

Powróciwszy do domu myślał o Kożuchowskiej:

— Fasolka ma rację; trzebaby jej wyperswadować medycynę: na nic się to nie zda! Postaram się dla niej o jakie stałe zajęcie: niech pracuje i zarabia na utrzymanie... a przytem, może się i uczyć... Nie ma co, poproszę Mary... ona ma tyle znajomości i stosunków, łatwoby jej przyszło wyrobić jakie dobre miejsce... aha! dobrzebym się wybrał... jeszcze gotowa pomyśleć, że romansuję

z Kożuchowską; a jakby jeszcze zobaczyła, że to nieszpetna dziewczyna, zamiast posady wydrapałaby jej oczy, a mnie zrobiłaby awanturę, aż pfe!... Nie głupim!... lepiej udam się do pani Teresy... ona ma także dobre serce... może poprosi męża, a ten może dużo zrobić!... A Perłowicz?... ten szympans byłby narobił niezłego bigosu! Lowelas, psia krew!—a do tego nakrapiany!

Długo jeszcze rozmyślał, ale nic lepszego nie przychodziło mu do głowy; zasnął więc, myśląc wciąż o Kożuchowskiej, Perłowiczu i Duni... .

XI.

Egzamina skończyły się; młodzież zaczęła się rozjeżdżać. Franek pojechał do siebie, w okolice Wysokiego-Mazowieckiego, gdzie brat starszy we wspólnym gospodarował majątku; Łabędzki i Karpowicz udali się na roboty przy nowobudującej się koleji Kozłowo-Woroneżskiej; inni wyjechali na wieś, a inni jeszcze do Warszawy. Zostali tylko Robert i Wrona, obaj zajęci wyłącznie robotami około heblarki. Fasolka, rozumie się, nie opuszczał Petersburga; a nowoprzybyły Tacowicz pracował w laboratorjum uniwersytetu.

Robert postanowienia swego dotrzymał i do pani Teresy za Kożuchowską się wstawił; opowiedział o niej wszystko, co sam wiedział, oprócz, rozumie się, wypadku z otruciem. Pani Teresa gorliwie wzięła sprawę tę do serca i zaprotegowała ją do męża, a tak go energicznie nasiadła i dopilnowała, że we dwa dni była już wyrobiona posada w biurze koleji Warszawsko-Petersburskiej. Pani Drzewicka życzyła sobie poznać swoją protegowaną, więc też Robert obiecał ją przyprowadzić i tegoż samego dnia do niej pojechał. Opowiedział, że ma już gotowe dla niej miejsce, z pensją trzydziestu pięciu rubli miesięcznie; że zajęcie jej trwać będzie od dziesiątej rano do czwartej po południu; że święta będzie miała wolne, więc też zostanie jej dość swobodnego czasu, by w razie chęci nauką się zająć.

Kożuchowska z początku myślała, że Robert żartuje; po solennem dopiero zapewnieniu uwierzyła i, zgodziwszy się na wszystko, bez wielkich znowu trudności, dała się nakłonić do bytności i osobistego podziękowania pani Drzewickiej. Ogarnęła się więc, jak tylko mogła najlepiej, i wyruszyli; Robert tylko nie pozwolił jej włożyć nienawistnych sobie niebieskich okularów.

Wsiedli na „prolotkę“ i Robert, wedle zwyczaju, ujął kibić swej towarzyszki. Było to

w owym czasie niejako koniecznością, gdyż „prolotki“ takie miały jeszcze wówczas wiszące resory i przy lada trąceniu o wypadek nie było trudno.

Jadąc przez most Aniczkina, spotkali w powozie Mary; zobaczyła ona Roberta z daleka, i mijając się bystro obrzuciła wzrokiem przystojną dziewczynę, którą tenże obejmował. Robert skłonił się jej z uśmiechem, ale spotkał go wzrok groźny.

Jakaż to śliczna kobieta? ale czegoś zagniewana, mówiła Kożuchowska. Któż to taki?

— Pani Epiphanidi!—odrzekł, i pomyślał:—Będzie znów chryja!...

Zawiózł Kożuchowską do pani Teresy, przedstawił ją, i—po kilkunastu minutach, wrócił do warsztatów na robotę.

Były to pierwsze dni czerwca, zaczęły się już ciepła, i w warsztatach dawały się we znaki: gorąco i duszność. Wrona, ocierając pot z czoła, obtaczał koło pasowe i klął, jak marynarz,—trzeci już bowiem raz wykruszył mu się nóż w suporcie. Pierwsze dwa razy wyrównał go na toczydle; ale obecnie tak wielki kawałek odskoczył, że trzeba było nóż odglijować, przekuć koniec, opiłować, zahartować i zaostrzyć.

— Cóż u trzystu djabłów dziś z tym nożem?.. ciągle się, psia krew, łamie!

— Może bierzesz za duży wiór?—pytał Robert.

— Ale gdzie tam!

— To może za mocno zahartowałeś?

— Ależ odglijowałem, jak należy!

— Pokażno go!

Robert obejrzał nóż i mówił:

— Eh, ty fajtłapo!... Przepaliłeś przy hartowaniu, żadne glijowanie nie pomoże: zobacz, jaki złom:—weź, odrąb ze dwa cale i odkuj na nowo, a nie dawaj takiego ostrego kąta, boć to przecie do lanego żelaza. Ty bo masz pasję do tych ostrych kątów, a to ci nic a nic nie pomoże: tylko czubek noża prędzej ci się spali, albo zedrze!

Wroński poszedł do kuźni; a Robert, pogwizdując „Piękną Helenę“, heblował dalej.

O szóstej skończyli roboty i wyszli.

— Co robisz dziś wieczór?—pytał Robert,—my dziś z Fasolką puszczamy się do „Demidronu“; może pójdziesz z nami?

— Nie; dostałem pilną robotę, rysowanie profilów na kalce, do biura budowy Tambowsko-Saratowskiej drogi. Płacą doskonale, ale robota terminowa. Do widzenia!

Koledzy rozstali się; Wrona poszedł do „Łatyszówki“, Robert skręcił w „Pierwszą rotę Izmajłowskiego pułku“. Dochodząc do domu Ta-

rasowa, koło aresztu dłużników, spotkał idącą pieszo Mary. Zdziwił się mocno:

— Co się stało, że pani w obiadowej porze na ulicy?

— Już po obiedzie; wyszłam za interesem, ale—wracam.

Zawróciła się; szli obok siebie.

— Agizelaj nie był na obiedzie; pojechał do Pawłowska, zobaczyć, czy już wszystko gotowe i czy możemy przenosić się na letnie mieszkanie. Chodź na filiżankę herbaty.

— Dobrze, tylko wstąpię do domu ogarnąć się trochę,—idę bowiem wprost z warsztatów.

— Nie ma potrzeby: u mnie nie będzie żadnej kobiety,—nie podbijesz żadnego serca.

— Tem nie mniej jednakże, przebrać się pójdę—odrzekł stanowczo.

Podchodzili właśnie do domu, w którym mieszkał.

— Proszę iść do domu—mówił,—a ja za małe pół godzinki przyjdę. Do widzenia!

Wszedł w drzwi podjazdu i szybko wbiegł na schody.

Zadzwonił;—Mary szła za nim.

— Co pani robisz?—jakże można?...

— Wszystko mi jedno: idę do ciebie!—odrzekła.

Nie było rady; Mary spuściła tylko woalkę i przeszli przez korytarz do pokoju Roberta.

— No,—mówił—kiedy się już tak stało, to wypijemy herbatę u mnie!

Zdjął z Mary płaszczyk i rozwiązał kapelusz; poczem wyszedł na korytarz, kazał podać samowar i posłał po konfitury z róży, które Mary nadzwyczajnie lubiła.

— Jestem niewymownie szczęśliwy, widząc cię w mojej biednej izdebce—mówił, całując paluszki Mary.

— Ależ to wcale nie studencka stancyjka... Czytałam przecież opisy: zupełnie co innego opiewają, i ja sobie wyobrażałam inaczej... a tu—to jakiś salonik; no, ale to do rzeczy nie należy!... Panie Robercie! musimy się rozmówić; proszę mi powiedzieć, z jaką to *gaminne* spotkałam pana dziś na Newskim. Czy pan masz prawo, i czy uczciwość pańska pozwala na to, by wdawać się z podobnemi istotami?

— Przepraszam!... Osoba, z którą jechałem, wcale nie zasługuje na miano „łobuzicy“: jest to biedna studentka, która oniemal, że nie umiera z głodu, ale jest uczciwą i, co do moralności, bez zarzutu; dzięki pani Drzewickiej, do której ją właśnie odwoziłem, dostała posadę przy koleji.

— A pan jesteś protektorem nieszczęśliwej, uciemiężonej niewinności: wysoce szlachetne zadanie!... Wstydziłbyś się mnie okłamywać:—dodała, podniósłszy głos.—Oszukiwać mnie tak: to niegodnie, nieszlachetnie!—i zaczęła głośno płakać.— Ja ci wszystko poświęciłam: obowiązek i honor!... a ty mnie za to zdradzasz z jakąś ulicznicą!... Och! biedna ja, najnieszczęśliwsza z kobiet!

— Ależ, Mary, uspokój się!—szeptał—nie rób scen!... wszakże tu obok mieszkają ludzie, co sobie pomyślą?...

Służąca wniosła tacę z samowarem i szklankami; Mary zakryła twarz chusteczką i dalej płakała.

— Nic mnie ludzie nie obchodzą!—mówiła.— Myślałam, naiwna, że ty jeden jesteś uczciwym i że mnie kochasz prawdziwie... ale zawiodłam się.. widzę teraz, że i ty taki sam jesteś, jak i inni!... —i, mówiąc to, poszarpała na kawałki batystową chusteczkę.

— Daję ci słowo uczciwości, że się mylisz!

— A ja ci daję słowo, że ci nie wierzę!

— W takim razie—zawołał ze złością—jedno mi tylko zostaje: wyjść!

Chwycił kapelusz i ku drzwiom się skierował— Mary myślała, że to żart; gdy jednak wyszedł już za drzwi, zerwała się, pobiegła za nim na korytarz, schwyciła go za rękę i wciągnęła z po-

wrotem do pokoju. Robert był jednak rzeczywiście rozgniewany.

— Przebacz mi!—mówiła, zarzuciwszy ręce na jego szyję i błagalnym wzrokiem patrząc mu w oczy;—nie gniewaj się już!... Wszak to nieprawda?... omyliłam się?...

— Daję ci najuroczystsze słowo, że podejrzenia twoje nie mają najmniejszej podstawy!

— Prawda?—ty mię wszak jednę tylko kochasz?

— Ależ jednę, jednę!

— I zawsze kochać będziesz?

— Zawsze, zawsze!

— Na życie i śmierć?

— *Peri tes psyches!*—odrzekł Robert, uśmiechając się.

— Ależ ty źle wymawiasz; coś tak, jakby po starogrecku... Wymawia się: *Peri tis psiuchis!*... No, powtórz!

— *Peri tis psychis!*—powtórzył Robert.

— Ale nie: *psychis*, a *psiuchis*, mój najdroższy!—mówiła, całując go namiętnie.

Robert nalał herbatę i przysunął konfitury.

— A!... róża?—i o tem pamiętałeś!... Nie, ja jestem szalona!... jak można było cię podejrzewać?..

Ktoś wszedł do pokoju; lecz, spostrzegłszy kobietę, zatrzymał się na w pół drogi. Fasolka

to—stał na środku pokoju; wszedł sobie najzwyczajniej, drzwi bowiem nie były zamknięte na zasuwkę.

Mary zmieszała się strasznie i zbladła; Robertowi przykro się jakoś zrobiło, że drzwi zamknąć zapomniał, ale nie stracił miny: przywitał więc Fasolkę i podprowadził go do stołu.

— Pozwoli pani przedstawić sobie mego przyjaciela—Fasolewicza!

Czesław rzucił okiem; poznał, a raczej domyślił się od razu, kogo ma przed sobą: złożył więc głęboki ukłon i usiadł przy stole. Mówił on bardzo poprawnie, kto wie, czy nie lepiej od Roberta, po francusku; rozmowa więc potoczyła się gładko.

Mary była, jak gdyby złapana: wypiła szklaneczkę herbaty, zjadła parę łyżeczek ulubionych konfitur i wstała, mówiąc:

— Mogę więc liczyć, że pan ten interes załatwi?

Było to niby maskowanie przed Fasolką wizyty.

— Z całą przyjemnością!—odrzekł kłaniając się Robert.

Mary ubrała się i wyszła, a Robert odprowadził ją aż do przedpokoju.

— Jak tylko wszedłem, odrazum poznał! — mówił Fasolka do powracającego Roberta.—Od-

daję sprawiedliwość: pyszna niewiasta ta twoja Kyrjeelejsonowa!—i warto, żebyś jej ten interes, o który prosiła, dobrze załatwił!.. Jej nawet warto często załatwiać interesa!... No, cóż: idziemy do Demidronu?

— Rozumie się!

— Tacowicz czeka na nas... ale może mi dasz choć ze trzy rubelki, bo właśnie, idąc do ciebie, spotkałem kilka biednych wdów i oddałem im wszystką monetę... byłbym nawet oddał i płaszcz, jak ów święty, tylko że go nie posiadam... Ale, ale!—masz nową sąsiadkę!

— Jaką?... gdzie?

— Tu!... dziś sprowadziła się do pierwszego pokoju. Wysoka, brunetka, z wyższem wykształceniem!...

— Jakimże sposobem zdążyłeś się już o tem przekonać?

— A no, widzisz, niby od góry dobrze sformowana i rozwinięta; nazywa się *Charlotte*'a, i robi oko!..

— Dziękuję za informacje!.. Ja się będę przebierał, a ty może, tymczasem, pójdziesz do niej zabrać znajomość.

— Eh! kiedy właśnie wyszła, bom ją spotkał na schodach.

Robert przebrał się, dał Fasolce pięć rubli i wyszli. Wstąpili po Tacowicza i skierowali się

przez Ekaterynhofski prospekt na Oficerską ulicę. W końcu tej ulicy, ku ujściu Newy, znajduje się obszerny ogród, w którym w lecie dają przedstawienia; oprócz tego jest tam także restauracja, karuzele i strzelnica. Wszystko to, razem wzięte, nazywało się „ogrodem dla rodzin“. Dla czego właściwie tak się nazywało, nie umiałbym odpowiedzieć; chyba bowiem dla tego, że z rodziną nie podobna było tam bywać: ponieważ na estradzie panowała wszechwładnie mocno podkasana muza, a w ogrodzie nie podkasane wprawdzie, ale też wcale i nie muzy... Ogród należał kiedyś do księcia Demidowa, skutkiem czego, w miejscowym żargonie, nazywał się Demidronem, i pod tem przezwiskiem powszechnie był znany.

Trójka naszych znajomych, zapłaciwszy po półrubelku, weszła do ogrodu. Robert był przewodnikiem; udali się na lewo, pod dużą galerję, gdzie było wiele rozstawionych do jedzenia stolików.

— Tu, panowie,—proponował Robert—będzie doskonale: scenę widać pysznie, nie będziemy potrzebowali dopłacać za osobne miejsca, i jednocześnie będziemy dobrze widzieć przechodzące niewiasty. Siadajmy!

Zbliżyli się do stolika. Wyfraczony kelner, z serwetą pod pachą, podbiegł natychmiast, starł stolik i stołki, i w wyczekującej stanął pozie.

— Profesor używa piwonji?—zapytał Robert.

— Pytanie?... jak bąk!

— Trzy tuziny piwa Kalinkińskiego i pół porcji szwajcarskiego sera!—zaordynował Robert.

— A możebyśmy obejrzeli wprzód ogród, bo ja, *uwa pą*, pierwszy raz jestem i chciałbym dokumentnie zobaczyć?

— Nie ma co jeszcze; *poczekawszy*, pójdziemy i siebie pokazać, i innych zobaczyć!—odrzekł Fasolka.

Usługujący przyniósł trzydzieści sześć butelek piwa i, na talerzyku, trzy małe kawałeczki szwajcarskiego sera; ustawił butelki z wielką pod rząd symetrją i trzy z nich odkorkował.

Muzyka zaczęła grać; Robert nalał trzy szklanki piwa.

— Nasze zdrowie!

Wypili; Fasolka napełnił szklanki.

— Piwo gorzkie, *uwa pą*, i—nietężyzna; nie takie, jak w Heidelbergu: trochę fałszowane!...

— Ależ, zdaje się panu; my tu mamy doskonałe piwko!—odparł Robert.

— Przepraszam!... ja na smak czuję; my, *uwa pą*, z Bunsenem, robiliśmy przeszło tysiąc analiz różnych gatunków piwa, bo poczciwe Bunsenisko—także wielki amator trunku Gambrynusa: lubi, figlarz, piwońję!... I cóż?—okazuje się, że

najpoważniejsze, *uwa pą*, firmy, dla otrzymania specjalnej goryczki, dodają. *uwa pą*, wroniego oka—*Nux vomica*. albo rybiej trutki—*Cocculus suberosus*; a zapewne wiecie, że te rośliny—a właściwie ich owoce—są trujące:—pierwsza zawiera alkaloidy: strychninę i brucynę, a w skład drugiej wchodzi przeważnie: pikrotoksyna i kwas rybotrujowy—*acidum menispermicum*,—czem łatwo otruć się, *uwa pą!*...

— *Uwam pa*; ale my wiemy o tem, i dlatego nigdy więcej nad osiemnaście butelek na osobę nie wypijamy, bo i nam także życie miłe, *uwa* profesor!—odrzekł Robert, i trącił szklanki.

— To wy, jak heidelbergczycy wlewacie piwońję, *uwa pą!*

— *Uwam pa*; ale rzadko robimy sobie taką frajdę, bo droga!... Ale—sza!... *Philippo* zaczyna śpiewać!

Wstali z miejsc i wyciągnęli głowy ku estradzie. *Philippo*, w owym czasie młoda jeszcze, szykowna i pikantna, śpiewała owo sławne:

„*L'amour!... n'est-ce donc que ça?*...“

Śpiewała istotnie znakomicie, może nawet zanadto znakomicie!... Skończyła; a oklaski i krzyki uraganem rozległy się po ogrodzie!

— Nie tyle dobrze śpiewa, *uwa pą*, jak doskonale pokazuje!...

— Co pokazuje?

— A no, niby, *uwa pą*, tę—miłość!...

— Za jej zdrowie!—dodał Fasolka, podnosząc szklankę.—Pyszna szelmeczka!...

— „*O Robin!... oh! la là!...*“

Słychać było z estrady: to *Philippo* bisowała!... I znów nastąpiła burza oklasków.

Koło naszej trójki przeszły dwie kobiety: jedna nadzwyczaj wysoka i bardzo przystojna brunetka;druga mała, mniej ładna, ale miła i szykowna blondyneczka. Fasolka trącił Roberta:

— Widzisz Lipę?—i wskazał wysoką brunetkę.

— Nie może być!

— Słowo!... Pójdę po nią!

Fasolka wstał i poszedł za facetkami.

— Co to znaczy, *uwa pą*, lipa?—drzewo?

— Nie—to imię!

— Imię?

— No, tak!.... Olimpjada—zdrobniałe: Lipa!

— Aha!... a kto to jest? Zdaje się, że wcale, *uwa pą*, niczegowata!

— Kto jest?—nie wiem; była, *uwa* profesor, guwernantką: ma bardzo przyzwoite wykształcenie i zna doskonale język francuzki i angielski, mówi nawet i po polsku; dawała lekcje, ale kiepskie, widać jakoś, miała dochody; nareszcie do-

stała dobrego elewa, jakiegoś bogatego kupczyka, któremu dawała lekcje francuzkiego i, zdaje się, że jej to na dobre wychodziło,—ale kupczyk zapragnął uczyć się po cygańsku, przyjął więc inną guwernantkę, a Lipa dostała przed miesiącem dymisję. Nie wiem, czy obecnie ma jakie lekcje i co robi; Fasolka się dowie...A, oto właśnie prowadzi je do nas!... Ale niechno profesor pije i podąża za nami: my kończymy ósmą szklankę, proszę nie zostawać!.. A może profesor nie może?..

— Co?.. My, *uwa pą*, z Bunsenem, na jedno posiedzenie wypijaliśmy po dziesięć litrów mocnego Kulmbachera, *uwa pą?* A jak zdawałem egzamin na bursza do korporacji, tom wypił, *uwa pą*, nie odejmując od ust pięciolitrowy but, rozumie się, *szklanny*, piwa!—słowo uczciwości!

Do stolika podszedł Fasolka, z dwiema facetkami.

— Witam pannę Lipę!—mówił Robert, podając rękę.—Rekomenduję naszego przyjaciela: *monsieur Où-va-paon!*—i wskazał Tacowicza.

Ten uśmiechnął się i dotknął ręką ronda cylindra.

— Dobry wieczór!—witała wesoło Olimpjada. Przedstawiam moją przyjaciółkę: *Ninette!*

— Prosimy siadać!—zapraszał Fasolka, przysuwając dwa stołki.—A może piwka?.. Kelner! podaj dwie szklaneczki!

Młoda, o spiczastym nosku i błyszczących oczętach, jasna blondynka, *Ninette*—na to zaproszenie uśmiechnęła się pogardliwie.

— My nie jesteśmy mamki, żebyśmy piły piwo—odrzekła.

— To może limonady gazowej z koniakiem?—proponował Robert;—albo odwrotnie, i... bez limonady?

— Ja myślę, *uwa pą*, że najlepiej coś pozytywniejszego, naprzykład: porcję wołu, lub cielaka!

— Racja,—odrzekł Robert—i my także przetrącimy! Ale nie myślcie, że to będzie jaka wspaniała uczta; dostaniecie, aniołeczki, po kawałeczku miąska i—basta!

Wkrótce podano skromną kolacyjkę, bez wina naturalnie, mimo ustawicznych przymawiań się Ninetki. Nareszcie Tacowicz, pod wpływem jedenastej butelki piwa, kazał podać buteleczynę marnego Lafitte.

— Za wasze zdrowie, piękna sąsiadeczko!—mówił Tacowicz, trącając kieliszek Ninetki i robiąc do niej minę i ruch łaszącego się kota.

— Nie radzę profesorowi—ostrzegał Fasolka—mieszać piwonji z czerwonem...

— Niemiec z francuzem w polskim żołądku nie zgodzą się—przerwał Robert—i gotów jeden drugiego wypędzić...

— Do Rygi naprzykład! — wtrącił Fasolka.

— Czyli, że będzie „Rigoletto!“ — dorzucił Robert.

— Nie ma obawy!.. My, *uwa pą*, z Bu... Bunsenem nie takie mie... mieszaniny pijaliśmy!

— Oho, ho!... języczek jakoś zaczyna włazić w pantofelek! — mówił Robert. — Widocznie, poczciwe Bunsenisko za mało jeszcze zahartowało profesora!

I rzeczywiście, Tacowicz był już nieźle podchmielony; zaproponował Ninetce przechadzkę, wziął ją pod rękę i niepewnym krokiem poprowadził na ogród.

— Zapłaćcie tam rachunek, a jutro, *uwa pą*, policzymy się! — dodał odchodząc.

Fasolka zaś z Robertem kończyli piwo, umizgając się do Olimpjady.

— Ja odwiozę pannę Lipę do domu — proponował Fasolka, — bo samej nie wypada powracać o tak późnej godzinie.

— A może pan Robert chce mnie odprowadzić? — pytała, robiąc skromną minkę.

— Szkoda jego ognistych oczu! — odrzekł Fasolka.

— Dla czego?

— Bo-by mu je wydrapano!... Czy uważacie, jaka pyszna konstrukcja: *bo-by-mu-je!*... To coś

zupełnie nowego, wszak prawda?—dodał, śmiejąc się, Fasolka.

— Zobaczymy, jak to tam będzie z tym: *boby-mu-je!* —odpowiedział Robert.

Wstał i wziął Lipę pod rękę.

— Jedziemy! — szepnął.—A—*dju*, Fasolka!!—dodał.

. . . .

W kilka dni potem, Epiphanidiowie przeprowadzili się do Pawłowska, na letnie mieszkanie. Pani jednak ciągle miała interesa do miasta, jak to zwykle bywa po przeprowadzeniu się na willegjaturę, gdzie jednego nie ma, drugiego brak, a trzeciego zapomniało się przywieźć z domu. Skutkiem tego trzeba było, co drugi dzień przynajmniej, przyjeżdzać choć na kilka godzin do Petersburga.

Robert kończył właśnie zajęcia praktyczne i, już za dni parę, wyjechać miał na wakacje.

Kożuchowska objęła posadę w biurze koleji Warszawsko-Petersburskiej, i przeprowadziła się na Ósmą rotę, wskutek czego blizką została sąsiadką Roberta. Zachodziła już do niego ze trzy razy, ale go nigdy w domu nie zastawała. Wybrała się więc w niedzielę o dwunastej, sądząc, że go wreszcie zdybie; ale i tą razą znów go nie było. Schodziła właśnie ze schodów, myśląc,

że chyba o dwunastej w nocy złowićby się pozwolił, gdy w tem—spotkała wstępującą na schody Mary. Mimo gęstej woalki, poznała ową piękną panią, o którą się Roberta pytała; coś ją tknęło, zwolniła więc kroku i usłyszała dzwonek, a wróciwszy się zwolna i ostróżnie, zobaczyła Mary wchodzącą do tych drzwi właśnie, gdzie mieszkał Robert.

— Nie ma wątpliwości—myślała Kożuchowska,—że do niego poszła; a może się i mylę: wszakże tam tyle pokoi i nie jeden Skałkowski mieszka... Nie należy posądzać, a zresztą... wszak i ja bywam u niego... No, prawda, ale... A jaka to piękna osoba... Oh ten Robert!... A mimo to—lubię go, bo mężczyzna: co postanowi—zrobi... Nie dorówna wprawdzie tamtemu—o, nigdy nie dorówna!—ale jednakże ma i on charakter.

Myśląc tak, szła wolno ku Woźniesieńskiemu, i spostrzegła jadącego dorożką Roberta; dała mu znak, a on zatrzymał woźnicę, wysiadł i podszedł do niej.

— Dzień dobry!—witał, podając rękę.

— Jak się masz?... Dobrze, że cię spotykam, chciałam ci właśnie podziękować...

— No cóż, jestżeś zadowolona?—przerwał.

— Bardzo; praca zupełnie odpowiednia, i mam dość czasu, by zająć się jeszcze i naukami.

— Ale medycyna w trąbę?

— Rozumie się; uczę się tylko i kształcę ogólnie.

— Pysznie robisz!... Nie przeciążaj się jednak pracą—egzystencję masz zapewnioną.

— Rozumie się!... Ale co mamy na ulicy rozmawiać—pójdę do ciebie!

Robert spojrzał na zegarek.

— Kiedy, widzisz... ja nie jadę do domu...

— A ja ci właśnie radzę jechać—i to prędko!

— A to dlaczego?

— Bo tam czekają na ciebie, i—muszą się niecierpliwić.

— Ciekawym kto?

— A ta piękna dama, cośmy ją spotkali na Aniczkina moście.

— Toś ty była już u mnie, i widziałaś ją?—pytał pospiesznie.

— Byłam; a ją spotkałam wychodząc, na schodach.

Robert lekko westchnął.

— Do widzenia!—rzekł.—A gdzie mieszkasz?—zapewne w tych stronach? Przyjdę pożegnać się: za kilka dni wyjeżdżam na wakacje.

— Na Ósmej rocie № 12; bądź zdrów!

Robert wsiadł na „prolotkę“, i, przesyłając ręką ukłon, ruszył do domu.

— Nie, nie omyliłam się: piękna dama do niego poszła!.. I czemu się tu dziwić, że on taki nicpoń i arogant, i że nic sobie z nas nie robi, kiedy kobiety same go psują!...—myślała Kożuchowska i zawróciła się ku domowi.

Robert tymczasem pospiesznie wbiegł do mieszkania i zastał Mary, przeglądającą litografowany kurs „teorji ciepła“. Przywitała go, mówiąc:

— Ta „teorja ciepła“ musi być nadzwyczajnie nudna; przerzucam ją już od kwadransa i, mimo, że mam pretensję do wiadomości fizycznych i po trosze chemicznych, nic a nic prawie nie zrozumiałam.

— Przeciwnie: bardzo zajmująca nauka, potrzeba ją tylko poważnie studjować; ale—mniejsza o teorję ciepła, kiedy je mamy w praktyce; straszny dziś upał!

— To też nie masz co siedzieć w mieście: jedź do nas!... Ja jeszcze muszę zajść do mamy, bo jedzie jutro do Marienbadu; pociągiem o trzeciej wracam: bądź na dworcu—pojedziemy razem.

— Nie mogę; Burbowa wyjeżdża w tym tygodniu zagranicę i daje dziś pożegnalny obiad, a zresztą—będzie u was cała fura gości, co mi z tego! Przyjadę we wtorek, z pożegnaniem, a we środę jadę do Warszawy.

— Całe dwa miesiące nie będziemy się widzieli!... Doprawdy, nie wiem, jak wytrzymam bez ciebie... Nie ręczę, czy nie przyjadę do Warszawy?... ma to być piękne miasto!

— O i bardzo!... podoba się zwykle cudzoziemcom!... Ale nie róbże tego głupstwa i nie przyjeżdżaj... Do niczego to niepodobne!... Narażać się...

— Na co?... Czyż mi nie wolno zwiedzać miast, jakie mi się podoba?... Ty bo zawsze masz jakieś dziecinne poglądy!... No, nie zaczynaj tylko retoryki o opinji: wszystko to umiem na pamięć!... Pomyślę, może się i zobaczymy w Warszawie; przedstawisz mię matce, siostrom, zabawię tydzień lub dwa, pokażesz mi miasto, jego osobliwości, okolice, — a później wrócę, a może pojadę do mamy, to cię zobaczę i podczas powrotu... No, więc dziś nie pojedziesz do nas?... nawet, gdybym cię jak najpiękniej poprosiła?...—dodała, głaszcząc drobną rączką jego policzki.

— Nie, dziś nie pojadę; będę we wtorek!

Mary znała Roberta i wiedziała, że naprzykrzaniem się nic nie wskóra; posiedziała więc jeszcze z półgodziny i pojechała do matki.

Robert o piątej poszedł do Burbów; zastał tam Drzewickich i Miazgową z mężem. Podczas całego obiadu Polinka zawzięcie prześladowała

go przeróżnemi uszczypliwymi żartami i docinkami; a sadziła się na opowiadanie niestworzonych rzeczy o Epiphanidiowej. Robert naturalnie odgryzał się nieźle, i bronił Mary, o ile tylko przyzwoitość pozwalała, ale Polinka była niepohamowaną, i mściła się na nim i na niej z całą pasją obrażonej i sponiewieranej kobiety.

Robert powracał do domu zły i zirytowany.

— Jędza, psia krew!—myślał,—tyle mi krwi napsuła!... A sam winienem, nie trzeba było wdawać się z tą żmiją!

Nazajutrz poszedł pożegnać Kożuchowską; namówił i zabrał ją z sobą do ogrodu „Zoologicznego“, gdzie bardzo przyjemnie cały wieczór spędzili. We wtorek pokończył sprawy instytutowe, wziął urlop, przygotował się z Wrońskim do drogi i, o piątej po południu, poszedł na dworzec Carskosielskiej koleji, żeby jechać do Pawłowska.

Na dworcu zastał już Epiphanidiego; wsiedli razem do wagonu i pociąg wkrótce ruszył.

— Widziałeś pan — zaczął Agizelaj — Emę Braatz?... Co za muskuły? jaka karnacja?

— Nic dziwnego!—odrzekł Robert—wszystkie gimnastyczki i linoskoczki mają wyrobione mięśnie.

— Ale ta—osobliwie; a jaka ona, szelmeczka, zgrabna: *elle a du chien!...* Podoba się panu?

— Nie, nie lubię kobiet szepleniących!

— To pan z nią rozmawiałeś?

— I nie raz!

— I nie podoba się panu?

— Najzupełniej!

— To pan nic nie rozumiesz i nie znasz się: taka, panie, karnacja—zachwyca!

Robert wziął na moralność.

— Wstydź się pan!—mówił—żeby, mając taką młodą i piękną żonę...

Agizelaj zaśmiał się głośno:

— Cha, cha, cha!... młodą i piękną żonę!... Wyborny pan jesteś!... a cóż to ma jedno do drugiego?... Żona—to familja: należy ją szanować i uwielbiać... a do zabawy są aktorki i linoskoczki! Panie Robercie, przyjacielu mój!... masz pan poglądy niemowlęcia w pieluszkach, mimo, że za rok będziesz już inżynjerem!... ha, ha!...—zaśmiał się serdecznie.

— A to kapitalny idjota!—pomyślał Robert.

— Cóż, jutro pan już wyjeżdżasz na wakacje?

— Tak, jutro.

— Wyobrażam sobie, jak Mary będzie tęsknić; bo trzeba panu wiedzieć, że ona pana bardzo lubi: nikt jej tak nie pasuje do gry na cztery ręce!... A i ja też pana bardzo kocham, i przyznaję, żeś

pan doskonały *młody człowiek*, choć jesteś mocno zacofany i masz straszną wadę...

— Jaką?

— A no, nie grasz w bezika!

— Ależ to nudna i głupia gra!

— O, *pardon*, wcale nie nudna, przeciwnie, bardzo zajmująca i wymagająca wielkiej uwagi, pamięci i zastanowienia! Radzę panu, byś się nauczył... jesteś pan taki zdolny, to i prędko pojmiesz... a zobaczysz, co to za gra!... A Emcia, panie, swoją drogą, pyszny figielek!.. tylko że pan nic nie rozumiesz—jesteś jeszcze *blanc-bec!.. excusez l'expression!*

Wkrótce dojechali do Pawłowska.

Państwo Epiphanidi mieli tam własną, pysznie urządzoną willę, do której, po dziesięciu minutach drogi od przybycia na dworzec, dochodzili właśnie i wstępowali po schodach, prowadzących na werendę, Agizelaj z Robertem.

Obszerna werenda, z zasuwanemi firankami z szarego drelichu, obszytego ponsowymi szlakami, była ozdobiona kwiatami w wazonach; podtrzymujące dach słupy, były okolone pnącemi się roślinami, a na szerokich schodach stały po bokach drzewka pomarańczowe, cytrynowe, oraz kwitnące rododendrony i oleandry. Na środku stał stół, nakryty już i przygotowany do obiadu.

— Proszę za mną: umyć się i okurzyć!—proponował gospodarz, wychodząc z werendy na prawo.

Robert podążył za nim, a gdy po kilku minutach wrócili, Mary już oczekiwała. Mąż pocałował ją w rękę i w czoło.

— Dzień dobry!—mówił,—jak się masz?

— Dziękuję, zupełnie dobrze!—odrzekła, ściskając dłoń Roberta i patrząc mu słodko w oczy.

Podano obiad, który przeciągnął się prawie do siódmej.

— Kawę podaj na murawkę!—mówiła pani do lokaja.—Chodźmy, panowie, już dobry cień!—dodała wstając.

Towarzystwo zeszło z werendy; przeszli na trawnik, wśród którego rozrzucone były gustowne klomby i misternie ułożone kwiatowe dywany, a dalej rosło w pewnym nieładzie kilkanaście drzew, drzewek i krzewów, przedstawiających coś w rodzaju minjaturowego parku. Mary wskoczyła lekko do wiszącego hamaka z ponsowych sznurów, ozdobionego fręzlą i chwastami; panowie zaś usiedli na maleńkich, drewnianych chińskich taboretach, przy takimże niziutkim stole. Lokaj przyniósł tacę z kawą i likierami.

Mary bujała się z lekka w hamaku, a panowie zapalili papierosy. Agizelaj wkrótce spojrzał na

zegarek, poczem wstał i pocałował żonę w rękę, mówiąc:

— Idę do Selifantowych na bezika; koło dziesiątej będę na muzyce, zapewne tam przyjdziecie?

— Może—odrzekła Mary.

Epiphanidi jeszcze raz pocałował ją w rękę, uścisnął dłoń Roberta i, odchodząc, z uśmiechem powtarzał:

— Do widzenia!—do widzenia!

Mary założyła obie ręce pod głowę; szerokie rękawy zsunęły się i obnażyły powyżej łokcia śliczne i kształtne ciało, a jedna z maleńkich i zgrabnych nóżek, obciągnięta w czarną, lśniącą, jedwabną pończoszkę, i obuta w pantofelek z ciemnoponsowym pomponikiem, ciekawie wysunęła się z pod sukni...

Robert w milczeniu podziwiał zachwycającą pozę, i, z uśmiechem na ustach, wpatrywał się w tę ciekawą nóżkę.

Mary, spostrzegłszy jego uśmiech, usiłowała poprawić się i posunęła nóżką po hamaku; ale przy ruchu tym zaczepiła o siatkę i pantofelek się zsunął.

— Robercie!—zawołała uśmiechając się i poruszając stopką—pantofelek mi spadł.

Robert wstał z wolna, podniósł pantofelek z murawy, ujął stopkę ręką, nachylił się, popa-

trzył na przeświecające przez cienką tkaninę różowe ciałko, obuł nóżkę i pocałował ją powyżej kostki.

— Pójdziemy na muzykę?—zapytała przeciągając się Mary.

— Jak chcesz; zdaje się, że już grać zaczynają.

Wiatr rzeczywiście zaczął przynosić dźwięki „Leitartikel-walca“.

— Słyszysz?...—zapytała, i szybkim ruchem usiadła na hamaku; zwieszone nóżki prawie dotykały ziemi.—Słyszysz?... pamiętasz?... przy tym walcu kochać mię zacząłeś!

— *Pardon!*... może ty zaczęłaś mię wtedy kochać?... ale ja—pokochałem cię od pierwszego zaraz widzenia!

— Tak?... ale ten walc zbliżył nas do siebie!.. Pamiętasz, jak wirowaliśmy zapomniawszy o świecie całym?..

— Pamiętam!.. doskonale pamiętam!—odrzekł muskając wąsiki.

Mary zeskoczyła z hamaka:

— Tańczmy!—przypomnimy sobie ten uroczy wieczór!...

— Ależ na trawie niepodobna!

— To biegnijmy na werendę!

— A co służba o nas pomyśli?—żeśmy powarjowali!...

— Ty bo zawsze musisz mnie oblać zimną wodą!—dodała, smutną nastroiwszy minkę.

Robert zbliżył się, ujął jej rękę i, patrząc w piękne oczy, pocałował w dłoń od spodu.

— No, to pobiegnę się przebrać i pójdziemy na foksal!... Poczekaj na werendzie: nim wypalisz papierosa, będę gotowa.

Przeszli na werendę; Mary weszła do pokoju, a Robert zapalił papierosa i usiadł na bujającym się fotelu.

— Już pół roku—myślał, huśtając się—a jednak nic się nie zmieniło: zawsze mi się podoba, zawsze ponętna i miła!.. Żadna mi się tak jeszcze nie podobała!... A przytem—inteligentna... tylko—ma w sobie trochę przesady... ale—to nie przeszkadza!...

Ciche dźwięki muzyki dolatywały ciągle do uszu Roberta; orkiestra w ogrodzie grała już na dobre.

Towarzystwo koleji Carskosielskiej corocznie latem sprowadzało do Pawłowska najsłynniejsze orkiestry; grywali tam obaj Straussowie, Bilse, i inni. W Pawłowsku, odległym o trzydzieści wiorst od Petersburga, a o pięć od Carskiego Sioła, przepiękny urządzono ogród, z estradą dla muzyki, ławkami dla słuchaczów i z wielką restauracją. Wejście jest gratisowe; ale muzyka

wyborowej orkiestry posiada siłę przyciągającą, i tłumy publiczności przyjeżdżają codziennie z Petersburga, a towarzystwo kolei niezgorszy robi przytem interes. Koncerty bywały zawsze do borowe: jedni słuchali muzyki spacerując, drudzy siedząc na ławkach, a inni jeszcze zajadając i popijając na olbrzymich tarasach, i galerjach restauracji. Młodzież, a zwłaszcza oficerowie gwardji,—spijali sobie mrożonego szampana; ale podawano go w wielkich imbrykach i w małych imbryczkach, a pito z filiżanek z łyżeczkami: uchodziło to więc za porcje herbaty, i tym sposobem, nie zwracało zbytnio niczyjej uwagi.

Wspaniały ogród, prócz rzęsistego oświetlenia iluminowany różnobarwnymi lampjonami, zdolen był pomieścić kilka tysięcy osób; a na wypadek deszczu, lub chłodu, zastępował go olbrzymi salon, przy dworcu kolei urządzony.

— Służę panu!... usłyszał Robert po za fotelem; odwrócił głowę...

Na pięknej twarzy Mary malowało się ożywienie,—rumieniec przebijał się na licach,—a zachwycające usta w ponętny złożyły się uśmiech. Robert wyciągał już szyję, by na tych usteczkach uroczych namiętny wycisnąć pocałunek; gdy wtem—spostrzegł pannę służącą, przynoszącą koronkową zarzutkę.

— Chodźmy!... Ale uważasz pan, jak parno: czy jeno deszczu nie będzie?

— E! nie, niebo zupełnie czyste.

Wyszli z willi i skręcili w aleję na prawo; muzykę coraz lepiej słychać było.

— Uwertura z „Zampy“—nieprawdaż?

Robert chwilkę się przysłuchiwał.

— Tak—odrzekł.

Dał się słyszeć daleki, przeciągły grzmot.

— Co to?... grzmi?—pytała zatrwożona Mary.

— E!... to chyba bęben w orkiestrze—odrzekł Robert.

Mary obejrzała się; widać było ciemne chmury, ale bardzo daleko.

— Wracajmy lepiej: będzie burza—mówiła.

— Toćto tak daleko; a zresztą, gdyby był deszcz, schronilibyśmy się do sali; ale pewnie wszystko to przejdzie uboczem.

Szli z wolna ku dworcowi kolei; ale nie przeszli jeszcze pół drogi, gdy zerwał się szalony wicher. Wiatr zawył złowrogo, długo i przeciągle; w kilkunastu miejscach podniosły się spiralne wiry piasku, a jednocześnie rozległ się grzmot, stokrotnie przez echo powtórzony. Robert zatrzymał się i obejrzał: ciemne, prawie czarne chmury pędziły z nieopisaną szybkością, zajmując już prawie trzecią część widnokręgu. Na tem tle czar-

nem, niby niżej zawieszona, odznaczała się duża, jakby zbita z kłębów starej waty, szara chmura; brzegi jej, przepuszczały nieco słonecznego światła i—przedstawiały kolor rdzawego dymu.

— Wracajmy!—zawołał Robert, chwytając jedną ręką za kapelusz, który mu wicher zrywał.

Ujął rękę Mary i przyśpieszonym ku domowi podążali krokiem, gdy burza pędziła wciąż na ich spotkanie. Na ciemnem tle chmur złowieszczych, przebiegały bezustannie ogniste węże piorunów, wydających ustawiczny łoskot. Niektóre błyskawice, jak płachty ogniste, oświecały cały niemal horyzont, zmieniając jego barwy: kolor złotoognisty przechodził w jasnopurpurowy, a ten znów w zielony i w jasnofijoletowy.

Mary, ściskając kurczowo rękę Roberta, biegła blada i milcząca; dochodzili już prawie do willi, gdy upadły pierwsze, ale olbrzymie krople deszczu: przyśpieszyli więc jeszcze kroku. Naraz: słup ognia, straszny huk i wstrząśnienie—zatrzymały uciekającą parę: to piorun strzaskał świerk przy sąsiedniej willi, silnym zapachem siarki napełniając powietrze. Mary krzyknęła i przytuliła się do ramienia Roberta. Osłupienie ich trwało chwilkę zaledwie, gdyż Robert pociągnął ją gwałtownie za rękę i pędem wbiegli na werendę: czas też był wielki, bo jednocześnie straszna spadła

na ziemię ulewa. Weszli do pokoju, gdzie służba z pośpiechem zamykała okna; nieznośnie było parno i duszno. Robert zbliżył się do okna, chcąc je z powrotem otworzyć, ale Mary nie dała: bała się piorunów...

— Chodźmy więc na werendę w takim razie— odrzekł Robert; tam jest przewiew, ale nie ma cugu—tu się stopimy!

— Idź! ja za chwilę przyjdę; muszę zmienić suknię, trochę przemokła.

Robert przeszedł na werendę i usiadł na kanapce pod ścianą; zapalił papierosa i spokojnie obserwował burzę, która z całą potęgą dalej szalała.

Właściwie były nawet dwie burze: jedna— między ową szarą, a wyżej położonemi ciemnemi chmurami,—i druga—między niebem a ziemią. Zrobiło się zupełnie ciemno; ale ciemność tę przerywały co chwila ogniste blaski, długie zygzaki, z bocznemi rozgałęzieniami i wytryskami, płomienne języki, to znów całe snopy i potoki ognia, przebiegające między ziemią a niebios sklepieniem.

Wbiegła drżąca Mary; usiadła przy Robercie, pochyliła głowę na jego ramię i dłoń obiema ujęła rękoma.

— Strasznie!..—rzekła cicho.

— Zaraz przejdzie: nie bój się, moja ukocha..

Piorun uderzył w tej właśnie chwili w huśtawkę obocznej willi, i nie pozwolił dokończyć wyrazu. Potrzaskane słupy zaczęły się palić, ale je ulewa zgasiła; willa Epiphanidich zadrżała była i kilka szyb z brzękiem wyleciało.

Mary przeżegnała się i mocniej się do Roberta przytuliła... on zaś rzucił niedopałek papierosa, objął jej kibić i lekko przygarnął do siebie...

— O tak! tak dobrze!—szeptała,—tak się nie boję!.. Kochasz swoją Mary?

— Kocham!... wszak wiesz o tem.

— Wiem, ale chciałabym to wiecznie słyszeć!.. to tak pieści ucho i duszę uspakaja!... Wiem, że kochasz; ale ja ciebie jednak bez porównania...

I znów uderzenie piorunu—ale tą razą w konduktor na willi Epiphanidich—przerwało słowa Mary; przeżegnała się i mówiła dalej:

— Ta burza dziwnym przejmuje mię strachem!... Zdaje mi się, że to jakby przepowiednia... Niebo było tak pogodne, tak czyste i jasne—jak nasza miłość!... ale nagle zrobiło się ciemno—czarno... O! mój Robercie: boję się, żeby ta przepowiednia się nie sprawdziła...—mówiła, cicho łkając.

— Mary! uspokój się!...—pocieszał Robert, tuląc ją do piersi.—Burza cię denerwuje, moja najukochańsza!... bądź mężną, zapanuj nad nerwami—

wszystko to urojenie!... bądź dobrej myśli, nie trwóż się: naszej miłości nigdy nie zakryje czarna chmura, zawsze będzie jasno i pogodnie!...

— Naprawdę?.. — pytała, wznosząc oczy ku jego twarzy.

— Niezawodnie: bądź więc dobrej myśli i rozpromień piękne swe lica!... No, uśmiechnijże się przecie—jak mnie kochasz!... No tak, tak, mój aniele!...

Mary uśmiechnęła się i mówiła:

— Robercie! nie gniewaj się na mnie!... Mam dla ciebie maleńki podarunek, ale—dać ci się go boję: tyś taki drażliwy na punkcie prezentów!... ale: to tylko moja fotografja!... Odjeżdżasz—na całe dwa miesiące... będziesz choć czasem spoglądać na swoją Mary!... Pozwolisz, bym ci ją dała?...

— Fotografję twoją?... ależ z największą rozkoszą!... proszę o nią!

— Zaraz, niech burza przejdzie...

Siedzieli przez pewien czas w milczeniu, trzymając się za ręce...

Chmury, orkanową pędzone siłą, przeleciały tymczasem, i wyłoniło się z pod nich czyste, ciemnolazurowe sklepienie; miljony gwiazd zaczęły na niem mrugać wesoło, nawet droga mleczna odznaczyła się najdokładniej, a księżyc, z zakrytą

trzecią częścią bladej swej twarzy, poważnie wypłynął hetmanić gwiaździstej drużynie. Promienie jego pożyczanego światła zadrgały w kroplach, zawieszonych na brzegach listków, lub na igiełkach drzewinek, i zajrzały ciekawie na grządki, do sponiewieranych przez burzę kwiatowych kielichów; ale nie miały one życiodawczej siły słonecznego światła, by rozgrzać, wskrzesić, do drgań życiowych pobudzić,—tylko po burzy, po chwilach trwogi i zniszczenia, ciszę i błogi spokój zwiastowały. Kilka świętojańskich robaczków zaczęło wreszcie bujać nad krzakami przy klombach, i one jedne tylko wprowadziły ruch i życie do tej cmentarnej ciszy. Powietrze odświeżyło się i napełniło balsamicznym aromatem.

— Patrz, jaki wspaniały widok!—mówiła Mary wstając.—Ciebie to nie zachwyca?... Takie niebo, jak na Adryjatyku!

— Mnie jedno tylko zachwyca... a tem jednem — jesteś Ty, moja nieoceniona! — odrzekł, z namiętnością patrząc jej w oczy.

Mary wyrwała mu się, wybiegła, i powróciła za chwilę z eleganckim futeralikiem, który mu z przymileniem się podała. Po otworzeniu ujrzał w nim Robert wielki, płaski, złoty medaljon; były w nim dwie fotografje Mary: z jednej strony— w kostjumie, w którym chodziła na ślizgawkę;

i z drugiej—w ubraniu balowem, w którem tańczyła z Robertem pierwszego walca.

— Tu ciemno, przejdźmy do pokoju!—rzekła, ciągnąc lekko Roberta za rękę.

Weszli do pokoju; Robert obejrzał medaljon przy lampie.

— Fotografje zachwycające!... wezmę je, ale—bez medaljonu...

— Dlaczego?—przerwała.

— Bo złoty.

— Więc ja nie warta jestem złotych ramek?... Niedobry jesteś... nie kochasz mię! — dodała z westchnieniem.—Proszę cię: schowaj i noś zawsze przy sobie!

Robert nie chciał wywoływać sceny, zamknął więc futerał i schował do bocznej kieszeni. Spojrzał na zegarek, była prawie dziesiąta.

— Jeszcze wcześnie; wszak pojedziesz ostatnim pociągiem, o dwunastej, nieprawdaż?

— Tak.

— Każę zatem przygotować zakąskę i herbatę, a sami możemy trochę przejść się po ogrodzie.

Wyszła na chwilkę i wróciła, wkładając zarzutkę. Chodzili kilkanaście minut po ślizgich, rozmokłych ścieżynach,—i zbliżyli się do małej altanki w stylu chińskim.

— Spoczniemy w altance, dróżki takie śliskie—mówiła Mary.

Weszli do pagody.

— Rozstajemy się na dwa miesiące—mówiła, trzymając Roberta za obie ręce;—być może, że, jak ci mówiłam, przyjadę do Warszawy; ale, w każdym razie, pamiętaj: kochaj i myśl o twojej stęsknionej Mary!... Kochaj zawsze i wszędzie: „na życie i śmierć!...“

Zawisła mu na szyi, przeciągle całując go w usta...

Wrócili wreście na herbatę. Wkrótce przyszedł i pan Epiphanidi.

— Ładny fajerwerk mieliśmy?... ho! ho! ho!...—mówił.—Wyobraźcie sobie: kiedy te największe pioruny biły — odsłoniłem właśnie czwartego bezika!... Zachwycające!...

Wypili herbatę i oboje odwieźli Roberta powozem na kolej. Mary, leciuchnym okryta płaszczykiem, ściskała ciągle podczas jazdy rękę ukochanego. Skutkiem ulewy droga była w wielu miejscach podmytą, jechali zatem wolno, i dowlekli się na dworzec zaledwie na kilka minut przed odejściem pociągu. Pożegnanie też było krótkie: z Agizelajem pocałowali się trzy razy; a Mary, podawszy Robertowi rękę, którą tenże całował, korzystając z przyjętego zwyczaju, w głowę go ucałowała, i—cicho szeptała:

— Kochaj i pamiętaj!...

— *Bon voyage!* — wołał do siedzącego w wagonie Roberta Agizelaj.—A może przez wakacje nauczysz się pan grać w bezika!...

— *Au revoir!..* —wyrzekła Mary; uśmiechnęła się wprawdzie, ale łezka zakręciła jej się w oku.

Pociąg ruszył.

Robert stał jeszcze chwilę w oknie wagonu, i raz jeszcze przesłał ukłon pozostającym; poczem, zasiadłszy w kąciku, myślał:

— Czy ona na serjo myśli przyjechać do Warszawy?... Z jednej strony — byłbym kontent, bo ukazanie się z taką szampańską kobietą coś warte: koledzy pękaliby z zazdrości; ale z drugiej— trochę głupio... bo jakżebym ją przedstawił matce—siostrom?... w jakim charakterze?... Chociaż, niby, cóż w tem złego?... No, znajoma dama przyjeżdża do Warszawy na kilka dni!... coś... tego... E!... co ja sobie mam głowę zawracać?... jak przyjedzie—dość będzie czasu plan ułożyć!... No, cóż w tem znowu dziwnego?... wszakżeż ona nie stara!... nie Polinka!... Szkoda jednak, że ze dwa miesiące nie będę jej widzieć: przyzwyczaiłem się jakoś do jej towarzystwa!... No, aleć przecie wiecznie to trwać nie będzie: nastanie kiedyś czas, że rozstaniemy się na zawsze!... ale, ciężko to będzie!... A przysięgi „na życie i śmierć“?... E!—

przesadzone!... Co mi dziś do łba takie głupie myśli się tłoczą?...—Przesada! przesada!

Przymknął powieki i, pogrążony w półśnie drzemać począł... — Zdało mu się, że widzi Mary w wieńcu kwiatów na głowie... że ją goni w ogrodzie jakimś... chwycił ją wreszcie w ramiona, ale: to nie Mary, to—Dunia!... Wtem, nagle, zrobiło się ciemno — coś błysnęło — i z hukiem uderzył piorun!... Robert zatrząsł się i — obudził. Pociąg to właśnie wchodził na stację, a szybko pędzące koło, stuknąwszy silnie na krzyżownicy, wstrząsnęło wagonem.

Robert, przybywszy do domu, zapakował resztę rzeczy i zasnął, jak znużony dzieciak.

Nazajutrz pojechali z Wrońskim na dworzec Warszawskiej koleji; zastali tam już Tacowicza i Fasolkę. Po załatwieniu się z biletami i z bagażem, skierowali się do salonu pierwszej klasy.

— Choć jedziemy trzecią, ale możemy udawać jadących drugą, a nawet pierwszą—żartował Robert.

— Nie tak prędko, hultaje, nie mogę za wami nadążyć!—wołał zaziajany Dziubandowski.

— A, kochany pułkownik!

— Nie myśl, nicponiu, że cię odprowadzam, nie... ale przyniosłem tu mały pakiet, który proszę oddać Więckowskiemu!—dodał, podając dużą,

mocno wypchaną, płócienną kopertę. Wczoraj—mówił dalej—odprowadzałem Perłowiczów, bo dostał miejsce na Syberji, w zakładach Koziełły-Paklewskiego. Dali mu siedemset rubli na drogę!... Ona, aczkolwiek mocno wyszła z fasonu, ale, *comme de raison*, wyglądała bardzo pięknie, mogę rzec nawet—zachwycająco!... Oj, ty hultaju!...—dodał, grożąc Robertowi, — *mauvais sujet, que tu es!...*

— *Uwa pą*, jaka pyszna niewiasta siada do wagonu?—mówił Tacowicz już na peronie.

— Szkoda, że jedziemy trzecią klasą: byłoby wesoło!...—odrzekł Robert.

— Nic straconego; w trzeciej klasie, *uwa pą*, bywa nieraz jeszcze weselej!... Pamiętam raz: jechaliśmy z Bunsenkiem do Manheimu...

Drugi dzwonek przerwał opowiadanie: Robert z Wrońskim wsiedli do wagonu. Pułkownik, Tacowicz i Fasolka—stali pod oknem, rozmawiając i żegnając odjeżdżających. Dano wreszcie sygnał odjazdu; pociąg ruszył z wolna, a Fasolka cichym zaśpiewał falsetem:

— „A kiedy odjeżdżasz: bywaj zdrów!...“

XII.

Druga połowa kwietnia 1870 roku była wyjątkowo piękną; jasne i ciepłe południowe godziny wabiły wszystkich na ulicę: niedziw więc, że między dwunastą a trzecią po Newskim i Wielkiej Morskiej spacerowały tłumy publiczności. Najwięcej uczęszczanym był kawałek od Pasażu do Holenderskiego kościoła; a było tam tak ciasno, że z trudnością tylko mogłeś się przecisnąć.

Ale w ostatnich dniach miesiąca aura się nagle zmieniła, lody bowiem na Ładodze puściły i gęstą, zbitą masą przez Newę i kanały popłynęły. Bezustannie przytem padał mokry śnieg, któremu przejmujący wiatr północny mocno ukośny nadawał kierunek. Niebo okryło się ciemnoołowianą, matową szatą; w ogóle było mokro, zimno i ciemno, a coś przygnębiającego wisiało w powietrzu.

Koło czwartej po południu, z jadłodajni Truciciela, wyszli: Broniewski ze Skałkowskim.

— Śliczny maj?... to-ci dopiero, psia krew, flaga!... — mówił Robert, podnosząc kołnierz od paltota i otwierając parasol.

— Zimno, jak w październiku,—i oczy zasypuje mokrym śniegiem—odrzekł Franek, biorąc Roberta pod rękę i wtulając się pod parasol.—Wiesz co, Robercie, chodź do mnie: napijemy się herbaty i rozgrzejemy cokolwiek, bo z tego zimna aż flaki skaczą!

— Właściwie, to powinienbym iść na wystawę, bo dziś kończą ustawiać naszą heblarkę; ale tam Wrona siedzi już od rana... a zresztą, pogoda taka, że psa trudno wypędzić!... pójdę więc do ciebie!

Franek mieszkał niedaleko, również na Wozniesieńskim, nie dochodząc Izmajłowskiego mostu; przyjaciele więc weszli wkrótce do jego pokoju, a po chwili służąca wnosiła już kipiący samowar.

Robert wyciągnął się na kanapie i zapalił papierosa.

— Uważam, że jesteś nie w odpowiednim wcale humorze—zaczął Franek, nalewając herbatę.—Wszystko ci przecie idzie, jak z płatka: egzamina zdałeś doskonale; większość projektów już wypracowałeś i przedstawiłeś; heblarkę ci na wystawę przyjęto i jest speranda odznaczenia się; niewiasty nakoniec kochają cię, aż pfe;—a, mimo tego, od kilku dni jesteś zupełnie inny, jak zwykle!... Powiesz, że każdy ma swego mola...

— Co go gryzie!—przerwał Robert.—Oj! duży to mól; nie gryzie wprawdzie, ale wyprawia takie sceny, że mi aż życie brzydnie!

— Kto—Mary?...

— A któżby inny?

— A kto cię tam wie: nie żyjesz przecie w monogamji!... Ale—jeśli nie możesz oduczyć jej od scen zazdrości, to czasby był, żebyś ją puścił w trąbę!... wszakże to rok już przeszło, *jak grywacie na cztery ręce?*

— Prawie półtora.

— No, toć już ograna należycie: wielki więc czas na trąbę!

— Nie mogę,—odrzekł Robert wzdychając.

— Nie możesz?... więc ją naprawdę kochasz?

— Kocham?... ha, ha, ha!...—zaśmiał się Robert ironicznie;—i to ty się tak pytasz?... Kocham!... paradny jesteś—dalibóg!... Nie mogę jej jednak puścić w trąbę: raz—że przywiązała się do mnie; powtóre—że ja bez niej obejść się nie mogę; a po trzecie...

— Że zrobiłaby ci taki skandal, jakiego jeszcze w Pitrze nie było, i że—wydrapałaby ci oczy!

— No, co do tego, to nie ma obawy; ale, widzisz, nie mogę sobie wyobrazić: siebie—bez Mary... Nie—nie mogę się z nią rozstać!

— A gdzież się podziała twoja wola, twój charakter,—siła?...

— *Errare humanum est!*—trzeba wybaczyć tę słabostkę.

— A więc znoś z pokorą sceny i chryje; a nie będąc mężem, korzystaj z jego największego przywileju: siedź pod pantoflem!

— Pod pantoflem?... Czyś ty, Franek, oszalał?... Że Mary wyprawia sceny zazdrości i że chryje robi: toćto jednak nie ma nic wspólnego z pantoflem!...

— Nie dawaj powodów do scen zazdrości, a będziesz miał rajski spokój!

— Alboż ja daję powody?

— Daj buzi, Robertku, cacy z ciebie chłopczyk!... Zdradzasz kobietę, oniemal, że nie co dzień; a chcesz udawać uosobioną cnotę!

— A właśnie że nie: bo o tem co jest, nic a nic nie wie, a posądza zawsze najniewinniej i najniesłuszniej robi sceny... Przed kilkoma dniami, naprzykład, spotkałem Kożuchowską; zatrzymałem się na ulicy i zacząłem rozmowę;—Mary to widziała, i zrobiła mi wieczorem taką awanturę, nie bacząc na obecność lokaja, iż myślałem że się wściekła. Wczoraj znów, wychodząc z domu, spotkałem we drzwiach sąsiadkę, *Charlotte*'ę, i schodziliśmy razem po schodach; na dole spot-

kaliśmy Mary, idącą właśnie do mnie. Wróciłem z nią naturalnie i, powiadam ci, zrobiła mi taką scenę, że sądziłem, iż rzuci się na mnie; tak, wyobraź sobie, wrzeszczała, że sąsiedzi zbiegli się pode drzwi. Tłómaczyłem jej jak najspokojniej, starałem się przekonać: nic a nic nie pomogło; dostała spazmów i skończyło się na tem, żem uciekł z domu. Wróciłem dopiero po północy; *Katia*, powiedziała mi, że pani zaledwie przed pół godziną wyszła. Nie wiem, co się z nią dzieje... Chciałem nawet zajść do niej w południe, ale—wstrzymałem się!...

— Pysznie zrobiłeś: nie powinieneś iść!

— Rozumie się, że nie pójdę: trzeba być mężczyzną!... A jednak—żal mi jej: ciągle myślę, co się z nią dzieje...

— Nic jej nie będzie: wydąsa się, wyczmucha,— i dobra!... A możebyśmy dziś poszli do niemieckiego klubu?

— Ja bo się wstrzymam.

— Może boisz się, żebyś nie spotkał Pimpinelli?

— Jedyna rzecz z farmaceutycznych konceptów, która się Tacowiczowi udała.

— Niby co?

— Ano przezwisko, przechrzcenie Aniski na Pimpinellę!... Ale spotkania z nią wcale się nie

obawiam, bośmy wszelkie rachunki absolutnie skończyli.

— Nawet i kosztów Chrztu Świętego?

— Nie zawracaj głowy! — odrzekł Robert i, rzuciwszy niedopałek papierosa na podłogę, zaczął gwizdać.

— No, nie obrażaj się—żartował Franek,— zmienię temat rozmowy!... Więc tedy wystawę otwierają już na *pc?*

— Za dni kilka. Roboty idą na gwałt, żeby było na termin skończone. Wyroby naszego instytutu już ustawiono; a Wrona siedzi tam i patrzy—powiadam ci,—jak sroka w gnat, od rana do nocy... Wyobrażam sobie, jak jutro będzie wymyślać, żem nie przyszedł... Ale, właściwie, to nie mam tam co i robić; chybaby oczkować szwaczki, co odbywają próby przy maszynach do szycia... a niezłe wcale numery, zwłaszcza jedna, z pieprzykiem na szyji... choć wątpię, czy na taką flagę która przyszła!

Robert zapalił znów papierosa, humor jakoś jednak nie wracał; posiedział więc jeszcze z pół godziny i koło siódmej poszedł do domu.

Otworzywszy drzwi do swego pokoju, ujrzał zapaloną lampę i siedzącą przy stole Mary. Skoro go tylko spostrzegła, zerwała się i z uśmiechem podbiegła na spotkanie.

— Robercie! — wołała, wyciągając doń obie ręce—czy bardzo gniewasz się na mnie?

Podał jej rękę, mówiąc poważnie:

— Wcale się nie gniewam; ale wyprawiasz takie sceny, które ci tylko ujmę przynoszą: wszyscy sąsiedzi moi schodzą się pode drzwi, jak na jaką operetkę i wiedzą już nawet zapewne, kim jesteś... Oczekuję pięknych niezadługo następstw!...

— Jakich naprzykład?—pytała trwożliwie.

— A skończy się na tem, że albo twój mąż mnie—albo ja jego zabiję!

— Robercie! co ty mówisz?—wołała, padając na kolana i chwytając go za rękę.—Skarbie mój najdroższy! życie ty moje!—wybacz!... Ah! jaka ja jestem zaślepiona.

Robert się nachylił i podniósł ją.

— Mary! co ty wyrabiasz?

— Jestem podła!—mówiła łkając,—jak można tobie nie wierzyć?—posądzać cię?.. Już więcej nigdy tego nie będzie: przyrzekam ci!... Robercie mój ukochany!—przebacz i kochaj—kochaj mię!..—mówiła, tuląc się do niego.

— Dobrze, dobrze!.. Proszę cię tylko, wierz mi i spełnij obietnicę: bądź rozsądną, nie rób awantur bez najmniejszej podstawy!...—Zastanów się bowiem: czy jest w całym Petersburgu ko-

bieta piękniejsza, milsza, szykowniejsza i powabniejsza od ciebie?

— Alboż ja wiem?—jest zapewne takich tysiące!

— Mylisz się: ja wiem—nie ma!.. Więc czyżbym ja mógł—ciebie—na inną jaką zamienić?...

— I ty to mówisz na serjo?

— Ależ najzupełniej poważnie!

— Mój Boże! jaka ja jestem nierozumna?... O, mój najdroższy, jakże ja cię kocham!

Objęła obu rękoma jego szyję i z namiętnością wpiła mu się w usta.

Ktoś poruszył klamką.

— Robercie! jeśli cię nie ma w domu, to powiedz, tylko głośno, żebym dobrze usłyszał—mówił za drzwiami Fasolka.

Mary zaśmiała się głośno, rozumiała już bowiem nieźle po polsku.

— Wpuść go—rzekła do Roberta.

Zanim jednak podszedł otworzyć, Mary poprawiła ubranie i usiadła na kanapie. Fasolka wszedł i na powitanie pocałował ją w rękę.

— Jaka cudowna pogoda—mówił—mamy wcale łagodny grudzień!

— Masz pan rację, że pogoda, jak w późnej jesieni. Robercie, może poczęstujesz nas herbatą?

— W tej chwili!

Stosunek Mary z Robertem nie mógł tak długo ukrywać się przed jego najbliższymi; Fasolka i Franek byli wtajemniczeni, i Mary przy nich bywała u Roberta. Inni koledzy zupełnie nic nie wiedzieli; niektórzy tylko domyślali się trochę, ale nie śmieli zapytywać. Mary bardzo często spędzała wieczory u Roberta, a mąż tymczasem grywał sobie zawsze w klubie w karcięta. Stosunek z Robertem miał bardzo wiele stron przyjemnych: nie tylko bowiem, że nie przeszkadzała mu w naukach, ale nawet dodawała mu jeszcze energji; w styczniu i w lutym, podczas ostatecznych teoretycznych egzaminów, przychodziła tylko o niego się dowiedzieć i bawiła zawsze bardzo krótko. Wyjątek stanowiły jedynie dnie egzaminów, gdyż po ich zdaniu Robert biegł zwykle do Mary oznajmić, że wszystko poszło doskonale; cieszyli się wtedy, jak dzieci, a nieraz i Agizelaj im nawet dopomagał. W dni te grywali na cztery ręce, jeździli sankami na spacer; bywali w teatrze, albo nawet i w klubie; ale nazajutrz Robert zasiadał znów do nauki. Wszystko to było nadzwyczaj przyjemne i tylko to jedno dawało się we znaki, że Mary była fatalnie zazdrośną i przy lada podejrzeniu wyprawiała mu sceny, do wyżej opisanych podobne. Kilka już razy, gdy miarkę przebierając, zanadto mu dokuczyła, Robert po-

stanawiał z nią zerwać; ale nigdy nie znalazł dość na to siły, i tem się zwykle kończyło, że szedł do niej nazajutrz po chryji i zgoda powracała. Pewnego razu jednak, po awanturze, jaką mu u siebie w domu zrobiła, Robert powrócił nadmiernie rozdrażniony i, chodząc po pokoju, przeklinał ową chwilę, w której ją poznał; tak mu zalazła już była za pazury, że po godzinnej rozmowie z samym sobą, postanowił puścić ją w trąbę nieodwołalnie; — ale mimowolnym ruchem splótł palce obu rąk, a dotknąwszy pierścionka, który nosił na czwartym palcu, zerwał go z ręki i chciał wyrzucić za okno...

— „Na życie i śmierć!“ — wyszeptał, przypomniawszy sobie, i — włożył pierścionek napowrót na palec.

Mimo wykształcenia i nauki, Robert był jednak do pewnego stopnia zabobonnym; wyjął więc po chwili z bocznej kieszeni medaljon i, otworzywszy go, długo—długo bardzo wpatrywał się w fotografję Mary...

— *Fatalité!* jak mówi „piękna Helena“ — szepnął.—Jaki ona ma jednak czar?... Nie! nie rozstanę się z nią, ale—będę silniejszym!

Postanowienia, jak widzieliśmy, dotrzymał: nie poszedł do niej po ostatniej awanturze, ale—ona przyszła do niego; pogodzili się znowu i przy

herbatce, którą popijali w towarzystwie Fasolki, w jak najlepszych byli już humorach. Następnie grali na fortepjanie, Fasolka śpiewał i uczył Mary kujawiaka, a koło jedenastej odprowadzili ją obaj do domu. Po tych odprowadzinach, ponieważ śnieg i wiatr trochę przycichły, nabrali jakoś do dalszego spaceru ochoty, a przechodząc koło Eldorado wstąpili niby na chwilkę, by zobaczyć, czy nie ma tam kogo ze znajomych. Jakoż zastali: Łabędzkiego, Tacowicza i Szyfmana, a przyłączywszy się do kompanji, do drugiej w nocy przy piwku przesiedzieli.

Nazajutrz, od dziewiątej rano, nachylony nad rajzbretem, Robert rysował w sali rysunkowej detale parowej maszyny; a w pół godziny może po jego przyjściu zjawił się i Wrona, podwiązany dużą, czarną chustką.

— Dziękuję ci, żeś wczoraj przyszedł na wystawę, bom przynajmniej sam nie siedział!—rzekł na powitanie do Roberta.

— Nie ma za co, cóż taka bagatelka! — odrzekł zaatakowany. — Ale cóż to, miałeś jaką awanturę z feldjegrami, czy co?...

— Fluksja, psia krew!...Musiałem się widać wczoraj zaziębić, bo mię caluteńką noc febra trzęsła.

— Wyrżnij z pięć koniaków, to ci odrazu przejdzie!... No, a heblarka—ustawiona zupełnie?

— Najkompletniej.

— A ta facetka z pieprzykiem—przy maszynach do szycia—była wczoraj?

— Nie było żadnej.

— To i dobrze zrobiłem, żem nie poszedł.

— Paradny sobie jesteś, nie ma co mówić!... Ale cóż, jakżeś skończył z połączeniem sztangi suwaka z regulatorem: bez dwóch pasów nie obyło się pewnie?

— Przeciwnie, bo ani jednego pasa nie będzie.

— Więc jakże?

— Robię połączenie Messmera: dwie maglownice i koło zębate.

— Pokaż!

Wrona nachylił się i zaczął oglądać projekt, a Robert jął mu tłómaczyć i pokazywać. Wszedł tymczasem do sali profesor mechaniki i projektów, Wyszniegradzkij, i, podszedłszy do rajzbretu, zaczął ze Skałkowskim rozmowę; Robert zbliżył i drugi rajzbret, na którym arkusz był już zupełnie wykończony i pokazywał najdetaliczniejsze części projektu.

Były to właśnie ostatnie projekta, które Robertowi pozostawało jeszcze przedstawić; oprócz bowiem projektów z mechaniki, studenci ostatniego kursu składali jeszcze projekta z hidrauliki i budownictwa, ale te Robert dawniej już wykończył.

Roboty praktyczne, i Skałkowski i Wrona, od dość dawna mieli w zupełności gotowe: heblarka ich bowiem stała już na wystawie; pozostawało zatem sporo czasu na ostateczne wykończanie projektów. Egzamina teoretyczne odbyły się w styczniu i w lutym; więc, po złożeniu projektów rysunkowych, czekały ich tylko praktyczne zajęcia przy fabrykach, przez dwa letnie miesiące. Robert postanowił wyjechać do Siegla w Wiedniu; a Wroński—albo do warsztatów koleji, bądź Warszawsko-Wiedeńskiej, bądź Terespolskiej, — albo też do zakładów Lilpopa i Raua: gdyż pragnął spędzić wakacje w Warszawie.

Po skończeniu heblarki, Robert miał całe poobiedzia zupełnie wolne; przychodził zwykle do sal rysunkowych o dziewiątej z rana, i zajmowa się do trzeciej; potem szedł do Truciciela na obiad. Często jednak, zamiast do Truciciela, wstępował przebrać się do domu i koło czwartej szedł do Epiphanidich, gdzie już pozostawał i na obiedzie. W takich razach grywał z Mary na fortepjanie, a raz nawet był z nimi w klubie, gdzie pan mąż grał w karty, a oni tańczyli. Prócz tego, spędzali niekiedy razem wieczory w teatrze, albo też i u Roberta, bo Mary lubiła tę ekscentryczną kawalerską herbatkę, na której, w towarzystwie Fasolki i Franka, doskonale się zwykle bawiła.

Z Frankiem szczególniej nastąpiło wielkie zbliżenie, Robert bowiem bardzo go polubił i najszczerszym był dlań przyjacielem. We dwóch częste urządzali sobie wycieczki do klubów, zwłaszcza też do niemieckiego, na maskarady, do Eldorado, i tym podobnych miejscowości; Franek nie miał, jak to powiadają, nic przed Robertem skrytego, radził się go we wszystkiem i ufał mu bez granic. Robert nazywał wprawdzie Franka ślimakiem, ale kształcił go zawzięcie, utrzymując, że i on przecie może się na człeka da wykierować; a Franek nie okazał się znów bardzo tępym, gdyż w krótkim stosunkowo czasie przejął od Roberta i Fasolki wiele wyrażeń i mnóstwa powyuczał się kawałów. Dla dokończenia edukacji chciał nawet koniecznie z Robertem razem zamieszkać, i kilkakrotnie o to się przymawiał, ale Robert się i tą razą zgodzić nie chciał. Frankowi wprawdzie znów się przykro zrobiło, bo mieszkanie razem wciąż mu jakoś na sercu leżało, ale nie dał tego poznać po sobie i harmonja stosunku w niczem nie została naruszoną.

Obecnie obaj z niecierpliwością wyczekiwali otwarcia wystawy, które lada dzień miało nastąpić, wszystko już bowiem było wykończone; wielu bardzo fabrykantów i ich przedstawicieli do Petersburga zjechało, a Warszawa silnie była

reprezentowaną. Tacowicz miał między przybyłymi z Warszawy wielu bardzo znajomych, i był, a przynajmniej udawał, mocno zajętego: dawał im informacje, obznajamiał ze stosunkami, protegował, i tym podobnie,—a kłopoty jego nie zmniejszyły się nawet i wtedy, gdy już nareszcie wystawę urzędownie otworzono.

Wystawa, prócz swego specjalnego celu, była także niejako i miejscem zabawy; spotykało się na niej mnóstwo znajomych, a przy piwie czas na pogawędce wesoło spędzano. Robert, Franek, a nawet i Fasolka, służyli znajomym jako gidowie. Pierwszą naturalnie osobą, którą oprowadzali, była—rozumie się—pani Epiphanidi,—chciała bowiem koniecznie widzieć ową heblarkę roboty Roberta; ale—obejrzawszy ją na wsze strony—rzekła:

— Nie rozumiem, co tu jest tak ciekawego, że wzięto ją na wystawę?... Ale jednak — musi być coś warta!...

Nie podobało jej się przytem, że Robert witał się z pannami, szyjącemi na maszynach, i— że między niemi była jedna bardzo przystojna.

Zły humor Mary stopniał dopiero przy witrynie jubilera *Vaillant*, gdzie ogrzewający niemal blask rzucały kosztowne perły i olbrzymiej wartości brylantowe garnitury.

Po trzygodzinnem przeszło zwiedzaniu wystawy, skierowali się wreszcie we czworo w stronę restauracji, by tam cośkolwiek przekąsić i odpocząć. Mijali właśnie sklep z wędlinami Hofmana, pod firmą „Spiess“, gdzie krajały i sprzedawały wędliny dwie bardzo przystojne i elegancko ubrane panny sklepowe, w białych batystowych fartuszkach, gdy Fasolka trącił Roberta:

— Zobaczno, jakie szampańskie facetki sprzedają wędliny!—i mrugnął odpowiednio okiem.

Robert spojrzał i szepnął:

— Tęgie masareczki!... trzeba będzie jutro kupić u nich kiełbasek.

— Co wy tam szepcecie?—zapytała Mary.

— Mówię — odrzekł Robert — że bardzo apetyczne salami wisi na tych kołkach.

W oddziale ubrań zobaczyli Drzewicką z Miazgową, które z wielkiem zajęciem oglądały wystawione suknie.

— Tereniu!—mówiła Polinka—*patrzaj*, co za cudowne suknie! *Uważ ot tu: vert olive*, ubrana aksamitem *rouge de Pompéy*; a zwróć *także* uwagę na guziki!

— No cóż?... zwyczajne, *perłomutrowe!*—odrzekła Drzewicka, patrząc przez ręczną lornetkę.

— Jakto zwyczajne?... co ty mówisz, duszko: wcale nie zwyczajne! Patrzaj, a dobrze: po pier-

wsze—są ciemne i przelewa się w nich odcień zielonkawy — *vert de bouteilles*; a potem na każdym jest, *en relief*, głowa rycerzów starożytnych *musi być pompejańskich* — w *pendant* do koloru!

Zbliżyła się Mary ze studentami; nastąpiły powitania. Miazgowa nie podała ręki Robertowi; ale podobna niełaska nie spotkała Franka, który ją zaczął emablować.

— Czy Epiphanidiowa jest eksponentką Skałkowskiego, czy też on ją wystawia? — szeptała Polinka do Franka.

— Nie rozumiem—odrzekł tenże.

— Nie rozumiesz pan?... Ja bo nie rozumiem, jak można się do tego stopnia zapomnieć, żeby z młodym człowiekiem, w dodatku studentem, szwendać się wszędzie, kompromitować siebie i szargać nazwisko męża. Nie do przebaczenia podobne skandaliczne postępowanie; i to robi dama z towarzystwa, której mąż zajmuje wysokie stanowisko: wstrętne doprawdy!

— Niech się pani dobrodziejka tak nie irytuje, — szepnął Fasolka — tu nie ma nic złego, bywa daleko gorzej...

— Ale nie w naszem towarzystwie; — my powinnyśmy się szanować i nie dawać nawet cienia jakiegokolwiek podejrzenia.

— Nie zawracajmy sobie głowy taką bagatelą! — przerwał Fasolka. — Czy słyszała pani wczorajszą burzę?

— *Jeszczeby* nie słyszeć: pioruny waliły w samo południe!

— A wie pani, jaki straszny wypadek zdarzył się na Wyborskiej stronie?

— No, czytałam, że piorun uderzył w drewniany dom...

— Tak, — przerwał Fasolka — ale właściwie: trafił w pchłę i zmasakrował ją!...

Drzewicka żegnała się już z Mary, która uścisnąwszy na pożegnanie dłoń Polinki, wraz ze swymi towarzyszami odeszła dalej.

— Bezwstydna ta Epiphanidiowa,—rzekła Polinka do Drzewickiej;—włóczy się ze studentami, jak jaka gryzetka.

— Cóż to złego, że chodzi z młodymi ludźmi bardzo przyzwoitymi i *elegańskimi*. Ty, *nie bój się*, jakoś *jakby zazdrościłaś?*

— Ani trochę! — odrzekła Polinka, odwracając głowę, gdyż czuła, że się cokolwiek zarumieniła.

Panie przeszły dalej i, straciwszy z oczu znajome towarzystwo, inną wszczęły rozmowę. Robert tymczasem wprowadzał swoją kompanję do restauracji, gdzie zasiąść mieli do śniadania. W restauracji jednakże, jak to zwykle w niedzielę,

było aż nazbyt pełno, tak, iż towarzystwo nie mogło na razie znaleźć miejsca.

— Pojadę lepiej do domu, odwieź mię pan— rzekła Mary do Roberta.

— Ale wracaj!—szepnął mu Fasolka.

Dwaj przyjaciele odprowadzili Mary i Roberta aż do wyjścia na Pantelejmońską ulicę i powrócili nazad do restauracji.

— Patrzaj—no! widziałeś paczkę?—mówił Fasolka, wskazując Frankowi w kącie stół, przy którym siedziało kilku mężczyzn.

— A!—zawołał tenże—dobra kompanja!

I obaj z Fasolką zbliżyli się do stołu, gdzie zapijali piwo: Tacowicz, Dziubandowski, Łabędzki, Maślakiewicz i Szyfman.

— Witamy *czcizacne* towarzystwo!—wygłosił Fasolka.

— A!... jak się macie?—odezwało się kilku naraz.

— A gdzieżto Skałkowski?—zapytał półkownik.

— Na służbie!—odpowiedział Fasolka.

— Przy heblarce?...—indagował dalej Dziubandowski,—prawdziwe to cacko, nie ma co mówić; oglądałem *en détails*—i admirowałem: wykończona z wielką ekspresją, że się tak wyrażę. Cóż, on tam musi dyżurować?

— A tak, tak!... asystuje... robi honory!...— potwierdził Fasolka.

— Ale zaraz przyjdzie!—dodał Franek.

— No, siadajcie przy stole i dalej do piwońji!—proponował Łabędzki.

— A piwko, *uwa pą*, wcale niezgorsze; dobrze oziębione,—temperatura nie wyżej 9-ciu Celsjusza—nie za zimne, więc na błonę śluzową zgubnie działać nie będzie, *uwa pą!*

— Bardzo to wszystko pięknie, ale myśmy głodni, jak psy!—przerwał Franek.

— To postaw najpierw wódeczki i bifsztyczku, a potem dopiero sprobujemy piwońji — odrzekł Fasolka.

Franek kazał podać wódkę, przekąskę i dwa bifsztyki.

— Byliście w akwarjum?—pytał Łabędzki.

— Nie jeszcze, a bo co, czy ładne ryby?—zapytał Franek.

— E, gdzie tam! jest zaledwie kilka marnych leszczów i sandaczy; ale główna rzecz, że akwarjum oświeca się przez okna z grubego szkła w suficie, a sufit ten jest zarazem podłogą pierwszego piętra. Pomieszczenie akwarjum nie jest zbyt wysokie, więc widzicie, przyglądając się niby to owym rybkom, zerka się ku górze i ogląda przeróżne apetyczne rzeczy,—ładne nóżki naprzy-

kład!... Tylko, jeśli chcecie zobaczyć co ciekawego, to radzę nie zwlekać, bo za kilka dni szkła od bucisków zmatują i figę zobaczycie!—mówił Łabędzki i, trąciwszy kuflem kufle Dziubandowskiego i Tacowicza, dodał:—Wasze zdrowie, pułkowniku, i wasze, profesorze!

— Ale z jaką to facetką widziałem pułkownika na skwerze przy cerkwi Świętego Izaaka? - zagadnął Szyfman.

— Mnie? — powtórzył Dziubandowski — gdzie tam: ja nie chodzę z facetkami!

— Dobrze, że ja tego nie słyszę!—wtrącił Fasolka.

— Ależ widziałem doskonale!—ciągnął dalej Szyfman.—Brunetka, pułkowniczku, i jedno oko trochę zezowate...

— To wcale nie przeszkadza, może mieć nawet oba zezowate,—dorzucił Łabędzki.—Pułkownik bo zawsze figlarz, znów coś wyszperał... No, no, pułkowniczku! mówcie: co to za ananas?..

— Dobrze, dobrze!... *pas ci bête!*.. Tyle się już razy sparzyłem, że obecnie: *je souffle sur le froid!*..

— Nie ma obawy—odrzekł Franek:—przecież tu nie ma Skałkowskiego!

— O, bo tamten to czuje pismo nosem!—mówił pułkownik;—niebezpieczny: *il sent l'écriture avec le nez!*

— No, no!... zaspokójże pułkownik naszą ciekawość—prosił Łabędzki.

Pułkownik wyjął dużą fularową chustkę, wytarł nos, odchrząknął, pokręcił wąsa i tak zaczął:

— Przed tygodniem, widzicie, wracam sobie o zmierzchu do domu, aż tu raptem deszcz zaczyna lać; wpadam tedy do bramy, choć miałem parasol, bo, uważacie, nie mogłem gumy rozplątać— *et je vois une charmante fille*, która się: także przed deszczem schroniła. Przyglądam się, jakoś szykowna facetka; więc tego... do niej!... Proponuję, żeby ją odprowadzić pod parasolem; ona uśmiecha się... i zgadza. Otwieram tedy parasol, biorę ją pod rękę, *et nous allons!...* Uszliśmy tak z kilkanaście zaledwie kroków, bo, powiadam wam, deszcz leje, jak z cebra, i strasznie mokro; proszę więc swoją towarzyszkę, żeby potrzymała parasol, a sam biorę się do zakasania *exprimable*'ów, bom się, powiadam wam, szargał fatalnie. Po dokonanej operacji patrzę, aż tu moja facetka już daleko... uciekła, wyobraźcie sobie, szelma—i zwędziła mi parasol... *elle a fumé mon parapluie!* . Kiedy tak, uważacie, zaczynam się orjentować w sytuacji, a tu deszcz, powiadam wam, leje mi za kołnierz, jak z cewki,—zbliża się jakaś dziewczyna z parasolem i, ulitowawszy się, wzięła

mię pod parasol: a była to właśnie owa facetka, co to trochę zezuje, i tak—poznaliśmy się! Ładna bestyjka, powiadam wam; pracuje w sklepie z bielizną, i jesteśmy już na dobrej drodze. Dziś właśnie, o czwartej, pojedziemy sobie na spacer!...

Tu pułkownik, przymrużywszy lewe oko, mignął jakoś znacząco jedną połową twarzy.

— A może pułkownikowi pomódz w tym spacerze?—zapytał Fasolka.

— Obejdzie się!—odrzekł z gestem Dziubandowski. — Ale wiecie co, chłopcy,—dodał po chwili—miałem list od Perłowicza; jedzie na cały rok za granicę, na koszt Paklewskiego,—a i żonę zabiera!...

— Jakże mu się tam powodzi?—pytał Bąkbyx. —Obiecał pisywać do mnie; ale już rok prawie, jak wyjechał, i ani razu nie pisał.

— Do mnie także rzadko pisuje,—mówił dalej pułkownik;—ale powodzi mu się podobno świetnie. Pisze właśnie, że jest zupełnie szczęśliwym, i że w żonie znalazł nie tylko zacną kobietę, ale i prawdziwego przyjaciela.

— Czy to ten, *uwa pą*, Perłowicz, co to się z jakąś służącą ożenił?—co to Skałkowski niby... tego... jak się nazywa?...

— Ależ to nie była żadna służąca—odrzekł Maślakiewicz,—tylko magazynierka... Ale nie ma tu co robić, chodźmy dalej!...

— Racja! — podchwycił Łabędzki — jazda na dół, do akwarjum!... tylko bez pułkownika, boć ma wkrótce jechać na *rendez-vous!*

— Z akwarjum pójdziemy na górę, do maszyn, gdzie Borman wyrabia czekoladę - mówił Fasolka, — bo tam zawsze zbiera się wielka moc niewiast!

— To może co, *uwa pą*, wypatrzymy!... Przed dwoma laty, *uwa pą*, pojechaliśmy z Bunsenem z Heidelbergu do Manheim...

— Dobrze — przerwał Ładędzki, — pojedziemy później; a tymczasem: chodźmy!

Towarzystwo wstało i poszło na dół, do akwarjum; Tacowicz chciał po drodze dokończyć zaczętego opowiadania, ale uwagę słuchaczy bezustannie coś odrywało, więc też, wyjechawszy zaledwie z Heidelbergu, musiał się w drodze zatrzymać.

Robert tymczasem odwiózł Mary do domu. Agizelaj zjadł już był śniadanie i wyszedł, ponieważ było po drugiej; ale służba, nie mając rozporządzenia, na panią czekała. Zasiedli zatem do stołu i — podano. Lokaj trzymał właśnie przed Robertem srebrny półmisek z rybą, gdy nagle ktoś głośno zawołał:

— *Robert! Robert! aimes -- tu toujours ta petite Mary?*

To papuga, siedząca z tyłu Mary, rzuciła takie zapytanie.

Robert na razie zaśmiał się serdecznie; ale, po chwili, spoważniał nagle.

— Szelma ptak! — mówił,— zrobi nam kiedy ładny kawał!

— Nie ma obawy!—odrzekła Mary; a po chwili dodała, jak gdyby do siebie:—jednakże jestem nieostrożną; a zresztą: wszystko mi jedno! —i, zwróciwszy wzrok na Roberta, dorzuciła z determinacyją:—Kocham cię, i nie wstydzę się tego!

Zadzwoniono w przedpokoju i niebawem ukazała się matka Mary. Pocałowała córkę w czoło, uścisnęła dłoń Roberta, i zapytała:

— A gdzie Agizelaj?

— Wyszedł—odrzekła Mary.— Może mama pozwoli kawałek łososia?

— Dziękuję: jestem po śniadaniu — odpowiedziała siadając.—Kończcie, proszę, a ja napiję się pół kieliszka Portweinu.

Robert nalał jej kieliszek żądanego wina.

— Bardzo piękna pogoda, już będzie ciepło...

— *Robert! Robert! aimes-tu toujours ta petite Mary?*—zawrzeszczała papuga.

Matka zwróciła głowę w stronę papugi, a później spojrzała na Roberta, którego całą zda się uwagę pochłaniało krajanie jarząbka.

Po śniadaniu, Robert przeprosiwszy, iż musi wyjść, opuścił towarzystwo.

— Przejdźmy do buduaru!—zaproponowała matka i, zapaliwszy papierosa, powstała.

Obie panie przeszły do pokoju Mary.

— *Ma chère!*—zaczęła po chwili matka—już od dość dawna mam podejrzenie, że ten student zadużo cię obchodzi; ale od dziś przekonałam się o tem dokumentalnie.

— Myli się mama—mówiła Mary, skubiąc koronkową chusteczkę:—lubię pana Roberta, to prawda, bo jest bardzo miły, a zresztą grywamy i śpiewamy z nim razem; ale—żeby...

— *Ma chère!* nie zapominaj, że jestem kobietą i do tego doświadczoną. Mówię ci wręcz: on jest twoim kochankiem! — i to mię mocno boli, że...

— Przepraszam! — podejrzenia mamy są zupełnie płonne; a zresztą—dodała z pewną irytacją w głosie—gdyby nawet i tak było, to obecnie wyszłam już, zdaje się, z pod opieki mamy, i rachunek z mego postępowania zdaję tylko swemu mężowi...

— Ależ, *ma chère*, irytujesz się, i niepotrzebnie zaczynasz się nawet unosić: wcale nie wtrącam się do twego postępowania i nie żądam żadnego rachunku; chciałam ci tylko powiedzieć,

że mię mocno boli, iż jesteś tak nieostrożną. Wiadomo przecież doskonale, żeś nigdy Agizelaja nie kochała; i, gdyby nie postanowienie i upór twego ojca, nigdybyś nie była panią Epiphanidi. Żeś znalazła człowieka, którego pokochałaś—a w dodatku takiego pięknego i inteligentnego chłopca—cóż w tem dziwnego?—że on ciebie również kocha, to jeszcze mniej dziwne; że nakoniec zdradzasz męża, to jest takie naturalne i zwyczajne, iż dziwićby się raczej należało, gdyby przy twej urodzie i młodości miało być inaczej: ale, *ma chère Mary*, trzeba być ostrożną, i nie zapominać zachowywać *aparanse!*... Jakże można dopuścić do tego, by papuga powtarzała takie głupie frazesy?... Niezadługo—służba zacznie może to samo poszeptywać, a w końcu i głośno nawet śpiewać. Trzeba być rozsądną, moja córko, i umieć należycie postępować, bo świat jest głupi, a ludzie żądni skandalików. Kochaj sobie swego Roberta, ile ci się tylko żywnie podoba; ale dbaj, żeby nikt o tem nie wiedział, i żeby cię nikt nie podejrzewał nawet, bo—jak słusznie mówi *Jean-Jacques Rousseau*—kobieta i wtedy już jest winną, gdy popada w podejrzenie, choćby niesłuszne. Pamiętaj o tem, *ma chère*,—dodała zaciągając się papierosem—i słuchaj rad matki: boć ci przecie od niej nikt lepiej nie życzył

Pocałowała ją w czoło i, pożegnawszy się, odjechała.

Mary tymczasem, bujając się wolniutko w fotelu na biegunach, myślała:

— Przebrzydła papuga!... jutro, dziś jeszcze—struję ją; dam jej biszkopt z gorzkim migdałem—niech zdycha!... Co ja mówię!—cóż głupi ptak winien? za co ją truć?—przecież nie mam tak złego serca. A zresztą—sama jestem winną, bo powtarzam tak często to głupie zapytanie... Nie będę już tego robić nadal, to i papuga zapomni... A jeśli nie zapomni i wciąż krzyczeć będzie?... co powiem Agizelajowi?... Co powiem? a, wszystko mi jedno!... Agizelaj idjota skończony, jemu można cokolwiekbądź powiedzieć!... A zresztą: powiem mu, że kocham Roberta!... Ech! nie: tego powiedzieć nie można, bo choć Agizelaj jest głupi... ale drażliwy na punkcie honoru—gotówby wyzwać Roberta... a wtedy?... któż odgadnie rezultat?... Mój Boże, jakie mi głupie myśli przychodzą do głowy!... Ale mama ma z tem wszystkiem rację: trzeba być ostrożną!... a najlepiej: rozwiodę się z Agizelajem i pójdę za Roberta!... to najmądrzejsze, co można wymyślić!—muszę to doprowadzić do skutku!—tylko Robertowi jeszcze o tem: sza!... Jak wróci z Wiednia, otrzyma patent i dostanie posadę, albo lepiej jak wyjedzie na

studja zagranicę, to podążę za nim i wtedy bezwarunkowo zostanę jego żoną!... Jego żoną?... a czy on zechce?... Kochanka—żoną!...

I, niewiadomo dlaczego, zaczęła płakać...

Po miękkim dywanie cichuteńko zbliżył się mąż i za rękę ją ujął.

— Mary!... ty płaczesz?...—zapytał.

— Mama była przed chwilą; rozrzewniłam się trochę...—głupstwo!... A to co?—dodała.

Promień słońca, wpadający do pokoju, oświecił silnie twarz Agizelaja, i Mary dostrzegła w czarnych jego faworytach maleńką, podwójną szpilkę. Wyciągnęła więc rękę, i wyjęła delikatnie ową szpilkę, a wraz z nią i długi jasno-blond włos; poczuła przytem mocny zapach *Carylopsys*.

— Widzę, że zaplątał ci się w brodę włos jakiejś pięknej blondynki, i szpilka; proszę cię, wyrzuć je—rzekła, podając mu—bo mają ordynarny zapach.

Powstała i, przeszedłszy do sali, usiadła do fortepianu. Zaczęła grać i jednocześnie myślała:

— Szczęście, że to nie Robert; gdybym tak u niego znalazła podobne dowody: nie wiem, cobym zrobiła!... Ale o tamtego mogę być spokojną: przekonał mię już o swojej nieograniczonej miłości i wierności; a ten—mało mię obchodzi!... Dziwne te perfumy, takie jakieś mocne... fe!

Mary sama perfumowała również silnie nie tylko ręce, ale i włosy, tylko że delikatnym zapachem modnego *Ylang-Ylang*; i, mimo perswazji Roberta, który silnego perfumowania się nie lubił, nie tylko zwyczaju nie zarzuciła, ale go nawet i co do ilości nie zmniejszyła.

Matka Mary miała najzupełniejszą rację; znała się, widać, na aurze petersburskiej: pogoda bowiem ustaliła się na dobre i robiło się coraz cieplej. Znajomi nasi jednak, mimo ciepła i pogody, przysiadywać musieli fałdów, zaczynały się bowiem egzamina przejściowe. Wszyscy, oprócz Roberta i Wrony, którzy ostateczne egzamina już zdali, Tacowicza, który ich zdawać nie potrzebował i Fasolki, którego one nic a nic nie obchodziły—zaprzestali wszelkiej zabawy i wzięli się na ostro do nauki.

Tak przeszedł miesiąc, i zbliżały się już wakacje. Młodzież szykowała się do wyjazdu; a Epiphanidiowie na letnie mieszkanie, do swej willi, w Pawłowsku. Połowa czerwca była już prawdziwem latem, zaczęły się nawet upały.

Pewnego dnia Robert był z Wroną na wystawie; stali właśnie przy futrach, oglądając piękne, czarne lisy,—gdy wtem—nagle—uczuł Robert, że go ktoś bierze pod rękę. Obejrzał się raptownie i ujrzał *Blanche*.

— Dzień dobry,—mówiła—ty nicponiu jakiś!.. Czy to godzi się tak postępować?—szeptała dalej.—Uważałam cię za *gentlemana*, a ty wyszedłeś ze mną, jak jaki markier!—No, chodźmy dalej!

Robert rad nie rad, zmuszony był poprowadzić *Blanche* pod rękę; była ona wprawdzie bardzo szykowną i elegancką, ale znano ją powszechnie, więc też Robertowi zrobiło się jakoś markotnie. Chodzili tak razem ze trzy godziny, poczem *Blanche* zaprosiła go do siebie na obiad. Zaczął, o ile mógł, wymawiać się, i wywijać, ale nic to jakoś nie pomogło: — skończyło się na tem, że w jej własnym powozie musiał do niej pojechać.

Podczas obiadu robiła mu *Blanche* tysiączne wymówki, a pod koniec łasić się zaczęła, jak kotka. Robert poczuł jakieś nowe, modne zapewne perfumy, ale i one dziwnie mu się nie podobały. Siedział więc, jak na rozżarzonych węglach, i odetchnął swobodniej wtedy dopiero, gdy mu się uwolnić udało. Pojechał też zaraz do Epiphanidich, by sobie towarzystwem Mary owe kilka godzin przymusu wynagrodzić.

Agizelaja, rozumie się, nie było w domu; a Mary, na powitanie, przytuliła się do jego twarzy. Ale, zaledwie to uczyniła, raptem odsunęła się i z syczącym akcentem wycedziła przez zęby:

— Mój najdroższy! nie używaj tych wstrętnych perfum „*Carylopsys*“—nie znoszę ich!

— Jakich perfum?—ja niekiedy tylko używam „*Violette de Parme*“—nigdy innych.

Może mi się zdaje, pomyślała, i pocałowała go przeciągle w policzek. Rzeczywiście: perfumy *Blanche* udzieliły się całej brodzie Roberta.

— Ależ tak, to ten ohydny zapach!

Robert pomyślał chwilkę.

— Może być: byłem u fryzjera, musiał mi skropić trochę włosy jakiemiś mocnemi perfumami: ale ja tego jednak nie czuję.

Nazajutrz z rana, przed dziesiątą, Robert, zapijając herbatę, kończył właśnie ubieranie się, gdy wtem zapukał ktoś do drzwi, a na wezwanie „proszę wejść“! — stanął na progu pan Epiphanidi.

Pierwszy to raz Robert zobaczył go u siebie; był on już wprawdzie kiedyś, na początku znajomości, z rewizytą, ale, nie zastawszy gospodarza w domu, zostawił tylko swój bilet wizytowy.

Robert zerwał się z miejsca i z uśmiechem wyciągnął doń rękę; ale Agizelaj przywitał się zimno i sztywnie.

— Przychodzę do pana w bardzo ważnej sprawie—rzekł cichym głosem.

— Jestem na rozkazy; ale—proszę siadać.

Epiphanidi usiadł i, nie wypuszczając cylindra z ręki, zaczął:

— Przychodzę do pana ostrzedz go, że stosunek pański do pewnej osoby może mieć bardzo złe następstwa!

Robert zmieszał się trochę.

— Aczkolwiek byliśmy z panem przyjaciołmi, i w domu naszym uważałem pana oniemal, jako należącego do rodziny,—nie pozwolę jednak, abyś pan właził mi w drogę...

Robert zaczerwienił się; ale chcąc jednem cięciem przeciąć węzeł gordyjski sprawy, by jak najprędzej uwolnić się od przykrej dla siebie sytuacji, postanowił drażliwą kwestję postawić na ostrzu noża i rzekł ze stanowczością:

— Prosiłbym pana przedewszystkiem, byś raczył kwestję wyłuszczyć jasno, bo dotąd nic a nic nie rozumiem.

— Owszem — odpowiedział Epiphanidi:—wczoraj byłeś pan na wystawie, a następnie na obiedzie u panny *Blanche Mabelle*.

— Tak jest—odrzekł Robert. i, odzyskawszy równowagę, zaśmiał się w duszy.

— Otoż, nie życzę sobie, abyś pan bywał u niej!

— Kochany panie Agizelaju!—odrzekł wesoło Robert—komu innemu odpowiedziałbym: nic mnie

to nie obchodzi, czy sobie jegomość życzysz, czy nie,—bywam i będę zawsze bywać tam, gdzie mi się podoba—i basta; ale panu, jako swemu przyjacielowi, daję słowo, że nie tylko nie będę bywał u panny *Blanche*, ale że jej nawet będę najzupełniej unikał!

— I dajesz pan na to słowo?

— Najuroczystsze!

— Niechże cię ucałuję: jesteś prawdziwym przyjacielem!

I Agizelaj rozpromieniony, pocałowawszy trzykrotnie Roberta, zapalił papierosa i zapytał:

— Zkądże znów wczoraj poznaliście się?

— Wcale nie wczoraj; znaliśmy się już przed dwoma laty, a od półtora nie widzieliśmy się,—to jest, właściwie, ja ją widywałem tylko na scenie. Wczoraj zaś, spotkawszy się z nią wypadkowo na wystawie, zostałem zaproszony na obiad i, mimo wszelkich wybiegów, nie udało mi się jakoś wykręcić, no, i—musiałem pojechać.

— Słowo, że to prawda?

— Słowo uczciwości!

— Niechże cię pocałuję!

I znów Agizelaj pocałował trzy razy Roberta.

— Trzeba ci wiedzieć (zaczął go tykać), że od trzech tygodni jestem już z *Blanche* zaznajomionym. Co to za dziewczyna!... powiadam ci,

nic podobnego w życiu nie spotykałem: bo to i skromna, i rozpasana—niby lód z ogniem—*quelle comparaison, n'est ce pas?*... Wprawdzie drogaćto trochę znajomość, ale zato: jakaż ona piękna i figlarna!... No, dzięki Bogu, że się tak ta sprawa załatwiła! Do widzenia!

Agizelaj jeszcze raz uściskał Roberta.

— Pójdziemy razem; bo i ja wychodzę—rzekł tenże.

Wyszli. Epiphanidi zaprosił Roberta do swego powozu, i odwiózł go do instytutu.

Pusto już było w audytorjach i w salach rysunkowych. Tylko studenci ostatniego kursu wydziału mechanicznego rysowali jeszcze,—a i tych nawet nie było wielu: szesnastu zaledwie; inni już się bowiem byli porozjeżdżali, lub w tych dniach wyjechać mieli, i—do instytutu nie chodzili.

Robert zajął się swym projektem, i prawie nie spostrzegł gdy koło jedenastej wszedł do pracowni Franek.

— Przyszedłem po urlop — mówił, — Eichtal bowiem gdzieś mi go zarzucił i dopiero przed chwilą odszukał i oddał: jutro zatem jazda! A wy, nieboraki, kiedy wyruszacie?

— Ja myślę w pierwszych dniach lipca.

— Podług jakiego kalendarza?

— Rozumie się—podług tutejszego.

— Więc w Warszawie będziecie?

— Mniej więcej koło dwudziestego lipca tamtejszego.

O to właśnie i chodzi, bo i ja będę w tym czasie w Warszawie.

— To zajdziesz do mnie, wszak prawda?—mówił Robert;—jeśli nie pojadę jeszcze do Wiednia, to pobomblujemy razem po Warszawie.

— Gdybym cię jednak jeszcze, lub już nie zastał, dotrzymasz swego słowa, napiszesz choć ze dwa razy, a wracając do Pitra wstąpisz do nas na wieś, choć na dni kilka?

— O tem nie może być gawędy; takeśmy się umówili, więc chybaby jakaś *force majeure* przeszkodziła, czego się przecież nie spodziewam. A która to tam godzina?

— Pół do dwunastej.

— No, to chodźmy na dół, do bufetu, przetrącić cokolwiek.

— Komu, i co?—zapytał Sünerberg, rysujący obok Wrony.

— Jakto: komu i co?

— No bo może rękę, albo nogę myślicie komu przetrącić!

— Kiepsko widać jeszcze rozumiesz i mówisz po polsku, choć cię uczono na Podwalu i na No-

wem-Mieście!—odparł Robert, i zamknął instrumenta do szuflady.

Wrona, Franek i Robert zeszli na dół, do bufetu, urządzonego przy szatni; ale w bufecie było pusto i głucho, gdyż w owym czasie słaby już miał bardzo odbyt, a utrzymująca go ustawicznie i zawzięcie narzekała.

Nazajutrz Franek odjechał, a w kilka dni potem rozjechali się i wszyscy inni studenci; został tylko Robert, Wrona i Szyfman:

Epiphanidiowie mieszkali już w Pawłowsku, i Robert często ich tam odwiedzał; czas zaś wolny od Pawłowska spędzał z kolegami. Włóczyli się tak razem po wystawie, ogrodach, skwerach, a czasem po Demidronie, lub ogrodzie Zoologicznym, gdzie zwykle łączył się z nimi i Tacowicz, a z rzadka pułkownik. Fasolka był prawie że niewidzialny, czyli jak mawiał, był „w niewoli“, ponieważ z Burbami pojechać musiał na „daczę“, aż za „Aleksandrowskie Sioło“. Przyjeżdżał wprawdzie czasami do Pitra tak zwanym „Szczapinem“, to jest omnibusem utrzymywanym przez Szczapina, ale ponieważ było dwanaście wiorst, i omnibusy wlokły się haniebnie, więc też Fasolka był wszystkiego może ze dwa razy, choć to już lipiec starego stylu się zaczął.

Przyszły nakoniec upały nie do wytrzymania, i zbliżał się powoli czas jechania do fabryk na praktykę; lubo zatem projekty Roberta, jak i wielu innych studentów, nie były jeszcze skończone, dyrektor pozwolił je wykończyć i złożyć dopiero po wakacjach. Wroński skutkiem tego wyjechał zaraz; Robert zatrzymał się jeszcze zaledwie na dni kilka, dla dokończenia jednego tylko projektu turbiny, poczem wyruszyć miał na dwumiesięczną praktykę do fabryki Siegla w Wiedniu, odłożywszy dokończenie projektów parowej maszyny i wiązań dachowych na powakacje.

W tym to właśnie czasie Europa była w przededniu franko-pruskiej wojny. Wprawdzie po zrzeczeniu się pretensji do tronu hiszpańskiego przez niemieckiego księcia Leopolda, sprawa uważała się za załatwioną pokojowo, i najlepiej poinformowane koła niemieckie, a nawet sam Bismarck i Moltke,—w możliwość wojny przestali już wierzyć. Wbrew jednak wszelkim przewidywaniom, do wojny popchnęły Francję wymogi jej mężów stanu, a raczej pewnego stronnictwa, albo właściwiej koterji dworskiej, na której czele stać miała nawet, choć zakulisowo, sama cesarzowa Eugenja. De Grammont żądał, by ambasadora Francji o rzeczy urzędownie rząd pruski zawiadomił, ale wiadomość tę ministerjum spraw zagranicznych

otrzymało za pośrednictwem ambasadora hiszpańskiego w Paryżu. Zrzeczenie się było notyfikowane w Madrycie, przez księcia Antoniego (ojca pretendenta), którego w Paryżu przezwano żartobliwie „Ojcem Antonim“. Król pruski zdawał się być owemu aktowi dyplomatycznemu zupełnie obcym; jednakże, jak zaznaczała depesza Benedettiego, upoważnił księcia Antoniego do zakomunikowania rządowi cesarskiemu, iż postanowienie jego aprobuje. Tym sposobem Francja odniosła niezaprzeczone dyplomatyczne zwycięztwo; było ono jednak dla ministrów niewystarczającem. Trzynastego lipca Benedetti przedstawił się w Ems u króla pruskiego, prosząc o pozwolenie oświadczenia w jego imieniu rządowi francuskiemu, że gdyby książę Leopold znów sprawę podjął, on, to jest król pruski, majestatem go swoim powstrzyma. Król Wilhelm stanowczo odmówił. Benedetti przyszedł znów powtórnie po południu, popełniając grubą niezręczność w żądaniu zobowiazań na przyszłość. Wilhelm odmówił przyjęcia... Zajściu temu nadano wielką donioslość, gdy na posiedzeniu ciała prawodawczego, w dniu piętnastego lipca, Emil Olivier rzekł: „Nie przyjęcie naszego ambasadora nie było powiedziane na ucho ministrom; rozprzestrzeniano to po całych Niemczech, dzienniki urzędowe proklamowały je w

sprzedaży ulicznych dodatków, a w niektórych miejscowościach rozlepiano je na murach. Ministrowie pruscy mówili o tem wszędzie, telegraf drgał na wszystkie strony,—słowem: wszczęto wielki hałas w Europie całej"! Z drugiej znów strony, pan de Grammont temi słowy zakończył tego samego dnia mianą rozmowę z lordem Lyons, ambasadorem angielskim w Paryżu: „Król (pruski) wprawdzie nie postąpił z panem Benedetti z tą brutalną niegrzecznością, z jakiej się chełpi rząd pruski; ponieważ jednak rząd wziął w tem udział, ażeby Niemcy i Europa zostały powiadomione o obrazie Francji, w osobie jej ambasadora, przeto czyn podobnej zuchwałości dodał wagi obeldze rzuconej. Naród, dbający o poczucie swej godności, zniewagi tego rodzaju przenieść nie może"!

Wypadki opowiedziane wzburzyły cały naród francuski; Paryż kipiał, demonstracje uliczne przybierały zatrważające rozmiary. Naród, pod oknami cesarza, krzyczał: „*au Berlin! au Berlin!*" Benedetti otrzymał rozkaz powrócenia do Paryża; a jednocześnie baron Werther, poseł pruski w Paryżu, został zwolniony. Wojna oficjalnie nie została jeszcze wypowiedzianą: wstrzymywał od niej Thiers, ukazując krajowi z wielką odwagą przepaść, w jaką strąci swoją sławę, dobrobyt i niezależność!...

Wszystko to donosiły gazety, telegramy, dodatki nadzwyczajne, które roznosiciele gazet na Newskim, bezustannie wykrzykując, do rąk publiczności wtykali. Ogół interesował się wypadkami, oczekując, oniemal co godzina, nowych jakich wiadomości.

Resztka pozostałych studentów z chciwością chwytała nowiny, komentując je po swojemu, wywodząc różne wnioski, i przeprowadzając wszelkie możliwe i niemożliwe kombinacje.

W przeddzień wyjazdu, Robert przyszedł do Truciciela cokolwiek później; zastał Tacowicza kończącego już obiad, a przysiadłszy się do niego, zabrał się do jedzenia. Zbliżył się Sikorski i przywitał Roberta.

— A po obiedzie będę miał z panami „do po-mówienia“—rzekł, zmiatając szczoteczką okruszyny z obrusa.

— Wiesz pan, panie Robercie, jaki miałem wczoraj kawał? Poszedłem, *uwa pą*, z Kędzierskim, eksponentem z Warszawy, na skromną kolacyjkę do Fraentzla, pod „niebieskiego osła“. Siedzimy sobie, *uwa pą*, i zajadamy wiedeńskie sosiski, popijając piwem, i słyszymy obok przy stoliku głośną rozmowę po niemiecku, a z drugiej strony—po fracusku. Francuzi czytają świeże depesze, zaczynają, *uwa pą*, głos podnosić, wymyślać

niemcom, następnie pięściami, *uwa pą*, wygrażać kompanji, rozmawiającej po niemiecku. Naraz, jak zaczną lecieć kufle, butelki i talerze; jak sie nie zerwą niemcy, i dalejże, *uwa pą*, na francuzów! Zaczęła się bitwa nie na żarty; i trwała z dobry kwadrans, dopóki nie przyszła policja i nie zabrała wojujących do „*części*“!

— Wojna wypowiedziana! — wołał wchodzący Szyfman, trzymając dodatek do gazety.— Dzień dobry!

— Pokaż!—zawołał Robert, wyciągając rękę po nadzwyczajny dodatek „*Gołosu*“.

Szyfman podał; a Robert, ująwszy skwapliwie, głośno przetłumaczył telegram:

— „Wczoraj, siódmego (dziewiętnastego) lipca, o godzinie pierwszej i pół z południa, pan *Lenourd*, poseł francuski w Berlinie, oficjalnie zakomunikował wypowiedzenie wojny. Dziś rano osiem korpusów armji pruskiej już zmobilizowano“.

— *Nie już to prawda?* — zapytał jakiś chudy, z długim nosem, dość młody jeszcze człowiek, siedzący naprzeciwko Roberta. — A to *spieszają* się, czort wie, co takiego!

Nikt nie zwrócił uwagi na mówiącego.

— Liza!—wołał Szyfman, siadając obok Roberta—obiad!

— Mamy więc, *uwa pą*, już wojnę na serjo; ciekawa jednak rzecz, jak pójdzie?

— Jak pójdzie?—odrzekł Szyfman, przygryzając pierożek. — Ręczę, że najdalej za trzy tygodnie francuzi będą pod Berlinem; a za jakie trzy miesiące Berlin będzie wzięty, i szwaby, sromotnie pobici—na łeb i na szyję.

— Nie można wiedzieć, bo—*uwa pą*—ja niemców znam: oni teraz dobrze zorganizowani!

— Co pan nam głowę zawracasz! — mówił głośno Szyfman.—Czyż można porównać szwaba, kartoflarza, z francuskim żołnierzem?—zręcznym, zwinnym, odważnym, mającym tak świetną tradycję i idącym do boju, jak do tańca!... A jenerałowie?... a dowódzcy? Mój panie! wspomnisz pan moje słowo: francuzi tak zmasakrują niemców, że trzaski polecą!

— Ot! pańska prawda; ja *także* jestem *mnic-mania*, że francuzi pokonają niemców! — mówił ów chudy jegomość.—Pozwoli pan *poznajomić* się: jestem Serwiróg, pomocnik adwokata.

— A ja Bogumił Szyfman, student technologji.

— Bardzo przyjemnie — odrzekł Serwiróg, wyciągając rękę. — Niechaj niemcy przepadają: górą francuzi!

— Górą francuzi!—zawtórował Szyfman.

Po skończonym obiedzie, znajoma trójka przeszła do gabinetu Truciciela. Przyniesiono cztery filiżanki czarnej kawy, Sikorski wyjął z szafy butelkę kiepskiego koniaku, i zaczęto pić kawę i koniaczkiem popijać.

— Cóż, panie Skałkowski, jutro już jazda do Wiednia?—pytał Sikorski.

— Tak, zatrzymam się tylko kilka dni w Warszawie, i—dalej do roboty!

— A czy, z powodu wojny, nie stanie co na przeszkodzie?

— Nie myślę; cóż ma Austrja wspólnego z Prusami? A jakby były jakie zawikłania, toć mam zawsze czas wrócić do Warszawy.

Szyfman powstał i podniósł kieliszek koniaku, mówiąc:

— Panowie! za pomyślność Francji i jej świetnej armji, a na pohybel niemcom!—i wypiwszy jednym haustem kieliszek, stawiając go, dodał:—*Vive la France!*

— *Vive la France!* — powtórzyli wszyscy chórem.

Wkrótce buteleczka była wysuszona; Tacowicz, nalewając, znalazł dla siebie kilka zaledwie kropel.

— A to nieźle! w pół godziny buteleczka... to tak, *uwa pą*, jak raz, pamiętam, z Bunsenikiem..

— Pański Bunsen — przerwał Szyfman — jest wielki człowiek, ale szwabisko, psia mać!... daj pan dziś z nim pokój!

Truciciel dostał drugą butelkę; rozmowa toczyła się ciągle o wojnie, francuzach i niemcach. Robert spojrzał wreszcie na zegarek i powstał:

— No, bywajcie zdrowi: o piątej muszę jechać do Pawłowska.

— Nie zawracaj pięty!.. zostań!... Pojedziesz o szóstej, albo i o siódmej! — mówił podchmielony Szyfman.

Robert został; Sikorski, ex re tego, wyjął wkrótce trzecią jeszcze butelkę, po której Tacowicz zasnął na kanapie, a Szyfman, chodząc chwiejnym krokiem po gabinecie, ustawicznie pokrzykiwał:

— *Vive la France!.. Vive la France!...*

Robert, mocno podchmielony, pojechał do Pawłowska o siódmej dopiero.

Nazajutrz, wraz z Szyfmanem, wyjechali do Warszawy.

XIII.

O „małą milkę“ (jak mówiono), a w rzeczywistości o dziesięć wiorst od Szepietowa, stacji koleji Warszawsko-Petersburskiej, znajduje się wieś „Dulemby Kościelne“. Nie są to dobra magnackie, spora jednak „fortuna szlachecka“; ziemia urodzajna, łąki obszerne, a i kawał lasu budulcowego—do „fortuny“ należą.

Gościniec, wiodący do koleji, ciągnie się pod dulembskim lasem, skręciwszy zeń na lewo, po paru zaledwie krokach, wjeżdża się na obszerny dziedziniec, w końcu którego stoi „dwór“.

Budynek to drewniany, z nieodzownym gankiem na słupach, okolony dzikiem winem. Dom ma tylko sam parter, a po nad nim mieści się strych i komórki, z zapasową pościelą i przeróżnemi „utensyljami“ kobiecego gospodarstwa. Osiem piramidalnych topoli otacza dwór od strony dziedzińca, i tylko w odstępach pomiędzy niemi przeglądają czerwone dachówki, pokrywające siedzibę Broniewskich. Druga strona domu wchodzi w ogród, ciągnący się daleko, aż do małej

rzeczułki niewiadomego nazwiska, którą w miejscowym języku nazywano poprostu „strugą“. Na lewo od wyjścia, pod oknami, urządzono letnią jadalnię: był tam długi stół na wkopanych krzyżulcach, oraz dwie ławki wzdłuż stołu biegnące; do obu wąskich końców stołu przystawiano stołki. Ponieważ w improwizowanej jadalni był już cień od południa, więc też, w dnie pogodne, z przyjemnością spożywano tam dary boże. Ale była też i pewna zła strona, bardzo bowiem niedaleko znajdowało się kilkadziesiąt uli, i oprócz much i pszczoły także przyjmowały zawsze udział w obiedzie, lub podwieczorku. Wieczerza tylko jedna odbywać się mogła zupełnie swobodnie, gdyż o tej porze pracowite pszczółki już spały. W środku ogrodu była spora sadzawka, wyróżniająca się zdaleka od tła ogrodu swym jasno-majowo-zielonawym kolorem; nie był to jednak naturalny kolor wody; pochodziło to stąd, że powierzchnia cała pokryta była grubą warstwą tak zwanej „rzęsy“, ulubionego, jak wiadomo, kaczek przysmaku. To też kaczki całemi chmarami przelatywały przez sztachety, i, w braku łabędzi, ozdabiały wody dulembskiego ogrodu. Po za sadzawką płynęła „struga“, która w dole, w ogrodzie, była już spławną, ponieważ można było jeździć po niej czółnem, nota bene z wodą; wprawdzie, bardzo

często trzeba się było chwytać za gałęzie rosnących nad brzegami wierzb, żeby holować czółno z mielizny, ale po silnych deszczach niedogodność ta, *eo ipso*, na pewien czas znikała. W górnej zaś swej części, już po za parkanem, woda w strudze była tak płytką, że kilka dużych i płaskich kamieni, w nurtach jej ułożonych, stanowiło arcydzieło miejscowego kunsztu inżynjerskiego: najdogodniejszy most dla pieszych, przejezdni bowiem mogli byli w zupełności, i z całem bezpieczeństwem, bez mostu się obchodzić.

O kilkadziesiąt kroków od dworu, z boku dziedzińca, stał tak zwany „folwark“. Byłto dawny dworek dziadków Broniewskich, przerobiony obecnie na rodzaj oficynki o czterech pokojach, z których dwa stanowiły mieszkanie Franka, jeden był gościnnym, a w czwartym mieściła się kancelarja pana Ignacego, brata Franciszka. Poza „folwarkiem“ ciągnęły się zabudowania gospodarskie: stodoły, stajnie, obory, i dwie wielkie owczarnie, — pan Ignacy bowiem chował bardzo wiele owiec, utrzymując zawsze, że „owce, pszczoły i pszenica—ztanowią byt szlachcica!“.

Jak wiemy Franciszek Broniewski mieszkał zawsze podczas wakacji w Dulembach, i majątek nie był dotychczas rozdzielonym, aczkolwiek Franek był już pełnoletnim. Pan Ignacy, starszy o

lat czternaście, prowadził całą gospodarkę na własną rękę, roczny tylko dochód proporcjonalnie rozdzielając. Byłto człowiek wysokiej uczciwości, miał bardzo przyjemną powierzchowność, i zażywał powszechnego w okolicy szacunku. Gospodarstwo wiejskie znał on ekspedyte, i prowadził też je wzorowo; a nauczył go się jeszcze przy nieboszczyku ojcu, któremu oniemal od dziecka dopomagał. Pan Ignacy tak był zamiłowanym do gospodarki, że w żaden sposób nie mógł usiedzieć w gimnazjum, i na piątej klasie zabastował. Ożenił się przed dziesięcioma laty, ale miał tylko dwoje dzieci: ośmioletnią córeczkę Manię, i siedmioletniego synka Frania, chrześniaka Franka.

Pani Ignacowa była zaledwie o lat kilka od męża swego młodszą. Obywatelska córka, średnie tylko wprawdzie otrzymała wykształcenie, ale była zato gospodynią, jakich mało: nikt w okolicy nie umiał tak suszyć gruszek w miodzie, ani śliwek na rożenkach—jak ona; i u nikogo nie wylęgały się tak wcześnie kaczki—jak u niej.

Jeszcze jedną osobą, należącą do rodziny, była panna Kazimiera Samińska, sierota, daleka krewna pani Ignacowej. Panna Kazimiera kształciła się w Warszawie; po skończeniu nauk zaczęła dawać lekcje, ale w kilka miesięcy potem

umarła ciotka, jedyna jej dotychczasowa opiekunka. Pani Ignacowa wzięła po śmierci krewnej osiemnastoletnią Kazię do siebie, i dziewczę, od pół roku; z warszawianki wieśniaczką się stało. Kazia zaczęła uczyć dzieci początków, i pomagała cokolwiek pani Ignacowej w gospodarstwie. Panienka była blada i wątłego dość zdrowia, ale była bardzo sympatyczną. Jasna blondynka, z ciemnemi brwiami i rzęsami, nosiła dwa długie warkocze, puszczone na stanik ciemno-szarej sukienki, co jeszcze więcej odmładzało dziecinną jej prawie postać.

Prócz panny Kazimiery, była jeszcze druga osoba, która również należała prawie do rodziny; osobą tą był ksiądz Sieczkowski, miejscowy proboszcz, mieszkający niedaleko od dworu, w plebanji, stojącej naprzeciwko starożytnego, murowanego kościoła. Ksiądz Sieczkowski—był to sobie staruszek siedemdziesięcioczteroletni, od czterdziestu kilku lat w Dulembach osiadły. Już z nieboszczykiem Broniewskim ojcem w wielkiej był przyjaźni; on mu ślub dawał, on dzieci chrzcił później, on wreszcie jego i żonę pochował. Staruszek bywał codziennie we dworze, a kilka razy w tygodniu jadał u Broniewskich obiad; późną jesienią, i w zimie, przychodził nawet wieczorem na partję marjasza, a czasem i preferansa.

W połowie września, w samo południe, przy dniu pogodnym słońce jeszcze dobrze dopiekało, choć pozornie zdawało się, że promienie jego tracą już na ognistej swej sile. Ksiądz Sieczkowski, w słomkowym kapeluszu, trzymając w jednej ręce otwarty parasol, by się od skwaru uchronić, i wspierając się drugą na czeczotkowym kiju, zbliża się z wolna ku dworowi. Dwa wielkie charty: Dolot i Utrocz, wygrzewające się na słońcu, pierwsze spostrzegły idącego; zerwały się więc i pobiegły gniewnie szczekając, ale po kilku susach poznały już przybysza, i, poszczekując radośnie, machać jęły sążnistymi ogony.

Usłyszawszy szczekanie psów, wybiegły na ganek dzieci, które tylko co skończyły swe lekcje, a za niemi ukazała się panna Kazimiera. Dzieciaki, po zobaczeniu proboszcza, raźno pobiegły na spotkanie i z szacunkiem wielkim rękę jego ucałowały. Staruszek przełożył kij z prawej ręki pod lewą pachę, i zrobił nad dziećmi znak krzyża świętego. Zbliżyła się też i Kazia, i powitała proboszcza, całując go w ramię.

— A proszę księdza dobrodzieja—mówił prędko Franuś—dziś obiad będzie dopiero o drugiej, bo stryjek pojechał po jednego pana na foksal, i dopiero jak przyjadą będzie obiad. Będzie zupa rakowa i chłodnik, co kto woli, i mamusia ka-

zała zerwać ten duży melon, co ksiądz dobrodziej widział!

Gromadka weszła na ganek, przeszła sień i pokój jadalny, i wyszła przez oszklone drzwi do ogrodu, gdzie nakrywano i szykowano już do obiadu, pod nadzorem samej pani Ignacowej.

— Przepraszam jegomościa dobrodzeja — mówiła witając księdza, — że dziś obiad później; ale — czekamy gościa... Ignaś zaraz wróci z pola, to przed obiadem cokolwiek przetrącicie.

Ksiądz proboszcz usiadł na darniowej ławeczce i, otarłszy czoło fularową chustką, zaczął żartobliwą rozmowę z dziećmi, które wraz z Kazią nieopodal stanęły.

Dzwonek tymczasem dyszkantowym głosem oznajmił południe.

— *Paniulu! paniulu! o lo* Boga rety, co się stało! — wołała za sztachetami młoda, podkasana dziewka.

— A cóż się stało?... Chodźże tu bliżej, Magdusiu! — odrzekła pani.

Dziewka obiegła naokoło i stanęła przed panią; łzy jej z oczu kapały i, kręcąc obiema rękami zgrzebny fartuch, mówiła ze łkaniem:

— *Paniulu! nie wziem, co sie ta stało nasemu surpatemu kogutoju; jesce dziś zrania był taki galanciurny: tak sie wedle kurów uwijoł... a tera*

sklescał, ogon zwiesił i psióra mu sie wzdeny... pewnikiem go ten wielgi kogucisko od księdza wikarego wyzobzijoł!...

— Moja Magdusiu! zanieś koguta do komórki, zlej go dobrze zimną wodą, a jeśli ma pokaleczony grzebień, to idź do Dulembiny, niechaj ci da trochę brzozowego spirytusu, i zalej miejsca zranione, żeby się robactwo nie wdało!

Dziewczyna otarła fartuchem zapłakane oczy, i, prędko pobiegłszy, wpadła na powracającego z pola pana Ignacego; potrąciła go tak silnie, że ledwie się utrzymał na nogach.

— Czyś zmaniona! — zawołał gniewnie pan Ignacy. — Rany boskie! toć mało mnie nie przewróciła.

— Nie gniewaj się, Ignasiu, — mówiła żona — Magdusia ma zmartwienie: jej ulubiony kogut chory!

Pan Ignacy zdjął kapelusz, odsłonił białe czoło, przedstawiające wielki kontrast z mocno ogorzałą twarzą, otarł pot, pocałował żonę i, zbliżając się do proboszcza, rzekł:

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum. Amen!*—odpowiedzieli jednocześnie proboszcz i Franuś.

Ksiądz uśmiechnął się i pogłaskał chłopczyka; a dzieciaki na przywitanie uwiesiły się u rąk ojca.

— No, jegomościu dobrodzieju, zanim Franuś przywiezie gościa na obiad, chodźmy przekąsić!

Towarzystwo zbliżyło się do stołu, na jednym końcu którego była przygotowana przekąska. Pan Ignacy nalał spory kieliszek tarkówki:

— W ręce proboszcza dobrodzieja!

A proboszcz żartował:

— W rączki panny Kazimiery!

— Dziękuję bardzo, jeszcze nie piję!—odrzekła, dygając żartem.

Panowie wzięli się do surowej szynki; Kazia zrobiła dzieciom buterszyty, ale sama nie jadła.

— Widać, że panienka głodem się morzy, żeby przy chłopcach lepiej wyglądać—żartował proboszcz.

— Przeciwnie, księże proboszczu; nie jem teraz, żeby jeść obiad: bo pan Ignacy dopieroby ze mnie żartował.

— A po kogoż to pojechał Franuś?—zapytał proboszcz.

— Po swego przyjaciela i kolegę, z którym są razem na kursach; zabawi tu u nas kilka dni, i razem z Franusiem pojadą do Petersburga. Ma być podobno śliczny chłopiec. i wykształcony bardzo; a z Franusiem żyją, jak bracia.

— Może z Franusiową kieszenią — przerwał ksiądz—prędzej: bo to teraz, Panie odpuść, dużo takich farmazonów!

— Gdzież tam, dobrodzieju,—mówił pan Ignacy, nalewając drugi kieliszek tarkówki—chłopak to bardzo majętny; za dwa miesiące będzie skończonym inżynjerem, ma tylko oddać jakieś tam anszlagi i dopełnić niektórych formalności: a otrzyma patent. Może dobrodziej pozwoli jeszcze tarkówki?

— *Satis, satis!*.. dziękuję uprzejmie. A czemu to panna Kazimiera nie wystroiła się i nie przypięła kwiatka?—mówił ksiądz, wydobywając tabakierkę.

— Ksiądz dobrodziej żartuje sobie; cóż mnie może obchodzić taki kawaler?—Nie mam zamiaru podobać się: ani jemu, ani innemu...

Tawarzystwo zabawiało się rozmową, ale rozmowa ta nie bardzo się jakoś kleiła; widocznie, że czekanie na obiad odjęło wszystkim animusz. Ksiądz proboszcz i dzieci byli jeszcze stosunkowo najweselej usposobieni; Kazia bowiem milczała w zamyśleniu, pani Ignacowa, spozierając wciąż na stół, ciągle coś znajdywała do poprawienia: to obrus obciągnęła, to przesunęła serwetkę,—a zaś pan Ignacy co kilka minut niecierpliwie spoglądał na zegarek.

— Rany boskie, Michalinko, jak pana Boga kocham—nie wytrzymam: tak mi się jeść chce!—zawołał.

— Chwileczkę, Ignasiu, lada moment nadjadą!—mitygowała go żona.

Chłopak wyrostek i owa protektorka koguta, Magdusia, uzbrojeni w gałęzie leszczyny, stanęli przy stole. Byli to liktorowie, a zadaniem ich było opędzanie natrętnych much i pszczół, które niepokoiły jedzących.

Trzask z bicza rozległ się na podwórzu, i przed ganek zajechał lekki powozik, zaprzężony czwórką siwoszów. Pierwszy wyskoczył Robert.

— Trzebaby się okurzyć i umyć—mówił.

— Nie zawracaj pędzla — odrzekł Franek — pójdziemy wprost, bo tam czekają z obiadem i pewnie im już języki pouciekały!

Obaj młodzi zdjęli tylko dymkowe okrycia od kurzu, i poszli prosto do ogrodu.

— Mój przyjaciel, Skałkowski—rekomendował Franek;—mój brat, Ignacy; bratowa; nasz proboszcz, ksiądz kanonik Sieczkowski; kuzynka, panna Kazimiera Samińska; a to pędraki, które już znasz z opowiadania!

Robert uścisnął dłoń gospodarza i księdza. ukłonił się pani, Kazi kiwnął głową, a dzieciaki pocałował, szepcąc:

— Po obiedzie zobaczycie, przyjechało tam coś dla was z Warszawy.

— Bardzo nam miło widzieć pana w naszym domu, prosimy być bez wszelkich ceremonji; ale, nie tracąc czasu, zaczynajmy obiadek. W pańskie ręce!—przerwał szepty pan Ignacy i, wypiwszy kieliszek wódki, nalał drugi dla Roberta

Robert odebrał kieliszek, mówiąc:

— W ręce księdza kanonika!

— Dziękuję, już niedawno wypiłem, więcej nie mogę.

— W takim razie do ciebie, Franusiu!

Zasiedli do stołu; ksiądz zmówił krótką modlitwę.

Wojtek i Magdusia jęli wymachiwać gałęziami.

Robert spojrzał na chłopaka:

— A ty co robisz?

— *A juści odganiom od muchów, zeby, psio pary, niedoskwirali!*

— Chłodniku, czy zupy rakowej pan pozwoli?— zapytała pani Ignacowa.

— Proszę o rakową—odrzekł Robert.

Obiad szedł wolno i rozmowa jakoś nie kleiła się; Robert był milczący i oddawał się obserwacji, oglądając dyskretnie wszystkie osoby, siedzące przy stole. Na deser podano pokrajanego melona; Kazia odsunęła z dość gwałtownym ruchem półmisek, który do niej przysunięto.

— Dlaczego pani nie je melona? — zapytał Franek.

— Nie mogę; nie znoszę nawet jego zapachu.

Robert spojrzał w stronę Kazi i uśmiechnął się lekceważąco! Kazia zarumieniła się cokolwiek i spuściła oczy.

Po obiedzie Robert poprosił Franka i wyszli razem; powrócili po chwilce i Robert, niosąc ogromne pudło, zbliżył się do pani Ignacowej:

— Pozwoli pani oddać dzieciom tę trochę cukierków?

— Ładna mi trocha, toćto cała paka; już ja lepiej sama im wydzielę.

Rozpakowawszy pudło, pani Ignacowa zaczęła częstować; wzięli wszyscy, oprócz Kazi, która podziękowała.

— Niechże pani będzie łaskawą choć spróbować warszawskich cukierków — nalegał Robert.

— Dziękuję bardzo, nie jadam cukierków.

Odpowiedź ta rozgniewała Roberta; rzekł więc z cicha, z przekąsem:

— Zapewnie pani lubi tylko karmelki, i do tego z wierszami?

Kazia nie podniosła nawet oczu na mówiącego i, nie odrzekłszy ani słowa, odeszła.

— Cóż, pan z Warszawy, to musisz mieć świeże wiadomości—pytał ksiądz Roberta;—jakże tam: Niemiec idzie gwałtem na Paryż?

— Dziś rano depesza mówi, że Paryż już zupełnie zablokowany—odrzekł Robert.

— Patrz pan, ktoby się tego spodziewał?... Szkoda Francji!... A prusak zawsze nic wart: boć po zwycięztwie pod Sedanem powinna się była wojna skończyć; wszakże Wilhelm najuroczyściej oświadczył, że nie z Francją, a z Napoleonem wojuje, a teraz sam król pruski dowiódł, że słowu prusaka wierzyć nie można!

— Ma ksiądz rację—odpowiedział Robert;—ale co do Paryża, to nie ma się co obawiać: nie wezmą go pludry, i będą musieli sromotnie odstąpić!

— Nie wiadomo, jakie będą wyroki boskie: może głodem zmuszą do poddania?

— Nie daj Boże!

— Nie daj Boże: boć Francja zawsze nam sympatyczniejsza, i tej samej wiary; a niemcy—heretycy!

— Ale zdaje się jednak,—odezwał się pan Ignacy—że francuzów zmasakrują z kretesem!

Towarzystwo zaczęło się rozchodzić: proboszcz prosił Roberta, aby przyszedł na „sapieżanki“, które w księdza ogrodzie dochodziły niezwykłych

rozmiarów, a i sławne były dobrocią; pan Ignacy poszedł w pole, Kazia z dziećmi do nauki, a pani Ignacowa do gospodarstwa. Robert z Frankiem zapalili papierosy, obeszli ogród, i wsiedli nakoniec do czółna. Przejażdżka wodna nie udała się jednak; popłynęli zaledwie kawałeczek i wkrótce powrócili, gdyż słońce zbyt mocno świeciło im w oczy. Wróciwszy do domu, zaszli do salki, gdzie stał nowy i, choć krajowej fabryki, niezgorszy wcale fortepjan. Robert otworzył go i grać począł: z początku wyjątki z „Pięknej Heleny“, która była podówczas w wielkiej modzie; później jednego ze Strausowskich walcy; a później jeszcze Chopina, do którego miał wielkie zamiłowanie, i którego motywa umiał ze szczególnem odtwarzać czuciem.

Kazia, siedząca w trzecim pokoju, przerwała lekcię i z natężoną słuchała uwagą.

— Zaśpiewajno trochę—prosił Franek.

— Kiedy mam jeszcze w gardle ze dwa funty kurzu z gościńca—odrzekł Robert;—a zresztą, po takiem najedzeniu się...

— Nie zawracałbyś pięty!

Na takie *dictum*, Robert zaśpiewał dumkę ukraińską, dziwnie rzewną i melodyjną.

Nastąpił podwieczorek, a wkrótce potem kolacja, po której wszyscy się pożegnali i rozeszli.

Franek z Robertem poszli na drogę i do lasu; a wracając po dziewiątej, gdy już było zupełnie ciemno, posłyszeli w ganku głos pana Ignacego. Dziedzic, klęcząc na laweczce zwrócony twarzą do podwórza, odmawiał wieczorne pacierze:

— ... *i nie wwódź nas na pokuszenie...* Zagrzejewski! czy to ty?—zapytał głośniej.

— Nie, to my—odrzekł Franek,—idziemy na folwark!

— ... *ode złego. Amen. Zdrowaś Marjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą, i błogosławionaś Ty między niewiastami...* Zagrzejewski!

— Słucham wielmożnego pana!—odrzekł zbliżający się człowiek.

— A daliście tam kiziakom żréć?

— Dawno już dano!

— ... *i błogosławion owoc żywota Twego, Jezus. Święta Marjo...* Ale, ale... Zagrzejewski!... Jutro, jak świt, posłać Maćka Kulasa na stójkę do wójta!

— Słucham wielmożnego pana!

— ... *Matko Boża, módl się za nami...*—modlił się dalej pan Ignacy.

Zagrzejewski, szepcąc również koronkę, poszedł ku stajniom i znikł w pomroku. Był to ekonom, a nawet coś w rodzaju starszego karbowego, który pomagał w gospodarce panu Ignacemu.

Robert z Frankiem weszli do mieszkania na folwarku.

— Kazałem wstawić do mojej sypialni drugie łóżko—mówił Franciszek,—nie chciałem bowiem zostawiać cię w gościnnym pokoju; tak będzie weselej, położywszy się do łóżek możemy jeszcze pogawędzić.

Robert spojrzał na zegarek:

— Dopiero pół do dziesiątej!

Rozpakował walizkę; wyjął książkę: „*Paris en Amérique*“; położył ją koło łóżka; a następnie, wydostawszy jeszcze dużą kopertę, wyjął z niej gabinetową fotografję młodej kobiety i podał ją Frankowi. Franek obejrzał dokładnie fotografję i, nie wypuszczając jej z rąk, rzekł:

— Cacy!... Wiedenka?

— Tak!... Wyobraź sobie—zaczął Robert, rozbierając się—poznałem się z Adolfiną, w kilka zaraz dni po przyjeździe do Wiednia, z tą samą, której wizerunek trzymasz właśnie w ręku; mąż jej jest profesorem w konserwatorjum, co bynajmniej nie przeszkadza, że jest wiecznie śpiący i forsownie nudny. Przy takim mężu wszystko, rozumie się, szło jak z płatka; aż tu po trzech tygodniach otrzymuję list od Mary, że jadąc do matki do Francensbadu, umyślnie dla mnie w Wiedniu się zatrzyma.

— Winszuję! — odrzekł Franek i zaczął się również rozbierać.

— Piękny interes, myślę!...—mówił dalej Robert. — W kilka dni potem Mary rzeczywiście przyjechała, i, wyobraź sobie, siedziała cztery bite tygodnie!... Musiałem, powiadam ci, dobrze lawirować, żeby mię nie załapała; ale w końcu tak mi to *dojadło*, że postanowiłem bądź co bądź ją wyprawić. Nie wierzysz, co miałem z tem kłopotu, i przyszło do tego, że musiałem udawać, iż odjeżdżam Mary jednakże z odjazdem swym wciąż zwlekała, i w końcu zdecydowała się wyjechać wtedy dopiero, gdy mnie na banhof odprowadzi. Nie było więc rady, musiałem na prawdę wyjechać; ale z Florisdorfu wróciłem i tydzień jeszcze cały w Wiedniu przesiedziałem, tylko że już do Siegla na fabrykę nie chodziłem.

— Z ciebie to zawsze figlarz; nie rozumiem jednak, jak można zdradzać taką wspaniałą facetę, jak Mary, i to jeszcze wtedy, kiedy się ją ma pod ręką!...

— Wolę ja ją zdradzać, niż żeby ona mnie zdradzała!—odrzekł Robert, włażąc pod kołdrę i zapalając papierosa.—Ale wiesz co, Franeczku, że nie mogę wyjść z podziwienia, jak ty tu możesz wytrzymać przez całe wakacje?... Ja sam przecież wieś bardzo lubię, rozumie się nie *à la*

longue, ale tak na tydzień, najwyżej na dziesięć dni, przy odpowiednich warunkach i towarzystwie: ależ tu u was *kołtuńja*, o jakiej nie miałem pojęcia! Twój brat—gospodarz *primissima*; bratowa—najzacniejsza kobieta; ksiądz—bardzo poczciwy i nawet nie zatabaczony: ale to nie dla ciebie towarzystwo! O mnie nie idzie tu wcale, boć zabawię wszystkiego najwyżej ze cztery dni, a i ty mi wystarczysz; ale ty, biedaku, przez dwa miesiące przeszło siedzisz w takiem otoczeniu: przesadzone!... Ale, *pardon*, opuściłem jeszcze integralną część towarzystwa: ową szarą dzierlatkę, ucierającą noski aniołkom!...

— Dajże jej pokój—przerwał Franciszek,—to biedna sierota...

— A ty, jak widzę,—przerwał niecierpliwie Robert — zostałeś ochroniarzem, czy też opiekunem sierotek: także przesadzone! Ty, flegmo uosobiona, występujesz jako rycerz?.... przypnijże sobie do szyszaka barwy tej parafjaneczki: szare, nakrapiane!...

— A któżby cię przegadał?... Prawdę mówi Wrona, żeś mocny w ozorze, jak wieloryb w ogonie! Ale nie dziw się jednak, że ja się tu nie nudzę: wszak to moje rodzinne gniazdo, tu znam każdy kącik i gracik, i każdy z nich ma dla mnie miłe jakieś wspomnienie z lat dziecięcych. Wy-

starcza mi również i to, jakie jest, towarzystwo; a zresztą mamy tu i sąsiedztwa...

— A, prawda, przypominam sobie!... mieszka tu niedaleko owa wdówcia... Argentyna, czy Albertyna!... ale ty ciągle jesteś jeszcze indjaninem, jak mówi Łabędzki!... Słuchaj, wiesz co, odwiedzimy jutro proboszcza, bo zaciekawia mię ten subjekt; jest to zmumifikowany fanatyzm i konserwatyzm: to widać od razu, a ja się przecież znam. Muszę z nim pogadać i wziąć go na *łapę*... później, w Pitrze, będziemy wspominać kawały z księżulem...

Dało się słyszeć lekkie chrapanie Franka.

— Już śpi ślimaczek! — pomyślał Robert, i zabrał się do czytania książki.

Późno już było w nocy, gdy zgasił świecę i zasnął.

Nazajutrz rano obudziło go wołanie Franka:

— Wstawaj hultaju, jak mówi Dziubandowski, już dziewiąta!

— Ach! jak pysznie spałem. Dzień dobry!

Wojtek, czternastoletni wyrostek, ów oganiacz much, przeznaczony specjalnie do obsługi Franka, przyniósł na tacy kawę z obwarzankami, oraz bułeczki i świeże masło. Robert wstał, ubrał się prędko w jasny garnitur, i, zjadłszy śniadanie, zaproponował odwiedziny proboszcza.

— Nie braciszku,—odrzekł Franek—do niego pójdziemy po obiedzie, bo teraz jest bardzo zajęty, więc nie rad byłby naszym odwiedzinom.

Poszli po śniadaniu do dworu. Mania kończyła właśnie w salce lekcję muzyki; Robert skinął głową Kazi, a Manię pocałował.

— A może pan nam co zagra?—prosiła Mania—pan tak ślicznie gra.

— A zkądże ty wiesz, że ja gram?

— A przecież wczoraj przed wieczorem pan grał, i myśmy słuchali z naszego pokoju.

— Możeby nam panna Kazimiera co zagrała?—prosił z uśmiechem Franek.

— A i ja dołączam moją prośbę—dorzucił Robert.

— Ja dość słabo gram, więc nie rada jestem produkować się ze swoją muzyką—odrzekła zarumieniona Kazia.

— Nie produkuje się pani?... piramidalne!—mówił śmiejąc się Robert.—E! niech się pani da uprosić i zagra nam „*La prière d'une vierge*", sławetnej „*Bondarzewskiej*"—dodał z przekąsem.

Kazia nic na to nie odpowiedziała, tylko zabrawszy Manię, wyszła z nią do dziecinnego pokoju.

Przy obiedzie szła z panem Ignacym rozmowa o wojnie francusko-pruskiej; wszyscy trzej pa-

nowie byli słabymi politykami, a zdania ich zgadzały się z sobą, gdyż jednoczyła ich wspólna ku Francji sympatja.

Zaraz po kawie przyjaciele wybrali się do proboszcza, a podchodząc do plebanji, spostrzegli koło jej ganeczka grupę ludzi. Ksiądz sam siedział na ławce i zażywał tabakę; przed nim stał kmieć wysokiego wzrostu, trzymając czapkę w ręku; a obok stała młoda jeszcze płacząca kobieta, do nóg której tuliła się płacząca również kilkoletnia bosa dziewczynina. Robert z Frankiem zatrzymali się opodal, by zjawieniem się swojem nie przeszkadzać i rozmowy nie przerywać; a proboszcz ich nie spostrzegł, gdyż siedział odwrócony w przeciwną stronę. Usłyszeli zatem:

— Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy, mój Tomaszu!—Tu proboszcz zażył tabaki. - Ani twój dziad, ani ojciec, których znałem, żadnych trunków nie używali; nawet na pogadankę do karczmy nie chodzili!... Ciebie chrzciłem przecież, i pamiętam, żeś był dobrem dzieckiem i pracowitym później chłopakiem... i Pan Bóg ci też pobłogosławił: masz porządną chałupę, kawał ziemi, i dobytek, jak się patrzy... Ale cóż? wszystko to na marne pójdzie, boś pijak, duszę djabłu zaprzedałeś: wyjdziesz na żebraka, a twoja żona i dzieciak pójdą na poniewierkę!... Doszło do tego, że

poczciwą żonę, pracowitą kobietę — bijesz!... a trzy razy przyrzekałeś mi,—takto dotrzymujesz obietnicy?

— *Jelmozny proboscu* dobrodzieju! ja sam *wziem, ze* to źle, i *chciołbym zyć* po chrześcijańsku, i nie *psić gorzołki...* kiedy nie *wziem*, jakieś złe mię opętało. W domu Maryś *gorzołki* ani *poświci, karcmę omijom...* a jak *wiecór psyńdzie*, to mię *cościk wedle* wątroby tak zakręci, jak jakiemu *dzwirzoju* *) i w *ocach* migoce i do ucha *sepce: ino* jeden *kieliscecek*, a *wsyćko pseńdzie*,—i tak ciągnie, ciągnie, *ze az* bebechy, za *pzeproseniem* jegomości, się *pscwracają!... No i cóz?..*, *póńdzies, wypsijes pókwaterek*, a tam *człowiekoju juz zamrocy* i sam *tady* nie *wzie*, co dalej!—mówił chłop, ocierając łzy rękawem.

— A jak wróci — zaczęła kobieta, — to *ino marmoce* jakieś słowa i *zara* do *bzicia* się *bieze*. Łońskiego roku *psysięgał psed Świętym Tomasem*, jego patronem, co *juz psić* nie *bańdzie... i wytsymał bez kwartoł*; ale latoś *okrutecnie psije i cało* gospodarka idzie na marne! —kończyła, głośno już szlochając.

— Słuchajcie-no, Tomaszu! — mówił łagodnie proboszcz,—a wierzysz ty w Boga?

---

*) Zwierzowi.

— A *juści, ze wiezę!*

— A wierzysz ty w zbawienie duszy?

— A *juści, ze wiezę!*

— A wierzysz ty w karę bożą?

— A *juści, ze wiezę!*

— A nie prawda!—krzyknął ksiądz, - bo żebyś w to wszystko wierzył, to nie upijałbyś się! nie krzywdziłbyś swojej kobiety! i nie marnował gospodarstwa!...—Po chwilowej zaś pauzie dodał łagodniejszym już tonem:—W niedzielę, przede mszą wyspowiadasz mi się; a po przyjęciu Najświętszego Sakramentu przysięgniesz, że pić przestaniesz! A teraz: idźcie z Bogiem, moje dzieci!

Gospodarz, ·kobieta i dziewczynina ucałowali ręce proboszcza i odeszli; przyjaciele zbliżyli się do ganku:

— Niech będzie pochwalony!—witał Franek, i pocałował księdza w ramię.

Robert podał rękę.

— Na wieki! — odpowiedział proboszcz. — A chodźcież do chałupy!

Z ganku weszli do sieni, a potem na lewo do obszernego pokoju, który—właściwie—należałoby nazwać „uniwersalnym“. Pokój był o czterech oknach, z których dwa były w jednej ścianie, a drugie dwa w przyległej. Naprzeciwko drzwi, przez które weszli, stała pod oknami wielka ma-

honiowa kanapa, obita czarną włosienicą: przed kanapą —stół z długiemi klapami, również mahoniowy, a na nim, na ogromnej patarafce z szyszek, żołędzi i fasoli, stała olbrzymia lampa. Naokoło stołu były ustawione dwa fotele, z szerokiemi oparciami, i kilka krzeseł; reszta, do dwunastu, była pod ścianami. Fotele te i krzesła były również obite czarną włosienicą; ale jedna tylko kanapa miała wyściełane oparcie, reszta mebli była o miękkich siedzeniach i drewnianych oparciach: a wszystko to okryte było jak najstaranniej białymi, perkalowymi pokrowcami, poprzywiązywanymi tasiemkami do nóżek. Na lewo, między oknami, stało wielkie, staroświeckie biurko, z szafkami i półeczkami na wierzchu; z szufladkami i przeróżnemi skrytkami, zamykanemi na ruchomo zasuwającą się półokragłą klapę — w środku, i z wysuniętą na zewnątrz klapą do pisania, na której, prócz mnóstwa przeróżnych rupieci, leżała także i otwarta książka: „O naśladowaniu Chrystusa". Przed biurkiem stał obszerny i wysoki, wyściełany fotel, pokryty jakąś mocno wypłowiałą materją. Pod przeciwległą ścianą stały dwie, duże, oszklone szafy z książkami, a między niemi, również pod ścianą, okrągły stolik, przykryty siatkową serwetą, na którym, pod kloszykiem, mieścił się krzyżyk z przezroczystej soli—

pamiątka z Wieliczki. Na ścianach wisiało kilka rycin i oleodruków: Wieczerza Pańska, Gody w Kanie, Matka Boża posilająca,—dalej książę Józef, skaczący na koniu w Elsterę,—i, na kanwie wyszywany, Święty Józef z lilją w ręku, a ponad biurkiem portret Piusa IX-go.

Robert bystrym rzutem oka obejrzał cały pokój, wraz z jego umeblowaniem, i zatrzymał wzrok koło biurka przy oknie, gdzie spostrzegł jakąś małą szklaną szafeczkę, czemś ciemnem napełnioną: zdawało mu się bowiem, że coś się tam w niej rusza. Jakoż, zbliżywszy się zaciekawiony, zobaczył plastry wosku i pracujące pszczoły.

— A!... pan przyglądasz się ulowi? — zapytał ksiądz — Prawda: ciekawy?.... można obserwować, jak pszczółki pracują!... Rurka, wyprowadzona na zewnątrz domu, służy im jako wejście.

Robert pilnie przypatrywał się porządkowi, panującemu w ulu, który łatwo było widzieć w szafce z trzech stron oszklonej, bo wierzch tylko i dno miała ona z deseczek.

— Siadajcie, kochani panowie! — prosił proboszcz, i jednocześnie, wziąwszy z biurka małą blaszaną trąbkę, zabawkę dziecinną, kilka razy zatrąbił.

— Co kanonik robi?—zapytał zdziwiony Robert.

— Wołam na służbę! Pana to dziwi?... dzwonka używam tylko do służby bożej.

Robert uśmiechnął się z lekka. Weszła tymczasem gospodyni: staruszka—w wysokim, białym, mocno nakrochmalonym czepcu.

— Niechno Trybularska da nam gruszeczek i wiśnióweczki! — mówił proboszcz, zażywając tabaki.

Gospodyni podeszła do stołu, zdjęła lampę i patarafkę i wyniosła takowe z pokoju; a po chwili powróciwszy, nakryła stół białym obrusem. Goście wraz z gospodarzem przysiedli się do stołu, i wkrótce też podano: gruszki „Sapieżanki“ olbrzymiej wielkości, miód w plastrach, śliwki suszone na rożenkach, ser z jabłek i nalewkę wiśniową. Ksiądz zabrał się do nalewania kieliszków, i zaczęła się rozmowa:

— Wyobrażam sobie, — mówił—jak się pan musisz nudzić tu w Dulembach... a proszę naleweczki!... po stołecznem życiu, a zwłaszcza obecnie, po Wiedniu, młodemu wieś nie smakuje... Franuś—to co innego, bo on tu urodzony.

— Nie mogę powiedzieć, żebym się nudził; przyjechałem na dni kilka, a lubię wieś—tak—na króciutko, a zresztą—towarzystwo Franka mi wystarcza.

— Dawnoż się znacie?

— Od trzech lat,—odrzekł Franuś — poznaliśmy się w Petersburgu. Robert już kończy instytut, za sześć tygodni będzie już inżynjerem, i zostaje wysłany, jako wzorowy i zdolny, zagranicę.

— Winszuję, winszuję!... a może pan i do Rzymu pojedzie, to i Ojca świętego zobaczy.

— W Rzymie nie ma nic z naszej specjalności,—odrzekł uśmiechając się Robert—a papieża znam z portretów i fotografij, bliższej znajomości nie pragnę.

— Widzę, że pan jowjalny... Cenny to przymiot, bo wesołość—to zdrowie, jak mawiali nasi praojcowie; tylko, że do żarcików lepiejby było obrać sobie kogo innego; ot! takiego naprzykład—jak ja—klechę, a nie głowę naszego kościoła, który i tak ma już wielu nieprzyjaciół między obcymi.

Robert zmieszał się trochę.

— A może pan nie katolik?—mówił ksiądz dalej.

— Owszem, owszem... jestem katolikiem!

— Może tylko w paszporcie i dokumentach?

— To jest... jak to?

— No! niby tak *de nomine*, a nie *de facto*: bo jakoś nie zdaje mi się, byś się pan swemi modłami naprzykrzał Panu Bogu.

— Przeciwnie... ja w Boga wierzę; wprawdzie—niektóre formułki nie zgadzają się z mojemi zasadami i poglądami.

— Jeśli pan masz jakie zasady i poglądy—przerwał proboszcz poważnie—a rozumne i racjonalne, to dobrze; ale trzymaj je przy sobie... a może błądzisz, bo któż nie błądzi? *errare humanum est*... proszę jeszcze kieliszeczek nalewki!... W Pana Boga wierzysz—to dobrze; zachowujesz Jego przykazania—to wystarcza, abyś był uczciwym człowiekiem; ale swoich zasad i krytyki nie wygłaszaj pan; bo mogłyby paść na zły grunt, nie zrozumianoby i zepsułbyś maluczkiego... a lepiej, żebyś mu kamień młyński przywiązał i utopił, niż zgorszył, lub zwątpienie w nim zaszczepił. Wy, młodzi studenci, jesteście zwolennikami filozofji... a może pan pozwoli gruszeczkę?—Franusiu, daj dobry przykład koledze!.. i ja, choć stary, jestem także jej zwolennikiem; ale tej filozofji, co to jej nazwa, pochodząc z greckiego, wyraża się kochaniem mądrości: a tą mądrością przedwieczną jest Bóg, Stwórca nasz; od Niego wszystko pochodzi, i On wszystko daje. Nauka Chrystusa kiedy powstała?... w czasach, gdy ludzie byli jeszcze w stanie wielkiego barbarzyństwa,—a mimo to największą mieści w sobie filozofję; drugi już tysiąc lat ubiega od owego

czasu, a wygłoszona nauka nie starzeje się, zawsze jest tą czystą mądrością i prawdą, której nikt nic zarzucić nie może,—a jest przecież taką prostą, dla każdego dostępną, rozjaśnia umysł, duszy moc daje i serce uszlachetnia... Może sprobujecie miodu? — lipiec, z tego ula!... Pojutrze u nas tu procesja; nie śmiej się pan z naszych obrazów, chorągwi i emblematów: pamiętaj, że ludek nasz ciemny, ubogi, i że do jego serca i mózgu trzeba przemawiać odpowiednio...

— Przyzna jednak kanonik, że to komedja?

— To, co wy nazywacie komedją, jest jednak niezbędnem i koniecznem; dla was—to zbyteczne, inniby bez tego nie zrozumieli...

— Dlaczegóżby nie mieli zrozumieć?

— Mój kochany panie!... jeśli potrzebujesz jakiś rachunek, albo rozwiązać zadanie — używasz algebry, i idzie ci prędko i gładko; ja, i tysiące mnie podobnych, udajemy się do arytmetyki, i to, coś pan rozwiązał w pięć minut, maglujemy z godzinę: bo nie znamy algebry... a najwięcej pono jest takich, którzy liczyć muszą na palcach, bo nie znają, ani algebry, ani nawet arytmetyki..... Do wszystkiego, mój panie, trzeba odpowiednich wiadomości i rozwinięcia umysłowego; a nasze kapłańskie zadanie nauczać i kształcić duchowo maluczkich: musimy więc przemawiać do nich

w sposób zrozumiały i dostępny... mizerje ludzkie, mizerje!...

Robert patrzył na proboszcza trochę zdziwiony; a gdy później mimowolnie zwrócił oczy dalej, wzrok jego padł wypadkowo na szafkę z książkami, w której, część półki, zakradające się do pokoju promienie słoneczne, mocno oświeciły. I dostrzegł wtedy Robert wybite na grzbietach tytuły: „Kosmos“; „Jan Sniadecki“... A ksiądz tymczasem mówił dalej:

— Proszę naleweczki, bez ceremonji!... Franusiu, nie każże się prosić!...

Rozmowa trwała jeszcze dość długo; pokazało się, że kanonik miał lokalną pamięć i niepoślednią historji znajomość, — a i tegoczesne rzeczy nie były mu obce. Młodzi zatem spędzili na wizycie czas nader przyjemnie, zwłaszcza, że starowina się rozgadał, a o dawnych czasach umiał on wiele ciekawych opowiedzieć rzeczy. Nalewka też, swoją drogą, była znakomita, a Robert, któremu wielce smakowała, kieliszków jakoś nie liczył; i zarumieniły mu się lica, i oczy dziwnym błysnęły ogniem, a piękny młodzian—zda się—piękniejszym stał się jeszcze.

Wtem drzwi się lekko uchyliły i stanął na progu zadyszany Wojtek.

— *Prose jelmoznego panica*, *goście psyjechali!* i pani po panów *psysłała*, i kazała prosić księdza jegomości, *zeby takze* na *arbaty psyśli!*

Młodzież wstała.

— Cóż, kanoniku, pójdziemy razem? — zapytał Franek.

— Nie kochanku, ja muszę pewną sprawę załatwić, ale nadejdę wkrótce—do widzenia!

Franek pocałował księdza w ramię; Robert zaś, choć podał na pożegnanie rękę, ale jednakże mimowolnie się jakoś nachylił i również dotknął ustami ramienia starca. Ksiądz pocałował go w czoło...

Przyjaciele, wyszedłszy z plebanji, podążyli wprost ku dworowi, za Wojtkiem, który pędem pobiegł naprzód; a Robert przez całą drogę szedł milczący, myśląc o księdzu Sieczkowskim:

— Jaki ja jednak młody jeszcze jestem?... Wyrobiłem—ot sobie—pewne pojęcia i szablony, któremi chciałbym mierzyć ludzi, i cóż?... omyliłem się już nieraz, choć mi się zdawało, żem od pierwszego rzutu oka poznał i ocenił człowieka. Ale ksiądz z kołtuńji nie jest znowu takim zakamieniałym konserwatystą, ani nawet fanatykiem; a prócz tego sympatyczny to starzec... Ale dlaczego ja go pocałowałem w ramię? — to wcale nie potrzebne!... Ciekawy jestem, co to za goście?... Zapewne bóstwo Franka... albo może jakie piękności kotłuniarskie!..-

Doszli do dworu; towarzystwo całe było w ogrodzie, szykowano już do herbaty.

— A witać pana Franciszka!—odezwało się kilka głosów.

Franuś przedstawił kolegę:

— Mój przyjaciel, Robert Skałkowski;—nasi sąsiedzi: pani Poleto, państwo Kostowscy i panny Kostowskie!

— To, mosterdzieju, panowie, tego mówię, w Petersburgu razem w akademji uczą się, tego mówię? — pytał pan Kostowski, wypuszczając z fajki kłąb dymu, od którego aż zakrztusiło Roberta.

— A tak, *tamtego powiadam!*—odrzekł co prędzej Robert, i uciekł do dam.

Franuś, stojąc z boku, zabawiał panią Poletę, ową wdówkę Albertynę, która przywiozła także z sobą swoją ośmioletnią córeczkę.

— Wiesz pan,—mówiła wdówka półgłosem— że ten pański kolega to prawdziwy Robert djabeł, taki brunet i przystojny chłopiec; gotowam się w nim zakochać.

— To go zabiję!—odrzekł śmiejąc się Franek i ścisnął rączkę pani Albertyny.—Zresztą, cóż w tem dziwnego?—wszystkie kobiety w nim się kochają, on tylko żadnej nie kocha! Powiada, że dotąd nie spotkał kobiety, któraby prócz samicy coś więcej przedstawiała!

— Taaak?

— A taaak!... same kobiety go zepsuły: ledwie bowiem z pieluch wylazł, już mu się rzucały w objęcia.

Do rozmawiających przybliżył się właśnie Robert. Spojrzeniem, jak myśl szybkiem, obrzucił najpierw panią Albertynę od stóp aż do głowy, a później—spotkały się ich oczy. Wdówka próbowała wytrzymać wyzywający i palący wzrok Roberta, ale—nie powiodło się... spuściła zatem oczy i zapytała:

— Długo panowie zabawicie jeszcze w Dulembach?

— Pojutrze wieczorem jedziemy do Petersburga—odrzekł Robert.

— A może jeszcze z jeden dzień zabawimy dłużej—dodał Franek.

— Nie wiem, jak kto; ale ja jadę pojutrze stanowczo!—dodał Robert z przyciskiem.

— Prosimy do herbaty! — wołała pani Ignacowa, idąca do stołu z panią Kostowską.

Towarzystwo zasiadło; Robert, wywijając się od pana i panien Kostowskich, zajął miejsce na samym końcu stołu, obok Franka, emablującego panią Albertynę. Do końca stołu przystawiony był mały stoliczek, na którym umieszczono gotujący się samowar. Po drugiej stronie stołu, prawie naprzeciwko Roberta, siedziała Kazia, a za

nią obie panny Kostowskie. Robert, nie mając nic lepszego do roboty, zabierał się właśnie do zbierania wzorków z siedzących *vis-à-vis* panien Kostowskich, gdy wtem uwagę jego zwróciła na siebie Kazia, która powstała właśnie, by zacząć nalewać herbatę. Zdjęła imbryk i nachyliła go cokolwiek może zbytecznie, nie wiadomo, czy przez nieuwagę, czy też pod wpływem wzroku Roberta, który—czuła to dobrze, nie patrząc nawet w jego stronę—ołowiem na niej zaciężył. Skutkiem owego przechylenia imbryka pokrywka się zeń zsunęła i spadła najprzód na samowar, od którego się odbiwszy, wleciała później z rażącym metalicznym dźwiękiem do stojącej na tacy przy samowarze mosiężnej miseczki: co wszystko olbrzymiego narobiło hałasu.

— *Vive l'adresse!*—krzyknął prawie Robert, odwracając wprost głowę w stronę winowajczyni.

— *Vive la politesse!*-odpowiedziała drżącym głosem Kazia, i tak cicho w dodatku, że prócz Roberta, pani Albertyny i Franka, nikt więcej nie słyszał.

Odpowiedź ta zmieszała Roberta, i w jednej chwili nastąpiła reakcja:

— Dlaczego właściwie obrałem ją sobie za przedmiot do żartów?—pomyślał.

Kazia, po nalaniu herbaty, usiadła na swoje miejsce; a Robert, nie mogąc jakoś znaleźć roz-

sądnej odpowiedzi na zadane sobie samemu pytanie, zaczął się jej uważniej i bez uprzedzeń przypatrywać. Zauważył więc, po raz pierwszy, że Kazia miała duże, ciemnoszafirowe oczy i bardzo długie, a ciemne rzęsy; że brwi jej, również duże, miały poprawny rysunek i ciemny, prawie czarny kolor, co przy jasnych jej włosach piękny stanowiło kontrast. Zauważył dalej foremny bardzo nosek i usteczka, i drobne, a białe ząbki. Cera tylko blada, i jakiś dziwny smutek na twarzy rozlany, nie licowały jakoś z jej młodością i wdziękiem.

— Wcale przystojna panienka,—pomyślał Robert—a ja jej dokuczam; trzeba się będzie przeprosić!—i zaczął głośno:

— Rzadko mi się zdarzało pić na wsi tak wyborną herbatę.

— Mamy tu dobrą wodę—odrzekł Franek—a potem to herbata, którą przywiozłem z Pitra.

— Opuszczasz najgłówniejszy warunek: umiejętne przygotowanie i podanie pięknemi rączkami,—mówił Robert, patrząc na Kazię — za co należy się specjalne podziękowanie.

Kazia, zaróżowiona już pod samem spojrzeniem Roberta, na słowa powyższe zarumieniła się jeszcze więcej; twarz jej wprawdzie uśmiechnęła się cokolwieczek, ale prawie kurczowo: snać

więc, że jakaś tajemna walka toczyła się w jej duszy.

— Magdusiu! — zawołała po chwili drżącym trochę głosem, opanowawszy nareszcie wzruszenie.

Dziewczyna podbiegła.

— Pan Skałkowski — mówiła dalej Kazia — życzy sobie podziękować ci zato, żeś nastawiała samowar, a później zaparzyła i podała herbatę.

— *O lo Boga, co tysto panienka powziada!* — odrzekła Magda.

Robert przygryzł wargę aż do krwi prawie, ale w jednej chwili pohamował się i odpowiedział z łagodnością.

— Przyjmuję karę z pokorą, bo — zasłużona!

Mały ten epizodzik przeszedł prawie niepostrzeżenie: pan Ignacy bowiem z panem Kostowskim zajęci byli rozmową o namłotności zimowego rzepaku, a panie i panienki opowiadaniem o sługach; Franuś tylko i pani Albertyna słyszeli wszystko.

— Widzę, że państwo w wojowniczem usposobieniu — przemówiła ta ostatnia; — ale wojna ma to przynajmniej przyjemnego, że po niej następuje pogodzenie się i zawarcie miłego pokoju, a często nawet i przeróżne aljanse.

— Czy nieboszczyk mąż pani był wojskowym? — zapytał z uśmiechem Robert.

— Bynajmniej: całe życie był obywatelem ziemskim; ale zkąd panu przyszło na myśl podobne przypuszczenie?

— Wskutek militarnych alegoryj, używanych przez łaskawą panią.

Franek wtrącił się do rozmowy:

— Uważam, że nalewka proboszcza usposobiła cię do dogryzania damom.

— I panienkom!—dodała pani Albertyna.

Robert uśmiechnął się i nic już nato nie odpowiedział; wziął tylko stojący przed nim talerzyk z herbatnikami i, podając go pannom Kostowskim, odezwał się najgrzeczniej:

— Może panie pozwolą?

Młoda, o płowych włosach i drobnych piegach na zadartym nosku, panna Anna, odebrała talerzyk z rąk Roberta, obejrzała jego zawartość i, stawiając napowrót na stole, odrzekła:

— Dziękuję, ja nie *wyznaję* pierników!

— Ależ to nie pierniki: to herbatniki!—podpowiedział Robert.

— A! to co innego — odpowiedziała panna i wzięła kilka sztuk z talerza.—Malwinko! — dodała, zwracając się do siostry—może i ty?

Towarzystwo wstało niezadługo od stołu: zaczęło się bowiem ściemniać, a jesienny wieczór chłodem prawa swoje markował; przeszli więc wszyscy do sali.

Pan Kostowski wyjął z kieszeni aksamitny kapciuch, pelami wyszywany, i zabierał się do nakładania fajki. Robert, postrzegłszy z przerażeniem owe przygotowania, podbiegł do niego co prędzej i, podając swą cygarnicę, w której prócz papierosów były także i dwa cygara, prosił jak najskwapliwiej:

— Może pan pozwoli cygarko?—dobre i suche!

— Dziękuję serdecznie! — odrzekł Kostowski, biorąc jedno z cygar.

Obejrzał je, powąchał, i—schował do bocznej kieszeni.

— Musi być doskonałe!—mówił,—ja *go* sobie, mosterdzieju, w niedzielę, tego mówię, wypalę po obiadku!... a teraz fajeczkę!... Może i pan pozwoli? bo ja mam, mosterdzieju, wyborną mieszaninkę tytuniową; na trzy paczki, tego mówię, *gelb—wirgińji*—jedną *knastru*: pyszny tytuń, mosterdzieju!

Robert podziękował, tłómacząc się, że do fajki nie jest przyzwyczajony, a w duchu pomyślał:

— Masz djable kaftan!... wyrzuciłem za okno porządne cygaro, a krztusić się będę dymem najordynarniejszego tytuniska!

Tymczasem pan Kostowski zapalił fajkę i, zaciągnąwszy się, mówił dalej:

— Ale też, mosterdzieju, szwaby — tego mówię—jak francuza walą?

— Będzie źle, panie; Paryż wezmą!—odrzekł Robert.

— O! co to-to figę z masłem, mosterdzieju!... Dobrze, niech się zbierają pod Paryżem; a potem tego mówię, jak na nich gruchnie, mosterdzieju, *Makmachom* z jednej strony, *Bazę* z drugiej, armja północna, tego mówię, z trzeciej, *partyzani* z czwartej: to, mosterdzieju, aż trzaski polecą, i szwaby, pierzyniarze, tego mówię, w nogi!...

Tu puścił tak obfity kłąb dymu, że Robertowi mało oczy nie wylazły. Sytuacja też jego była nie do pozazdroszczenia: wdawszy się w rozmowę z Kostowskim, nie mógł bez wyraźnej niegrzeczności tak łatwo z niej się wyplątać, a dym tymczasem żarł oczy, kręcił w nosie i drapał w gardle nie do wytrzymania. Na szczęście jednak, prędzej niż Paryż, doczekał się odsieczy Robert: wszedł bowiem ksiądz kanonik, a na jego powitanie ogólny powstał zamęt. Robert nie omieszkał skorzystać z tego: uciekł czemprędzej do kobiet i przysiadł się do pani Albertyny, siedzącej obok Franka.

Panny Kostowskie zaczęły prosić Kazię, aby im co zagrała; nie drożyła się wcale: podeszła do fortepjanu, otworzyła go, i zaczęła szykować nuty.

— Robert to spostrzegł.

— Usłyszymy „*La prière d'une vierge*“, albo coś ze „Sroki złodzieja“—szepnął do pani Albertyny.

— Nie kpiłbyś,—odrzekł Franek—Kazia gra wcale niezgorzej!

Słychać było ciche dźwięki „*Ruines d'Athènes*". Po pierwszych zaraz kilku taktach, Robert porzucił myśl o rozmowie i zaczął się wsłuchiwać; a Kazia grała z tak wielką znajomością muzyki i z taką dozą prawdziwego, a wolnego od najmniejszej przesady uczucia: że Robert mimowolnie wstał i, zbliżywszy się po cichutku do fortepjanu, stanął poza grającą, by lubować się tem, z jaką gracją i biegłością niezwykłą, jej drobne a białe paluszki przebiegały po klawjaturze.

Skończyła wreszcie.

— Brawo! brawissimo! — zawołał oklaskując stojący za krzesłem Robert.

Kazia drgnęła silnie: przestraszyła się bowiem, nie wiedząc, że zmienił miejsce.

— Czy można prosić panią o cośkolwiek jeszcze?—wyrzekł przymilającym się głosem.

— Więcej już grać nie będę—odrzekła, wstając od fortepjanu.

— Czy dlatego może tylko, że ja proszę?

— Tak!—odparła sucho, i odeszła.

— A... takiešto ziółeczko!—pomyślał, i zwrócił się ku kanapie.

Ale pani Albertyna szła już naprzeciw niego.

— Słyszałam, że i pan bardzo muzykalny: można więc prosić o zagranie nam...

— Niech lepiej zaśpiewa — przerwał Franek.

— Zrobisz nam pan wielką tem przyjemność; no cóż, zgoda?—pytała dalej z mrugnięciem oczu.

— Owszem, służę!

Usiadł do fortepjanu i znów zaśpiewał ukraińską dumkę, ale wybrał tak rzewną i tęskną, i w głos swój wcielił tyle drgań żałosnych niezaspokojonego serdecznego pragnienia, że z piersi wdówki westchnienie się wydarło, a panienkom łzy się aż w oczach zakręciły.

Śpiew ustał, ale Robert nie wstawał: pani Albertyna bowiem i Franek, oparci o fortepjan, wyciągnęli go na rozmowę we trójkę.

Panny Kostowskie i Kazia siedziały pod przeciwległą ścianą.

— Jaki to śliczny kawaler i jak cudownie śpiewa!—szeptała starsza.

— Mama mówiła, że za miesiąc zostanie inżynjerem, i że bardzo bogaty. Ale—czy uważałaś, Malwinko, jak on przy herbacie ciągle na Kazię patrzył i wzdychał?—mówiła cicho młodsza.

— Zdaje wam się—odrzekła Kazia:—od pierwszej chwili przyjazdu do nas, ciągle on mi tylko dokucza, i to bardzo złośliwie...

— Kto się lubi, ten się czubi! — przerwała Andzia.

Robert znów zaczął śpiewać, i panny umilkły. Tą razą jednak nie był to śpiew poważny; nucił bowiem tylko półgłosem arję z „Pięknej Heleny“:

— „Amours divins! ardentes flammes!
Vénus! Adonis! gloire à vous!
Le feu brûlant nos folles âmes,
Hélas! ce feu n'est plus en nous“!...

I podczas tego śpiewu, zerknąwszy na stojącą obok panią Albertynę, zrobił do niej oczko. Wdówcia uśmiechnęła się; serduszko jej jakoś drgnęło:

— Zrobiłam jednak na nim wrażenie!—pomyślała.

Pani Albertyna—była to sobie wcale przystojna kobietka; miała lat trzydzieści (wierzytelnie) i była szatynką o przyjemnych bardzo rysach i w samą miarę zaokrąglonych kształtach,—co wszystko razem apetyczną stanowiło całość. Prócz tego – wdówcia była dość wykształconą i nosiła „*grzywkę*“, a w domu jej, oprócz kalendarza, spotkać można było i gazetę jakąś, i pismo tygodniowe ilustrowane, i tygodnik z modami i po-

wieściami, i nie jednę nawet książkę,—skutkiem czego, na kołtuńji, uchodziła za „*sawantkę*“.

Do fortepjanu zbliżył się tymczasem ksiądz proboszcz; postał i posłuchał, a gdy Robert skończył, poklepał go po ramieniu i rzekł, śmiejąc się:

— Herezje, herezje!... pogańskie boginie!... a piękny masz pan głos; nie śpiewasz też czasem co Moniuszki?

— I owszem...

— To zaśpiewaj pan co dla starego.

— Z całą przyjemnością.

I Robert zaśpiewał „Prządki“; poczem poproszono do kolacji. Przy stole Robert usiadł koło Kazi, i starał się ciągle, by jakoś nawiązać z nią rozmowę; ale ona zbywała go wciąż słowami: „tak“, lub „nie“—i wszelkie z jego strony wysiłki pozostały bez skutku.

Goście nareszcie rozjechali się. Pani Albertyna, ze względu na tak bliski już odjazd zaprosiła Roberta, by do niej z Franusiem nazajutrz przyjechał. Robert obiecał i, na pożegnanie, uścisnął nawet czule rączkę miłej wdówki.

Zaledwie przyjaciele weszli do folwarku, Franek, żądny usłyszeć zdanie znawcy, zapytał:

— No cóż, jakże ci się Albertyna podobała?

— Wypasiona!

— I nic więcej?

— No, zapewne: trochę czytała, trochę słyszała i trochę widziała!

— Ale przystojna, miła, i dobra!

— Przystojna?—tak. niczegowata sobie; miła?—jak dla kogo; a dobra?—jak do czego!... Puder to jej tam jeszcze daruję, ale poco u djabla brwi maluje?... przesadzone!

— Ale dajże pokój: nie prawda, nie maluje!

— Że maluje—to fakt: ale dowieść ci tego nie mogę: nie poślinię przecież palucha, ani chustki, i nie zetrę jej farby!—odrzekł Robert.

Zapalił papierosa i położył się do łóżka; a Franek, któremu lekceważący ton Roberta zaszedł jakoś za skórę, przestał go już na słówka wyciągać. Po chwilowej jednak pauzie Robert sam zaczął:

— Ale wiesz co, że ta dzierlatka, Kazia, to wcale niezły materjał: dziś ją dopiero należycie obejrzałem! Ubrać to, powiadam ci, po ludzku, uczesać, jak należy, i podpaść trochę: a byłaby petercyment dziewczyna! Oczki ma wcale niczego, nosek i usta *szampipińskie*... ale co krwi—to tam nie ma ani krzty: maślanka chyba płynie!... A gra, szelmeczka, co się zowie dobrze!... dla czegóżeś mi nic o tem nie mówił? A gdzie ona się kształciła?

— Dlaczegom nie mówił?... paradny sobie jesteś,—boś się nie pytał! Co zaś do wykształ-

cenia, to uczyła się w Warszawie: skończyła gimnazjum, no—i czytała dużo; a grać — to się uczyła od swojej matki, Wierzbowskiej... wiesz, artystki... grała już nawet Kazia kilka razy na koncertach dobroczynnych. Więc muzyka jej podobała ci się?..

— Umhu!... — odpowiedział Robert, i zaczął czytać książkę.

XIV.

Nazajutrz Robert obudził się jakoś rano; spojrzał na zegarek: było po siódmej; Franek chrapał jeszcze, jak rosomak.

Po przebudzeniu Robert się przeciągnął, zapalił papierosa, sięgnął po książkę, którą czytał na dobranoc, otworzył ją i chciał czytać dalej... ale po chwili odwrócił książkę do góry grzbietem, żeby mu się kartka nie zamyliła, i tak rozłożoną na kołdrze położył.

— A więc dziś jedziemy do owej uwielbianej Albertyny... — pomyślał, — a jutro, w nocy, jazda do Pitra!... A możeby tak wypłatać figielka Franeczkowi i zbałamucić mu jego wdowuleczkę?...

E!... szkoda czasu!... Ale jak ta mała dobrze gra?. ile tam czucia, a jaką ma siłę w tych drobnych rączynach!... Tak, rączęta maleńkie i zgrabne, a i sama bardzo sympatyczna; inna nawet jakoś, odmienna od wszystkich tych, jakie kiedykolwiek spotykałem... Tak, tak, sympatyczna!, nie ma co mówić, nawet bardzo sympatyczna!... tylko, że smętna jakoś... Ale czego ja jej się czepiałem, niech mi kto powie?... chociaż: umiała się odgryzać wcale nieźle!... Trzeba jednak będzie pogodzić się przed odjazdem; muszę być dla niej grzecznym, a nawet i serdecznym, by jakoś zatrzeć owo głupie postępowanie i zostawić po sobie dobre wspomnienie. Tak! tak! nie ma rady...

Franek się przebudził, otworzył oczy i, zobaczywszy dym z papierosa, zapytał:

— Nie śpisz?

— Owszem: śpię!

— A która tam godzina?

— Już po wpół do ósmej.

Franek zadzwonił; wszedł Wojtek z butami i ubraniem.

— Jazda po kawę! — zakomenderował Franek.

Przyjaciele ubrali się, a po śniadaniu poszli do dworu; ale zobaczyli samą tylko panią Ignacową, a koło jedenastej wyruszyli lekkim powozikiem do pani Albertyny.

Powrócili już przed samym wieczorem, i to w mocno wesołych humorach; widocznie podejmowano ich bardzo gościnnie, bo Franek zaraz po przyjeździe położył się spać. Robert, cicho pogwizdując: „*Rein n'est sacré pour un sapeur*“!..— wyszedł do ogrodu. Dzień był bardzo ciepły, wietrzyk zaledwie poruszał liśćmi, ale zaczęło się już zciemniać. Zbliżył się do darniowej ławeczki, wtulonej między leszczynę, i zobaczył Kazię, czytającą jakąś książkę; dzieci bawiły się opodal dużą piłką.

— Dobry wieczór pani!—rzekł, siadając na ławeczce.—A czy nie szkoda pięknych oczu?... już ciemnieje!

Kazia zarumieniła się.

— Dobry wieczór!—odrzekła cicho.

— Panno Kazimiero!—zaczął znów—racz mi pani wybaczyć!... Zawiniłem względem pani, i to mocno: postępowałem bowiem, jak człowiek bez wychowania... nie z serca to jednak pochodziło, ot! taki już przebrzydły charakter!...

— Dzieci! do domu!—słychać było wołanie pani Ignacowej.

Dzieciaki pędem pobiegły ku domowi; Kazia chciała również wstać i oddalić się, ale Robert przytrzymał ją za rękę.

— Daruj mi pani, wybacz!—prosił, nie puszczając i ściskając jej rączkę.

Kazia wysunęła rękę i w twarz mu spojrzała; piękne i duże jej oczy spotkały się z ognistym jego wzrokiem.

— Co ja panu zawiniłam, żeś mi tak złośliwie dokuczał?—spytała.

— Panno Kazimiero! błagam: przebacz mi i nie gniewaj się na mnie!... Jutro odjeżdżam, nie chciałbym zostawiać po sobie przykrego wspomnienia; żałuję z całej duszy swego szkaradnego i niskiego postępowania, ale okaż się pani wyższą nad nie... daruj mi i nie gniewaj się!

— Nie gniewam się już.

— Dziękuję!... proszę o rączkę!... przebaczyłaś mi pani?

Kazia wstała i, podawszy drżącą rękę, wyszeptała:

— Przebaczyłam!

Robert uchwycił jej rękę i, całując ją, rzekł z zapałem:

— Pani jesteś prawdziwym aniołem, którego ubóstwiać należy!...

Lecz w tejże samej chwili, odjąwszy usta od rączki Kazinej, spostrzegł apetyczną jej szyjkę; figlarny amorek podszepnął widocznie myśl jakąś płochliwą, a wino, które nie wyszumiało jeszcze z głowy, myśl tę błyskawicznie w czyn wprowadziło: bo Robert, w jedno mgnienie oka, pocałował Kazię z boku w szyję.

Dziewczę wyrwało rękę i podniosło ją w górę, jakby zasłaniając się od nowej jakiej obelgi; wszystka krew uderzyła jej do głowy, wyprostowała się i zmierzyła Roberta surowym wzrokiem.

— Panie Skałkowski!—mówiła drżącym głosem—przez dwa dni byłam przedmiotem pańskich żartów i uszczypliwych docinków; ale dziś znieważyłeś mnie, bo wiesz, że nie mam ani ojca, ani brata, którzyby upomnieć się mogli o wyrządzoną mi krzywdę!... Postępek pański ujdzie panu bezkarnie, ale nie mniej—pozostanie niegodnym!... Niech panu Bóg tego nie pamięta!...— dodała z płaczem, i pobiegła do domu.

Słowa te oprzytomniły Roberta; para z węgrzyna, szumiąca w mózgu, ulotniła się zupełnie.

— Jestem podlec!...—pomyślał.—Co ja zrobiłem?.

Wyszedł z ogrodu i powlókł się drogą ku kolei, przerabiając wciąż w mózgu jedną, jedyną myśl: „Co ja zrobiłem?... i dlaczego?...“ Powrócił do folwarku bardzo już późno; Franek, który zjadł był właśnie przysłaną dawno do pokoju paniczów i zimną już kolację, rozbierał się na dobre do spania.

— Gdzieżeś się tłukł?—zapytał wchodzącego Roberta.—Nie byłeś, jak mi powiedział Wojtek, ani na herbacie, ani na kolacji: cóż to za *ekstra-*

wagancje?... A możeś tam zwietrzył jaką dziewuchę?

— Nie, włóczyłem się trochę, bo mam migrenę.

— Przesadzone!... jaka damska delikatność?... Ale powiedzno, Robertku, czy nie zostałbyś jeszcze z jeden dzionek w Dulembach?—nic na tem nie stracisz, mamy jeszcze czas!

— Nie!—odrzekł nerwowo Robert, rozbierając się—albo... poczekaj... powiem ci jutro!...

Położył się do łóżka, ale nie czytał wcale; długo jakoś nie mógł zasnąć: ciągle mu stała przed oczyma obrażona twarz płaczącej Kazi. Przewracał się z boku na bok, ale nic to jakoś nie pomagało,i dnieć już prawie zaczęło, gdy nakoniec zasnął znużeniem wycieńczony. Ale i po zaśnięciu straszny sen trapić go począł. Dunia, jako Nemezys, ze skrzydłami i z mieczem, szydziła z niego; Perłowicz latał na skrzydłach nietoperza i, konwulsyjnie uśmiechnięty, pazurami szarpał mu ciało, wołając: „Zbrodniarzu! jestem ojcem twego dziecka, ale muszę zato krwi się twej nassać!...“ I czuł Robert, jak go za gardło dławił; i czuł, jak mu pierś rozdarł i do serca się dobierał; i czuł żar owego piekielnego oddechu, gdy ziejący wściekłością piegowaty potwór zbliżał swój łeb olbrzymi, z wyszczerzonymi zęby

i z wargami pianą ociekłemi!... I zdało się Robertowi, że już ostatnia wybiła dlań godzina, że zginie w potwornych objęciach... gdy wtem: niebo się otworzyło i, otoczona jasną, świecącą aureolą, zeszła doń Kazia i odpędziła upiora. I znikło wszystko; i Mary obejmowała go znowu swemi ramiony... zapach *Ylang-Ylangu* odurzał go, a ona tymczasem namiętnym mówiła doń szeptem: „Do mnie jednej tylko należysz i należeć będziesz,— *peri tis psiuchis!...*" I obejmowała go coraz mocniej i mocniej, tak, że miłosny uścisk przechodził nareszcie w duszenie... Robert formalnie dech tracił i głośno jęczeć począł.

— Robercie!... Robercie!... — wołał przestraszony Franek, którego jęki obudziły.

Robert obudził się nakoniec, zimnym oblany potem.

— Czegoś tak jęczał?—pytał Franek.

— Nie wiem, coś mi się widocznie śniło—odparł Robert, ścierpły pod snu wrażeniem.

Franek przytulił się na nowo do poduszki i zasnął; Robert zaś zasnąć nie mógł i nie probował nawet, bał się bowiem, by sen poprzednich nie powtórzył męczarni. Zobaczył, która godzina: było kilka minut po siódmej; poleżał tak jeszcze trochę, ale myśli jego przedstawiały jakiś chaos... Zerwał się więc raptownie z łóżka, ubrał się po-

śpiesznie i wyszedł na świeże powietrze. Minął szybko dziedziniec, a wyszedłszy na drogę, zwolnił kroku i myślał:

— Po co ja tu przyjechałem?... Dlaczego prześladowałem tę dziewczynę?... mało powiedzieć: prześladowałem, — pastwiłem się!... Dlaczego nakoniec znieważyłem ją, w tak brutalny sposób?... dlaczego?... Przez zemstę chyba?... tak, przez zemstę: bo nie uśmiechała się do mnie, jak inne; bo, zda się, nie zwracała na mnie wcale uwagi!... Ale, czyż miałem do tego prawo? — czy można ją było stawiać na równi z tamtemi?... Czyste, niewinne dziewczę, oniemal że nie dziecię, zostało przezemnie skrzywdzone, sponiewierane!... bo nie ma ojca, ni brata, któryby zażądał ode mnie rachunku. Postąpiłem tak podle, jak najostatniejszy nikczemnik!... I co mnie do tego popchnęło?... Byłem pijany trochę, to prawda; aleć z tem wszystkiem byłem przytomny i świadomy tego, co robię!... Gdyby tak ktoś poważył się postąpić z moją siostrą?... o! zabiłbym go niechybnie! — wykrzyknął i stanął z zaciśniętemi pięściami.

Dzwonek kościelny odezwał się właśnie, wzywając na modlitwę jednostajnym swym głosem. Robert obejrzał się i spostrzegł z daleka Kazię, która z książką w ręku do kościoła dążyła. Pobiegł ukośnie przez zagony, by jej na drodze wio-

dącej do kościoła zastąpić. Spostrzegła go; zatrzymała się chwilę, jak gdyby wahając się, czy iść dalej, czy wrócić; nakoniec — wolnym krokiem ruszyła naprzód. Robert stanął przed nią, zdjął kapelusz i cichym, wzruszonym odezwał się głosem:

— Panno Kazimiero! tłómaczyć się nie będę; postąpiłem wczoraj niegodnie, podle!... Z całego serca żałuję niecnego swego postępku...

Szli tak obok, ale ona nic nie odpowiadała.

— Pani! — mówił dalej — od wczoraj miejsca sobie znaleźć nie mogę; całą noc myślałem o tem, co się ze mną stało? — i com uczynił?... — Byłem — jak szalony; ale teraz jestem zupełnie przytomny, i wiem, co to jest!... Ja cię pokochałem. droga panno Kazimiero, i pokochałem po raz pierwszy w życiu!...

— Boże mój! — krzyknęła Kazia — com ci zawiniła, że mię tak srogo karzesz?... Panie Skałkowski! dość nareszcie tych żartów i zniewag, któremi mnie pan dręczysz!.. Boże wielki, ulituj się nad sierotą!... — załkała głośno. — Odejdź pan!.. — dodała z siłą.

— Panno Kazimiero! zaklinam cię na Boga żywego, byś mię wysłuchać chciała!... Kocham cię miłością czystą, miłością cherubinów, szczerą i bez granic!... Przed tobą na twarz padam i bła-

gam przebaczenia, o litość proszę: zmiłuj się i wysłuchaj!...—i, porwawszy jej rękę, kończył:—podziel ze mną życie swoje, bądź moją żoną!... a do końca istnienia kochać cię będę tak, jak dziś cię kocham!

— Komedjant!..—odrzekła ironicznie przez dławiące ją łzy; wyrwała rękę i pobiegła do kościoła.

Robert stał, jak błędny; kapelusz, który trzymał w ręku, upadł mu na ziemię; schwycił się oburącz za głowę i wołał:

— Panno Kazimiero!... panno Kazimiero!...

Chwilę tak jeszcze stał Robert na miejscu, zanim zdołał się opanować; widocznie jednak coś postanowił, gdyż podniósł kapelusz i spiesznie powrócił do folwarku. Franek ubierał się właśnie, i temi słowy powitał powracającego Roberta:

— Ho, ho! ranny z ciebie ptaszek!... ale powiedzno, gdzieś fruwał?... Jestem pewny, żeś już coś zwietrzył: boć i wczoraj wieczorem przepadałeś, i dziś czmychnąłeś, skoro świt!... No, no! przyznajże się, stary łobuzie!

Robert nic na to nie odrzekł; począł się tylko pośpiesznie ubierać w czarny garnitur.

— Cóż się tak stroisz?...—zagadnął znów Franek,—a i czegóżeś, u licha, taki zły i namarsowany?... Znudziłeś się już?... no, toć dziś wieczór przecie jedziemy!

— Jakto?... już dziś?... Nie, nie mogę!

— Nie możesz?... Ty?...

— Tak! muszę jeszcze zostać...—odparł z westchnieniem, jakby sam do siebie.—Franku!—zawołał nagle z wielką siłą—wyobraź sobie: ja kocham!... kocham—Kazię!...

— Przepraszam! — przerwał poważnie mocno zdziwiony Franek—aczkolwiek jestem twoim najszczerszym przyjacielem, i robiliśmy razem przeróżne głupstwa, kawały, a i to nawet, co na gorsze zasługiwało miano,—ale, w danym razie, hola! bratku: nie miejsce i osoba do kawałów; przesadziłeś i zapominasz się, Robertku!

— Ależ, Franku, wysłuchaj: mam najszlachetniejsze zamiary!...

— Twoje zamiary znane mi przecież wybornie!—przerwał z ironją Frańciszek.

— Nie przerywaj, bo mię wściekłość porywa! - krzyknął Robert z zaciśniętemi pięściami i z krwią nabiegłemi oczyma.—Ja ją kocham!... kocham prawdziwie... i musi być moją żoną!

— Robercie! ochłodnij; rozważ, co ty pleciesz?.. Żoną?... kocham!.... Tyś pijany chyba?... ha, ha, ha!...

— Milcz!... W imię naszej przyjaźni, w imię wszystkiego, co masz drogiego — zamilcz! Tak, Kazia musi być moją żoną!... albo trupem padnę,

zabiję się...—krzyczał Robert, biegając po pokoju.

Franek sprobował drugiego sposobu:

— A Mary?—zapytał.

— Mary?... niech przepada ten upiór!... Zresztą: ma męża, nigdy jej nie kochałem, a dawno pragnę, żeby się od niej odczepić! Kazia będzie moją żoną, choćby mi przyszło zostać zbrodniarzem!

— „Kto piękną Wenus czci,
Ten nie zna, co są łzy!“...—

zanucił żartobliwie Franek.

— Jesteś indjanin, kafr, hotenton, kretyn i idjota!—krzyknął Robert i, trzasnąwszy drzwiami, wybiegł z pokoju.

Franek tymczasem myślał, uśmiechając się:

— Gorączka *amorosa!*... za godzinę ochłonie.

Robert, mocno podniecony, pobiegł do ogrodu; zastał panią Ignacową samą: przygotowywała właśnie kawę. Podszedł do niej z wielce uroczystą miną, i pocałował ją w rękę.

— Dzień dobry pani! — mówił. — Przychodzę w bardzo ważnym interesie i z wielką do niej prośbą: panna Kazimiera nie ma innej opieki, oprócz pani; otóż udaje się, jak do jej matki, i proszę — o rękę panny Kazimiery!

— Jezus! Marja!..—krzyknęła pani Ignacowa— ależ, panie Skałkowski, czyż to podobne, żebyś pan w trzy dni poznał Kazię i już ją pokochał?... a zresztą: ona biedna sierota, i wcale nie dla pana odpowiednia żona!

— Przepraszam szanowną panią. Zanim się na krok ten zdecydowałem, zastanowiłem się już dobrze: postanowienie moje jest —nieodwołalnem!

— A cóż Kazia?

— Nie wiem; udaję się do pani, prosząc zarazem o pośrednictwo...

— Rany boskie!—zawołał pan Ignacy, który zaszedł z tyłu—a to się chłopak uwinął!... Ale, dobry panie, zostanówże się dobrze, boćto żeniaczka nie na rok, nie na dwa, a na całe życie!

— Zastanowiłem się już i—postanowiłem.

— Ha, to szczęść Boże!

— Ale cóżto Kazi nie widać?...—pytała pani Ignacowa.—Poszła do kościoła i jakoś nie wraca, a nabożeństwo przecie dawno się już skończyło.

Nadeszły dzieci i Franuś, i zasiedli wszyscy do kawy. Po kwadransie pani Ignacowa znów się zaniepokoiła.

— Ale co to jest, że Kazia nie wraca?... Lećno, Magda, do kościoła, i dowiedz się o panienkę!

Magda pobiegła, ale nie bawem wróciła.

— Panienka wraca, Trybularska ją odprowadza!...—mówiła zadyszana.

— Co?... Trybularska?...—zapytała pani Ignacowa, i zerwała się z miejsca.

Robert z Frankiem pobiegli również przed ganek; Trybularska prowadziła Kazię bladą i drżącą.

— Co się stało?—zawołała pani Ignacowa.

— A to panienka—mówiła przez nos Trybularska—prawdę powiedziawszy, jakoś w kościele zaniemogła, dostała spazmów i jegomość, prawdę powiedziawszy, przyprowadził panienkę do stancji, tam przyszła do siebie i, prawdę powiedziawszy, chciała wracać do dworu, ale jegomość kazał, żebym, prawdę powiedziawszy, odprowadziła panienkę.

— Kaziuniu! co tobie kochanie?—pytała pani Ignacowa, obejmując jej kibić.

— Nic, droga cioteczko!—odrzekła i zapłakała głośno.

Robertowi łzy się w oczach zakręciły; stał blady, niezdolen słowa nawet przemówić.

Pani Ignacowa zaprowadziła Kazię do jej pokoju, zdjęła z niej okrycie i kapelusz, i ułożyła ją na sofie.

— Uspokój się, moje dziecko!—mówiła.—Co ci się stało?... możeś za prędko biegła do kościoła?

— Nie wiem, cioteczko!.

— Poleż tak, kochasiu! — mówiła dalej pani Ignacowa, gładząc z lekka skroń Kazi. —Może ci dać herbaty?

— Dziękuję!... poleżę tylko trochę... odpocznę. Pani Ignacowa utuliła Kazię, pocałowała, i poszła przygotować dla niej herbatę; Kazia zaś łkała cicho, ocierając łzy chusteczką.

— Boże mój! — myślała—jaka ja nieszczęśliwa?... Taki miły, piękny nawet, tak, zda się, dobrze wychowany człowiek... czego on mi tak dokuczał, a w końcu tak brutalnie kpił ze mnie? co ja mu zawiniłam?... Oj! ciężkie moje grzechy, kiedy Ty, Boże sprawiedliwy i miłosierny, karzesz mię tak srogo!...

Do pokoju zakradł się po cichutku Wojtek. Był on wielce do Kazi przywiązany; zaraz bowiem po przyjeździe do Dulembów zaczęła uczyć go katechizmu, czytania i pisania, a robiła to z taką cierpliwością i łagodnością, że Wojtek panienkę ubóstwiał.

— *Panienecko* złocista, *panienecko jedyno*, co panience *je?*—pytał przeze łzy—*cy moze panienecka* chora?

— Nie, Wojtaszku! zdrowa jestem, tylko głowa trochę boli—odrzekła.

Była silnie zdenerwowana: dolna warga ciągle jej niemal drżała, a serce biło, jak młotem.

— *Panienecko jedyno!* — mówił dalej Wojtek, obtarłszy rękawem łzy—*co ta sie dziś z renia we folwarku kotłowało, lo Boga rety!... Nas panic, z tem drugiem panem, tak sie spsecali... ze ten psyjezdny, az pieńściamy wygrozał a wszystko o panienecke!... Ten corny naryście powziada nasemu panicoju: „musi być mojo zono, bo sie zabzije, abo kajdoniozem ostane!...“ Ja zaro potem ajwo psyleciołem.. ale panienecka była w kościele... Mój Boze! taki galanty pan, zeby mioł ostać kajdoniozem?... toć psecie chybo panienecka go weźmie?.., kiedy sie ta jus tak psywonkroił...*

Kazia słuchała wprawdzie, ale nie zdawała sobie dobrze sprawy z tego, co słyszała.

— Boże mój!—myślała—więc to to jest miłość?... najprzód kpić, urągać dalej, nakoniec znieważyć, a potem—powiedzieć: musi być moją żoną!.. Co to jest?... co się ze mną dzieje?... dla czego stałam się przedmiotem jakiejś igraszki?... Boże, zmiłuj się nade mną!....

Weszła pani Ignacowa, niosąc szklankę herbaty.

— Wypij, kochanie, ciepłej herbaty—mówiła;— jesteś naczczo, to nie dobrze!

Postawiła szklankę na stole, usiadła obok Kazi, i zaczęła ją pieścić i całować.

— Kazieczko droga!—mówiła dalej—nie będę cię niepotrzebnie intrygować, i powiem wprost,

pan Skałkowski, widzisz, kocha cię i prosił właśnie o twoją rękę.

— Bardzo to dla mnie zaszczytne—odrzekła przez łzy Kazia;—ale ja go nie kocham...

— Kazieczko!—przerwała pani Ignacowa—co ty mówisz?... jakże można nie kochać takiego pięknego i wykształconego człowieka?

Kazia uśmiechnęła się kurczowo; pani Ignacowa zaś mówiła dalej:

— Pomyśl, kochanko, jaką zrobisz karjerę: on bogaty człowiek, inżynjer, zajmie wysokie stanowisko... podziękuj gorąco Panu Bogu za łaskę, jaką na ciebie zsyła!... No, on tam czeka w obocznym pokoju... zawołam go?

— Nie, cioteczko!... Nie bogactwo, nie stanowisko daje szczęście całego życia—odpowiedziała z siłą:—nie chcę!...

— Zastanówże się, Kaziu, co ty mówisz?

— Mówię to, co myślę i czuję; nie mam najmniejszej sympatji dla pana Skałkowskiego.... znieść go nawet nie mogę...

— Jezus, Marja!... Kazieczko! co ty wygadujesz?... No nie dąsajże się przecie!... zawołam pana Roberta.

— Cioteczko droga! ja stanowczo odmawiam.

Z kwadrans jeszcze na ten temat pani Ignacowa perswadowała Kazi, ale nic nie pomogło;

wyszła więc do Roberta, który oczekiwał chodząc gorączkowo po pokoju. Spojrzał w oczy wchodzącej pani Ignacowej i w wyrazie jej twarzy wyczytał swój wyrok.

— Odwówiła?—wyszeptał.

— Tak.

— A czy nie mógłbym sam przedstawić sprawy?

— Idź pan: probuj szczęścia!

Robert wszedł do pokoju i zatrzymał się na środku; Kazia piła z wolna herbatę.

— Panno Kazimiero! przychodzę po miłosierdzie—wyrzekł cicho, wzruszonym głosem.

— Panie Skałkowski — odpowiedziała poważnie Kazia—uważałam pana dotąd za samoluba, mającego złe serce... a nawet za człowieka złego; przekonałam się jednak, że pan nie jesteś tak złym, jak sądziłam. Rozumiem pańskie intencje: chciałeś pan wynagrodzić wczorajszy postępek, nie godny uczciwego człowieka; bardzo to chwalebne z pańskiej strony... Obecnie więc rachunki między nami skończone: zostaw mię pan w spokoju...—i łzy ją dławić zaczęły.

— Co pani mówisz?...—przerwał zbliżając się do niej;—ja cię przecież kocham nadewszystko... dla ciebie gotów jestem życie swe poświęcić!... Panno Kazimiero! nie pogardzaj mną, nie odtrącaj szczerego uczucia, zaufaj mi choć cokolwiek...

— Propozycje pańskie wielce dla mnie zaszczytne, ale—przyjąć ich nie mogę.

— Więc mię już pani tak mocno nie nienawidzisz?... O, panno Kazimiero! zatrzej w swej pamięci moje naganne postępowanie, ulituj się nademną, i uwierz w moją prawdziwą miłość...

— Cóż z tego?—gdybym nawet i uwierzyła, kiedy nie mogę być wzajemną...

— Litości, panno Kazimiero!

— Zresztą—jam nie dla pana żona: parafjanka, która może najwyżej zagrać „*La prière d'une vierge*“, nie odpowiada salonom i stanowisku, jakie pan zajmiesz kiedyś.. Szukaj pan żony w pałacach, a nie w wiejskim dworku!

— Panno Kazimiero! masz takie dobre serduszko, a tak mnie chłoszczesz srogo... Zawiniłem, to prawda: bo byłem zaślepiony i arogant... ale obecnie jestem godny politowania... Panno Kazimiero! kocham cię całą duszą moją: zapomnij urazy, wybacz mi... proszę!

— Zapomniałam i wybaczyłam—wyszeptała.

— A więc?—pytał, wyciągając błagalnie ręce —przyjmujesz pani moje oświadczenie?...

— Przeciwnie: stanowczo odmawiam.

— Panno Kazimiero! nie powtarzaj słów podobnych, bo staniesz się przyczyną nieszczęścia... błagam cię, pani, oddaj mi swą rękę!

— Powtarzam panu raz jeszcze, że odmawiam.

Robert nic już na to nie odrzekł; ukłonił się tylko i wybiegł, jak szalony, z pokoju. Za chwilę Kazia zobaczyła przez okno, jak, bez kapelusza i palta, szedł gwałtownymi kroki przez dziedziniec; żal go się jej jakoś trochę zrobiło.

— Dokąd on biegnie?...—myślała.—A!.. niech idzie, dokąd chce... Ale, mój Boże, Wojtaszek mówił, że się odgrażał!... czyżby on mię istotnie miał kochać?... Gdyby tak jednak... co za myśl?.. Ale jak mnie głowa boli.

Położyła się na sofie, pragnąc zasnąć cokolwiek; ale ból głowy spać jej nie dawał i przed oczyma miała ciągle Roberta.

A on tymczasem pędził drogą ku plebanji i, wbiegłszy do mieszkania księdza Sieczkowskiego, zastał go czytającego przy biurku.

— Ratuj mnie, księże dobrodzieju,—zawołał Robert, jeszcze prawie na progu;—jestem bardzo nieszczęśliwy!...

— Wszelki duch Pana Boga chwali!—wykrzyknął proboszcz, spostrzegłszy rozgorączkowaną twarz Roberta.—A cóż się tam stało?

— Księże kanoniku! ja kocham pannę Kazimierę, i błagam, żeby została moją żoną; a ona nawet słuchać o tem nie chce!

— Czyście się blekotu ponajadali, czy co?.. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego!... Cóżto znowu za komedja?...

— Ależ, proboszczu, żadnej komedji nie ma!... zkądże znów komedja?... Cóż w tem dziwnego, że pokochałem taką zacną i dobrą panienkę i że— wreszcie: chce się z nią ożenić?...

— Terefere kuku!... a siadajno jegomość!.. We trzy dni, tak: siach mach, pokochał i żeni się: *veni, vidi, vici!*

— Niestety! tylko *veni i vidi*, ale nie *vici!*

— Wszystko to bardzo pięknie, ale niby na cóż ja tu potrzebny?... Jak przyjdzie czas, to dam wam ślub i basta!

— Kiedy bo ksiądz kanonik żartami mię zbywa—mówił z żalem Robert,—a mnie ot serce pęka!

— Ale o cóż idzie?

— Idzie o to, żeby ksiądz dobrodziej wstawił się za mną, przemówił, bo panna Kazimiera nie chce przyjąć mego oświadczenia!

— Ja mam być swatem?... A cóż to ja waści opiekun, krewny, czy co?—nie znam pana: zaledwie trzy razy go widziałem!

— Więc i kanonik mi odmawia?... utopię się chyba!—zawołał Robert.

— Hola! bratku, bez egzaltacji!... No i cóż, więc pan tak bardzo kochasz Kazię?

— Nad życie!

— Tak: ni z tego, ni z owego?

— No! a jakżeżto inaczej miłość przychodzi?

— Dobrze!... ale ta owa miłość, jak nagle przyfrunęła, tak też może i nagle odlecieć?...

— Nigdy! przenigdy, księże kanoniku!.. Wszakże nie jestem dzieciakiem: mam lat dwadzieścia cztery, widziałem już i doświadczyłem wiele, zrobiłem z sobą rachunek i postanowienie moje niezłomne. Tak jest, ojcze dobrodzieju: kocham Kazię całem sercem, i zawsze kochać będę, bo ją prawdziwie i wielce szanuję!...

— Hum, daj to Boże!... ale—czy pan zastanowiłeś się, że to biedna sierota?

— Księże proboszczu! mam przecież osobisty majątek; a oprócz tego, specjalność moja nie tylko, że mi byt zapewnia, ale da więcej nawet, niż na przyzwoite utrzymanie potrzeba. Że jest sierotą i biedną—tem lepiej dla mnie: nie przewrócone ma bowiem w głowie, nie będzie miała nadzwyczajnych wymagań i pragnień, a zadowoli ją to, co mieć będziemy. Dotąd o ożenieniu się nie myślałem nigdy; nie nęciło mię życie rodzinne, które poznałem również, i to ze stron najgorszych; postanowiłem nawet domowego ogniska wprost nie zakładać: ale panna Kazimiera postanowienie to moje doszczętnie zburzyła, bo wiem, bo przeko-

nany jestem, że ona da mi prawdziwe szczęście, i potrafi być gwiazdą przewodnią w mojem życiu, dążeniach i celach!

— Pięknie mówisz, to prawda; ale trzeba zajrzeć w przyszłość, bo życie nie zawsze idzie wedle programów.

— Widzę tę przyszłość, i nic mnie ona nie zatrważa; a zresztą: żyć bez niej nie mogę i, jeśli mnie nie przyjmie, całe moje życie i przyszłość cała -- będą zwichnięte... przepadnę!

— Ha no, kiedy tak, to niech Pan Bóg sekunduje: pójdę do dworu!

Robert rzucił się księdzu na szyję.

— Ojcze,—zawołał—życie mi wracasz!

Proboszcz się uśmiechnął:

— Wolno, wolno!... a może nic nie wskóramy?

Poszli obaj do dworu; Kazia zajęta była lekcją z dziećmi. Proboszcz pomówił najpierw z panią Ignacową, a później dopiero przeszedł do pokoju dzieci. Matka je wywołała, a ksiądz pozostał sam na sam z Kazią.

— A wiesz, asińdźka, w jakim charakterze tu przyszedłem?

— Nie – odpowiedziała.

— I nie domyślasz się nawet?

— Nie, bynajmniej.

— Otóż, trzeba ci wiedzieć, że jestem swatem!

Kazia zarumieniła się, jak wiśnia.

— Poszukajno tam dobrze w serduszku, — mówił ksiądz dalej — możeć tam znajdziesz choć z iskierkę litości dla tego chłopaka?... Biedaczysko, rozpacza bardzo, że nim pogardzasz!

— Ależ ja nie pogardzam... tylko, że go nie kocham...—odrzekła, spuszczając oczy.

— To może pokochasz?

— Chyba, że nie—dodała z westchnieniem.

— No, co tam, sprobuj!... Dziś miał właśnie odjechać, zgódź się więc, żeby został jeszcze trochę: tylko nie krzyw się na niego, i bądźcie jakoś w zgodzie!... No cóż, czy może jeszcze z kilka dni pozostać?

— Alboż ja mogę zabronić?

— No, ale możesz i zgodzić się... prawda?

— Ha! to niech zostanie — odrzekła z cicha Kazia.

Ksiądz wstał, podszedł do drzwi i zawołał Roberta.

— Możesz zostać dni kilka... będziesz zdawał egzamin!—żartował.

Robert zaczerwienił się aż z radości; podbiegł i pocałował Kazię w obie ręce.

— Więc to prawda?... Jakże jestem szczęśliwy!

Kazia zapłonęła; a ksiądz pogroził palcem.

— Ależ nie tak impetycznie!—rzekł.

Wszedł tymczasem Franek, trzymając małego Franusia za rękę, i, zwróciwszy się do Roberta, zanucił:

—„A ja cię szukam, szukam naokół,
I nigdzie znaleźć nie mogę!“...

a tu czas już się wielki pakować—dodał,—boć przecie za kilka godzin wyjeżdżamy!

— A to ci życzę szczęśliwej drogi, kiedy jedziesz: bo ja zostaję.

Franek, zbity (jak to mówią) z tropu, zrobił tak zdziwioną, a zarazem pocieszną minę, że nawet Kazia z lekka się uśmiechnęła.

Tak nastąpiła zgoda; ale Kazia, mimo tego, trzymała się jednak zdaleka.

Po obiedzie Robert uprosił ją, że zagrała; po niej on grał, a później namówił sprobować coś na cztery ręce. Przed wieczorem Robert znów śpiewał przeszło godzinę: a przy herbacie i kolacji tak był ożywionym, rozmownym i dowcipnym, że całe zabawił towarzystwo. Już podczas wieczerzy Kazia rozruszała się była trochę, a zaś w nocy—śniła o Robercie.

Przeszło tak jeszcze dni kilka; Robert całego swego sprytu używał, by się tylko Kazi w czemśkolwiek przypodobać. O miłości wprawdzie ani słóweczka nie mówił; ale codziennie z sobą gry-

wali i śpiewał jej co dnia, a śpiewał zawsze coś takiego, co to z serca do serca przemawia.

Nareszcie, po tygodniu, Franek zaczął naglić do wyjazdu.

— Dobrze tobie, — mówił — żeś już instytut skończył: bo choć tam projekta oddasz o jaki tydzień później, to znów nic wielkiego, i dziury w niebie nie będzie; ale na moim kursie lekcje się już zaczynają!

— Toć także nic wielkiego, bo możesz dogonić — odpowiedział Robert; — a zresztą: jedź, kiedy ci tak pilno, ja zaś jeszcze ze dwa dni zostanę.

Tych dwóch dni jednak nie wystarczyło, i pozostali jeszcze cztery. Nakoniec trzeba już było raz się wybrać: postanowili zatem nazajutrz wyruszyć. Franek pojechał, na całe pół dnia, do pani Albertyny z pożegnaniem; Robert jednak towarzyszyć mu nie chciał. Po obiedzie, Kazia z Robertem grali znów na cztery ręce; a po skończonej muzyce Robert powstał i przemówił cichym, wzruszonym głosem:

— Jutro odjeżdżam... mamże tu wrócić po otrzymaniu patentu?... powiedz mi pani!... Nie potrzebuję powtarzać, jak bardzo cię kocham i jak cię ubóstwiam: wiesz to sama... nie wymagam wzajemności, ale proszę o litość!... Kiedyś, gdy przekonasz się naocznymi dowody o mojej nie-

zmierzonej miłości, i ty mię pokochasz: wierzę w to, i jestem tego pewny; dodaje mi to nawet energji i wytrwałości, a broni od zwątpienia... ale dziś—dziś obdarz mię tylko współczuciem...

Kazia nic na to nie odrzekła; podała jednak rękę, którą okrył pocałunkami.

— Aniele mój najdroższy—mówił—dzięki ci!... dzięki!...

Poszli do pani Ignacowej; rozmowa trwała dość długo i stanęło na tem, że po skończeniu instytutu, mniej więcej za jakie półtora miesiąca, Robert przyjedzie do Dulembów, i razem z panią Ignacową i Kazią, pojadą do Warszawy do matki i sióstr Roberta.

Franek powrócił od pani Albertyny późnym dopiero wieczorem; a nazajutrz rano obaj przyjaciele poszli pożegnać księdza. Po powrocie zasiedli wszyscy do śniadania, które za obiad starczyć miało; a o jedenastej zajechał po nich przed ganek powóz.

Państwo Ignacostwo, Kazia i dzieci, otulone z powodu zimnego wiatru w chustki, wyszli przed ganek odprowadzać odjeżdżających. Franek na pożegnanie czule żegnał i całował rodzeństwo; a Robert, uścisnąwszy krzepko dłoń pana Ignacego, ucałował serdecznie ręce pani i rzekł:

— Dziękuję wam stokrotnie za gościnne przyjęcie; błogosławię chwilę przybycia w wasz dom, i wdzięcznym będę do śmierci chyba: bom pod waszą strzechą znalazł szczęście... szczęście całego swego życia!... Bywaj mi pani zdrową!—dodał, zwracając się do Kazi i całując jej małe rączęta— a wspomnij też czasem biednego Roberta, który, za dokuczliwość swoją, przez dwa prawie miesiące tęsknić jeszcze będzie z daleka od ciebie!

— Do widzenia, panie Robercie! — odrzekła, ściskając lekko gorące jego dłonie.

Robert raz jeszcze ucałował jej ręce i wskoczył do powozu.

— Do widzenia!—za siedem tygodni! — wołali przyjaciele.

— Do widzenia! — odrzekli chórem z przed ganku.

Powóz ruszył i wyjechał z dziedzińca na drogę. Robert przesiadł się na przednie siedzenie, żeby jeszcze Kazię jak najdłużej mógł zobaczyć; ale wjechali nareszcie w las, i zniknął z oczu dworek o czerwonym dachu, i ganek i topole... tylko obraz Kazi stał ciągle przed oczyma Roberta.

Przesiadł się na swoje miejsce, westchnął i zapalił cygaro.

— Ktoby się to był spodziewał tego wszystkiego? — mówił Franek, — Ty — i miłość czysta,

nieskalana, prowadząca do stopni ołtarza?—przesadzone, jak ty nazywasz! Dopieroż to Łabędzki, Fasolka i Tacowicz będą się śmieli... aż ich boki zabolą!

— To też nie potrzebujesz wyjeżdżać zaraz z ozorem, jak stara przekupka!

— Więc się wstydzisz?

— Bynajmniej; nie chcę jednak, aby moja ubóstwiona Kazia stała się przedmiotem kpin, żartów i śmiechu wyuzdanych łobuzów: mogłoby nawet przez to dojść do grubej awantury, czego sobie, z uwagi na dawne nasze koleżeńskie stosunki, wcalebym nie życzył.

— Tak?... a przypomnijno sobie, wiele to razy sam wykpiwałeś i wyśmiewałeś...

— Franku! -- przerwał Robert — zmień temat rozmowy, bo inaczej powiem ci, żeś głupi!.. Opowiedzno mi lepiej o swojej ponętnej pani Albertynie!

— A cóż ona cię może obchodzić?

— Wszystko, co ciebie obchodzi—i mnie obchodzi!

Franek zaczął opowiadać o wczorajszych odwiedzinach, i w opowiadaniu tem coraz się więcej zapalał; nie spostrzegł zupełnie, że Robert nic a nic nie słyszał. I jakże miał słyszeć, skoro myśl jego była w Dulembach, w onym białym

dworku, pokrytym czerwoną dachówką, przed którym to stała jeszcze w jego wyobraźni Kazia, szarym otulona szalem?..

A i w rzeczywistości: wszyscy już dawno byli w pokojach, zanim się ona z zadumy ocknęła. Przeprowadziła dłonią po czole, westchnęła, i poszła nareszcie do pokoju dziecinnego; ale myślą goniła daleko—goniła oddalający się powóz!...

Kazała dzieciom pisać kaligrafję; a sama, podparłszy głowę na ręku, poczęła myśleć westchnąwszy:

— Mój Boże! jak się to wszystko stało?... Przyjechał obcy, nieznany zgoła człowiek, zaczął mi urągać, żartować ze mnie, znieważył wreszcie; a potem—potem powiedział, że mnie kocha!... A ja go nienawidziłam; a później—pokochałam sama!.. Chyba, że pokochałam: bo jakże to nazwać?... Towarzystwo jego było dla mnie pożądanem; lubiłam grywać z nim razem; a śpiewem — istotną sprawiał mi rozkosz!... Piosenek jego—słuchałam z dziwnem drżeniem serca... chwilę odjazdu—jak najdalej pragnęłam odsunąć... a teraz, gdy już odjechał: jakże mi go brak?... jakże ciężko i smutno na duszy?...

— Proszę pani,—przerwał te dumy Franuś—zrobiłem na kajecie żyda!

— Ach ty niezgrabny chłopaku!—odrzekła.

Wzięła kawałek bibuły i wymoczyła ostrożnie olbrzymi kleks, na samym środku stronicy usadzony; poczem znów zaczęła dumać:

— I on mnie, widocznie, kocha na prawdę!... Przez te ostatnie dni kilka, jakże się starał wynagrodzić te żarty i kpiny, któremi mnie na wstępie uraczył... jakiż był delikatny i miły... z jakiem uczuciem i szczerością mówił, że mnie kocha!... A może, wróciwszy do Petersburga, wejdzie znów w wielki świat... może go wir jego porwie, i tam—zapomni o biednej dziewczynie!... Co też za głupstwa przychodzą mi do głowy?... nie: on nie zapomni!... on mnie szczerze i prawdziwie kocha!... Ale czy zawsze kochać tak będzie?... spytam go się raz jeszcze!...

Wstała z wolna od stołu, podeszła do komody, i otworzyła kluczem górną szufladę.

— Czego pani szuka, może ja podam?—zapytała Mania.

— Nic!... pisz, aniołku, ja biorę sobie chustkę...

Nie po chustkę jednak poszła Kazia; tylko wydostała z koperty fotografję Roberta, i jęła się jej przypatrywać, nie wyjmując wszakże z szuflady.

— Kochasz mnie? — szeptała — i kochać będziesz stale: wszak prawda?

Uśmiechnięta twarz Roberta wyrażała widocznie potwierdzającą odpowiedź: bo Kazia nachy-

liła się nieznacznie, i—pocałowała jego portret.

Ale pocałunek ów, na papierze złożony, dalekim musiał być od upojeń rzeczywistości, skoro pod wrażeniem jego Kazia oprzytomniała i, westchnąwszy z lekka, zamknęła komodę i powróciła do stołu na dawne swe miejsce. Rzuciła teraz okiem na dzieci, ale bezmyślnie prawie, bo myśl jej poleciała znów za powozem, który dojeżdżał właśnie do Szepietowa.

Przyjaciele tymczasem nie czekali na stacji zbyt długo na pociąg, w pięć minut bowiem może po przyjeździe siedzieli już w wagonie.

Przyjechawszy do Petersburga, Robert zajął dawne swoje mieszkanie, przy Izmajłowskim moście. Miało ono po jego wyjeździe przejść do Franka, który, aby uniknąć przeprowadzania się, najął tymczasem maleńki obok pokoik. Zainstalowawszy się tak, na dawnych można powiedzieć śmieciach, porobili przywitalne wizyty. Państwo Drzewiccy bardzo byli zaniepokojeni, że młodzież tak długo z wakacyj nie wracała; lekcje już bowiem na dobre się zaczęły, a biedny Franek miał nie lada kłopot, by, ucząc się na gwałt, zdołać jakoś kolegów dogonić. Udało mu się to jednak nadspodziewanie szczęśliwie; a to dzięki temu, że nikt mu w nauce nie przeszkadzał. Robert

wziął się także na serjo do wykończenia projektów; o ósmej z rana bywał już w sali rysunkowej i pracował z wielką pilnością: wieczory tylko miewał zupełnie swobodne.

Mary nie powracała, pisząc w liście, który Roberta doszedł zaraz po przyjeździe, iż pojechała z matką do Biarritz, ponieważ na Ostendę było już za zimno; powrót zaś do Petersburga oznaczała na pierwsze dni drugiej połowy października starego stylu. Robert na list jej nie odpowiedział, ale natomiast napisał długi list do Kazi, który—mówiąc nawiasem—był już czwartym z koleji. Na listy te nie otrzymywał wprawdzie jeszcze bezpośredniej odpowiedzi, ale w każdym liście, pisanym przez brata lub bratową do Franka, było przesyłane od panny Kazimiery pozdrowienie. W tydzień przyszedł znów list od Mary i to pełen wyrzutów, że o niej zapomina, że ją trzyma w trwodze, że ją dręczy, że jej nie kocha, że nic nie wie, co się z nim dzieje, że ma złe przeczucia, i tak dalej. Nie było rady, musiał wreszcie Robert odpisać, ale odpisał bardzo krótko: że jest zdrów, że ma tylko nawał zajęcia, gdyż usilnie pracuje, by jak najprędzej patent otrzymać.

Na drugi dzień z rana, przy wejściu do instytutu, przywitał go szwajcar słowami:

— Pan Skałkowski! a do pana jest *powiastka* na sto rubli srebrem i *pismo*; *musi być od jakiej to* panienki, bo cieniusieńkim i bardzo *miałkim poczerkiem* adresowano!

Szwajcar był exfeldfeblem i stał kiedyś z pułkiem w Warszawie, gdzie się po polsku nauczył; ze znajomością też języka rad się w obec studentów polaków popisywał. Kończąc ostatnie słowa, podał on też Robertowi awizację pocztową i mały liścik, drobnem rzeczywiście zaadresowany pismem.

Robert z bijącem sercem rozerwał kopertę. Nie pomylił się: list był od Kazi, i, choć króciutki, olbrzymią jednak sprawił mu przyjemność. Zawierał, co następuje:

„Dulemby Kościelne,

d. 8. Października 1870 r.“

„Panie Robercie! Nie chcąc nadal zasługiwać na tak wyszukane epitety, jak: kamień, głaz, granit, opoka, skała, mróz, lodowiec i t. p., którymi mnie Pan w dwóch ostatnich listach zaszczycasz,—odpisuję na pytania:

Wszystkiemu, co Pan mówiłeś i piszesz, wierzę bezwarunkowo.—Czy tęsknię?... nie mam za kim!—a Pan jesteś nieznośny zarozumialec.

Cieszę się niezmiernie, że wszystko idzie Panu tak pomyślnie, i że się za trzy tygodnie zobaczymy.

Kazimiera".

„P. S. A proszę się tam nie zaziębić i pamiętać o sobie, kiedy tak zimno i wietrznie".

Robert, rozpromieniony cały i uśmiechnięty, czytał właśnie na schodach treść po raz już trzeci, gdy wtem—nadchodzący Szyfman, podając na przywitanie rękę, temi zagadnął go słowy:

— Cóż? jakaś piękna dama naznacza ci znowu *rendez-vous!*

— Całuj mię w *rendez-vous!*—odparł gniewnie Robert, chowając list do kieszeni.

Podał jednak rękę Szyfmanowi i wstępowali razem na górę.

— Jednakowóż — mówił Szyfman — francuzi ładnie się spisują, nie ma co mówić: niemcy ich wszędzie biją, aż pfe!... Ostatnia depesza mówi, że baron *von-ler-Tann*, dowódzca bawarskiego korpusu, zmusił francuzów do cofnięcia się pod Artenay, zabrał im trzy armaty i przeszło tysiąc niewolnika. Trzeba przyznać, że niemcy dobrze się uorganizowali; panuje w ich armji karność i waleczność. A Moltke?... cóż to za genjusz!...

Zmiażdżą francuzów, tych niewieściuchów zblazowanych, i wywalczą hegemonję w Europie!... A Bismarck?... trzeba mu przyznać, że i to wielka głowa!...

— Całuj że mię razem z Bismarckiem — to jest niby: ty i Bismarck — w łokieć!... Do widzenia!...—odrzekł Robert, wchodząc do sali rysunkowej.

Tam pochylony nad rajzbretem, raz jeszcze przeczytał liścik Kazi.

— Nic prawie nie napisała — pomyślał, — a jednak, jakże powiedziała wiele: za to postskryptum ucałowałbym ją po tysiąc razy; eh, i bez postskryptum zrobiłbym to samo!

Ów list otrzymany był niejako przełamaniem lodów: Robert bowiem zaraz odpisał, na dwu, rozumie się, arkuszach, i niebawem odebrał dłuższą już cokolwieczek odpowiedź. Odtąd korespondencja ujętą została w prawidłowe formy: pisywali do siebie po dwa razy na tydzień.

Tymczasem nadeszła też najnieznośniejsza pora roku; rano bywał mróz biały i wiatr przejmujący, a dalej padał już bezustannie drobniutki deszczyk, co go to „kapuśniaczkiem“ nazywają: było więc ciągle mglisto, zimno i wilgotno. Robert przeklinał aurę, i z największą niecierpliwością wyczekiwał owego dnia, w którym nareszcie

projekta ukończy; pracował też pospiesznie i z wielką gorliwością, co mu jednak nie przeszkadzało odwiedzać znajomych. Zachodził i do Kożuchowskiej, ale nie było jej w Petersburgu; wróciła jednak wkrótce z urlopu, i przeprowadziła się do domu tuż obok Roberta: zaraz też na drugi dzień spotkała go wychodzącego z podjazdu.

Kożuchowska była bardzo przystojna, tylko że zabiedzona; obecnie, przy lepszym bycie i spokoju o jutro, poprawiła się znacznie: nabrała cery, oczy jej się jakoś ożywiły, a i włosy odrosły; nie nosiła też już szpecących ją cokolwieczek okularów.

Robert, spotkawszy się z nią, powitał bardzo serdecznie; ale jednocześnie, zadziwiony zmianą, kiwać zaczął znacząco głową.

— Cóż tak kiwasz głową — zapytała—jakbyś się czemu dziwił?

— A rozumie się, że się dziwię, boś się przecie wykierowała na szampańską dziewczynę! Wyglądasz jakoś świetnie, wypięknialaś, a nawet zaczynasz do pewnego stopnia szyku nabierać; jednem słowem zrobiłaś się do ludzi podobną! A gdzie byłaś w lecie?

— Byłam na urlopie: u rodziców—w Dynaburgu, i u ciotki--na wsi; odpoczęłam trochę, bo nas w biurze bardzo męczą!

— Mój Boże, biedne wy, robaczęta!

— Nie kpij! — roboty mam dużo, ale wynagrodzenie dobre... Do śmierci będę ci wdzięczną, a i pani Drzewickiej również. A wiesz, ona mnie bardzo polubiła i często chodzę do niej... ot! i teraz właśnie do niej idę.

— To pysznie! podwiozę cię, bo jadę za interesem na plac Admiralicji.

Wsiedli na *„pralotkę“* i Robert odwiózł Kożuchowską, a następnie, załatwiwszy swój interes, pojechał na studencką bibkę do Łabędzkiego, który przed paru zaledwie dniami powrócił był właśnie z budowy kolei. Przybył najpierwszy ze wszystkich, a Łabędzki, opalony jak cygan, zaczął mu opowiadać różne epizody z robót kolejowych. Opowiadanie miało wiele stron humorystycznych, przyjaciele śmieli się więc w najlepsze, gdy wtem drzwi się otworzyły i wszedł jakiś obcy, nieznany Robertowi człowiek.

— Znów ta małpa! — szepnął półgłosem Łabędzki i skrzywił się przytem fatalnie.

Przybysz byłto sobie dwudziestokilkoletni brunet, niskiego wzrostu, chudy, z nosem podobnym nieco do kaczego dzioba, tylko od niego cokolwiek krótszym; włosy na głowie były *à la* jeż, a wąsy dość grube, z mocno naszpikulcowanymi węgierską pomadą końcami. Twarz cała była dość trywjalną,

oczki małe i bez wyrazu, a wszystko razem przypominało jakiś owad, czy też robaka. Gość miał na sobie mundur czarny, ze srebrem i z żółtemi wypustkami.

— Jak się masz Łabędzki?—witał.

— A witam!—odrzekł Łabędzki, i zarekomendował:—Pan Piskorski!... pan Skałkowski!

Piskorski podał rękę Robertowi, ale zanim zdążył cośkolwiek powiedzieć, wszedł obok mieszkający Tacowicz i zawołał:

— Witajcie!.. witajcie!... A!... pan kapitan? —rzekł ironicznie do Piskorskiego—często pan odwiedzasz pana Łabędzkiego.

— A bo my przecież od maleńkości znamy się: jeszcześmy w Saskim ogrodzie w *ekstrę* grywali, i razem ci na wagary *chodziłim!*

— Co prawda—odrzekł Łabędzki, to ja tego nie pamiętam; a zresztą... i pana nawet mało sobie przypominam.

— To ci masz pamięć słabą; przecież jeszcze przed *mojem* wyjazdem za granicę spotykaliśmy się w Warszawie!

— Może.

— To kapitan był za granicą?—podchwycił Tacowicz.

— A tak!... bo ja *jezdem* mechanik telegrafowy, i ostatnie wykształcenie to ci odebrałem w

Szwajcarji, gdzie trzy lata studjowałem na kursach telegraficznych!

Opowiadanie przerwało wejście Maślakiewicza, który, przywitawszy kolegów, wziął się natychmiast do odkorkowywania i szykowania butelek.

— To, *uwa pą*, w Szwajcarji jest jaka specjalna szkoła telegraficzna?—pytał dalej Tacowicz.

— A rozumie się?... mechaniczno-telegraficzna! —ciągnął Piskorski,—i uczą, jak ci kocham Boga, tak, że aż strach!...

— Niby czego strach? zapytał od butelek Maślakiewicz, i gdy zahaczony tak Piskorski nie odpowiadał, dorzucił:

— A powiedzno pan, jak teżto tam mówią w Szwajcarji?

— A no... niby... po szwajcarsku!—odrzekł Piskorski.

— To musi być ładny język?—zagadnął Tacowicz.

— Nie bardzo, tak wszystko więcej na *olo!*

— Naprzykład: *świergolo!*—krzyknął na cały głos Fasolka, który, przyszedłszy przed kilku minutami, stanął sobie po cichutku z tyłu i przysłuchiwał się rozmowie.

Młodzież gruchnęła śmiechem; a Piskorski, spojrzawszy po fizjognomjach, zrobił arcykomiczną z zaambarasowania się minę, nie wiedząc, czy ma

śmiać się wraz z innymi, czy też gniewać się, jeżeli na prawdę z niego się śmieją. Po chwilowem jednak zakłopotaniu roześmiał się i. jak gdyby nigdy nic, odzyskał dawny swój rezon.

Tymczasem nadszedł też Karpowicz z Wroną, i Franek z Dziubandowskim; a nowe rekomendacje zatarły ową lingwistyczną porażkę. Łabędzki z Bąkbyxem jęli częstować i rozstawiać butelki, a Robert, pomagając im szepnął do Łabędzkiego:

— Co to za małpa ten Piskorski? i jaki on kapitan?

— Znałem go kiedyś w Warszawie, był w szkole powiatowej, ale to dawno; obecnie przyjechał do Pitra, dowiedział się, że tu jestem, przyszedł, i od razu, powiadam wam, przyjaciel i na „ty“;— ale żaden kapitan, to profesor go tak przez kpiny nazywa. Przykro mi doprawdy, że dziś przyszedł...

— To go wylać!—zaprojektował Maślakiewicz.

— Jakoś nie wypada...—odrzekł skrzywiwszy się Łabędzki.

— A co, hultaje, preferansik będzie?—odezwał się pułkownik.

— Zaraz, zaraz, tylko kropniemy trochę piwońji!

Wypili wódki, zakąsili, przeplatając jedno i drugie rozmową; Maślakiewicz tylko czasu na roz-

mowę nie tracił, i, porozumiawszy się z Fasolką na migi, machnął z nim sobie trzy kolejki od razu.

— A kapitan może, *uwa pą*, w preferansa z nami?

— I owszem.

— Ale my gramy na pieniądze!—rzucił Fasolka.

— Rozumie się!—przywtórzył Piskorski.

— A czy, *uwa pą*, kapitan ma przy sobie gotówkę?

— Mam; a zresztą... ja tu niedaleko mieszkam.

— To kapitan, *uwa pą*, już znalazł mieszkanie?

— Nie, jeszcze *mięszkam* w *szangarni*, ale tu —na Woźniesieńskim.

— Cóżto jest *szangarnia?*—pytał Fasolka.

— No: *chambres garnies!*—wytłómaczył Robert.

Znów przeszła kolejka wódeczki; Piskorski już sobie trochę podchmielił.

— Wczoraj ci, panie, byliśmy u Pałkina—mówił, stojąc koło stołu—we trzech, z *kobietamy!*

— Z jakiemi?—ktoś zapytał—pewnie ze sługami!

— Przepraszam, to *byli* bardzo porządne kobiety!... Jedliśmy kolację; aż tu przychodzi czte-

rech kirasjerów pijanych, zaczynają jakieś żarciki. Ja, panie, powiadam: proszę się wynosić, bo będzie źle!—a oni zaczynają wyśmiewać się: jak nie złapię jednego za *kołmierz*—i nie wyrzucę za drzwi!.... jak nie złapię drugiego—*zamalachnąłem* go w kark i wyrzuciłem!... jak nie złapię i nie kropnę trzeciego!...

Raptem Piskorski zniknął... i słychać tylko było niewyraźny jakiś pisk. A stało się to tak: podczas opowiadania Piskorskiego Maślakiewicz ciągle mruczał; nareszcie powstał i, zaszedłszy bohatera z tyłu, w chwili, gdy tenże doszedł do trzeciego kirasjera, tak silnie jednem machnięciem nogi—nogi mu jego podbił, iż Piskorski w mgnieniu oka upadł jak długi na podłogę. Zanim jednakże zdążył całem ciałem podłogi się dotknąć, już Maślakiewicz dwoma popchnięciami nogi zdołał go wtłoczyć pod kanapę. Wszystko to było dziełem jednej chwili, i, nim towarzystwo opatrzyć się zdołało, już Piskorski z pod kanapy się gramolił.

— Coś ty zrobił, Bąkbyx?—wstydź się!—zawołał gospodarz.

— A to niech jucha nie łże; taka stonoga, i chce nas tu obełgiwać!... No, wypijmy!... A ci, co dni swoje skończyli, niech odpoczywają...

— W pokoju wiecznym!—dodał Fasolka, trącając kieliszek.

Wypili; a wtem Piskorski, który już wylazł z pod kanapy, podszedłszy do Maślakiewicza i gęstą przybrawszy minę, rzekł ostro:

— Mój panie! co się pan stawia?... żeby to nie było u mego przyjaciela, Łabędzkiego, tobym panu pokazał, co to jest ze mną zaczynać: wyrzuciłbym pana za drzwi!... rozumiesz pan!...

— Tak?...— zapytał przeciągle swym basem Bąkbyx.

I jednocześnie, zanim Piskorski zdołał coś odpowiedzieć, wziął go za kark, jak szczenię, podniósł do góry, przeniósł przez pokój i za drzwi wyrzucił; po czem, drzwi na klucz zamknąwszy, powrócił najspokojniej do butelki.

Piskorski tymczasem zaczął do drzwi stukać i wołać skamlającym tonem:

— No, nie róbcie żartów: otwórzcie!

— Bąkbyx, co ty wyrabiasz?... pastwisz się nad nim!... No, wpuśćże go!—wołał Łabędzki.

— Kiedy ta pluskwa, psia krew, już mnie wyprowadził z cierpliwości!... Cóż on nas za durni bierze, czy co?... W twoje ręce, Fasolka: a ci, co dni swoje skończyli, niech odpoczywają...

— W pokoju wiecznym!—dokończył Fasolka.

Łabędzki przez ten czas, widząc, że nic nie wskóra, sam już Piskorskiego wpuścił, i szepnął mu na ucho:

— Nie zaczynaj ty lepiej!... Z Maślakiewicza chłop, jak dąb, może cię jeszcze skrzywdzić!

— Akurat!—odrzekł Piskorski – żebym chciał, tobym go zgniótł!... tylko nie jestem awanturnikiem!

— Do preferka, bo pójdę do domu!—wołał pułkownik.

Bąkbyx zabrał się do przygotowywania stolika; Dziubandowski tymczasem wstał i przeszedł się po pokoju. W przechadzce tej wzrok jego padł na jakiś sztych, wiszący nad biurkiem; zatrzymał się i zawołał:

— A... Hiszpania?... kochana Hiszpania!...

— Cóż tak pułkownik, *uwa pą*, wspomina Hiszpanię?

— Ha! bo tam z półgarca krwi swojej zostawiłem!

— Patrzcie państwo!... A kiedyż to było, *uwa* pułkownik?

— A jakeśmy, panie, Palafaxa oblegali w Saragossie. Byłem tam ranny; ho! *je pensais déjà, que j'irai pour la bière chez Abraham!*—ale wylizałem się jakoś, choć byłem bardzo osłabiony! Pamiętam, wracaliśmy właśnie z jednym francuzem, wielkim przyjacielem moim, i zostaliśmy w tyle kompanji, zabłądziliśmy nawet trochę!... Przyjął nas dopiero do siebie jakiś ubogi wie-

śniak, dzięki temu, żeśmy byli polakami: bo i francuz także udawał polaka, inaczej źleby było!... Przesiedzieliśmy tak u hiszpana ze cztery dni, wydobrzeliśmy, i trzeba było myśleć o dalszej drodze. Hiszpan raniutko wyszedł z domu; a my, po cichuteńku, wzięliśmy mu ze stajenki osła, zabrali swoje manatki i dalej w drogę! Byliśmy już spory kawał od domu, kiedy, koło dziesiątej, widzimy tuman kurzu za sobą!... i wkrótce nasz hiszpan dogonił nas, zbliżył się i przemówił smętnym głosem:—„*Buono catholico, a borico gryps!*“.. —co niby, po hiszpańsku, znaczyło: dobrzyście katolicy, a jednakże osła ukradliście?...

— Jaki to ładny i dźwięczny ten hiszpański język!—zaopinjował Fasolka.

— Do preferka!—wołał Bąkbyx.

— Coś w podobnym guście, tylko w innym rodzaju, *uwa pą*, mieliśmy z Bunsenem. Pewnego razu, *uwa pą*...

— No cóż u djabła! gracie, czy nie?—zapytał z krzykiem Bąkbyx.

— Zaraz, zaraz!—odpowiadał Dziubandowski, idąc w stronę stołu.

— Okropną mam ochotę—szeptał Bąkbyx do Fasolki—gdyby tak Piskorski siadł do kart, przegrał i nie zapłacił—mordę mu zbić i wyrzucić!

— Coś ty do niego upatrzył?

— Bo ci jucha, arogant, chce nam imponować!

— Czekamy—*nous attendons!*—wołał siedzący przy stoliku Dziubandowski.

Do stolika zasiedli: Karpowicz, Wrona i Franek; reszta została przy piwie.

Piskorski stosunkowo pił dużo, ale nic prawie nie jadł; Tacowicz to zauważył i rzekł:

— Nie dobrze, że, *uwa pą*, kapitan tak wlewa w siebie płyn tylko, a nie wprowadza do żołądka, *uwa pą*, nieco ciał stałych; zjedz kapitan kawałek sera, albo kiełbasy!

— Dlaczego?—zapytał Piskorski.

— Żebyś pan miał czem womitować—wtrącił Bąkbyx—bo widzę, że już jesteś pijany i że pana zamdlewa!

— Akurat!... Ja jak ci kocham Boga, *mogie* wypić trzy butelki portwejnu—i ani okiem nie mrugnę!

— Bo leżę, jak bydlę, i śpię!—dorzucił Fasolka.

— Dziewięć bez atu!—zawołał Dziubandowski.—A to ich prażę!—i, zwróciwszy się do niegrających, dodał:—*Ne jouez pas, Albert, vous ne perdrez pas vos pantalons!*... Dobrze wam tak, basałyki, ogrywacie mię zawsze, dziś ja wam dam zalewanie!

Preferans i bibka przeciągnęły się do późnej nocy; Robert z Frankiem wyszli najpierwsi, a

mimo to, podążając do domu, opisywali nogami przeróżne zygzaki.

Nazajutrz Robert skończył projekta; trzeba jednakże było czekać jeszcze dni kilka, gdyż dopiero po sesji i zatwierdzeniu ministra mieli patenta otrzymać.

Ale te dni kilka wlokły się nieznośnie długo; i Robert, który jednej chwili chciałby już był jechać, a czekać musiał, niecierpliwił się bez końca i miary.

Dla zabicia czasu chodził rano do instytutu, a na obiedzie przesiadywał po parę godzin, — wszystko to jednak nie wystarczało. Zachodził nawet parę razy do Agizelaja, ale raz tylko jeden w domu go zastał, a i wtedy także nie długo bawił, gdyż Agizelajowi pilno było do klubu. Mary powinna już była lada dzień przyjechać, otrzymał bowiem od niej Robert list, w którym pisała, że to już ostatni, gdyż wkrótce osobiście go uściska. Prosiła również, aby, po otrzymaniu telegramu, wyjechał choć do Carskiego Sioła na jej spotkanie. Teatr, klub i wieczory u Drzewickich zapełniały resztę czasu; ale Robert, licząc wciąż godziny, kiedy opuści Petersburg, pakował powoli rzeczy swoje i książki. Odebrał już nawet od fotografa grupę, którą wszyscy kończący instytut wraz z dyrektorem i profesorami

na pamiątkę sobie obstalowali, i czekał tylko patentu, certyfikatu, że jest wysłanym przez instytut na dalsze studja zagranicę, i... przyjazdu Mary.

Bliżej ze sobą żyjący koledzy umówili się, aby wyprawić sobie pożegnalny festyn; zebrało się do dwunastu, ale między nimi było także wielu i z niższych kursów, którzy chcieli pożegnać wyjeżdżających starszych kolegów i przyjaciół, i—rozumie się—Fasolka, który, po porozumieniu się uczęstników, został na ogólny koszt przyjęty i specjalnie zaproszony. Dzyndzelans Hrehorowicz, któregośmy już bardzo dawno nie widzieli, ułożył był nawet pożegnalne *potpourri* na skrzypce,—a Maślakiewicz przygotował mowę na temat obowiązków obywatelskich, braterstwa, zawiązanego na ławie szkolnej, pamięci o młodszej braci, wzajemnej pomocy, i t. p.

Oczekiwany i upragniony dzień nadchodził; Robert z Frankiem popijali właśnie w wilję dnia rano herbatę, i mieli zaraz iść do instytutu, gdy wtem przyniesiono od Mary telegram, donoszący, że wyjeżdża z Paryża i że za sześć dni będzie w Petersburgu.

— Piękny interes!... za sześć dni!...—wołał Robert;—ale—mniejsza o to!... Potem o tem, a teraz jazda po patent!

Poszli do instytutu; Robert otrzymał wszystkie dokumenta, pożegnał dyrektora, inspektora, i profesorów, i powrócił do domu. Tu przebrał się i pojechał z pożegnalnemi wizytami. Wieczorem był u Drzewickich i żegnał ich bardzo serdecznie, dziękując ciepłemi słowy za przyjaźń, jaką mu w ciągu lat czterech okazywano, i za serce poczciwe, którego nieraz doświadczał i doznawał. Po pożegnaniu się wyszedł razem z Kożuchowską, którą tam także zastał.

— Więc stanowczo kiedyż jedziesz?—zapytała go już na ulicy.

— Chciałbym—jak najprędzej.

— Ale musisz przecie poczekać na powrót...

— Czyj?—przerwał.

— No, pani Epiphanidi.

— Dlaczego?

— Wszak nie wypada, abyś wyjeżdżając, zapewne na zawsze, nie pożegnał damy, która przez tyle czasu była dla ciebie tak przychylną i łaskawą—dodała z uśmiechem.

Robert nie był jakoś zadowolony z rozmowy:

— Et! pleciesz, sama nie wiesz co!—odburknął, i zawołał dorożki.

— Odwiózł Kożuchowską do domu, a żegnając się z nią mówił:

— Jutro zajdę do ciebie, specjalnie—na pożegnanie.

Mieszkał, jak wiemy, o kilka od niej kroków; w parę zatem minut był już u siebie w domu i, chodząc po pokoju, mówił sam do siebie:

— Jutro koleżeńskie pożegnanie, a pojutrze mogę już jechać!... A Mary?... czy nie należałoby poczekać na jej powrót... warta tego, wszak dwa lata prawie... wszak ona mię kocha!... Kocha?... no, zapewnie!... inaczej tego nazwać nie można... Wyobrażam sobie, jaka będzie zła, gdy się dowie, żem się ożenił; ale.... A przysięgi na życie i śmierć?... głupia blaga... błazenterja!... Dziwna jednakże egzaltacja w tej kobiecie... A jednak, jak ja się do niej przyzwyczaiłem, a nawet przywiązałem... mimo tych chryj... i gdybym tak nie był spotkał Kazi, czemby się to skończyło?... Choć, prawdę powiedziawszy, nie wiem, co to jeszcze będzie?... czy Mary nie przyleci do Warszawy, albo i zagranicę?... Zostanę chyba, poczekam, zobaczę ją, pożegnam i wyznam całą prawdę!... Niech się dzieje, co chce; zniosę całą awanturę, ale tak będzie najszlachetniej!... Cztery, albo pięć dni... A tam, Kazia, moja gwiazdka przewodnia, cel mego życia... czeka, i czekać będzie?... Nie, stanowczo nie!... Mary—piękna, namiętna kochanka—nie warta, aby dla niej po-

święcać i okradać — nawet z czterech dni — narzeczoną!... Nie, stokroć nie: stanowczo pojutrze pojadę!

Poszedł do Franka, który siedział nad notatami technologji włókien.

— Franek!—mówił wesoło—-pojutrze jedziemy!

— Co?

— No, wszak mówię wyraźnie: po-ju-trze jedziemy do Dulembów!

— Jakto pojutrze?

— A no, zwyczajnie: nie jutro, a po jutrze!... koleją żelazną do Szepietowa, a potem końmi!

— Więc nie czekasz na przyjazd Ma... pani Epiphanidi?

— Nie mogę przecież czterech, lub pięciu dni, skraść Kazi, na korzyść Mary!

— Może masz i rację; ale czy znowu godzi się rozstawać się w ten sposób z taką, jak ona, kobietą?

— Cóż chcesz?... Napiszę do niej bardzo obszerny list, w którym wszystko opowiem, z całą sumiennością i prawdą. List ten po swym powrocie jej wręczysz, i—dopowiesz resztę; a tymczasem zostawię do niej liścik krótszy.

— I to ostatnie twoje słowo?

— Najostatniejsze!... Jeśli nie chcesz — nie jedź; ale ja—jadę pojutrze bezwarunkowo!

— Więc i ja jadę, nie ma gadania!

— Tylko nie damy znać i nie będziemy telegrafować o konie; najmiemy pocztę i zrobimy niespodziankę!

— Zgoda!

Nazajutrz Robert pożegnał Kożuchowską; zaszedł też i do Epiphanidiego, ale go nie zastał, wyjechał był bowiem w interesach skarbu na miesiąc do Charkowa. Zostawił zatem bilet, z zagiętym rogiem, na którym, według ówczesnej mody, było odlitografowane „z pożegnaniem“, i, zjadłszy obiad przed drugą, powrócił do domu.

Tu przygotował zaraz wszystko do pisania; ale, przed zaczęciem listu do Mary, długo bardzo chodził po pokoju, paląc tylko papierosy jeden za drugim. Nakoniec usiadł i zaczął pisać. Pisał tak przeszło dwie godziny, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Franek.

— Cóż tam znowu gryzmolisz?... i czego się, u djabła, tak gramolisz?... juz przecie blisko siódma!

— Nie może być?

— To zobacz!—odrzekł Franek, pokazując zegarek.

— No, to list skończę jutro rano, albo dziś w nocy—jeśli trzeźwy wrócę! — Niewiele już się wprawdzie zostało, i za jakie pół godziny byłby zupełnie gotów; ale na pożegnanie nie można się

przecie spóźnić!... Słuchaj no, Franek: ja na małe pół godzinki wyjadę; poczekasz więc na mnie i, gdy wrócę, pójdziemy razem.

— A wiesz, jaką Bąkbyx mowę przygotował?

— Wiem, wiem! — odrzekł Robert, zamykając do stolika list, na siedmiu napisany arkuszach. Wstał, ubrał się w paltot i, wychodząc, rzekł:

— Najdalej za czterdzieści minut będę z powrotem: wezmę dobrego *„izwoszczyka!“*

— A gdzie jedziesz?

— Do Kaczkurowa: trzeba Kazi zawieźć dobrych cukierków. Do widzenia!

XV.

Były to ostatnie dni października; powietrze było zimne i wilgotne, a ostry wiatr północny pędził zawieszone w górnych szlakach ciężkie, ołowiane chmury, i pomiatał zżółkłym liściem na ziemi...

Wielkie topole, szyldwachy dulembskiego dworu, wiedźma jesień oskubała z pięknej zieleni; gdzie-niegdzie tylko nawpół zżołkły liścik kołysze się na gałązce. Trzyma się jeszcze, boryka, ostatnich

sił dobywa, aby go złowrogi wicher nie oderwał od macierzy i nie uniósł w dalekie, obce strony!... Lecz próżne jego starania; jeszcze jeden silniejszy podmuch, a śmierci nie uniknie... Zimny wiatr zaniesie go hen, daleko... i albo w błocie utopi, albo też w stepie głuchym, lub w ciemnym boru porzuci!...

Te wyniosłe polskie palmy, pozbawione swych szat zielonych, schudły, zmizerniały; sterczą one tylko, jak olbrzymie, nędzne—miotły-drapacze!.. Nie zakrywają już czerwonego dachu: cały dom wyłania się, i oświecone okna widać już z daleka...

Na staroświeckim, wielkim, szafkowym zegarze, stojącym w jadalnym pokoju, wybiła właśnie godzina szósta; i w tejże samej chwili otworzyły się z impetem drzwiczki nad cyferblatem, i ukazał się w otworze czarny, drewniany ptak, który kiwnął sześć razy główką, w miarę jak zegar, sześć również razy, powtórzył: *ku-ku!*

W pokoju krzątała się panna Kazimiera, szykując do herbaty; nikt jej nie pomagał, bo byłto dzień wyjątkowy: zabito wieprza!—a cały fraucymer zajęty był przygotowywaniem przeróżnych kiełbas, kiszek, salcesonów, i tym podobnych przysmaków. Jedne przyjmowały udział bezpośredni przy rozczłonkowywaniu nieboszczyka, krając go

na kawałki, siekając, preparując kości; inne uczestniczyły tylko pośrednio, tłukąc pieprz, sól, przebierając majeranek i bobkowe liście.

Pani Ignacowa, opasana fartuszkiem, w wielkiej izbie czeladnej obok kuchni, dyrygowała całą tą imprezą; a dzieciakom, które uprosiły, aby i im wolno było przyjąć udział w tak ważnem dziele, poruczono przebieranie i oczyszczanie rodzynków, do tak zwanych „kiszek podgarlanych“. Powierzoną sobie robotę wykonywały z całą sumiennością i pośpiechem, z przejęciem się i pewną dumą; co jednak nie przeszkadzało im bynajmniej wrzucać mimochodem do buzi okazalsze rodzynki, oraz przyglądać się z pod oka i podziwiać zręczność kucharki Błażejowej, która z niepospolitą wprawą napychała krajanem mięsem przezroczystą kiszkę, na kluczu od lamusa wywiniętą. Dodać tu bowiem trzeba nawiasem, iż pani Ignacowa nie przyznawała szprycy-kiełbaśnicy, i tradycyjny klucz był nieodzownym instrumentem przy fabrykacji kiełbas i kiszek.

— Maryś!... Maryśka!—zawołała Błażejowa—a *obacno* tam, *cy kendziuk* się nie dogotował?

— *Uoo, jesce* twardy! — słychać było głos z kuchni.

Metamorfoza była bliską końca; rano jeszcze, wesoło chrząkający, w oddzielnym gabinecie chlew-

ka, wieprzuś — przedstawiał się obecnie pod postacią stosu szynek, polędwic, salcesonów, kiełbas i kiszek. Wszystko już prawie było gotowe; a pani Ignacowa jeszcze popędzała, aby przed siódmą i resztę ukończyć, i swobodnie już zasiąść do herbaty.

Drzwi do stołowego pokoju otworzyły się z cicha, i ukazała się w nich wysoka postać księdza Sieczkowskiego.

— Niech będzie pochwalony!—mówił.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała Kazia, i podbiegłszy do księdza, pocałowała go powyżej łokcia.

Proboszcz usiadł na kanapie, zażył tabaki i kichnął przeciągle.

— Na zdrowie! — życzyła Kazia, wyjmując koszyczek druciany z sucharkami z dębowego kredensu.

— Bóg zapłać!... A jakież tam wiadomości z Petersburga? — pytał.

Kazia stanęła naprzeciwko proboszcza, oparłszy dłonie o brzeg stołu; blade jej lica pokryły się lekkim rumieńcem.

— Wczoraj mieliśmy list od pana Roberta— mówiła — interesa ukończone, wszystko gotowe, patent już dostał: lada dzień przyjadą z panem Franciszkiem!

— A to i Franuś przyjedzie?—a on poco?

— Na moje zaręczyny!—odrzekła, kraśniejąc mocniej. — Pan Robert — mówiła dalej — zabawi tu kilka dni, a potem pojedziemy z ciocią Ignacową do Warszawy: pan Robert ma mnie przedstawić swojej matce i siostrom.

— No, a weselisko? — zapytał ksiądz wesoło.

— Ma być zaraz po Nowym Roku, — mówiła, spusciwszy oczy — ale tu, w Dulembach... Wszak ksiądz dobrodziej nie odmówi mi dać ślub?... nie prawdaż?

— Z wielką radością, moje dziecię; daj ci, Boże, znaleźć szczęście prawdziwe!... Nie wątpię, że Bóg ci je da! boś dobra, pracowita, miłosierna i pobożna. Bądź zawsze moje dziecię taką; niech dobrobyt, bogactwo i świat, w który cię mąż wprowadzi—nie zmienią cię, a Bóg cię nie opuści i zawsze błogosławić ci będzie. Teraz, jak pojedziecie z narzeczonym do Warszawy, staraj się zaskarbić względy jego matki; pamiętaj o tem, że on ją bardzo kocha; uszanuj jej starość, i bądź dla tej starości pobłażliwą, jeżeli chcesz, żeby cię i on cenił, i kochał,—i żeby z czasem i twoją starość uwzględniano i szanowano. To, co ci mówię, drogie dziecię, nie jest kapłańską nauką, którą wypada wypowiedzieć proboszczowi swej parafjance, wychodzącej za mąż,—nie, bynajmniej! — to,

co powiadam, płynie z czystego serca, jako dobra, zdrowa, przyjacielska rada: znam bowiem, drogie dziecię, życie i świat, bo długo już na nim się kołacę, dużom widział i doświadczył. Jak Bóg da, że już będziesz jego żoną, pamiętaj, kochane dziecię, żeby mu dom uprzyjemnić, żeby zawsze najmilej było mu przy tobie, i żeby zawsze z upragnieniem do ciebie wracał. Bądź cierpliwą, łagodną i wyrozumiałą; spotykaj go zawsze z wesołem obliczem, a gdy zauważysz, że jest smutnym, lub niecierpliwi się, choćby nawet niesłusznie, staraj się to dobrocią złagodzić i rozweselić go pomału. Wiedz bowiem, moje dziecię, że ludzie większej umysłowej pracy mają tysiące spraw i kłopotów, które ich rozdrażniają; obecnie nie ma tego spokoju i powolności, co kiedyś; wszystko i wszyscy spieszą się, gorączkowo idą naprzód, — a taka praca drażni nerwy; — trzeba więc, aby żony były moderatorami tej gorączkowej pracy, i aby w domu swoją łagodnością, wyrozumiałością i miłością, doprowadzały do równowagi i spokoju podrażniony organizm. Bądź uległą, nakoniec, i ufaj mężowi, — a życie wasze popłynie w spokoju i zgodzie!

Kazia słuchała słów proboszcza z wielką uwagą; nic nie odpowiadała, ale serduszko szybciej jej zato biło...

Do pokoju weszła pani Ignacowa z dziećmi; przywitała się z proboszczem i zasiedli do stołu. Zegar wybił siódmą, a mały Franuś, jednocześnie z kukułką, siedem razy zakukał.

— Macie i śnieżek; prószy wcale nieźle!—oznajmił wchodzący pan Ignacy. — Dobry wieczór!

Dzieci pobiegły do okna; ale ciemność nie dozwalała spostrzedz drobnych płatków śniegu, które, padając na ciepłą jeszcze ziemię, natychmiast topniały.

— Wcześnie, wcześnie — mówił proboszcz, zażywając tabakę; — chociaż, wprawdzie, pojutrze Wszystkich Świętych, a pamiętam nieraz, że w ten dzień biało bywało.

— To może nasi chłopcy sankami przyjadą!— rzekła pani Ignacowa, i spojrzała na Kazię.

Ta lekko się uśmiechnęła.

— Cóż, księże dobrodzieju, z francuzami źle?— mówił pan Ignacy — wszędzie ich biją!... A może ksiądz pozwoli śmietanki od wściekłej krowy?... Michalinko, przysuńno araku!

Ksiądz odebrał karafeczkę z rąk pani Ignacowej, i nalał do herbaty łyżeczkę araku.

— A źle!... — odpowiedział. — Ktoby się to był spodziewał takich rezultatów?... A jaki jeszcze koniec tej nieszczęśliwej wojny będzie?—Bóg święty tylko raczy wiedzieć!

Po ósmej skończyła się herbata i kolacja; Kazia z dziećmi poszła do ich pokoju, ułożyła je i, wróciwszy, zasiadła przy stole obok pani Ignacowej; rozłożyła szydełkową robotę, i,—zamyśliła się...

Pod piecem, przy zielonym stoliku, ksiądz z panem Ignacym grali sobie w marjasza.

— Ze czterdziestu! — zawołał proboszcz i, odwróciwszy głowę, spostrzegł zamyśloną Kazię.

— A czego to panna Kazia tak się zamyśla?— pytał.—Prawda, prawda, lada dzień przyjedzie narzeczony - a gładki i rzeźki chłopak!

Ksiądz zgarnął lewę.

— Reszta ze czterdziestu — mówił, zadając króla atutowego;—ale dziś ogrywam dziedzica!... strasznie ogrywam!

Słychać było przeraźliwe szczekanie psów na dziedzińcu.

— Czyby kto przyjechał?—mówił pan Ignacy;— ale toby słychać było. Skoczno, Wojtek, zobacz, czego tak psy ujadają?

Wojtek, zamiatający okruchy z pod stołu, wybiegł—i po chwili wrócił, trzymając białą kopertę.

— To posłaniec z Szepietowa przyniósł—rzekł, podając kopertę panu Ignacemu.

— No, to dajcie mu gorzałki, bo zmarzł!— zawołał pan Ignacy, oglądając podaną kopertę.— A!... to telegram z Petersburga.

— Pewno telegrafują o konie!—zawołała Kazia, i podbiegła żywo do pana Ignacego.

Ten, rozpieczętowawszy telegram, rzucił nań okiem i zbladł...

— Cóż, kiedy przyjadą?—pytała Kazia.

Pan Ignacy z wytężonym wzrokiem wczytywał się w telegram.

— Właśnie... Franuś... telegrafuje—mówił jakimś zmienionym głosem—że tego... to jest... ten... właściwie, trochę... niby... tego... przyjadą, ale trochę później... bo... jak się nazywa...

Kazia drżała z niecierpliwości.

— Ale bo pan tak mówi: pokaż mi pan telegram!—rzekła, wyciągając rękę.

Pan Ignacy rękę swą z telegramem cofnął.

— No, pan Robert trochę niezdrów... więc przyjazd muszą na kilka dni odłożyć!

— Pan Robert niezdrów?... pokaż mi pan telegram!

— Ależ, panno Kazimiero, nic nie ma... tego... jakby tu powiedzieć?... niebiezpiecznego!

— Na miłość Boga, panie Ignacy, nie wyczerpuj pan mojej cierpliwości: pokaż telegram, chcę wiedzieć całą prawdę?

— Kiedy, widzi pani, pan Robert bardzo chory!

— Daj pan telegram!—krzyknęła Kazia, wyciągając rękę.

— Rany boskie! a to się naparła!... Panno Kazimiero, Kaziu, bądź tylko mężną!...

Podał jej telegram.

Kazia zbliżyła go do lampy; pisany był po rosyjsku, a treść była następującą:

„Ignacy, przygotuj Kazimierę, wielkie nieszczę-„ście; Roberta przejechały i poraniły konie; umie-„rający; konsyljum orzekło: nie ma nadziei!“

— Boże sprawiedliwy, zlituj się nad nami! — zawołała Kazia i, osunąwszy się na krzesło, głośno zaczęła płakać.

Treści telegramu dowiedział się teraz proboszcz i pani Ignacowa; wszyscy strasznie posmutnieli i z cicha tylko szeptali, a Kazia wciąż płakała.

— Niech płacze—szepnął proboszcz—lżej jej będzie: biedna dziewczyna!

W pokoju wszyscy nakonice pod wrażeniem zamilkli; zapanowała cichość zupełna, przerywana tylko od czasu do czasu cichemi łkaniami Kazi. Po kilku minutach Kazia wstała, otarła oczy i wzruszonym głosem rzekła:

— Cioteczko!... panie Ignacy!... pozwólcie mi jechać do Petersburga.

— Rany boskie!—zawołał pan Ignacy—czyś zmaniona, Kaziuleczko?... do Petersburga?... ależ to taki kawał drogi, tak daleko!... jakże można pannie jechać?

— Jezus, Marja!—zawołała pani Ignacowa—gdzież zaś do Petersburga jechać?... czyżto wypada młodej panience... a zresztą, co ty, kochanko, zrobisz?... nic nie pomożesz, kiedy konsyljum powiedziało, że nie ma nadziei.

— A jednak: może Bóg przemieni?... może on potrzebuje opieki?... może... a zresztą, jeśli tak już Pan Bóg przeznaczył... niech go choć przed śmiercią zobaczę!

— Masz rację, moje dziecię!—odrzekł ksiądz Sieczkowski.—Jedź!... wyrwij go śmierci!... proś Boga Najwyższego, módl się, żeby ci go nie zabierał!... Taki młody, piękny, tyle rokujący...

Ksiądz otarł łzę spływającą mu z oka.

— Jegomość dobrodziej chyba żartuje!—mówiła ze zdziwieniem pani Ignacowa.—Jakże można?... panienka sama jedna, w tak dalekie strony, do Petersburga.

— A cóż jej się stanie?—a opieka boska?... niech jedzie!... Damy znać Franusiowi, żeby wyjechał na spotkanie, a do Wilna to ją już sam odwiozę: dalej nie mogę, bo nie mam ani paszportu, ani pozwolenia. Uspokój się, moje dziecię,—zwrócił się ksiądz do Kazi—ufaj w Boga Wszechmogącego!... Nie ma co, zwlekać nie można; do pociągu mamy jeszcze z pięć godzin, a może nawet więcej. Panie Ignacy! poszlij do księdza wi

karego, żeby zaraz przyszedł do mnie; ja pójdę, przygotuję się do drogi, i zostawię dyspozycje.

Ksiądz Sieczkowski wstał, jakby odmłodniał: jakaś gorączkowa energja w nim się znalazła.

— Trzeba—mówił dalej—napisać telegram do Franusia: dajcieno papieru!

— To już ja sam napiszę—odrzekł pan Ignacy.

Kazia przyniosła papier, pióro i kałamarz.

Pan Ignacy pisał i jednocześnie czytał:

— Kazia dziś wyjeżdża do Petersburga...

— Źle! — przerwał proboszcz — nie zrozumie; pisz pan: Kaźmiera, we wtorek, o czwartej rano, wyjeżdża do Petersburga...

— Racja!—odrzekł pan Ignacy, i pisał dalej, czytając:—wyjedź naprzeciwko koniecznie.

— Teraz zupełnie zrozumiale—odrzekł ksiądz. —Kazię trzeba ubrać ciepło!

— Dam jej swoją lisią salopę—odpowiedziała pani Ignacowa.

— No, zostańcie z Bogiem!... ja pójdę... A dajcieno mi latarni, bo ciemno, choć oko wykol!—mówił proboszcz. — Walenty niech zajedzie po mnie!

Przyszedł Wojtek z latarnią.

— Odprowadź księdza jegomościa; a potem biegaj do księdza wikarego, żeby zaraz na pleba-

nję przyszedł! — mówił wyrazistym głosem pan Ignacy.

Ksiądz z Wojtkiem wyszli; a Kazia z panią Ignacową wzięły się do pakowania.

Biedne dziewczę nic nie mówiło; oczy jej pałały, puls w skroniach bił pośpiesznie, jakieś drżenie przebiegało ciągle od mózgu aż do nóg. Nie mogła zebrać myśli: chaos jakiś panował w jej głowie! Bezwiednie, machinalnie prawie, układała do walizki trochę bielizny i czarną kamlotową sukienkę.

— To moja żałoba—pomyślała—nie zostałam żoną, a zostanę wdową!...

Grobowe milczenie panowało między kobietami; pan Ignacy palił fajkę, ale również bał się ust otworzyć, zdawało się bowiem, że żadne słowo pociechy wypowiedzianem być nie może: otrzymany telegram wykluczał wszelką nadzieję.

Nareszcie pakowanie skończyło się; Kazia uklękła i modlić się poczęła, a pani Ignacowa wzięła mały koszyczek i poszła uprowidować Kazię na drogę.

— Biedactwo!—myślała, zawijając pieczonego kurczaka — jakie nieszczęście ją spotkało!... Ale, że to się nie boi tak daleko jechać. I cóż to pomoże?... jeszcze większy żal!... Dulembino!—zawołała na gospodynię — dajcieno w garnuszeczek

trochę świeżego masła, i odkrójcie tam kawałek sera z jabłek, co to panienka tak lubi, może biedactwo zje sobie co w drodze.

Przeszło tak kilka godzin; Kazia skończyła modlitwy i usiadła przy stole, myśląc o swojem nieszczęściu. Zajechał powóz, i ksiądz Sieczkowski ukazał się na progu.

— Przepraszam księdza dobrodzieja — zaczęła Kazia—ale byłam, jak gdyby nieprzytomna: nie podziękowałam nawet za ten dowód łaski i za opiekę, jaką mi ksiądz kanonik daje.

— Moje dziecię! odwiózłbym cię i do samego Petersburga; ale nimbym dostał pozwolenie i paszport, przeszłoby z tydzień, a tu czasu nie ma. No, pojedziemy już; lepiej wcześniej—i wolno jechać, bo noc ciemna—a na stacji poczekamy: bo gdybyśmy się, Boże broń, spóznili...

— Jam gotowa!—odrzekła Kazia.

Poszła do swego pokoju i wyjęła z szuflady sto sześćdziesiąt rubli, które jej pozostały po matce; sto trzydzieści za gors schowała, a resztę do portmonetki. Wróciła do stołowego pokoju; pan Ignacy podszedł do niej, mówiąc:

— Masz tu, Kazieczko, sto rubli, drobnemi, na wszelki wypadek; gdyby ci było mało, to Franuś ma pieniądze.

— Ależ, panie Ignacy, ja mam swoje pieniądze!

— Rany boskie, Michalinko!... Czyś ty, Kazieczko, zmaniona?... bierz i nie sprzeczaj się ze starszymi!—wołał, wtykając jej do rąk pieniądze.

Wyprowadzili i usadzili wygodnie w obszernym powozie księdza i Kazię.

— Wojtek! daj sam koc na nogi proboszczowi!—wołał pan Ignacy.

— Jedź z Bogiem, Kazieczko! niech Najświętsza Panienka czuwa nad tobą—mówiła ze łzami w oczach pani Ignacowa;—a zaraz po przyjeździe na miejsce telegrafujcie!

— Ale, ale!—przerwał ksiądz—a telegram do Franusia? został na stole!...

Pan Ignacy pobiegł i przyniósł zapomniany telegram.

— Bądźcie zdrowi!—rzekł ksiądz.—W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego!... Walenty, ruszaj!

Powóz potoczył się po wilgotnej drodze.

Do Szepietowa przyjechali na dwie prawie godziny przed przyjściem pociągu; w malutkim pokoju było duszno, gorąco i ciasno, a z bocznego, ogólnego pokoju pasażerskiego, dochodził głośny gwar szwargocących i sprzeczających się żydów. Ksiądz zdjął płaszcz futrzany i usiadł na kanapie, a podrzymując, odmawiać zaczął pacierze.

Kazia wyszła na peron, potrzebowała bowiem powietrza, i wolnym krokiem chodziła wzdłuż

budynku stacyjnego. Pogoda poprawiła się trochę, ustał wicher, i śnieg mokry przestał padać; noc jednakże bardzo była ciemną, i na nieboskłonie ani jednej nie widać było gwiazdki. Tylko tu, bliżej ziemi, migały na torach stacji białe i zielonawe światełka; a tam, zdala, gdzieś na końcu, widać było jedno czerwone na prawo i drugie na lewo; pozatem—otchłań tylko ponura i czarna.

Ogrom nieszczęścia tak przygnębił Kazię, iż przytępił jej nawet władze myślenia; chodziła po mokrych kamieniach. nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, gdzie jest i poco: myśli jej się mąciły, zataczała się chwilami. Tak przeszła godzina, a nawet i więcej; aż sygnał, długiem dany dzwonieniem, oznajmił, że pociąg wyszedł z ostatniej stacji. Drzące, metaliczne tony wstrząsnęły Kazią: ocknęła się z przygnębienia, i myśl jaśniejsza błysnęła jej w mózgu.

— Wszak jadę go ratować—pomyślała;—energji, siły i odwagi potrzeba!

Weszła do sali; przy słabem oświetleniu kopcącej lampy przeczytała rozkład jazdy. Dowiedziała się z niego, nie bez trudności, że w Petersburgu stanie dopiero za trzydzieści dwie godziny, to jest we środę w południe. Ksiądz kupił już bilety i ekspedjował walizkę.

Pociąg wkrótce nadszedł; zajęli miejsca w drugiej klasie, gdzie było bardzo przestronno, gdyż zaledwie czterech jechało pasażerów. Ksiądz umieścił Kazię na długiej ławce, zalecając, aby się spać położyła; a dla przykładu i zachęty, sam się też naprzeciwko wygodnie wyciągnął.

Pociąg ruszył; z początku—lekkie kołysanie wagonu i miarowy stuk kół na złączeniach szyn—denerwowały Kazię, do jazdy nie przyzwyczajoną,—później jednak oswoiła się, a następnie—znużona—na pół zasnęła i zaczęła majaczyć. Śniło jej się, że z panią Ignacową i Robertem jedzie do Warszawy, by poznać jego rodzinę i kupować suknię ślubną, wianek i welon. Robert, uśmiechnięty wesoło, trzymał ją za rękę i miłe szeptał słowa. Obudziła się nakoniec z płaczem, że złudzenie pierzchło;—i zasnąć już więcej nie mogła. Czas wlókł się fatalnie; wszyscy dokoła spali, sapiąc miarowo, — a ona tymczasem. strwożona, wszystkimi drżała nerwami, nie bacząc, że w wagonie było ciepło i że puszystem okryta była futrem.

Nareszcie rozwidniło się; ksiądz się obudził i zaczął rozmowę: zrobiło się jej jakoś raźniej. Tak przejechali Grodno i około trzeciej dojechali do Wilna.

Kazia dotychczas, prócz szklanki herbaty, nic

prawie nie jadła; ksiądz więc wmusił w nią formalnie filiżankę rosołu.

— Czy kanonik nie wie, gdzie mniej więcej spotkam pana Franciszka?—zapytała.

— Ja myślę, że dziś w nocy, albo jutro bardzo rano—odrzekł.—No, moje dziecię, tu się rozstajemy; jedź w imię Boże!... Ja wracam, i co dzień będę odprawiał Mszę Świętą i modlitwy na waszą intencję: niech cię Bóg szczęśliwie doprowadzi i nie opuszcza!... W drodze nie mam cię komu polecić, bo z nami nikt jakoś taki, coby na zaufanie zasługiwał, nie jedzie; ale przy boskiej pomocy i tak dojedziesz!

Pobłogosławił Kazię; ona ręce jego ucałowała i dalej ruszyła.

Wtulona w kąt kanapy, jechała tak ze swemi biednemi myślami nieruchoma, jak posąg; nie wysiadała nigdzie na stacjach i nic nie jadła. W nocy spała trochę, ale obudziła się przed świtem. Ile razy pociąg zatrzymywał się, wyglądała przez zamarznięte okno, czy nie zobaczy Franciszka; ale go nigdzie nie było. W Łudze pociąg stał aż dwadzieścia minut, i z drugim się pociągiem krzyżował; ale Franek i tu się znów nie zjawił.

— Albo telegramu nie otrzymał, albo pan Robert...

Nie śmiała dokończyć: bała się, nie tylko wymówić, ale nawet pomyśleć — „umarł“.

Już tylko dwie godziny zostawało do samego Petersburga; na stacji Sujda wszedł do wagonu Franek, ale Kazia, która, straciwszy wszelką nadzieję doczekania się go, wpadła w jakiś stan apatyczny, na wejście jego nie zwróciła wcale uwagi. On ją dopiero spostrzegł i zawołał:

— Panno Kazimiero!

Ocknęła się z letargu i, poznawszy Franka, wlepiła weń wzrok badawczy, by z oczu już wyczytać, co się dzieje. Wyciągnęła doń rękę i cichym głosem wyrzekła:

— Pan Robert?..

— Gdy wyjeżdżałem, dziś rano o ósmej, żył jeszcze—odrzekł.

— Żył jeszcze!...—powtórzyła z goryczą.—O! jakże okrutne są te słowa: nie dają bowiem najmniejszej iskierki nadziei!... A więc... jego godziny są policzone?

— Niestety: tak!—odpowiedział ze smutkiem.

Zdjął futro i usiadł obok Kazi.

— Nie potrzebnie pani jedziesz, na większy żal tylko!... Widzę, jak pani cierpisz; a i my także mocno cierpimy!

— A on?... on jeszcze więcej cierpi!...

— Nie, on tego nie czuje: już bardzo dawno jest zupełnie nieprzytomny.

— Nieprzytomny?... więc mię nie pozna?

— Oj! nie pozna—odrzekł Franek, i łza mu się z oka stoczyła.

— Powiedz mi pan jak się to wszystko stało?

— Zaraz... co to dziś mamy?... bo już rachubę straciłem... A, prawda, środa!... Więc we czwartek, koło siódmej wieczorem, byliśmy razem... Postanowionem było nazajutrz jechać do Dulembów, i nic nie dawać znać, żeby zrobić niespodziankę: wszystko już było spakowane i gotowe. Wieczorem mieliśmy iść razem na pożegnalny koleżeński festyn; ale Robert powiada do mnie przedtem: „wyjadę jeszcze, na małą godzinkę, po cukierki dla Kazi; poczekaj na mnie!“ Z temi słowami wyszedł z domu, i przed sienią siadł zaraz do dorożki; ale zaledwie kilkanaście odjechał kroków, gdy rozbiegane przy karecie konie najechały ich, dorożkę przewróciły i Roberta stratowały. Pokrwawionego podniesiono z ziemi i przyniesiono do apteki w naszym domu; tam go poznano, a po pierwszym ratunku i prowizorycznem zatamowaniu krwi, przeniesiono go do domu. Wyobraź pani sobie, co się ze mną działo, gdym zobaczył, jak go wnoszą!... We dwie godziny potem byli już doktorzy i chirurgowie; dokonali opatrunku:

okazało się, że ma nogę, rękę i trzy żebra złamane, a mocno pobitą łopatkę i głowę. Wszystko opatrzyli i zagipsowali; upewniali wychodząc chirurgowie, że i śladu złamania nie będzie, byleby się tylko coś innego nie wdało, bo wtedy—źleby było!... Robert był przytomnym do pierwszej w nocy, i ciągle o pani wspominał; ostatnie jego słowa były: „Bardzo źle ze mną; gdybym przed śmiercią mógł choć na chwilę zobaczyć Kazię!...“ Potem już nic nie mówił: zaczęła się gorączka. Było trzy razy konsyljum; ogolili mu głowę i obstawili wizykatorjami: nic nie pomaga! Profesor Botkin i Eck powiedzieli, że nie ma ratunku i, że nic już nie pomoże!... Widocznie: wstrząśnienie mózgu...

Kazia, z silnymi wypiekami, śledziła za każdym słowem Franka.

-- A jednak— przerwała cicho, — może jest jeszcze jaka nadzieja?

— Nie będę pani okłamywać: jest bardzo niedobrze!... Dziś już jest... zaraz... do piątku—do soboty (Franek liczył po cichu)—szósta doba — (mówił dalej głośno) kompletnej nieprzytomności; temperatura bardzo wysoka; pokarmów, ani nawet wody, wcale nie przyjmuje... daj Boże, żeby do jutra dożył!...

— Panie Franciszku!—zawołała Kazia, chwytając go za rękę—więc tak już jest źle!

— Niestety!... — odrzekł wzdychając. — Już niezadługo dojedziemy; na dworcu kolei czekać na nas będzie pani Drzewicka, nasza przyjaciółka i opiekunka,—pamięta pani?—ja opowiadałem o niej.

— Przypominam sobie: żona inżynjera, gdzie jest stara babcia.

— Tak właśnie!... Skoro się tylko dowiedziały, że pani jedzie, postanowiły zaraz zabrać panią do siebie.

Franek wyjrzał przez lewe okno, na którem nie było mrozu.

— A! już widać kopułę Ś-go Izaaka: dojeżdżamy. Odwagi i siły, panno Kazimiero! —dodał, ściskając jej rękę.—O! Robert panią prawdziwie i szczerze kochał!...

— I ja jego!...—odrzekła cicho, i przyłożyła chustkę do oczu.

Pociąg wjechał wkrótce pod arkady kolejowego dworca.

Na peronie oczekiwała pani Drzewicka z Kożuchowską, i Fasolka. Nastąpiły rekomendacje i uściski. Drzewicka tak serdecznie witała Kazię, że aż ją to rozrzewniło. Franek zamienił kilka słów z Fasolką:

— No cóż?

— Żadnej zmiany.

— Felczer jest?

— Jest.

Pogoda była piękna: powietrze świeże, dzień jasny i mróz niewielki. Ulice i dachy Petersburga pokryte były białym całunem śniegu. Drzewicka z Kazią, i Fasolka z Franciszkiem, wsiedli do obszernych i wygodnych sani; Kożuchowska zaś miała pójść do biura.

— Wieczorem przyjdę—mówiła na pożegnanie.

Sanie pomknęły na „Izmajłowski prospekt"; przejeżdżali koło mieszkania Roberta, ale umówionem było, żeby nic o tem nie wspominać i najwpierw Kazię zawieźć do Drzewickich. Po przejechaniu „Izmajłowskiego mostu", Fasolka woźnicę zatrzymał i wysiadł; wracał on do Roberta, ale powiedział, że musi iść za interesami.

W kilka minut potem przyjechali do Drzewickich; zastali tam Dziubandowskiego. I on, i babcia, wybiegli na spotkanie Kazi do przedpokoju, i witali jak najserdeczniej. Staruszka całowała ją i błogosławiła; a jednocześnie mówiła do pułkownika:

— Patrz jegomość: jaka młodziutka, jaka śliczna panienka—a jaka nieszczęśliwa!...

— *Vraiment, bien malheureuse!*—odrzekł pułkownik.

Pani Teresa zaprowadziła Kazię do pokoju, który dla niej urządziła.

— Proszę rozgościć się i być bez ceremonji; zaraz zjemy śniadanie, bo pani pewnie w drodze nic nie jadła: proszę u nas być, jak u rodziców!— mówiła pani Teresa, i uściskała Kazię.

— Nie wiem, doprawdy, jak podziękować za tyle dobroci, serca i współczucia—odpowiedziała Kazia.

— Nie ma co mówić: ot głupstwo; aby Bóg dał, żeby pan Robert tylko wyzdrowiał!

— Więc pani ma nadzieję, że on wyzdrowieje?— zapytała Kazia, i rumieńce wystąpiły na jej lica.

— Dopóki jest życie, dotąd jest i nadzieja!— No, proszę umywać się z drogi—nie przeszkadzam; czekamy ze śniadaniem!

Pani Drzewicka wyszła.

— Dopóki jest życie, jest i nadzieja!—powtórzyła Kazia.

Te słów kilka dodały jej otuchy i energji; umyła się zimną wodą, co ją znacznie orzeźwiło, ubrała się w czarną sukienkę, i weszła do stołowego pokoju. Przy stole siedziała gospodyni, babcia, pułkownik i Franek; zastawione były różne zakąski, a lokaj wniósł właśnie półmisek.

— Proszę tu, obok mnie!—wołała babcia.

Kazia usiadła na wskazanem miejscu, a babcia jęła ją znowu pieścić i całować.

— A powiedz mi, kochanie—mówiła babcia,—jak teżto ojcu było na imię?

— Paweł —odrzekła Kazia.

— Paweł!... Patrzcież państwo: toż ja znałam twego ojca!... Pawlunio! tak, tak!... A i dziadka, Samińskiego, także doskonale znałam: bywałam, nawet często w ich domu!... Świętej pamięci dziadek, także pan Paweł!... pamiętam,—pamiętam, jak dziś!... był taki wysoki *bronet*, z pięknym wąsem... Żebyście wiedzieli, co to za elegancki człowiek!... a jaki przytem nabożny, i religijny... rzadko to się spotyka między mężczyznami!... ale był trochę niedowiarek i bałamut: bo, wyobraźcie sobie, nigdy nie chciał księdza w rękę pocałować!...

— Niech pani pozwoli kotleta! — częstowała tymczasem Kazię gospodyni.

— Dziękuję, nie mogę!

— Nie pozwalam: proszę zaraz jeść!... i słuchać!... Jeśli pani chce, żeby pan Robert był zdrów, to proszę zaraz jeść!...

Nie było rady: Kazia wmusiła w siebie kotlet, filiżankę buljonu, i kieliszek wina.

Babcia zabrała się do marynowanych rydzów. Pani Drzewicka była zajęta, i spostrzegła to wtedy dopiero, gdy już babcia w najlepsze zajadała z talerzyka, na którym sporą ułożyła sobie kupkę.

— Babuniu! jakże można? -- zawołała pani Teresa, sięgając ręką, aby odebrać talerzyk— rydze marynowane!

— A cóż, mam z głodu umierać?—odrzekła babunia.

Pani Teresa nic na to nie odpowiedziała; odebrała tylko talerzyk z rydzami i podała filiżankę buljonu.

— Patrz, kochanko—mówiła babcia do Kazi,— jak człowieka poniewierają: marnego grzyba na starość mu żałują!

Dziubandowski starał się zabawić Kazię rozmową; Roberta wychwalał pod niebiosa, a na doktorów wymyślał, co się zmieści:

— Konowały!—mówił—*imbéciles!*... nic nie umieją!... blagiery, mocni tylko w gębie!... Chłop, jak dąb, i żeby mu nie pomódz!... Szkoda, że nie mamy wojskowego chirurga!—ci, to umieją leczyć!... Pod piramidami miałem dziewiętnaście pchnięć bagnetowych, cztery cięcia pałaszem, i w dodatku nogę złamaną, co mi ją koń przygniótł, a chwalić Boga wyleczyli mię i żyję!—a tu wszystko hołota, i basta!

Kazia, w oczekiwaniu końca śniadania, siedziała, jak na rozżarzonych węglach. Nareszcie pani Drzewicka wstała.

— Jedź pani z panem Broniewskim do swego

narzeczonego; ja z wami nie pojadę. Byłam raz, ale widok tego nieszczęśliwego tak mnie rozrzewnia i denerwuje, że dalibóg nie mogę!... konie gotowe, czekają!... Ale, panie Franciszku, czy daliście nakoniec znać matce pana Roberta?

— Proszę pani! po ostatecznej rozmowie z doktorami, zdecydowaliśmy, wcale nie telegrafować!... Nic nie pomoże, tylko jeszcze staruszka gotowa się rozchorować!... Jutro może coś i napiszemy!

W kwadrans potem Kazia z Franciszkiem wchodzili do mieszkania, gdzie Robert odnajmował pokój. Na korytarzu spotkali dwóch panów rozmawiających:

— Żelazna natura!...—mówił jeden z nich,—dziwna odporność!... Myślę, że jeszcze jutro prze żyje... a kolega?

— I ja jestem tego samego zdania—odpowiedział drugi. — Tak, jutro może przeżyje!

Franek przywitał się z wychodzącymi i począł z nimi coś szeptać. Nakoniec pożegnali się.

— Doktorzy! — rzekła Kazia smutnie, po ich odejściu.

— Tak!—odpowiedział Franek.

Rozebrali się w pokoju Franka i po cichuteńku weszli.

— Odwagi i siły ducha!—szepnął Franek na progu.

W pokoju czuć było silny zapach karbolu; kotara była podniesioną całkowicie. żeby większy był dostęp powietrza. Kazia zobaczyła, na tle białych poduszek, leżącego na wznak Roberta. Twarz miał on bladą i wychudłą; oczy, zapadnięte i otoczone szeroką czarną obwódką, były wprawdzie otwarte, ale nie miały one tego co dawniej życia i ognia, były bez wyrazu, a wyglądały, jak szklane; do tego głowa cała była ogolona i ranami okryta, skutkiem smarowania maścią emetykową i przykładania wizykatoryj.

Kazia, mimo całej mocy ducha, na widok ten łkać zaczęła. Siedzący w nogach chorego felczer, wstał i skłonił się,—a Fasolka poprawił zwisłą prawą rękę; Robert leżał zupełnie bezwładny. Kazia zbliżyła się: usłyszała prędki, krótki, gorączkowy oddech, i dostrzegła małe, ceglastego koloru wypieki pod oczyma.

Kazia długo, długo bardzo w oczy się te wpatrywała,—ale one jej nie widziały!...

Usiadła nareszcie w nogach łóżka na krześle i, wlepiwszy wzrok w twarz Roberta, myślała o jego cierpieniach i o swojej niedoli. Nie płakała już wcale, wzdychała tylko często; ale te lekkie westchnienia uniosły myśl jej wysoko—do Boga!...

Fasolka i Franek wyszli byli z pokoju; felczer tymczasem spojrzał na zegarek, nalał łyżkę

lekarstwa i zbliżył się, chcąc je dać choremu. Kazia powstała:

— Pozwól pan, ja mu dam —rzekła, wyciągając rękę.

— Nie można — powstrzymał ją ze świadomością swego autorytetu felczer, — trzeba umieć otworzyć zaciśnięte szczęki, ja panią nauczę!

I mówiąc to, przyłożył łyżkę do ust Roberta i końcem tak zaczął manipulować, że otworzył szczęki i wlał lekarstwo; chory połknął.

— Za dwie godziny—rzekł—pani sprobuje dać sama; ja tu przyjdę, ale teraz muszę wyjść.

Kazia została sama z Robertem; bezustannie na niego patrzyła i modliła się, ale nadzieja uciekała od niej coraz więcej.

Felczer powrócił; Kazia sprobowała przy nim dać choremu lekarstwo i jakoś nadspodziewanie dobrze jej się to udało: odtąd też sama mu je ciągle dawała.

Wieczorem Franek chciał ją odwieźć do Drzewickich, ale się na to nie zgodziła.

— Nie opuszczę pana Roberta—mówiła,—zostanę tu przy nim; wszakże potom tu przyjechała!

— Ależ dziś nocny dyżur Fasolki!

— Dobrze! ale i ja się nie ruszę.

Została więc. Wypili herbatę u Franka; a Fasolka przemienił przez ten czas stojące przy

chorym krzesło na duży, wyścielany fotel. Kazia zasiadła w nim po herbacie, nie znalazłszy, po półgodzinnej swej nieobecności, żadnej w chorym zmiany.

Koło jedenastej przyjechała wraz z Kożuchowską zaniepokojona pani Drzewicka. Posiedziały one u Franka z kwadrans, namawiając Kazię, żeby spać pojechała; ale wszelkie perswazje na nic się nie przydały, Kazia na żadne ustępstwo zgodzić się nie chciała i pozostała na stanowisku.

Powróciwszy do chorego, dała mu lekarstwo i zasiadła w fotelu; a zmęczona dwudniową jazdą i bezsennemi nocami, przygnębiona nieszczęściem, jakie ją spotkało — drzemać zaczęła. Było to coś pośredniego między snem, a czuwaniem; myśli w jej główce stawały się powoli bezładnemi, i w coraz to większym przebiegały nieporządku. Zdawało jej się jakoś, że jest w dulembskim ogrodzie; że drzewa pokryły się zielenią; że kwiatki wesoło wyciągają główki, a ptaszki raźno pośpiewują... I widziała znów Roberta, grającego na fortepjanie i całującego jej ręce... — Ocknęła się nareszcie:

— Boże! — myślała — jakże mi się w głowie mąci!... Biedny pan Robert!... czy też on ma jakie myśli?... czy choć przeczuwa, że ja, tak blisko i że cierpię tyle?... Oj! cierpię ja, cierpię... a

zaco?... a on, biedny?... Marzyliśmy o przyszłości, o szczęściu... ślubny wianek i kobierzec na myśli... a w rzeczywistości—mary i żałoba!... O Boże! jakiż los mi przeznaczyłeś!... Co jest życie?... co szczęście?... Jedna sekunda—wypadek — i nie ma życia... szczęścia... Więc to wszystko—chimera!.. Wojtaszek mówił, że on powiedział: „musi być moją żoną“!...

Prawa natury przemogły: zmęczona Kazia zasnęła... i obudziła się, kiedy już było zupełnie widno—po ósmej rano.

— Boże! co to jest?... — mówiła, przecierając oczy.

— Bądź pani spokojną: nic się nie stało! Byłem ja tu noc całą, i lekarstwo dawałem najregularniej — odrzekł Fasolka. — Cóż dziwnego zresztą, że pani po takiej podróży i po bezsennych nocach—zasnęłaś trochę? To i lepiej nawet: będziesz pani w ciągu dnia rzeźwiejszą!

W stanie chorego żadna nie zaszła zmiana.

Koło jedenastej przyjechała Drzewicka i gwałtem prawie Kazię z sobą zabrała. Do pierwszej woziła ją po mieście, żeby choć cokolwiek świeżem odetchnęła powietrzem; później zawiozła do domu na śniadanie, a potem odwiozła do Roberta. Wkrótce po powrocie Kazi przyszedł też profesor Botkin; wysłuchał najpierw raportu fel-

czera, a następnie obejrzał chorego. Zmiany nie znalazł; gorączka tylko była jeszcze większą, temperatura się bowiem podniosła. Profesor poznał się z Kazią; był on nie tylko znakomitej sławy doktorem, ale i zacnym bardzo człowiekiem.

— Bardzo żałuję—mówił,—że nie mogę znaleźć dla pani słów pociechy. Jest bardzo źle; chory ma wielkie cierpienia, szczęściem tylko dla niego, że tego nie czuje, gdyż nie ma nawet cienia przytomności. Musisz się pani poddać, z chrześcijańską pokorą, wyrokom Najwyższego!

— Póki jest życie, póty jest i nadzieja!—odpowiedziała z siłą Kazia.

— Niestety!... to nie życie.... to gasnący, słaby płomyk!...

Profesor wyszedł, a Kazia zasiadła znów w fotelu. Lekarstwo dawała najregularniej, i—modliła się—prawie, że bez przerwy.

W ciągu dnia i wieczorem, przychodzili do Franka dowiadywać się: Łabędzki, Bąkbyx i Tacowicz. Każdy z nich z radością przyjąłby wiadomość o najlżejszem chociażby polepszeniu, o jakiejś iskierce nadziei; a tymczasem—odchodzić musieli ze smutkiem na twarzy i ze zwątpieniem w duszy. Wieczorem przyszła Kożuchowska, i przesiedziała, aż do samej północy; ale w stanie cho-

rego najmniejsza nie zaszła zmiana. Felczera to już zaczęło na dobre niecierpliwić:

— Jaka uporczywa natura—myślał; — innyby już dziesięć razy zjadł śledzia, a ten oto: żyje niby!...

Dyżur był Franka; ale i Kazia tej nocy oka nie zmrużyła. Rankiem dopiero siły ją zaczęły opuszczać; i nic dziwnego: nie jadała wcale obiadów, żyła tylko czystą herbatą, buljonem, i owym maleńkim kawałkiem mięsa, który w nią Drzewicka wmuszała. Całą siłą jednak sama z sobą walczyła, by nie pokazać, o ile jest znużoną. Po dziesiątej, jak zwykle, przyjechała Drzewicka i zabrała ją z sobą na spacer; mróz był wprawdzie silny, ale powietrze było zupełnie czyste, a dzień kompletnie jasny.

Powróciła do Roberta zaraz po pierwszej, ogrzawszy się wpierw w pokoju Franka, który poszedł do instytutu. Zastała przy chorym felczera tylko samego; objaśnił on ją, że doktór jeszcze nie był, i że należałoby już dać lekarstwo. Nalała więc je na łyżkę i z trudnością wlała w usta chorego; nie połknął jednak, a płyn wyciekł z ust na poduszkę. Sprobowała dać powtórnie,—felczer jej nawet dopomagał,—ale był tenże sam rezultat: Robert nie mógł już przełykać.

Zgnębiona do reszty, usiadła Kazia przy biurku i zaczęła pisać kilka słów do Dulembów. Pismo było rozpaczliwe, bez jutra; łzy jej płynęły na papier i zalewały wyrazy...

Drzwi do pokoju otworzyły się cicho, i — weszła: Mary!... Była drżąca i blada, jak marmur kararyjski; a bladość tę potęgowała jeszcze czarna, aksamitna suknia, w jaką była ubraną.

Przed kilkoma zaledwie godzinami powróciła z matką z zagranicy; i niepomiernie ją to zdziwiło, że, mimo danego telegramu, Robert jej nie spotykał. Mąż, jak wiadomo, był w Charkowie; matka więc tylko podwiozła ją do domu, i pojechała potem do siebie. Po uroczystych przywitaniach domowników i papug, Mary przebrała się i zasiadła do śniadania; a gospodyni, Luba, stojąc przy stole, zdawała jej o wszystkiem relację. Zaczęła nareszcie opowiadać o zdarzeniu z Robertem; a na potwierdzenie słów swoich podała gazetę, w której detalicznie był opisany „straszny wypadek: stratowania przez rozbiegane konie młodego inżynjera R. Sk.....“ Sensacyjną wiadomość kończyły słowa: „Nieszczęśliwa ofiara wypadku dogorywa: uratowania nie ma najmniejszej nadziei.“ Do tego Luba dodała jeszcze, że wczoraj wieczorem chodziła się dowiadywać, i gospodyni Rober-

ta powiedziała, iż lada chwila spodziewają się śmierci...

Mary uszom swym nie wierzyła: myśli jej zaczęły się plątać; jakiś ciężar, zdawało się, mózg jej uciskał. Zerwała się od śniadania, złapała kapelusz i futro i wybiegła, jak szalona, na ulicę. Mieszkała, jak wiemy, o kilkadziesiąt kroków od Roberta; na pół drogi zatrzymał ją idący Fasolka, opowiedział resztę i zalecił, żeby się przy umierającym zachowała jak najciszej.

Gorączkowym ruchem zrzuciła Mary aksamitną rotondę, i chwiejnym krokiem zbliżyła się do łóżka. Nie widziała nic i nikogo, nawet stojącego przy samem łożu felczera; przed oczyma jej, jak gdyby zawieszona była czarna gazy zasłona. Spojrzała na leżącego Roberta od drzwi samych, i jego tylko—jego jednego zobaczyła i widziała!

W wyobraźni jej, przed przyjściem nawet, Robert już źle wyglądał; ale to, co zobaczyła, przedstawiało tak okropny obraz, że zdołała jedynie wydać jęk boleści i wyszeptać jedno—jedyne słowo:

— *Robert!...*

Ale on jej nie słyszał, nie rozumiał; leżał zupełnie bezwładny, i tylko szybki, krótki oddech dowodził, że życie jeszcze nie uleciało zupełnie.

Mary padła przy łóżku na kolana; załamane ręce zwisły jej na pościel, i wpatrywała się tak w dogorywającą twarz Roberta.

— *Robert! mon idole, ma vie*..—szeptała przez łzy—*tu me quittes?*...

Kazia na szelest wstała od biurka i z niemałem zdziwieniem przypatrywać się zaczęła, jak młoda, elegancka i dziwnie piękna dama, klęcząc u łoża chorego, przemawiała doń po francusku. Nie mogła wprawdzie słów dobrze dosłyszeć i zrozumieć; ale, mimo tego, złe jakieś przeczucia szarpać zaczęły jej serce...

Felczer dotknął ramienia Mary:

— Proszę pani, nie można niepokoić umierającego—wyrzekł.

Mary teraz dopiero spostrzegła felczera.

— Umierającego!...—zawołała.—Więc on rzeczywiście umiera?...

— Bez wątpienia, pani!

— A więc i ja tu z nim umrę!...

Rozejrzała się cokolwiek, i spostrzegła na marmurowym blacie nocnej szafki przełamany pierścionek, zaschłą krwią pokryty. Wzięła go do ręki: był to ów pierścionek z napisem „na życie i śmierć“.

— Co to jest—zapytała mimowiednie,—nie wiesz pan?

— To, proszę pani, pierścionek, który chory miał na palcu: podczas katastrofy, widocznie, koło mu go wbiło w ciało; przy opatrunku wyjęli—i tu został...

— Robercie! — mówiła dalej Mary, trzymając kawałki pierścionka—umrę z tobą razem, bośmy przysięgli: *„peri tis psiuchis“!*

Wstała z kolan z energją, zdjęła kapelusz i rzuciła go pod stół; spostrzegła teraz stojącą Kazię: zbliżyła się do niej.

— Pani!—zaczęła po francusku—niech cię nie dziwi moja obecność i słowa; niech to nie obraża twojej dziewiczej skromności! Ogrom nieszczęścia, które na nas spadło, jest tak wielki, iż druzgoce wszelkie formułki, konwenanse, i inne błahostki światowe!... Serce mi pęka z żalu!... przyszłam tu, aby umrzeć razem z bratem pani...

Wyciągnęła obie ręce do Kazi.

— Pani się myli—odrzekła z niepokojem Kazia:—nie jestem siostrą pana Roberta.

— A więc, kimże jesteś? — zawołała z zaiskrzonemi oczyma Mary.

— Jestem jego narzeczoną!... ale pozwoli pani spytać: kto pani jesteś?—odpowiedziała Kazia, z trudem hamując łzy, które się do ócz cisnęły.

Muskuły pod szczękami zaczęły się kurczowo ściągać, i dławiły ją; ale, mimo tego, oparta

lewą ręką o stół, wyprostowała się i śmiało patrzyła prosto w oczy Mary.

— Narzeczona?...—zawołała głośno Mary—nie prawda! pani kłamiesz bezczelnie; Robert nie ma żadnej narzeczonej!... on mnie tylko jedną kocha!... Robercie! odezwijże się, zaprzecz tej nędznej samozwance!... Robercie! czy nie słyszysz? — to ja, twoja Mary!...

I z załamanemi rękoma, słaniając się, skierowała się w stronę łóżka; ale Kazia zdążyła zagrodzić jej drogę:

— Nie wiem, kto pani jesteś i jakie masz prawa do pana Roberta; ale na miłość Boga, w obliczu śmierci nie hałasuj pani!.. daj mu umrzeć spokojnie!... — dodała ciszej, z bolesnym akcentem.

Mary zatrzymała się; wpiła gniewnie roziskrzone oczy w Kazię i, ze wściekłością w głosie, mówiła rwącym się tonem:

— Zkąd się tu pani wzięłaś?... dla czegoś stanęła między mną i Robertem?... To przez ciebie on umiera!... tyś mi go wydarła!... biada ci, biada!—zawołała w końcu, zaciskając pięście.

Zdawałoby się, że się rzuci na Kazię.

Ale Kazia stała spokojnie, niema, jak posąg boleści; podniosła nareszcie łagodne swe oczy na rywalkę i pytała z wolna:

— Kto pani jesteś?... czego tu chcesz?... dlaczego gwałcisz spokój i ostatnie chwile umierającego?...

— Kto jestem?... Marja Epiphanidi—kochanka Roberta!... Rzuciłam dom swój i męża... więcej stąd nie wyjdę!... Z chwilą, kiedy duch Roberta uleci, i ja tu umrę!... aby dusze nasze złączyły się tam, poza grobem... Umrę! bo go kocham bez granic, i śmierci jego przeżyć nie mogę... Ty nie rozumiesz tego... bo nie wiesz, co to jest miłość prawdziwa!

Kazia pod wpływem słów tych, przeobraziła się w jednej chwili z dziewczęcia w biblijną niewiastę; twarz jej przybrała wyraz jakiejś potęgi, wzniosła drżącą rękę i, ukazując nią drzwi, mówiła z wielką siłą:

— Nie bluźnij pani i nie wymawiaj słów, których sama pożałujesz, gdy przyjdzie chwila rozwagi i zastanowienia. Tu nie ma dla pani miejsca: obie razem zostawać tu nie możemy... a że ja stąd nie wyjdę, więc pani opuścić nas musisz!... Wracaj więc do swego domu i męża, którego honor i imię poniewierasz!

Kazia znała język francuski dobrze; nie mówiła nim wprawdzie tak biegle, jak Mary, ale, mimo tego, wypowiedziała wszystko zupełnie poprawnie.

— Zamilcz pani!...—krzyknęła Mary — to ja ciebie stąd wypędzę!... Puszczaj mnie do mego Roberta!

Schwyciła Kazię za obie ręce i odciągnęła na stronę, torując sobie drogę do chorego.

Straszne chrapanie i rzężenie, w piersiach i gardle Roberta, rozległo się w pokoju.

— Agońja!—wyrzekł naukowo-poważnym głosem felczer.

Wyraz ten, jakby magiczne sprawił wrażenie: Kazia i Mary jednocześnie padły na kolana i wyciągnęły ręce ku niebu.

Dwie te kobiety: niewinne dziewczę i niewierna żona, różnej wiary, zasyłały swe modły w dwóch odmiennych językach—do jednego i tegoż Boga, błagając go, aby im nie zabierał ukochanego!...

Do pokoju wszedł cicho Franek; spojrzał na modlące się kobiety, usłyszał straszne rzężenia... Stanął na miejscu, jak skamieniały — i cicho łkać zaczął...

Straszny, denerwujący chryp w piersiach Roberta, przypominał rznięcie suchego drzewa dobrze stępioną piłą.

Anioł śmierci krążył już nad łożem umierającego.

Przeszło tak kilkanaście minut. Mary przyczołgała się na kolanach do Kazi, ujęła ją za ręce i, przez łzy, modliła się głośno:

— Wielki Boże! jeśli wymagasz ofiary, weź moje życie... a jego zachowaj!... Ześlij na mnie wszelkie boleście i cierpienia, abyś jego uzdrowił!..

Gwałtowny atak kaszlu Roberta przerwał modły Mary; zakrztusił się, i wielki kawał krwi zapieczonej wypadł na poduszkę: rzężenie ustało i zapanowała zupełna cisza...

— Skończone! — zaopińjował głosem herolda pochylony nad Robertem felczer.

Mary krzyknęła przeraźliwie i padła, uderzając z łoskotem głową o podłogę; wyciągnęła się i zesztywniała, jak martwa.

Franek z felczerem podbiegli do niej i cucić usiłowali, nic jednak nie pomagało: wynieśli ją zatem do pokoju Frańciszka.

Kazia, cała drżąca, jak w febrze, chwytając nerwowo za stół, krzesła i słupek kotary, zbliżyła się do łóżka. Robert miał oczy zamknięte; nachyliła się—usłyszała cichy, słaby oddech.

— Żyje jeszcze. .—szepnęła.

Uklękła przy łóżku konającego i modlić się poczęła; ale w głowie jej się mąciło i modlitwę inne przerywały myśli:

— Kto jest ta kobieta?...

Zwróciła oczy na twarz Roberta.

— Kochanka!...—pomyślała, i rumieniec skrasił jej blade policzki.—Porzuciła dom, męża...

żeby umrzeć razem!... Czy pan Robert ją kocha?... Zapewnie... taka piękna!... A ze mnie może żartował?... Nie,—stokroć nie!... Boże, przebacz mi zwątpienie!... Najświętsza Panienko! -- zawołała głośno—przyczyń się za nami; uproś u Syna Swego zdrowie dla pana Roberta: a pójdę piechotą, o chlebie i wodzie, do Twego częstochowskiego przybytku!

Nie słysząc zupełnie oddechu chorego, wstała z kolan i nachyliła się nad jego głową; zobaczyła lekkie falowanie piersi; Robert oddychał jeszcze, choć bardzo powoli. Usiadła w fotelu i wpatrywała się załzawionemi oczyma w gasnące oblicze ukochanego...

Słychać było jakiś szelest i ruch w korytarzu: to Franek z felczerem wyprowadzili ocuconą, ale nieprzytomną Mary; wnieśli ją do powozu i odwieźli do domu...

Dzień się miał ku schyłkowi; słońce nisko już bardzo opuściło swoją tarczę, rozlewając dokoła krwawo czerwone światło, które, odbiwszy się w wielkich śniegowych płaszczyznach, zalegających dachy, pokój chorego silnym napełniało blaskiem. Biała pościel, martwa twarz Roberta, i jasnoperłowe obicie ścian—przyjęły barwy lekko różowe. Kazia modliła się półgłosem:

— Najlitościwszy i najłaskawszy Jezu Chryste,

Synu jednorodzony Boga Ojca wszechmogącego, zmiłuj się nad nami!—nie odbieraj życia i wybaw go od śmierci: jakoś wybawił Abrahama z rąk Chaldejczyków; Izaaka—od zabicia; Noego—z wód potopu; Lota—z zapadnienia Sodomy; Mojżesza, Aarona, i lud izraelski—z ręki Faraonowej i niewoli egipskiej; jakoś wybawił Dawida z ręki Goljata i Saula; Zuzannę—z potwarzy; Judytę—z mocy Holofernesa; Daniela—ze lwiej jamy; trzech młodzieńców—z płomieni! Wysłuchaj, Boże, głosu mojego i wielkie miłosierdzie Swoje okaż nad nami!

Robert lekko westchnął; otworzył oczy: światło raziło go widać, bo mrugnął kilka razy; ruszył nakoniec cokolwiek głową.

— Franku;—wyrzekł cicho, patrząc na Kazię—musiałem chyba długo spać!... Co to jest?... ja mam gorączkę? malignę?... Zdaje mi się, że to nie ty—a jakaś kobieta... że to Kazia moja najdroższa!

Kazi serce bić przestało; wstała i zbliżyła się do wezgłowia Roberta; nie mogła jednak ni słowa wymówić—kurcz ścisnął jej gardło. Robert wpatrywał się w nią ciągle; chciał podnieść rękę i przetrzeć oczy, ale—nie miał siły.

— Kazia!... Co to jest?... gdzie jestem?...

— U siebie!—odrzekła cicho Kazia.

Uklękła i wzięła w obie ręce prawą rękę Roberta.

— Moja Kazia tu?... musiałem być bardzo chory?... Boże! przypominam sobie: rozbiegane konie... leżałem w aptece...

Zaczął rozglądać się niespokojnie.

— Uspokój się pan!—mówiła łagodnie Kazia—wszystko już jest na dobrej drodze!...

Wejście profesora Botkina przerwało jej mowę. Za Botkinem wszedł jego asystent, wysoki brunet; a za nim—ze zwieszoną głową—Fasolka.

Doktór zbliżył się do łóżka podczas ostatnich słów Kazi.

— A to co?... rozmowa?—pytał zdziwiony.—Dzień dobry pani!... Proszę pozwolić obejrzeć chorego.

Kazia odeszła do okna; przywitała się z Fasolką i odezwała się:

— Wiesz pan: pan Robert mnie poznał, jest mu daleko lepiej; nadzieja wstępuje w moje serce!

— Daj Boże!—bo ja już zwątpiłem.

Lekarze długo bardzo badali chorego; nawet Botkin z nim trochę rozmawiał.

— Niebezpieczeństwo minęło — rzekł nakonice głośno Botkin:—chory bezwarunkowo żyć będzie!

Fasolka wymknął się cichaczem, by tę radosną nowinę zanieść do pokoju Franka, gdzie kilku było mężczyzn; Kazia zaś podbiegła do doktora.

— Więc profesor twierdzi, że pan Robert będzie zdrów?

— Obecnie mogę gwarantować.

Kazia wybuchnęła głośnym płaczem.

— Ty płaczesz, moja najdroższa?—spytał cichym głosem Robert.

— Uspokój się pani—mówił asystent:—wszak złe minęło, i mamy taki niespodziewanie świetny rezultat!...

— Panie! to łzy radości: one nie szkodzą.

— A niechże go zobaczę, hultaja! — wołał na cały głos w korytarzu Dziubandowski.—A to nas wystraszył!... *Dieu merci*, że się wyłabudał!... a za karę, że nas tak zmartwił, jak już tylko zupełnie wyzdrowieje—mówił już na progu:—zapakujemy go do kozy... *nous l'emballerons dans la chèvre!*

Profesor skinął na asystenta, który podszedłszy do pułkownika, zagrodził mu drogę i, przepraszając, do chorego go nie wpuścił.

— Złe minęło — mówił Botkin do Kazi, — możesz pani być zupełnie spokojną; powoli wprawdzie, ale przyjdzie do zupełnego zdrowia, — a złamania i obrażenia zrosną się i zagoją najdalej

za sześć tygodni: trzeba tylko cierpliwości, i jeszcze raz cierpliwości!... Zresztą—pacjent z pewnością nudzić się nie będzie, tak miłe mając towarzystwo i opiekę; a opieka—szczególniej potrzebna!... Trzeba go z wolna i ostrożnie, ale systematycznie i starannie odżywiać; nie puszczać dużo osób, i nie pozwalać nawet mówić. Ten srogi rygor z każdym dniem zmniejszać się będzie; a wkrótce zaczniemy mu dawać wino, to i prędko sił nabierze. Będę was teraz odwiedzał co drugi dzień: częściej byłoby zbytecznem; pojutrze dam pani dalsze wskazówki.

Doktorzy pożegnali chorego i Kazię, i skierowali się ku wyjściu.

— Stokrotnie dziękuję profesorowi za jego ratunek i współczucie!—mówiła Kazia, odprowadzając ich do drzwi.

— Niewymownie kontent jestem i szczęśliwy z rezultatów; chociaż—wszystko się stało wbrew wszelkim oczekiwaniom!

— Pacjent — mówił ciszej asystent — bezwarunkowo powinien był umrzeć! Nie było nawet najmniejszej wątpliwości: medycyna, i nasza nauka, nie widziała w danym wypadku żadnego już ratunku, i była najzupełniej bezsilną!—dodał, wkładając futro.

— A jednak — odrzekł profesor: — musiało mu coś pomódz!

Kazia podniosła na doktora wesołe już oczy i—odpowiedziała:

— Pomógł mu Ten, który jest ponad wszelką nauką i wiedzą: Bóg miłosierny!...

KONIEC.

Kijów 1892.